



Nora Roberts



WIĘZY KRWI

Tytuł oryginałów:

The Heart of Devin MacKade, The Fall of Shane MacKade

Serce Devina

RS

PROLOG

Dwadzieścia lat to dziwny wiek w życiu mężczyzny, tak przynajmniej uważał Devin MacKade. Dwudziestoletni facet jest na tyle dorosły, żeby odpowiadać za swoje czyny, zarabiać na własne utrzymanie i kochać się z kobietą. Lecz w oczach prawa wciąż uchodzi za dziecko.

Do pełnoletności brakowało mu zaledwie dwunastu miesięcy. Jared i Rafe przekroczyli już tę magiczną granicę; wkrótce nadejdzie jego kolej, a niedługo po nim najmłodszego z braci, Shane'a. Prawdę rzekłszy, wcale nie było mu spieszno. Czuł się dobrze w swojej skórze, ale jako człowiek zorganizowany zaczął czynić plany na przyszłość.

Mieszkańcy miasteczka Antietam w Marylandzie byliby zdumieni, słysząc, że miejscowy rozrabiaka postanowił zostać stróżem prawa.

Studia niespecjalnie go ciągnęły; do nauki namówiła go matka, ale nie żałował podjętej decyzji. Frapowały go zajęcia z prawa, z kryminologii, z socjologii. Miał wrażenie, że po to się urodził: żeby odkrywać słowa, teorie i idee.

Na razie o swoich planach nikomu nie mówił. Bracia z miejsca zaczęliby się z niego nabijać. Nawet Jared, który wybrał pokrewny zawód: zamierzał zostać prawnikiem. Nie, nie bał się docinków; z braćmi bez trudu by sobie poradził. Po prostu przez jakiś czas wolał trzymać język za zębami.

Zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie marzenia się spełniają. Przykładów nie musiał daleko szukać... właśnie miał taki przed sobą, w

kawiarni Ed. Wpadli tu z braćmi, żeby coś przekąsić, zanim pójda na bilard do baru Duffa.

Drobna, szczupła blondyneczka miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu. Wyglądała jak uosobienie niewinności, kiedy rumieniąc się, podawała im zamówione dania. Devin nie mógł oderwać od niej oczu: miała złociste loki, duże szare oczy, słodkie usta, leciutko zadarty nosek, drobne rączki, które potrafiły dźwigać ciężkie dzbanki, szczupłe paluszki...

Na jednym z nich połyskiwał ledwo widoczny brylancik.

Blondynka nazywała się Cassandra Connor, a on kochał ją od zawsze. No dobrze, może nie od zawsze, ale znał ją od niepamiętnych czasów i patrzył, jak z dziecka przeobraża się w śliczną dziewczynę. Zakochał się po uszy, ale wstydził się okazać jej uczucie.

Na tym polegał problem. Kiedy w końcu przystąpił do działania, było już za późno. Cassie zaczęła spotykać się z Joem Dolinem; mieli się pobrać w czerwcu, dwa tygodnie po jej maturze. Devin nie mógł temu zapobiec.

Starał się nie wodzić za nią wzrokiem, kiedy krążyła między stolikami. Bracia byli spostrzegawczy i natychmiast by to zauważyli. Po co miał się narażać na drwiny? Nieodwzajemniona miłość to sprawa zbyt bolesna i zbyt intymna.

Wyjrząwszy przez okno na ulicę, popadł w zadumę. W tym miasteczku urodził się i wychował. To był jego dom. Chciał mu służyć, otaczać je opieką, pilnować, by jego mieszkańcom żyło się bezpiecznie. Czuł, że właśnie taki los jest mu pisany.

Czasem wydawało mu się, a raczej śniło, że już kiedyś to robił, że próbował zaprowadzić porządek w miasteczku pogrążonym w chaosie

wojny. W snach widział Antietam takie, jak na starych fotografiach sprzed wojny secesyjnej. Murowane domy i kościoły, konie, powozy. Niekiedy miał wrażenie, że słyszy, jak stojący na rogu mężczyźni zażarcie dyskutują na temat walk między Południem a Północą.

Nie miał wątpliwości, że w okolicy... straszy. W starym domu Barlowów na wzgórzu za miastem, w pobliskim lesie, w jego własnym domu, na polach, które każdego roku orał i obsiewał. W tych miejscach w powietrzu coś się wyczuwało - życie, śmierć, marzenia i lęki. Wystarczyło natężyć słuch.

- Mmm, prawie tak dobre jak mamy - stwierdził Shane, nabierając na widelec kolejną porcję tłuczonych ziemniaków, po czym wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Słuchajcie, co robią kobiety, kiedy spotykają się z przyjaciółkami?

- Plotkują. - Opróżniwszy talerz, Rafe odsunął się od stołu i zapalił papierosa. - Cóż by innego?

- Mama ma prawo wyjść z domu, spotkać się ze znajomymi.

- Nie mówię, że nie ma. Pewnie staruszka Metz od godziny na nas nadaje. - Na samą myśl Rafe uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że matka bez trudu poradzi sobie z największą miejscową plotkarą. Devin przeniósł spojrzenie na braci.

- Przeskrobaliśmy coś ostatnio?

Zamyślili się. Ciągłe rozrabiali, więc trudno im było wyłuskać jedno zdarzenie.

Gdyby ktoś przechodził ulicą i zajrzał do kawiarni, ujrzałby czterech piekielnie przystojnych braci o ciemnych czuprynach i zielonych oczach.

Na ich widok każdej kobiecie serce biło szybciej, niezależnie czy miała osiem, czy osiemdziesiąt lat.

Byli przystojni, ale również nieulekli i zadziorni. Przez chwilę sprzeczała się zawzięcie, który z nich ostatnio wdał się w największą ilość bójek, złamał najwięcej przepisów, kto najboleśniej nadeptał komuś na odcisk. W końcu doszli do wniosku, że pierwsze miejsce należy się Rafe'owi - za zwycięstwo nad Joem Dolinem w nielegalnym wyścigu samochodowym, który urządzili na szosie.

Nie zostali przyłapani na gorącym uczynku, lecz wiadomość błyskawicznie się rozeszła. Zwłaszcza że Joe poprzysiągł Rafe'owi zemstę.

- To dupek - rzekł Rafe, wydmuchując dym, po czym wbił wzrok w Cassandrę obsługującą gości przy sąsiednim stoliku. - Co taka urocza dziewczyna w nim widzi?

- Myślę, że ona chce się wyrwać z domu. - Jared odsunął na bok pusty talerz. - Gdybym miał taką matkę, też bym marzył o ucieczce. To nawiedzona fanatyczka.

- A może Cassie go kocha - powiedział cicho Devin.

- Kocha? - Rafe prychnął pogardliwie. - Cassie to dzieciak, ma zaledwie siedemnaście lat. Jeszcze się z tuzin razy zakocha, zanim zrozumie, co to prawdziwa miłość.

- Nie każdy tak długo się uczy, jak ty - mruknął pod nosem Shane, z trudem powstrzymując śmiech.

Rafe dźgnął go łokciem w bok i zwrócił się do Jareda:

- To co, napijemy się piwa?

- Chętnie.

- A wy dwaj - Rafe popatrzył na młodszych braci - musicie zadowolić się soczkiem. Duff na pewno trzyma dla was skrzynkę pysznej oranżadki.

Oczywiście tymi słowami uraził Shane'a. Zresztą po to je wypowiedział. Najmłodszy z MacKade'ów zjeżył się; najpierw puścił wiazankę, potem zwinął dłonie w pięści. Widząc, co się święci, stojąca za ladą Edwina krzyknęła, że jeśli mają zamiar się bić, to wynocha na zewnątrz!

Trzech wyszło posłusznie. Został Devin; ktoś musiał uregulować rachunek. Ignorując braci, którzy szturchali się i popychali, bardziej z przyzwyczajenia niż ze złości, Devin uśmiechnął się do Cassie.

- Muszą wyładować nadmiar energii - wyjaśnił, zostawiając napiwek w takiej wysokości, żeby nie poczuła się skępowana.

- Mniej więcej o tej porze zachodzi tu szeryf

- powiedziała ostrzegawczym tonem dziewczyna.

Uwielbiał jej głos. W jego uszach brzmiał jak najczystsza muzyka.

- Postaram się ich utemperować. - Odsunął krzesło i wstał od stolika.

Podejrzewał, że matka domyśla się jego uczuć względem Cassie.

Przed nią niczego nie można było ukryć. Wszyscy próbowali i żadnemu się nie udawało. Wiedział, co mama mu powie. Że jest bardzo młody i jeszcze nieraz się zakocha.

Mama chciała dla niego jak najlepiej.

Może nie był pełnoletni, może w oczach prawa nie był mężczyzną, jednakże miał serce dojrzałego mężczyzny. I ono biło dla Cassandry Connor.

Patrząc na Cassie, nigdy nie dawał niczego po sobie poznać. Nie chciał jej litości. Skinąwszy na pożegnanie głową, wolnym krokiem opuścił kawiarnię. Musi rozdzielić braci, zanim pojawi się szeryf. Uchwycił ramieniem głowę Shane'a, Rafe'owi dał kuksańca w bok, łypnął groźnie na Jareda, po czym przyjaznym tonem zaproponował, aby poszli do Duffa.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Późną wiosną Antietam nabierało niezwykłego uroku. Szeryf Devin MacKade lubił spacerować po miasteczku, wciągać w nozdrza woń kwiatów i świeżo skoszonej trawy, słuchać jazgotu psów i wesołych pisków dzieci.

Kochał tutejszy porządek i uwielbiał niezmienny charakter miasteczka. Przed budynkiem banku kwitły różowe begonie. Przecznice dalej, przy poczcie, trzech mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę. Na fotelu w salonie fryzjerskim siedział kilkuletni brzdąc, który pewnie po raz pierwszy w życiu przyszedł się ostrzyc; jego mama stała obok, ogryzając paznokcie i ocierając z policzków łzy.

Dookoła powiewały transparenty. Jak co roku z okazji Memorial Day, dnia pamięci poległych na polu chwały, w miasteczku miała się odbyć parada i wielki piknik. Devin uśmiechnął się na widok zaaferowanych ludzi. Jedni pucowali samochody, inni malowali werandy. Wszyscy chcieli, aby podczas dorocznej parady miasteczko prezentowało się pięknie.

Już wiele godzin wcześniej zaczęły gromadzić się na trasie, rozstawiać krzeselka i przenośne lodówki. Każdy chce mieć jak najlepszy widok na maszerujące orkiestry i dziewczyny zgrabnie wymachujące pałeczkami.

Mimo że parada stwarzała niemałe problemy logistyczne, Devin za nic w świecie by z niej nie zrezygnował.

Ojciec pokazał mu kiedyś pomarszczonego staruszka, którego on sam, jako mały chłopiec, widział wędrującego główną ulicą w mundurze konfederata. Starzec był ostatnim żyjącym świadkiem wojny secesyjnej.

Dziś to już historia. Dawni bohaterowie nie żyją. Chociaż nie, nieprawda: żyją i zawsze będą żyć we wspomnieniach ludzi, zwłaszcza mieszkańców miasteczek, w których niegdyś rozlegał się huk moździerzy i krzyki rannych.

Devin rozejrzał się. Pani Metz jak zwykle zaparkowała w niedozwolonym miejscu. Jeśli wypisze jej mandat, czeka go długa tyrada na temat policji gnębiącej uczciwych obywateli. Pewnie przyjechała do biblioteki pożyczyć kilka książek, a przy okazji poplotkować z panną Sarah Jane Poffenberger.

Po starych kamiennych schodach wszedł do budynku.

Przezucie go nie myliło. Pani Metz stała oparta o ladę, pogrążona w rozmowie z bibliotekarką. Przed nią leżał stos książek. Devin nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego osoba o naprawdę pokaźnej tuszy z uporem nosi takie krzykliwe ubrania.

- Pani Metz... - Pamiętał, żeby zniżyć głos. W młodzińcych czasach panna Sarah Jane nie raz wyrzucała go za głośne mówienie.

- Devin? - Pani Metz z szerokim uśmiechem obróciła się w jego stronę, pulchnym łokciem niemal strącając książki na podłogę. Sarah Jane, tak chuda i koścista, że przypominała stracha na wróble, złapała je zręcznie, nim spadły z hukiem. - Jak się miewasz w tak piękny dzionek?

- Doskonale, dziękuję. Dzień dobry, panno Sarah Jane.

Bibliotekarka skinęła głową. Miała siwiuteńkie włosy zaczesane w kok i skórę cienką jak pergamin.

- Przyszedłeś zwrócić powieść Crane'a?

- Nie, proszę pani. - Niewiele brakowało, żeby się zarumienił. Tamtą książkę zgubił dwadzieścia lat temu; nie tylko za nią zapłacił, ale za karę przez miesiąc zamiatał bibliotekę. Dziś był dorosłym, powszechnie szanowanym facetem, ale w obecności Sarah Jane czuł się jak niesforne dziecko.

- Książka to skarb - rzekła staruszka.

- Święta prawda - przyznał Devin. - Pani Metz, znów pani zaparkowała w niedozwolonym miejscu.

- Ojej! - Kobieta zrobiła niewinną minę. - Jak to się stało? Głowę bym dała, że nie było żadnych zakazów. Powinnam była przyjść pieszo, ale miałam w mieście parę spraw do załatwienia, więc... W dodatku to miejsce działa na mnie jak magnes. Po prostu kocham książki.

- Nic dziwnego. - W szarych oczach bibliotekarki migotały wesołe isierki, choć wyraz twarzy pozostawał srogim.

- Mój Boże! Chyba nie wlepiłeś mi mandatu?

- Jeszcze nie.

- Pan Metz bardzo się na mnie złości, kiedy wracam z mandatem. A wpadłam tu dosłownie na chwileczkę, prawda, Sarah Jane? Minęły może dwie, może trzy minutki...

- Najwyżej dwie lub trzy - potwierdziła bibliotekarka, mrugając do Devina.

- Jeżeli przestawi pani samochód...

- Tak, tak, przestawię. Za chwilunię. Tylko wypożyczę te książki. Nie wyobrażam sobie życia bez książek, zwłaszcza że pan Metz non stop

ogląda telewizję. Sarah Jane, kochanie, zapisz tytuły, a ty, Devin, powiedz mi, jak się miewa twoja rodzina.

Poddał się. Z panią Metz jeszcze nikt nie wygrał.

- Wszyscy mają się doskonale.

- I te urocze maleństwa? Kto by pomyślał? Dwóm braciom rodzą się dzieci w odstępie kilku miesięcy. Och, muszę wkrótce wpaść i je obejrzeć.

- Maleństwa też mają się świetnie. - Uśmiechnął się na myśl o maluchach. - Rosną jak na drożdżach.

- O tak, dzieci szybko rosną, prawda, Sarah? Czyli co, masz bratanka i bratanicę?

- Dwóch bratanków i bratanicę - sprostował Devin, dodając do listy Bryana, syna żony Jareda.

- Faktycznie. - Pani Metz pokiwała głową. - A nie kuszą cię własne dzieciątka? - Oczy lśniły jej z ciekawości.

Pani Metz, królowa miejscowych plotkarek, wiele by dała, aby poznać plany i zamierzenia innych.

- Rola wujka całkiem mi odpowiada - rzekł, po czym bez skrępowań rzucił jej na pożarcie swoją bratową. - Regan wzięła z sobą do pracy małego Nate'a. Widziałem go godzinę temu.

- Naprawdę?

- I wspomniała, że ma ją odwiedzić Savannah z Laylą.

- Ojej... - Na myśl o spotkaniu żon dwóch braci MacKade'ów, w dodatku z dziećmi, pani Metz zadrżała z przejęcia. - Pośpiesz się, Sarah Jane. Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

- Już, już. - Bibliotekarka podała jej torbę z książkami i popatrzyła na Devina, kiedy pani Metz, sapiąc ciężko, ruszyła do drzwi. - Cwaniak z ciebie.

- Jeśli Regan odkryje, komu zawdzięcza wizytę pani Metz, chyba mnie zabije. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Ale trudno, człowiek musi się bronić. Do widzenia, panno Sarah Jane.

- Lepiej znajdź tę książkę, Devinie MacKade. Zasalutował.

- Tak jest, psze pani.

Mimo tuszy pani Metz poruszała się zadziwiająco szybko. Zanim Devin wyszedł na zewnątrz, siedziała już w samochodzie, z migającym kierunkowskazem, zamierzając włączyć się w ruch.

Zadowolony skierował się do radiowozu. Postanowił wpaść z krótką wizytą do pensjonatu Rafe'a. Sprawdzi, czy wszystko w porządku. Bądź co bądź jest policjantem i pilnowanie porządku należy do jego obowiązków.

To, że Cassie prowadziła pensjonat i mieszkała tam z dziećmi, nie miało nic do rzeczy.

On tylko wypełnia swoją zawodową powinność.

Ale z ciebie kłamczuch, pomyślał, siadając za kierownicą.

Trudno. Przynajmniej raz dziennie musiał zobaczyć Cassie, zatrzymać na niej wzrok. Bez względu na ból jaki czuł, i bez względu na ostrożność, jaką musiał zachować.

Na szczęście Cassie była już wolna; rozwiodła się z draniem, który się nad nią znęcał.

Joe Dolin siedział za kratkami. I spędzi tam kilka najbliższych lat, pomyślał z satysfakcją Devin, zostawiając za sobą miasteczko.

Dawny dom Barlowów, który Rafe przerobił na stylowy pensjonat, znajdował się na wzgórzu kilka kilometrów za Antietam. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na miasteczko. Stary dom był świadkiem jednej z najkrwawszych bitew wojny secesyjnej. Podobno na schodach wiodących na piętro zamordowano młodego żołnierza armii konfederackiej, a Abigail Barlow umarła w tym domu ze zgrzyoty.

Z czasem budynek zaczął popadać w ruinę i zapomnienie. Kamienne fundamenty i ściany były solidne, lecz werandy zbutwiały, a miejscowe dzieciaki powybijały szyby w oknach. Przez kilka dziesięcioleci dom stał pusty, zamieszkały jedynie przez duchy.

Dopóki Rafe MacKade nie wrócił w rodzinne strony i nie kupił posiadłości na wzgórzu.

Devin skręcił w stromy podjazd prowadzący do pensjonatu. To właśnie ten dom połączył Rafe'a i Re-gan. Przemienili ruinę w piękny, zadbane obiekt.

Tam, gdzie kiedyś rosły chwasty i cierniste krzaki, teraz cieszył oko wypielegnowany, soczysty zielony trawnik, kwiaty i starannie przystrzyżone krzewy. Devin uśmiechnął się. Sam pomagał je sadzić. MacKade'owie zawsze działali wspólnie, czy to realizując marzenia, czy to walcząc z wrogiem.

Dziś okna lśniły; niebieskim okiennicom dodawały uroku wielobarwne bratki w skrzynkach na parapecie. Siedząc na werandzie, pomalowanej w tym samym odcieniu błękitu, można było spoglądać z góry na miasteczko.

Z werandy na tyłach domu rozciągał się widok na las, w którym żyły duchy. Ten las oddzielał posiadłość Rafe'a od farmy, na której mieszkał Devin, i od domu Jareda i Savannah.

Wysiadłszy z radiowozu, Devin wszedł bez pukania. Na podjeździe widział tylko samochód Cassie. Czyli wszyscy goście wyjechali, a następni jeszcze nie dotarli.

Przez moment rozglądał się po ogromnym holu, podziwiając lśniąca podłogę, wspaniałe dywany, szerokie schody. Oraz kwiaty. Cassie zawsze dbała, aby w wazonach stały świeże bukiety.

Nie był pewien, gdzie ją znajdzie: w kuchni, w ogrodzie czy w jej mieszkaniu na drugim piętrze. Wolnym krokiem skierował się w stronę kuchennych drzwi. Aż trudno było uwierzyć, że niecałe dwa lata temu z sufitu zwisały pajęczyny, podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, a tynk na ścianach dosłownie się sypał. Teraz wszystko lśniło czystością: ściany, podłogi, okna, meble.

Z rozpadającej się ruiny Rafe i Regan stworzyli prawdziwe dzieło sztuki. Obecnie wszystkim zawiadywała Cassie, a oni remontowali dom, który kupili dla siebie na obrzeżach miasteczka.

Zazdrościł bratu żony - oddanej przyjaciółki, partnerki i kochanki - oraz szczęśliwej rodziny, którą stworzyli.

Shane miał farmę. Teoretycznie należała do nich wszystkich, lecz to Shane poświęcał jej najwięcej czasu i uwagi. Rafe miał Regan, dziecko, pensjonat i cudowny stary dom, który pieczołowicie odnawiał. Jared miał Savannah, dwójkę dzieci, niedużą chatkę za lasem.

A ja? Devin zadumał się. Hm, można powiedzieć, że miał całe miasteczko. A oprócz tego pryczę w pokoiku przylegającym do gabinetu szeryfa.

W kuchni nie było nikogo. Jak zwykle panowała tu ciepła, przytulna atmosfera. Na wyłożonym kafelkami blacie stała kamienna misa pełna świeżych owoców, obok wypełniony domowymi ciastkami ceramiczny pojemnik w kształcie uśmiechniętego kota, jeszcze dalej rząd buteleczek z octem, każda o innym smaku, na parapecie kilka doniczek z fiołkami alpejskimi.

Patrząc przez okno, dostrzegł Cassie: zdejmowała rozwieszoną na sznurze pościel.

Serce zabiło mu mocniej. Zawsze biło szybciej na jej widok. Już się do tego przyzwyczał. Cassie sprawiała wrażenie szczęśliwej: usta wygięte w uśmiechu, rozmarzone spojrzenie. Ciepły wiaterek, który targał bielizną, targał też jej włosami; złociste kosmyki pieściły twarz i szyję.

Miała na sobie białą bawelnianą bluzkę wpuszczoną w granatowe spodnie. Od niedawna zaczęła nosić biżuterię: wisiorki i kolczyki. Jednak jej rąk nie zdobiły żadne pierścionki. Rozwód dostała nieco ponad rok temu; Devin znał dokładną datę, kiedy zdjęła z palca obrączkę.

Dziś w jej uszach połyskiwały złote kółka, usta miała pociągnięte jasną szminką. Przypomniawszy sobie, że po ślubie z Joem nie tylko przestała nosić biżuterię, przestała się również malować.

Właściwie pamiętał wszystko, co dotyczyło Cassie. Pamiętał, kiedy pierwszy raz sąsiedzi wezwali go do domu, który wynajmowała z mężem. Pamiętał strach w jej oczach, kiedy otworzyła mu drzwi. Pamiętał sińce na

jej twarzy i drżący głos, kiedy zapewniała, że nic się nie dzieje, że tylko poślizgnęła się i upadła.

Pamiętał to do dziś. Pamiętał własną frustrację i koszmarne poczucie bezradności, które powracało, ilekroć próbował z Cassie rozmawiać, przekonać ją, że powinna zostawić męża brutala, ona zaś powtarzała tym swoim cichym głosikiem, że nigdzie nie pójdzie, bo tu jest jej miejsce.

Przedtem jako szeryf miał związane ręce. Nie mógł zaradzić aktom przemocy, których Joe dopuszczał się we własnych czterech ścianach, dopóki pewnego dnia Cassie, pobita i przerażona, nie pojawiła się na komisariacie, żeby wnieść skargę przeciwko mężowi.

Teraz jako szeryf mógł oferować jej jedynie przyjaźń.

Wyszedł na zewnątrz, uśmiechając się przyjaźnie.

- Hej, Cass.

Podskoczyła wystraszona, oczy jej pociemniały. Ale po chwili, znacznie szybciej niż kiedyś, uśmiech ponownie rozjaśnił jej twarz, a napięcie znikło.

- Cześć, Devin. - Starając się nie denerwować, zdjęła klamerkę i zaczęła składać prześcieradło.

- Może mógłbym się przydać?

Zanim zdołała odmówić, usunął pozostałe spinacze. Nie była przyzwyczajona, żeby mężczyzna pomagał jej w pracy. W dodatku taki mężczyzna: wysoki, barczysty i, jak wszyscy MacKade'owie, diabelnie przystojny.

W przeciwieństwie do swoich zastępców, Devin nie nosił munduru, lecz dżinsy i jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi rękawami. Cassie nieraz widziała jego umięśnione ramiona. Po swoich wcześniejszych do-

świadczeniach miała powody bać się silnych mężczyzn. Ale Devin, mimo dużych rąk i potężnej postury, zachowywał się troskliwie i delikatnie. Pamiętała o tym, kiedy niechcący otarł się o nią, sięgając po kolejny spinacz.

Pamiętała, lecz mimo to cofnęła się. Woląla zachować większy dystans. Devin uśmiechnął się. Nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć. Podejrzewała, że łatwiej prowadziłoby się rozmowę, gdyby nie był taki... taki wyrazisty. Włosy miał czarne jak węgiel, oczy w kolorze szmaragdu, rysy twarzy jakby wyciosane ze skały, usta pięknie wykrojone, no i ten dołeczek w policzku. Od Devina MacKade'a trudno było oderwać wzrok.

Pachniał jak mężczyzna. Zнали się od dziecka, zawsze traktował ją uprzejmie, z sympatią, ale ilekroć byli sami, tylko we dwoje, czuła dziwny niepokój. Jak kot na widok buldoga.

- W tak ładny dzień aż szkoda wrzucać pranie do suszarki.

- Słucham? - Jego głos wyrwał ją z zadumy. - A tak, tak, masz rację. Lubię pościel suszoną na wietrze. - Na moment zamilkła. - Jedni goście wyjechali, kolejni przyjadą po południu. Na świąteczny weekend wszystkie pokoje są zarezerwowane.

- Będiesz zajęta...

- Tak, ale praca tu to przyjemność.

- Nie to, co w kawiarni Ed.

- Oj, nie. - Uśmiechnęła się zawstydzona. - Chociaż Ed była cudowna. Uwielbiam ją.

- Wciąż ma pretensje do Rafe'a, że cię podebrał. - Widząc zatroskanie w oczach Cassie, Devin potrząsnął głową. - Żartuję. Przecież znasz Ed. Ucieszyła się, że przyjęłaś pracę w pensjonacie... Jak dzieciaki?

- Dobrze. Świetnie. - Schyliła się po kosz z bielizną, ale Devin był szybszy. - Wkrótce wrócą ze szkoły.

- Mała Liga dziś nie trenuje?

- Nie. - Cassie skierowała się do domu. Wyprzedziwszy ją, Devin otworzył drzwi i odsunął się na bok, robiąc przejście. - Connor nie posiada się ze szczęścia, że go przyjęto do drużyny.

- Jest najlepszym miotaczem.

- Podobno. - Podeszła do kuchenki, żeby zaparzyć kawę. - Takie to dziwne. Wcześniej nie interesował się sportem, to znaczy dopóki... dopóki nie poznał Bryana.

- Mój bratanek to wspaniały chłopak.

Z głosu Devina biła taka duma, że Cassie obróciła się i przyjrzała mu uważnie.

- Tak o nim myślisz, prawda? Jako o bratanku? Mimo że między wami nie ma pokrewieństwa.

- Kiedy Jared poślubił Savannah, Bryan automatycznie został jego synem, czyli moim bratankiem. Rodzina to coś więcej niż więzy krwi.

- Fakt. A czasem więzy krwi oznaczają wyłącznie kłopoty.

- Matka znów ci zatruwa życie?

- Taka już jest, uparta i konserwatywna.

Z wiszącej szafki Cassie wyjęła filiżankę i talerzyk.

Kiedy Devin położył dłoń na jej ramieniu, podskoczyła, o mało nie wypuszczając naczyń z rąk. Zamierzał cofnąć się, ale zmienił decyzję i delikatnie, acz stanowczo obrócił Cassie do siebie.

- Nadal suszy ci głowę o Joego?

Chciała przełknąć ślinę, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Czowała na ramionach dotyk Devina. Zaciskał ręce, ale nie sprawiał jej bólu. Z jego oczu wycierał gniew. Próbowwała zachować spokój, nie opuszczać spojrzenia.

- Mama nie popiera rozwodów - powiedziała cicho.

- A popiera przemoc domową? Cassie nie wytrzymała; odwróciła wzrok.

- Przepraszam. - Odsunąwszy się, Devin zganił się w duchu.

- Wiem, że to trudno zrozumieć. Sama tego nie rozumiem. - Sięgnęła do ceramicznego pojemnika po ciasteczka. Rano upiekła dwa rodzaje: owsiane i z kawałkami czekolady. - Dla mamy nie liczy się, że jestem szczęśliwa. Że dzieci chodzą uśmiechnięte. Że Joe nie miał prawa się nade mną znęcać. Że zaatakował Regan. Dla niej liczy się to, że zламаłam przysięgę małżeńską i wystąpiłam o rozwód.

- Jesteś szczęśliwa, Cassie?

- Tak. - Postawiła talerzyk z ciastkami na stole, nalała kawy. - Jestem. A nie wierzyłam, że kiedykolwiek będę.

- Mam sam pić kawę? Nie dotrzymasz mi towarzystwa?

Przez chwilę stała zdezorientowana. Nie przyszło jej do głowy, że w środku dnia mogłaby usiąść z przyjacielem, napić się herbaty lub kawy, poplotkować. Przejmując sprawy w swoje ręce, Devin wyciągnął z szafki drugą filiżankę.

- Powiedz mi... - Zapraszającym gestem wskazał krzesło. - Jak śpi się gościom w domu, w którym straszy?

- Dobrze. Oczywiście wszyscy liczą na spotkanie z duchami. -

Podniosła filiżankę do ust, starając się nie myśleć o tym, że powinna zająć

się czymś pożytecznym. - Rafe mądrze postąpił, reklamując pensjonat jako miejsce nawiedzone przez duchy.

- Zawsze miał głowę do interesów.

- Jedni są lekko zestresowani, kiedy schodzą rano na śniadanie. Ale większość jest... bo ja wiem? Podekscytowana. Na ogół każdy słyszy trzaskanie drzwiami, podniesione głosy albo płacz.

- Płacz Abigail Barlow, nieszczęsnej kobiety z Południa, która poślubiła mordercę z Północy.

- Tak. Goście słyszą jej szloch, niektórzy czują zapach róż albo dziwne wibracje w powietrzu. Jedno małżeństwo opuściło pensjonat w środku nocy. - Cassie uśmiechnęła się szelmowsko. - Oboje byli przerażeni.

- Ale ty się nie boisz?

- Nie.

- A ją słyszałaś? Abigail?

- Wielokrotnie. Nie tylko w nocy. Czasem słyszę jej płacz, kiedy ścielę łóżka lub sprzątam. Kiedy indziej nic nie słyszę, ale wyczuwam jej obecność.

- I to ci nie przeszkadza?

- Nie. W pewnym sensie... - Cassie zawahała się. - W pewnym sensie jest mi bliska. Żal mi jej. Była uwięziona w małżeństwie z człowiekiem, który nią pogardzał. Kochała zaś innego...

- Kochała innego? - zdumiał się Devin. - Nic mi o tym nie wiadomo. Speszona, odstawiła filiżankę na stół.

- Bo... bo to sobie wymyśliłam - szepnęła. Ale nie wymyśliła; wiedziała, że tak było. - Emma lubi zaglądać do dawnej sypialni małżeńskiej.

- A Connor?

- Dla niego pobyt tu to jedna wielka przygoda. Oboje uwielbiają pensjonat. Kiedyś, jak Bryan u nas nocował, w trójkę zakradli się na dół. Kiedy spytałam, co robią, odparli, że polują na duchy.

- Moi bracia i ja spędziliśmy tu w dzieciństwie noc.

- Serio? Chociaż nie powinnam się dziwić. MacKade'owie i pusty dom, w którym straszy... Tak, to pasuje. - Pokiwała głową. - Też szukałeś duchów?

- Nie musiałem. Sama mi się ukazała. Abigail.

- Żartujesz! - Uśmiech zamarł na ustach Cassie.

- Oczywiście nie przyznałem się braciom. Wyśmiewaliby się ze mnie do końca życia. Ale naprawdę ją widziałem. Siedziała w salonie, w kominku strzelały płomienie. Czułem ich ciepło, czułem też intensywny zapach róż w wazonie na stoliku. Była piękna: jasnowłosa, o porcelanowej cerze i oczach w kolorze dymu. Miała na sobie błękitną jedwabną suknię. Słyszałem szelest materiału, kiedy poruszała się na kanapie. Haftowała. Pamiętam jej ręce, drobne i delikatne. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. W jej oczach lśniły łzy. A potem odezwała się...

- Odezwała się? - powtórzyła Cassie; po plecach przebiegł jej dreszcz. - Co powiedziała?

Devin cofnął się pamięcią do tamtego dnia.

- „Gdyby tylko”. Te dwa słowa. „Gdyby tylko”. I raptem znikła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Wmawiałem sobie, że to był sen. Ale

wiedziałem, że nie śniłem. Ciągle mam nadzieję, że kiedyś znów mi się ukaze.

- Więcej się nie pokazała?

- Nie. Jednak co jakiś czas słyszę jej płacz. Wtedy serce mi pęka.

- Znam to uczucie.

- Cass, byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominała o tym Rafe'owi.

Nie chcę, żeby się ze mnie nabijał.

- Nikomu nic nie powiem - obiecała, sięgając po ciastko. - Dlatego tu przyjeżdżasz? Żeby ją znów spotkać?

- Przyjeżdżam, żeby ciebie zobaczyć. - Ledwo to powiedział, zrozumiał, że nie powinien był się zdradzać. Cassie natychmiast się spięła.

- I twoje dzieci - dodał pośpiesznie. - A także po to, by skosztować pysznych wypieków.

Odprężyła się.

- Zrobię ci paczkę na wynos - rzekła, wstając od stołu.

Przytrzymał ją. Zastygła w bezruchu, zaskoczona. Popatrzyła na swoją rękę w jego wielkiej dłoni.

- Cass... - Z trudem powściągnął impuls, aby wziąć dziewczynę w ramiona, pogładzić po włosach, poznać smak jej ust.

Przez moment nie była w stanie złapać tchu. Starając się nie analizować własnych uczuć, zmusiła się, by podnieść wzrok i popatrzeć Devinowi w twarz.

Spodziewała się ujrzeć w jego oczach wyraz litości, lecz ujrzała coś innego, coś, czego nie potrafiła rozgryźć.

- Devin... - zaczęła i nagle odskoczyła. Na zewnątrz rozległ się tupot nóg i śmiechy. - Dzieci wróciły - dodała, kierując się do drzwi. - Tu

jestem! - zawołała. Gdyby tego nie zrobiła, dzieci poszłyby do mieszkania na górze.

- Mamusiu, dostałam złotą gwiazdkę za pracę domową! - Emma wpadła do kuchni w czerwonym dresie. - Dzień dobry. - Uśmiechnęła się nieśmiało do Devina.

- Dzień dobry, aniołku. Chodź, pochwal się tą gwiazdką.

Ściskając w ręku kartkę, dziewczynka podeszła do stołu.

- Ty też masz gwiazdkę - powiedziała.

- Ale nie tak ładną. - Devin pogładził przyklejoną do kartki złotą gwiazdkę. - Sama to wszystko zrobiłaś?

- Prawie. Mogę usiąść na twoich kolanach?

- No pewnie. - Przytulił małą do piersi. Ubóstwiał ją. Pocierając brodą jej czoło, uśmiechnął się do Connora. - Co słyhać, zuchu?

- W porządku - odparł chłopiec. Był blondynem, ale włosy miał o kilka odcieni ciemniejsze od siostry.

- W sobotę spisałeś się doskonale. Chłopiec zarumienił się.

- Dzięki. Ale najlepszy był Bryan. - Connor nigdy nie szczędził mu pochwał. - Widziałeś mecz, szeryfie?

- Tylko część. Ale widziałem, jak eliminujesz kolejnych pałkarzy.

- Connor dostał piątkę za test z historii - oznajmiła Emma. - A ten wstręciuch Bobby Lewis popchnął go i brzydko nazwał, kiedy czekaliśmy na szkolny autobus.

- Emmo... - Connor łypnął gniewnie na siostrę.

- Pewnie wstręciuch Bobby nie dostał piątki - rzekł Devin.

- Ale Bryan nieźle mu przyłożył - kontynuowała dziewczynka.

Widząc zawstydzoną minę Connora, Devin wręczył małej ciastko, żeby zająć jej uwagę czym innym.

- Jestem z was bardzo dumna. - Cassie ścisnęła syna za ramię. - Złota gwiazdka i piątka z historii. Pójdziemy później do Ed na lody. Taki sukces trzeba uczcić.

- Jaki tam sukces - skromnie mruknął chłopiec.

- Wielki. - Matka pocałowała go w czubek głowy.

- Ja w szkole zawsze miałem problemy z matematyką - zdradził Devin. - Bez względu na to, ile wkuwałem, dostawałem najwyżej trójkę.

Connor wbił wzrok w podłogę. Ciężko mu, że jest tak dobrym uczniem. Ojciec ciągle go wyzywał od lalusiów i kujonów.

Cassie otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale Devin powstrzymał ją wzrokiem.

- Za to z historii i angielskiego miałem same najlepsze stopnie.

Connor wytrzeszczył oczy.

- Serio, szeryfie?

- Tak. Pewnie dlatego, że uwielbiałem książki. Nadal lubię czytać.

- O rany! Naprawdę? - Connor wprost nie mógł uwierzyć, że facet, który wykonuje tak męski zawód, może mieć przyjemność z czytania.

- Przysięgam. - Devin uśmiechnął się. - Rafe był nogą z angielskiego, za to był świetny z matmy. Często sobie pomagaliśmy. Ja odrabiałem jego... - Zerknąwszy na Cassie, ugryzł się w język. - Ja sprawdzałem jego prace domowe z angielskiego, a on tłumaczył mi zadania z matematyki. W ten sposób obaj przechodziliśmy z klasy do klasy.

- Lubisz opowiadania? - spytał Connor. - Takie wymyślone opisy rzeczywistości?

- Jeszcze jak!

- Connor pisze opowiadania - oznajmiła Cassie, nie zwracając uwagi na speszoną minę syna.

- Słyszałem. Może kiedyś dasz mi jakieś do przeczytania? - Zanim chłopiec zareagował, zabrzączał pager Devina. - O, psiakość!

- O, psiakość - powtórzyła Emma, wpatrując się w niego z uwielbieniem.

- Będziesz tak mówić, to twoja mamusia zabroni mi do was przychodzić - rzekł Devin. Z Emmą na rękach podszedł do telefonu i zadzwonił na komisariat. Po chwili wrócił zrezygnowany. - Muszę jechać. Ktoś włamał się do magazynu Duffa i skradł kilka kartonów piwa.

- Zastrzelisz złodzieja? - spytała dziewczynka.

- Nie. Dasz mi całuska?

Dziewczynka posłusznie cmoknęła go w policzek. Devin postawił ją na podłogę.

- Dzięki za kawę, Cass.

- Odprowadzę cię do samochodu. A wy, dzieciaki, marsz na górę. Zaraz do was przyjdę. - Odczekała, aż zamkną drzwi i ruszą na piętro. - Chciałam ci podziękować - szepnęła do Devina. - Za to, co powiedziałeś Connorowi. Inne dzieci często wyśmiewają się z niego, że lubi szkołę.

- To mądry chłopak. Wkrótce będzie dumny ze swojej wiedzy.

- Lubi z tobą rozmawiać. Podziwia cię.

- A ja lubię jego. Wszystkich was lubię. - Poglądził Cassie po policzku. - Całą waszą trójkę - dodał. Pchnąwszy frontowe drzwi, wyszedł na zewnątrz.

Cassie tkwiła bez ruchu, odprowadzając go wzrokiem.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Czasami, kiedy dzieci już smacznie spały, a w pokojach gości gasły światła, Cassie krążyła po domu. Nigdy nie zapuszczała się na pierwsze piętro. Goście płacili za spokój, więc nie chciała go im zakłócać.

Jej mieszkanie zajmowało całe drugie piętro. Uwielbiała te pięknie urządzone pokoje, widok z okien, drewnianą podłogę, po której stapała bosymi nogami.

Po raz pierwszy w życiu czuła się wolna i bezpieczna. Cieszyła się z odmiany losu, ale również z bardziej prozaicznych rzeczy: z firanek w oknach, które sama wybrała i za które sama zapłaciła, ze stołu w kuchni, z sofy, z każdej lampy.

Czasem schodziła na parter; wędrowała między jadalnią, salonem a oranżerią pełną wspaniałych roślin. Zdarzało jej się przystanąć na moment w holu, usiąść na schodku. Radowała ją panująca w domu cisza i spokój.

Jedynym pomieszczeniem, którego unikała, była biblioteka. Wszystkie ściany były zastawione regałami z książkami, a wygodne skórzane fotele zapraszały do lektury, mimo to źle się tam czuła.

Szósty zmysł podpowiadał jej, że tu było królestwo Charlesa Barlowa. Męża Abigail. Pana i władcy. Człowieka, który z zimną krwią zastrzelił rannego żołnierza armii konfederackiej.

Niekiedy na schodach, w miejscu tego okrutnego zdarzenia, ni stąd, ni zowąd ogarniał ją smutek. Miała wrażenie, że słyszy strzał i krzyki służących, świadków bezsensownego, brutalnego mordu.

Kto jak kto, ale ona najlepiej wiedziała, że bezsensowna, brutalna przemoc istnieje na świecie.

Wiedziała też, że Abigail nadal mieszka w tym pięknym starym domu. Czasem słyszała jej płacz, czuła zapach róż, który pojawiał się nagle i równie nagle znikał. Czuła dziwną więź z tą kobietą. I instyktownie wiedziała, że Abigail kochała mężczyznę, który nie był jej mężem. Tęskniła za nim i opłakiwała go na równi z zamordowanym chłopcem. Lękała się, że już nigdy nie zazna prawdziwej miłości.

Cassie rozumiała ją. Dlatego tak dobrze czuła się w jej domu.

Minął prawie rok, odkąd zamieszkała z dziećmi w pensjonacie na wzgórzu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Regan i Rafe powierzyli jej tak odpowiedzialne zadanie. Pracowała z oddaniem, starając się udowodnić, że słusznie jej zaufali.

Lubiła to zajęcie, prowadzenie pensjonatu sprawiało jej przyjemność. Lubiła polerować antyczne meble, w wygodnej kuchni szykować gościom śniadania, podziwiać kwiaty w ogrodzie i w wazonach.

Miała wrażenie, że znalazła się w jednej z bajek, do których Savannah MacKade robiła ilustracje.

Dawniej, kładąc się spać, wiedziała, że zbudzą ją w nocy koszmary. Nękały ją od lat, a teraz znikły. Czasem jeszcze budziła się w środku nocy i z drżącym sercem nasłuchiwała kroków Joego, ale to zdarzało się coraz rzadziej.

Tu była bezpieczna. Tu jej nic nie groziło.

Otuliwszy się szlafrokiem, przysiadła na miękkim siedzisku pod oknem. Zaraz wróci na górę. Dzieci dobrze sypiały, odkąd wyprowadziły

się z dawnego domu, lecz mogły się obudzić i zacząć jej szukać. Chciała przez moment побыć sama, nacieszyć się swoim szczęściem.

Nareszcie ma własne mieszkanie, w którym dzieci mogą się beztrąsko bawić. Z radością obserwowała, jak z nieśmiałej, zahukanej istoty Emma przeobraża się w wesołą, trąjkoczącą dziewczynkę. Connorowi było ciężiej niż siostrze. Nawet nie zdawała sobie sprawy, ileż ten biedny chłopiec widział i słyszał. Ale powoli on też zrzucił skorupę, za którą się chronił.

Cieszyła się, że dzieci tak dobrze się czują w towarzystwie Devina, właściwie w towarzystwie wszystkich MacKade'ów. Z początku Emma lękała się każdego mężczyzny. A Connor kulił się, jakby oczekiwał kolejnej awantury.

Teraz nabrał śmiałości. Swobodnie rozmawiał z Devinem, Emma też. Prawdę rzekłszy, zazdrościła dzieciom, bo ona w rozmowie z Devinem wciąż czuła się spięta. Może to gwiazda szeryfa, którą nosi na piersi, tak ją deprymuje? O wiele łatwiej gadało się jej z pozostałymi braćmi MacKade'ami. Nie podskakiwała, kiedy któryś z nich kładł rękę na jej ramieniu.

Z Devinem było inaczej. Pewnie dlatego, że to jemu musiała o wszystkim opowiedzieć, wyznać, że Joe całymi latami się nad nią znęcał. Nawet ciosy zadawane przez pijanego męża nie sprawiły jej takiego bólu, jak tamta pamiętna wizyta na komisariacie.

Wiedziała, że Devin czuje się w obowiązku opiekować się nią i dziećmi. A swoje obowiązki zawsze wypełniał sumiennie. To niesamowite, ale piętnaście lat temu nikt by nie uwierzył, że niesforni,

nieznający moresu MacKade'owie wyrosną na poważnych, odpowiedzialnych ludzi.

Zwłaszcza Devin wzbudzał powszechny podziw i szacunek. Często samym spojrzeniem potrafił przerwać bójkę w barze. Dopiero gdy to nie pomagało, stosował inne metody.

Przycisnąwszy policzek do chłodnej szyby, Cassie zamknęła oczy. Musi się nauczyć, aby nie reagować tak nerwowo na jego bliskość. Od roku ciężko nad sobą pracowała; starała się pozbyć nieśmiałości, która nie przystawała osobie zarządzającej pensjonatem. O dziwo, to nawet się jej udało. Nabrała pewności siebie, wiary we własne kompetencje.

Musi zmienić swoje podejście do Devina. Znają się od lat, kiedyś się przyjaźnili. Nawet się w nim pod-kochiwała. Przestanie myśleć, że Devin jest szeryfem, silnym facetem. Że mógłby wyrządzić jej krzywdę, gdyby się rozgniewał.

Musi inaczej na niego spojrzeć. Pamiętać, jak delikatnie głaskał Emmę po głowie, jak uczył Connora trzymać kij bejsbolowy.

I jak ją pogładził czule po policzku.

Usiadła wygodniej. Wyobraziła sobie, że Devin stoi obok, uśmiecha się, wyciąga do niej rękę... Nie podskoczyła, nie cofnęła się. No proszę, terapia skutkuje.

Devin wyciąga rękę, zgarniają w ramiona. Ona go nie odpycha. Drży z podniecenia. Jest taki duży, taki silny, mógłby ją złamać wpół. Ale dotyk ma delikatny. Wodzi dłońmi po jej twarzy, szyi, plecach.

Przywiera ustami do jej ust. Ona nie protestuje. Poddaje się pieszczotom, nawet wtedy, gdy on zaczyna całować ją goręcej i kładzie rękę na jej piersiach.

Jest jej dobrze. Z trudem oddycha, lecz odwzajemnia pocałunek. Nic z tego nie rozumie. Powinna się sprzeciwić, ale nie chce. Coraz bardziej go pragnie. Mruczy z rozkoszy, łągnie do niego, prowokuje...

Podskoczyła jak oparzona, gwałtownie wciągając w płuca powietrze. Na czole miała kropelki potu, w głowie mętlik. Skóra ją piekła i czuła dziwne mrowienie na całym ciele i w środku. Już zapomniała, jak to jest.

Zawstydzona, ściągnęła mocniej poły szlafroka. Co jej odbiło? Jak mogła dopuścić do takich fantazji, zwłaszcza po tym, gdy Devin był dla niej taki dobry?

Siedziała zdumiona, skonsternowana. Przecież nawet nie lubiła seksu. Po nocy poślubnej zaczęła się bać zbliżeń; później nauczyła się zaciskać zęby i jakoś znosić te chwile, bo nie miała innego wyjścia. Ta sfera życia nigdy nie sprawiała jej przyjemności. Już dawno się z tym pogodziła.

Wstała. Nogi miała jak z waty. Wzięła głęboki oddech. W powietrzu unosił się intensywny zapach róż.

Czyli nie jestem tu sama, pomyślała. Obecność Abigail uspokoiła ją. Po chwili Cassie ruszyła na górę. Zajrzy do dzieci, a potem położy się spać.

Devin pracował od samego rana. Paskudna papierkowa robota, pomyślał, stukając w klawisze. Pisał raport w sprawie włamania do baru. Na szczęście bez problemu wytropił trzech nastoletnich złodziejasków, którzy zakradli się do magazynu Duffa po kilka kartonów piwa. Potem jeszcze pojechał do wypadku na Brook Lane.

Devin podrapał się po brodzie. Został jeszcze raport dla burmistrza, dotyczący bezpieczeństwa widzów podczas parady.

Kiedy się z tym upora, może wyskoczy gdzieś na lunch.

Jego zastępca, Donnie Banks, siedział po drugiej stronie pokoju i porządkował mandaty. Jak zwykle w rytm muzyki, która rozlegała się w jego głowie, bębnił palcami o blat biurka.

Dzień był ciepły, okna szeroko otwarte. Budżet nie przewidywał możliwości zainstalowania w komisariacie klimatyzacji. Z zewnątrz dolatywał szum ruchu ulicznego, czasem pisk hamulców na światłach przy Main i Antietam.

Devin westchnął ciężko. Musiał jeszcze przejrzeć pocztę. Należało to do sekretarki, ale Crystal Abbott była na urlopie macierzyńskim, a jeszcze nie znalazł nikogo na jej miejsce.

Trudno, nie narzekał. Zresztą nudna papierkowa robota miała swoje plusy - koła nerwy. W miasteczku panował spokój. I bardzo dobrze, pomyślał Devin. Na tym polegało jego zadanie: na pilnowaniu ładu i porządku. Interweniował podczas bójek, wypisywał mandaty na naruszanie przepisów drogowych, zajmował się drobnymi kradzieżami.

Niekiedy sprawy przybierały gwałtowny obrót, ale odkąd siedem lat temu rozpoczął pracę w policji, tylko dwukrotnie musiał sięgnąć po broń. Ani razu z niej nie strzelił.

Na ogół wystarczył mu spryt, rozsądek i dar przekonywania. Kiedy to zawodziło, parę ciosów rozwiązywało problem.

Zabrzączał telefon. Devin z nadzieją spojrział na zastępcę, lecz ten dalej bębnił palcami o blat. Westchnąwszy, podniósł słuchawkę. Próbował uspokoić rozhisteryzowaną kobietę, która twierdziła, że sąsiadka specjalnie puszcza psa do jej ogrodu, aby ten wśród petunii załatwiał swoje potrzeby, kiedy drzwi się otworzyły i do gabinetu wparował Jared.

- Tak, proszę pani. Nie, proszę pani. - Devin pokręcił głową, wskazał bratu krzesło. - Rozmawiała pani z sąsiadką, żeby pilnowała swojego pupilka?

Odsunął słuchawkę, żeby nie ogłuchnąć od krzyku kobiety na drugim końcu linii. Jared usiadł na drewnianym krześle i wyciągnął przed siebie nogi.

- Tak, proszę pani. Wierzę, że pani bardzo dba o swoje kwiatki. Nie, proszę tego nie robić. Używanie broni palnej w mieście jest prawnie zakazane. Błagam, niech pani nie strzela do psa. Zaraz kogoś do pani przyślę. Tak, proszę pani. Obiecuję, że wspólnie rozwiążemy problem. A teraz proszę odłożyć strzelbę. Tak, wszystko sobie zanotowałem. Proszę czekać, zaraz ktoś przyjedzie.

Odłożywszy słuchawkę, wyrwał kartkę z notesu.

- Donnie, jedź na Oak Leaf. I załatw tę sprawę.

- Mamy sytuację? - spytał z błyskiem w oczach Donnie.

- Owszem. Pudel zrobił kupę na petunie. Wyjaśnij właścicielce czworonoga, że psów nie wolno puszczać samopas. I dopilnuj, żeby krewkie staruszki się nie pobiły.

- Robi się! - Donnie ochoczo poderwał się od biurka, chwycił kartkę i wybiegł na zewnątrz.

- Pudle, petunie... - Jared rozparł się wygodnie. - Widzę, że jesteś okropnie zajęty.

- Żebyś wiedział. - Devin podszedł do ekspresu i nalał dwa kubki kawy. - Wcześniej „mieliśmy sytuację” w barze Duffa - dodał, parodiując swojego młodego zastępcę. - Z magazynu zniknęły trzy kartony piwa.

- O rany!

- Dwa odzyskałem. - Podawszy bratu kubek, Devin przysiadł na krawędzi biurka. - Trzeci został skonsumowany przez trzech szesnastolatków.

- Wpadłeś na ich trop?

- Nie musiałem wzywać na pomoc Sherlocka Holmesa. Chłopaki pochwalili się kumplom, potem ruszyli z piwem na pole nieopodal boiska i urządzili sobie balangę. Kiedy ich dopadłem, rzygali na potęgę. Idioci. Po co im to było? Mają zarzut o kradzież i pijaństwo, czeka ich spotkanie z kuratorem...

- Pamiętam, że myśmy też sobie urządzili balangę w lesie.

- Ale piwa nie ukradliśmy. Owszem, włamaliśmy się do baru, ale zostawiliśmy Duffowi forszę.

- To prawda. Chryste, aleśmy się wtedy ubzdryngolili!

- Pochorowaliśmy się. A kiedy doczołgaliśmy się do domu, mama za karę kazała nam do wieczora przerzucać nawóz. Myślałem, że umrę.

- To były czasy. - Jared uśmiechnął się. Mimo eleganckiego garnituru, koszuli z krawatem i drogich skórzanych butów, nie sposób go było z nikim pomylić. Stuprocentowy MacKade. Podobnie jak bracia, miał czarne włosy, zielone oczy i łobuzerski uśmiech. Może częściej od braci chodził do fryzjera, może ubierał się w innych sklepach, ale poza tym niczym się od nich nie różnił.

- Co robisz w miasteczku?

- Mam parę spraw do załatwienia - odparł wymijająco. Nie lubił od razu przechodzić do sedna. - Layla zaczyna ząbkować.

- Tak? Czyli daje wam popalić?

- Już nie pamiętam, kiedy przespałem całą noc. Ale to mi nie przeszkadza. Wiesz, że Bryan zmienia małej pieluchy? Chłopak uwielbia siostrzyczkę. Savannah twierdzi, że po powrocie ze szkoły natychmiast do niej leci.

- Szczęściarz z ciebie.

- Nie musisz mi mówić. Swoją drogą też powinienes się ożenić.

Małżeństwo to całkiem fajna rzecz.

- Wystarczy mi, że tobie i Rafe'owi się udało. Widziałem go dziś rano. Z Natem w nosidełku szedł do sklepu z narzędziami. Sprawiał wrażenie szczęśliwego tatuśka.

- Powiedziałeś mu to?

- Żeby na oczach dziecka dał mi w pysk?

- Słusznie. - Popijając kawę, Jared rozejrzał się po gabinecie. Stały tu tylko najpotrzebniejsze przedmioty: krzesła, biurka, ekspres do kawy, metalowy segregator. Na suficie wiatrak obracający się z piskiem.

- Wiesz, czego ci tu brakuje? Psa. Ethel lada dzień się oszczeni.

Devin uniósł brew. Najwyraźniej Fred i Ethel, golden retrievery Shane'a, wreszcie odkryły, co samiec i suczka mogą robić oprócz uganiania się za królikami.

- Jasne. Przydałby się ktoś, kto by sikał na podłogę i zżerał dokumenty.

- Przydałby się ktoś, kto dotrzymywałby ci towarzystwa. Wyobraź sobie, jak jedziecie razem po mieście, ty za kierownicą, a na siedzeniu pasażera piękne psisko. Mógłbyś go mianować swoim zastępcą.

Devin odstawił kubek. Na myśl o psie-zastępcy pokręcił z uśmiechem głową.

- Zastanowię się. A teraz gadaj: co cię sprowadza?
- Byłem rano w więzieniu.
- Któryś z twoich klientów dostał zakaz oglądania telewizji?
- Ty ludzi aresztujesz - rzekł Jared, splatając ręce.
- Ja ich reprezentuję. Tak działa prawo.
- Jakże mógłbym zapomnieć! Więc byłeś w więzieniu... ?
- I spotkałem naczelnika. Facet wie, że w sprawie rozwodowej reprezentowałem Cassie, dlatego uznał, że zainteresuje mnie pewna wiadomość.

Devin zmrużył oczy.

- Dotycząca Dolina?
- Owszem, dotycząca Dolina.
- Dopiero za półtora roku będzie mógł się ubiegać o zwolnienie warunkowe.
- Zgadza się - potwierdził Jared. - Jak wiesz, Joe miał trudności z przystosowaniem się, sprawiał strażnikom duże problemy wychowawcze, ale obecnie jest wzorowym więźniem.

- Akurat - burknął Devin.

Jared doskonale rozumiał gorycz w głosie brata.

- Obaj wiemy, że to drań, jakich mało. Ale spisuje się wzorowo. Wykombinował sobie, co mu się opłaca, a co nie.

- Nie dostanie zgody na zwolnienie warunkowe. Przynajmniej nie za pierwszym razem. Już ja tego dopilnuję.

- W porządku, ale na razie chodzi o coś całkiem innego. Został przydzielony do programu „Więźniowie pracują”.

- Co takiego?

- Zaczyna w tym tygodniu. Sprzeciwiłem się. Tłumaczyłem naczelnikowi, że facet latami bił żonę, jest agresywny, że od Cassie będzie go dzieliło zaledwie kilka kilometrów. - Jared rozłożył bezradnie ręce. - Wszystko na nic. Naczelnik wyjaśnił, że więźniowie przydzieleni do pracy poza terenem więzienia będą pod nadzorem. Że takie programy są potrzebne; ktoś musi dbać o parki, sprzątać chodniki, naprawiać jezdnie, a więźniowie to tania siła robocza. I że praca społeczna to dobra metoda resocjalizacji ludzi, którzy zeszli na złą drogę.

- A jeśli da dyla? - Devin nie posiadał się z wściekłości. Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. - Co najmniej dwa, trzy razy w roku więźniowie zwiewają. Zeszłej jesieni sam odprowadziłem do paki takiego uciekiniera.

- Owszem, to się zdarza - przyznał Jared. - Ale zwykle zostają schwytni. W więziennych drelichach rzucają się w oczy, poza tym większość z nich nie zna okolicy.

- Dolin zna.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić. Stanę na głowie, żeby wykluczyli go z programu „Więźniowie pracują”. Ale nie będzie łatwo, zwłaszcza że matka Cassie śle do naczelnika listy w obronie zięcia.

- To zaraza. - Devin zacisnął pięści. - Przecież wie, co zrobił jej córce. Biedna Cassie powoli zaczyna odżywać. Wolę nie myśleć, jak zareaguje na tę informację.

- Właśnie jadę ją powiadomić.

- Nie, ja jej powiem. A ty postaraj się, żeby Dolin siedział za kratkami dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Na szosie pracuje kilkusobowa ekipa sprzątająca. Między innymi Joe.

- Super. - Devin poderwał się z miejsca. - Po prostu super.

Pomarańczowe kamizelki przesuwają się wzdłuż szosy. Devin zjechał na pobocze. Stał za ciężarówką, do której wrzucano torby ze śmieciami.

Wysiadł, oparł się o maskę i w milczeniu obserwował Dolina.

Mimo szesnastu miesięcy w zamknięciu Dolin nie wydawał się mniejszy. Wciąż był potężnym, barczystym facetem. Przed aresztowaniem powoli przeistaczał się w grubasa. Najwyraźniej w więzieniu sporo ćwiczył, zamieniając tłuszcz w mięśnie.

Wraz z innym więźniem pracował po drugiej stronie szosy; z przydrożnego rowu wybierali suche liście i śmiecie.

Devin czekał cierpliwie. Napelniwszy wór, Joe wyprostował się, przerzucił wór przez ramię i obrócił się ku ciężarówce.

Ich spojrzenia się spotkały. Ciekawe, przemknęło Devinowi przez myśl, co by naczelnik powiedział o resocjalizacji, gdyby zobaczył tę nienawiść w oczach swojego podopiecznego. I zabarwiony goryczą triumfalny uśmiech na jego twarzy.

Ponieważ nie ufał samemu sobie, Devin nie ruszył się z miejsca. Wiedział, że jeśli zbliży się do Dolina, nie zdoła powściągnąć furii. Gwiazda na piersi do czegoś go jednak zobowiązywała.

Gdyby był cywilem, nie wahałby się chwili. Nie bacząc na konsekwencje, pięściami zmazałby wredny uśmieszek z gęby łobuza. Nie miałby litości nad draniem, który czerpie przyjemność z bicia żony.

Ale nie był cywilem.

- Dzień dobry, szeryfie. - Jeden ze strażników podszedł do radiowozu. - Coś się stało?

- To zależy. - Choć od dwóch miesięcy Devin starał się rzucić palenie, wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Po chwili wydmuchał dym. - Widzisz tego gościa? Tego dużego?

- To Dolin.

- Zapamiętaj jego nazwisko. - Devin zerknął na plakietkę z nazwiskiem swego rozmówcy. - A ja zapamiętam twoje. Jeśli go stracisz z oczu, Richardson, nawet na moment, gorzko tego pożałujesz.

- Hej, szeryfie, przecież...

- Drań ma się trzymać z dala od mojego miasteczka. A ty, Richardson, masz tego dopilnować. Jasne? - Wsiadł do samochodu.

Kątem oka Joe patrzył, jak radiowóz znika w oddali. Nie tracąc czasu, zabrał się do roboty. Wcześniej jednak poklepał się po kieszeni, w której schował ostatni list od teściowej.

Na pamięć znał jego treść. Mamuśka na bieżąco informowała go o tym, co się dzieje w życiu jej córki. Zdzira już nie pracowała w kawiarni Ed, lecz zarządzała pensjonatem MacKade'a. Cholerni MacKade'owie. Załatwi ich. Już oni go popamiętają!

Ale najpierw zajmie się Cassie.

Myślała, że się go pozbędzie. Że wsadzi go za kratki, wystąpi o rozwód i zacznie nowe życie. Myliła się.

Listy od teściowej bardzo mu pomagały. Oczywiście było w nich mnóstwo moralizatorstwa, którego nie cierpiał. Nie znosił starego babsztyla, ale z listów się cieszył. Odpisywał sumiennie raz na tydzień; opowiadał o swoim cierpieniu, o tym, że się nawrócił i jak bardzo pragnie

połączyć się z rodziną. Pilnował, żeby dopytywać o dzieci, pisać, jak strasznie za nimi tęskni.

Rzecz jasna, dzieci miał w nosie. Głupie, płaczliwe bachory. Pragnął wyłącznie Cassie. Była jego żoną, na dobre i złe, dopóki śmierć ich nie rozdzieli. Wkrótce przypomni jej słowa małżeńskiej przysięgi.

Wrzucił kolejny wór do ciężarówki.

Tak, już niedługo będą razem. Jak za dawnych dobrych czasów. I odpłaci suce z nawiązką za każdą godzinę, jaką przez nią spędził w pace.

Zaciskając pięści, wyobraził sobie swój powrót do domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie pojechał od razu do Cassie, ale do więzienia, by jeszcze dobitniej uzmysłowić naczelnikowi, jakim człowiekiem jest Joe Dolin. Starając się zachować spokój, w sposób jasny i przejrzysty przedstawiał fakty.

Naczelnik zbijał jego argumenty. Joe Dolin był wzorowym więźniem; wszystko wskazywało, że jego resocjalizacja zakończy się pełnym sukcesem. Ciężko pracował, przestrzegał obowiązujących w więzieniu zasad, regularnie modlił się w kaplicy. Wielokrotnie wyrażał żal z powodu tego, co uczynił, a także uczęszczał na terapię dla alkoholików.

Pożegnawszy się z naczelnikiem, Devin zrozumiał, że cała ta resocjalizacja to nic innego jak mydlenie oczu. Zwyczajna kpina.

Jedyne, co mu pozostało, to spróbować pocieszyć Cassie. Znalazł ją w salonie. Klęcząc, polerowała rzeźbioną nogę stołu, nucąc pod nosem. Zajęta pracą, nie usłyszała jego kroków. Miała na sobie spodnie, bluzkę i biały fartuszek. Włosy odgarnęła za uszy, żeby jej nie wpadały do oczu. Chyba je zapuszczała, bo sięgały niemal do ramion.

- Cass?

Poderwała głowę, o mało nie nabijając sobie guza o blat. Oblała się rumieńcem.

- Devin? - spytała, wykręcając w dłoniach ścierkę. Od rana odtwarzała w myślach wczorajszy sen o tym, jak Devin ją przytula, a potem...

Postąpił krok naprzód, przyglądając się jej uważnie.

- Co ci jest? Co się stało?

- Nic. - Z trudem powstrzymała nerwowy chichot.

- Absolutnie nic. Po prostu myślami byłam daleko stąd. - Nie przyznała się gdzie. - Zaskoczyłeś mnie, to wszystko.

Zmrużył oczy.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Przysięgam. - Podniosła się z kolan.

- Małżeństwo, które przyjechało rano, wybrało się na zwiedzanie miejsca, gdzie rozegrała się słynna bitwa. Chcą zostać jeszcze jedną noc. Mieszkają w Karolinie Północnej. On ma bzika na punkcie wojny secesyjnej. Sam tak powiedział. Dałam im ulotki i oprowadziłam po domu. Marzyli o tym, żeby go obejrzeć. Strasznie ich zaintrygowały informacje o naszych duchach, wiesz?

Pokiwał głową. Nic z tego nie rozumiał. Cassie trajkotała jak najęta, a zwykle człowiek musiał się natrudzić, żeby wyciągnąć z niej kilka zdań.

- Napijesz się kawy? Należę ci... - Zanim odpowiedział, ruszyła do drzwi. - Są też ciasteczka. Upiekłam dziś rano...

Ujął ją za łokieć. Zamarła bez ruchu niczym sarna oślepią blaskiem reflektorów.

- Cass, wykazuj. Odpręż się.

- Jestem odprężona. - Czowała żar bijący z jego ręki. Miała wrażenie, że ciepło przenika ją na wskroś.

- Cała dygoczesz. Weź głęboki oddech. A najlepiej kilka.

Zrobiła posłusznie, co kazał. Powoli zaczęła się uspokajać.

- Naprawdę nic mi nie jest - rzekła.

- Dobra, napijmy się kawy. - W tym momencie rozległo się brzęczenie pagera. - Psiakrew! - Podeszedłszy do telefonu, połączył się z zastępcą. - Tu MacKade. O co chodzi, Donnie?

Przycisnął palce do oczu. Dlaczego nagle ból rozsadza mu czaszkę? I dlaczego Cassie przygląda mu się, jakby był dwugłowym potworem?

- Teraz nie mogę, Donnie. Sam musisz to załatwić. Tak, sam. Nie wiem, wsadź tego cholernego pudła do aresztu razem z tymi dwiema kretynkami, ale... -urwał.

Do diabła, powinien uważać, co mówi. Zwłaszcza że Donnie sumiennie wypełniał wszystkie polecenia.

- Zapomnij o tym, co przed chwilą powiedziałem - rzekł. - Bądź uprzejmy, ale stanowczy. Właścicielkę pudła ukaż mandatem. Zaproponuj, żeby ogrodziła teren, na który wypuszcza psa. Prawo zabrania wyprawiania psów bez smyczy; chodzi zarówno o bezpieczeństwo zwierząt, jak i ludzi. Szczeniak może wybiec na jezdnię, wpaść pod samochód... Kiedy z nią skończysz, idź do domu obok, do kobiety, która dzwoniła ze skargą. Wy tłumacz, że rozmawiałeś z właścicielką psa, i pozachwycaj się petuniami. A potem wspomnij o ogrodzeniu, że warto je postawić. Powodzenia, Donnie.

Odłożył słuchawkę. Kiedy się obrócił, zobaczył uśmiechniętą twarz Cassie.

- Mamy drobny kłopot z pieskiem... - wyjaśnił.

- To niesamowite. Umiesz rozwiązać każdy problem...

- O tak, prawdziwy ze mnie Salomon. - Devin wziął głęboki oddech.

- Usiądź, Cassie. Musimy porozmawiać.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Masz niedobre wieści...

- Usiądź. - W trakcie rozmowy chciał ją trzymać za rękę, więc wybrał małą sofę, na której zawsze czuł się jak niezdarny olbrzym. - Na razie nie ma powodu do niepokoju...

- Chodzi o Joego? Zwolnili go?

- Nie. - Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Jeszcze długo będzie tkwił za kratkami.

- Chce zobaczyć się z dziećmi? - Cassie zbladła. - O Boże, Devin. On...

- Nie. Uspokój się. - Uścisnął jej dłoń. - Sprawa dotyczy czegoś innego. Programu „Więźniowie pracują”. Wiesz, na czym to polega, prawda?

- Tak. Wypuszcza się więźniów na kilka godzin dziennie, żeby wykonywali prace społecznie użyteczne. - Na moment zamilkła. - Więc Joe... ?

- Pracuje z ekipą sprzątającą drogi. Ale nie ma powodu do obaw. Prosiłem naczelnika, żeby mnie dokładnie informowano, gdzie grupa przebywa w danym dniu. Będę przekazywał ci te informacje. W ten sposób nie wpadniesz w popłoch, jeśli nagle na drodze ujrzysz Joego.

- Dobrze. - Ogarnął ją strach, starała się jednak go nie okazywać. - Będzie pod nadzorem, prawda?

- Oczywiście - potwierdził Devin. Słowem nie zająknął się o ucieczkach więźniów. - Niezależnie od tego kilka razy dziennie przejeżdża obok miejsca pracy więźniów. Albo ja, albo któryś z moich ludzi. Na wszelki wypadek będziemy zaglądać również do pensjonatu.

A także do szkoły, ale tego na głos nie powiedział, żeby nie straszyc Cassie.

- Czyli Joe wciąż jest w więzieniu - powiedziała Cassie, jakby chciała sama siebie uspokoić. - A kiedy wychodzi na zewnątrz, pilnują go strażnicy.

- Zgadza się. Jared chce złożyć oficjalny protest, ale... - Devin westchnął głośno. - Twojej matce zależy, żeby Joemu dano szansę pracy poza terenem więzienia. Co rusz pisze w tej sprawie do naczelnika.

- Koresponduje też z Joem. Pokazywała mi jego listy. - Cassie również westchnęła. - To niczego nie zmienia. Nie wrócę do niego. Nie pozwolę, żeby niszczył życie mnie i dzieciom. Teraz już nic nam nie grozi.

- Nie, nic wam nie grozi. - Wyciągnawszy rękę, odgarnął Cassie włosy za uszy. Ucieszył się, że nie podskoczyła nerwowo. - Przepraszam, że cię wystraszyłem.

- E, bez przesady.

- Posłuchaj. Jeśli kiedykolwiek będziesz sama i poczujesz lęk, to bez względu na porę dzwoń do mnie. I tak większość nocy spędzam na komisariacie, więc jazda do pensjonatu zajmie mi najwyżej pięć minut.

- Ja sama? Tu? - Kiedy uniósł pytająco brew, uśmiechnęła się. - Czujesz zapach?

- Tak, róż. - Pokiwał głową. - Ale może byłbym lepszym kompanem niż duchy. Pamiętaj: dzwoń.

- Dobrze - obiecała, po czym zebrała się na odwagę. Bądź co bądź był jej przyjacielem. - Dziękuję, Devin - szepnęła. Przyłożywszy rękę do jego policzka, pocałowała go lekko w usta.

Chociaż było to tylko muśnięcie, Devinem wstrząsnął dreszcz. Od tak dawna o tym marzył! Nie zdawał sobie sprawy, że odruchowo zacisnął dłoń, niemal miażdżąc Cassie palce.

Nie wytrzymał. Zgarnął ją w ramiona i przywarł ustami do jej ust. Jej gorące, wilgotne wargi doprowadzały go do szaleństwa.

Serce waliło mu jak opętane, tłukło o żebra niczym fale o skalisty brzeg. Świat wirował mu przed oczami. Cassie... spełnienie jego marzeń. Krucha, słodka, miękka; całe życie jej pragnął.

Po chwili uświadomił sobie, że Cassie siedzi nieruchomo, jak skamieniała. Przerażony swoim zachowaniem, opuścił ramiona i czym prędzej poderwał się z sofy.

Patrzyła na niego bez słowa, z ręką przytkniętą do ust.

- Przepraszam. - Krew odpłynęła mu z twarzy. - Nie chciałem... Po prostu mnie zaskoczyłaś i... - Nie tłumacz się, nie masz nic na swoje usprawiedliwienie, zganił się w duchu. - To się nie powinno było zdarzyć. Nie wiem, co mnie opętało. Przepraszam, muszę już iść.

- Devin...

- Muszę iść - powtórzył, cofając się do holu. Idąc tyłem, wpadł na stolik. Jeszcze tego brakowało, żeby połamał meble.

Cassie przyłożyła dłoń do czoła. Nie pobiegła za Devinem, bo nie była w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Nerwowo zastanawiała się nad tym, co zaszło przed chwilą. Pocałowała Devina, bo chciała pokonać własne zażenowanie. Zresztą był to niewinny, przyjacielski całus.

Rafe ciągle ją cmokał. Ilekroć wpadał po coś do pensjonatu, całował ją na powitanie. Tak jak ona pocałowała Devina: lekko, niewinnie. Z

początku, nieprzyzwyczajona do czułych gestów, sztywniała, ale z czasem przywykła.

Jednak pocałunek Devina zdecydowanie różnił się od buziaków Rafe'a. Ponownie przysunęła palce do ust. Wciąż czuła żar. Jeszcze żaden mężczyzna jej tak nie całował. Jakby od tego zależało jego życie. Nigdy też nie myślała, że Devin...

Nieprawda. Opuściła drżącą rękę na kolana. Przecież zaledwie wczoraj snuła fantazje z Devinem w roli głównej. Czyżby wszystko sobie wyśniła?

Serce jej łomotało, raz po raz zalewała ją fala gorąca. Była tak zdumiona zachowaniem Devina, kiedy wziął ją w ramiona, że dosłownie struchlała.

Ile trwał pocałunek? Pół minuty? Minutę? Nie potrafiła tego ocenić, lecz przez ten czas tyle się stało! Nadal nie mogła się uspokoić.

Przeprosił ją. Było mu przykro z powodu tego, co zrobił. Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. No tak, nie zamierzał się na nią rzucić i całować. To był odruch, spontaniczna reakcja. Kiedy zorientował się, że ona nie odwzajemnia pocałunku, puścił ją i przeprosił.

To tylko pocałunek, powtarzała w myśli. Do diabła, powinna była wzruszyć ramionami, zapewnić, że nic się nie stało. Tak postąpiłaby każda normalna kobieta. W głębi serca pragnęła, żeby wrócił. I znów ją pocałował.

Powzięła decyzję: weźmie się w garść i będzie udawać, że wszystko jest w porządku. Że nic się nie stało. Kiedy następnym razem się spotkają, uśmiechnie się do Devina, zagada. Nie przeżyje, jeśli dzisiejszy incydent ich poróżni. I nie będą się dalej przyjaźnić.

Wróciła do polerowania stolika. O Joem nawet przez moment nie pomyślała.

Do wieczora i cały następny dzień Devin harował jak wół, doprowadzając swoich zastępców do białej gorączki, potem pojechał na farmę i posprzeczał się z młodszym bratem.

Wybrał się na farmę, żeby pomóc Shane'owi. Czas zebrać plony, krowy się cielą. Jego pomoc okazała się przydatna, gdy u jednej zaczęła się trudny poród.

Kiedy było po wszystkim i cielak stał, chwiejąc się na cienkich nóżkach, Devin w niczym nie przypominał szeryfa. W podartej koszuli, z posiniaczoną ręką, którą pomagał maluchowi wyjść na świat, wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

Shane, równie brudny i spocony, pogwizdywał wesoło, robiąc zastrzyk przestraszonemu cielakowi.

- Nie przesadzaj, malutka. Przecież to nie boli.

Devin popatrzył zniesmaczony na brata. Obaj potwornie się zmachali, a to jeszcze nie koniec. Trzeba wyczyścić boks, rozłożyć świeżą słomę i przez kilka godzin uważnie obserwować cielę.

A Shane klęczał na brudnej ziemi wesoły jak szczygiełek.

Od jakiegoś czasu zapuszczał włosy. Dziś związał je w kucyk, który wystawał spod zakurzonej czapki. Najmłodszy z MacKade'ów wielokrotnie obrywał od braci. Miał zielone oczy, a kiedy się uśmiechał, w jego policzku ukazywał się charakterystyczny dołeczek. Jak wszyscy MacKade'owie, był piekielnie przystojny.

Słyszając, jak brat pogwizduje radośnie, Devin miał ochotę mu przyłożyć.

- Z czego się tak cieszysz?

- Zobacz, jaki fajny, zdrowy cielak. - Mimo protestów zwierzęcia Shane oglądał jego oczy i uszy. - Mamuśka też się dobrze czuje. Więc dlaczego miałbym się smucić?

- O mało mi paskuda nie złamała ręki.

- To nie jej wina. Proponowałem, że kucnę z tamtej strony. Ale nalegałeś.

- Chryste, ten boks wygląda jak pobożowisko.

- A czego się spodziewałeś? - Dźwignąwszy się na nogi, Shane wytarł brudne ręce o równie brudne dżinsy. - Liczyłem na to, że ciężka praca fizyczna pomoże ci odzyskać humor. - Uśmiechnął się. - Kłopoty z kobietami, co?

- Nie mam kłopotów z kobietami.

- Bo nie masz żadnych kobiet. To nienormalne, Dev. Ale wiesz co? Chętnie ci odstąpię jedną ze swoich.

W odpowiedzi Devin obrzucił brata stekiem wyzwisk, po czym podszedł do zlewu umyć ręce.

- Mówię serio - ciągnął niezrażony Shane. - Wiesz, kto by do ciebie pasował? Frannie Spader. Ma burzę rudych włosów i czarujący uśmiech. Oraz ciało, na widok którego człowiek ma ochotę zawyć.

- Sam sobie znajdę kobietę. Nie potrzebuję odrzutów.

- Chciałem ci tylko zaoferować braterską pomoc. - Shane sięgnął po mydło. - Choć gdybyś sam ciągle nie występował z braterską pomocą, mógłbyś poderwać małą Cassie...

Shane, który nie spodziewał się ciosu, wylądował na drugim końcu boksu. Potrząsnął głową i potarł obolały policzek. Zanim zdołał spytać, co za diabeł wstąpił w brata, Devin ponownie rzucił się do ataku.

Byli podobnej budowy, znali swoje mocne i słabe strony, wiedzieli, jak który walczy. Tarzali się po brudnej kamiennej posadzce. W oborze rozbrzmiewały odgłosy walki, plaśnięcia, sapanie, pomruki, przekleństwa.

- Och, na miłość boską!

Przepojony niesmakiem kobiecey głos nie zrobił na braciach większego wrażenia. Shane na moment się zdekoncentrował, co przypłacił rozbitą wargą, ale szybko zrewanżował się, rozkwaszając Devinowi nos.

- Kochanie, oni dopiero zaczęli - oznajmił męski głos.

- Proszę cię, Rafe. - Wzdychając ze zniecierpliwieniem, Regan przytuliła policzek do główki dziecka, które opierała sobie na biodrze. - Rozdziel ich.

- Kobiety - mruknął jej mąż.

W porządku, rozdzieli braci, ale po swojemu, czyli przyłączy się do walki i rozda parę ciosów. Wiedząc, że zabawa długo nie potrwa, odepchnął Shane'a na bok i usiadł na Devinie.

- Hej, odczep się. - Ocierając krew z rozciętej wargi, Shane poderwał się na nogi. - To nie twoja sprawa.

- Tak? - Ponieważ Devin się wyrywał, Rafe przycisnął jego twarz do ziemi. - A może ja też chcę się zabawić? O co poszło?

- Jego spytaj - burknął Shane, masując obolałą dłoń. - Gadaliśmy sobie, a on nagle mi przyłożył.

- Ja też często mam ochotę ci przyłożyć - oznajmił Rafe. Popatrzył na Devina. Do diabła, chyba biedak walnął głową o podłogę. - A o czym gadaliście?

- O kobietach.

W Devina, który przez moment leżał lekko oszołomiony, ponownie wstąpiła furia. Zamierzał zrzucić z siebie Rafe'a, gdy raptem dobiegł go stanowczy głos Regan.

- Do jasnej cholery, przestańcie! Dorośli faceci! Powinniście się wstydzić.

Rafe uśmiechnął się do brata.

- Słyszysz, Dev, powinieneś się wstydzić.

- Psiakrew, złaż ze mnie.

- Obiecujesz, że będziesz grzeczny? - Pochyliwszy się, cmoknął brata w czoło, po czym poderwał się, zanim Devin zdążył mu przylać.

- Pięknie, no pięknie. - Regan stała w drzwiach obory, z dzieckiem na rękach. Ubrana w eleganckie spodnie, zakiet i lśniące skórzane pantofle tupiała gniewnie nogą. - Zachowujecie się jak durne małolaty. Tylko spójrzcie na siebie: brudni, zakrwawieni, w podartych koszulach...

- On zaczął. - Shane przybrał niewinną minę. - Słowo honoru. Ja się tylko broniłem.

- Nie interesuje mnie, kto zaczął – powiedziała wyniosłym tonem jego bratowa. - Jeśli mnie pamięć nie myli, zaprosiłeś nas na kolację.

Shane'owi całkiem wyleciało to z pamięci.

- Kurczę, przepraszam. Jedna z krów się cielila, były kłopoty z porodem... Zaledwie przed chwilą skończyliśmy.

- Ojej, wszystko w porządku? - Regan weszła do obory.

- Teraz już tak. Cześć, Nate.

- O nie! - Mimo że zachwycone dziecko wyciągnęło rączki do wujka, Regan cofnęła się krok. - Jesteś cały utyłany. Obaj idźcie się umyć.

Zmrużywszy oczy, Devin zerknął na młodszego brata.

- Miałem ochotę komuś dziś przylać. Ty byłeś pod ręką. Poza tym masz niewyparzony jęzor.

Wierzchem dłoni Shane otarł wargę.

- Ja?

- A kto?

- Jeszcze pożałujesz...

- Dobra, dobra, chłopaki, dajcie sobie buzi i zapomnijcie o wszystkim.

Obaj łypnęli gniewnie na Rafe'a.

- Basta! Jeśli podniesiecie na siebie rękę, sama pójde gotować kolację - zagroziła Regan.

- Może to nie taki zły pomysł - stwierdził Shane.

- Ale nie wchodźcie do kuchni, dopóki... Co to za piski?

- Jakie piski? - Rozprostowując pięść, Devin wyteżył słuch. Nagle ponad gaworzeniem dziecka usłyszał ciche skomlenie. Ruszył w kierunku, z którego dochodziło, i po chwili zajrzał do jednego z boksów.

- Ethel się szczeni! Wygląda na to, że dziś wszystkie stworzenia postanowiły opuścić mamine brzuchy.

- Ethel? - Ile sił w nogach Shane pognął do boksu, w którym szczeniła się jego suka. - Słoneczko moje, dlaczego mnie nie zawołałaś? Chryste, już dwójkę urodziła.

- Dumny ojciec Fred pewnie wszystkim wkoło rozdaje cygara. -
Pochyliwszy się, Rafe pocałował żonę, potem synka. - Wiem, co on czuje.

Widząc panikę w oczach najmłodszego brata, Devin westchnął ciężko. Przez lata odebrali niezliczoną ilość porodów, ale to nie miało znaczenia. Bo teraz rodziła Ethel, ukochana suka Shane'a, przypuszczalnie największa miłość jego życia. Devin kucnął obok brata, objął go za ramię.

- Nie denerwuj się - powiedział. - Doskonale jej idzie.

- Tak myślisz?

- No pewnie. W końcu jest z rodziny MacKade'ów.

- Obejrawszy się, mrugnął porozumiewawczo do Regan. - A nasze kobiety nie mają sobie równych.

Ethel szczęśliwie wydała na świat sześć zdrowych szczeniąt. Po kolacji i wzniesieniu toastu za pomyślność psiej rodziny Devin ruszył z powrotem na komisariat. Nie był w stanie wysiedzieć na farmie; za bardzo go nosiło. Mimo długiej relaksującej kąpieli, która złagodziła ból po ciosach zadanych przez Shane'a, wciąż nie potrafił się odprężyć.

Zwolnił, przejeżdżając koło pensjonatu. W oknach na pierwszym i drugim piętrze paliły się światła. Ponownie wcisnął pedał gazu i pomknął w stronę miasteczka.

Psiakość. Podejrzewał, że Cassie mu tak łatwo nie wybaczy. On również sobie nie wybaczy. Zachował się jak szaleniec. Jak człowiek opętany. Z Cassie należało postępować delikatnie, a on był brutalny, myślał wyłącznie o własnych pragnieniach.

Nic dziwnego, że siedziała bez ruchu, z drżącymi wargami, wielkimi przerażonymi oczami patrząc na niego, jakby postradał zmysły.

Jakoś jej to wynagrodzi. Jak nie jutro, to za miesiąc lub za rok. Był cierpliwym człowiekiem. Po prostu musi poczekać na odpowiedni moment.

Joe Dolin też czekał na odpowiedni moment. W celi było ciemno, choć oko wykol, ale on nie spał. Snuł plany. Większość ludzi miała go za tępaka, ale wkrótce pokaże im, jak bardzo się mylą. Nauczył się grać rolę przykładowego więźnia, wiedział, co mówić, aby strażnicy, psychiatrzy i ten grubas naczelnik byli zadowoleni. Wszystko robił dokładnie tak, jak sobie życzyli.

Umiał być cichy, pokorny, skruszony. Znakomicie potrafił udawać. Oczywiście chodziło mu tylko o to, żeby jak najszybciej wyjść na wolność.

Devin MacKade uważał się za ważniaka; z gwiazdą szeryfa na piersi zatrzymał wóz na poboczu i przyglądał się więźniom. Nigdy nie zapomni, jak Devin po niego przyjechał, zakuł w kajdanki i wepchnął za kraty. Jeszcze mu się odpłaci.

Ale najpierw rozliczy się z Cassie, bo to głównie jej zawdzięczał pobyt w pace. Gdyby trzymała gębę na kłódkę, wszystko byłoby dobrze. Ale kretynka poleciała z płaczem do MacKade'a i zwierzyła mu się z ich prywatnych spraw.

Mąż ma prawo ukarać żonę, wymierzyć jej policzek, kiedy na to zasługuje, a nawet walnąć ją pięścią w twarz. A Cassie zdecydowanie zasłużyła na karę. Nadal zasługiwała.

Papiery rozwodowe niczego nie zmieniły. Nadal jest jego żoną, jego własnością. Niedługo jej o tym przypomni.

„Dopóki śmierć was nie rozdzieli". Przypomniawszy sobie słowa przysięgi, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dopilnowanie porządku podczas parady było sporym wyzwaniem, lecz Devin nie narzekał. Przynajmniej mógł oderwać się od spraw osobistych.

Miała się zacząć punktualnie o dwunastej - czyli, znając życie, między dwunastą a wpół do pierwszej - od przemówień na głównym placu i złożenia wieńca pod pomnikiem.

Devin, jako szeryf, musiał być na uroczystości, w dodatku w stroju galowym. Tylko kilka razy w roku wyciągał z szafy mundur w kolorze khaki, krawat, lśniące czarne buty.

O ósmej rano opuścił komisariat. Mimo wczesnej pory ludzie już zajmowali miejsca; na chodnikach wzdłuż trasy parady stały składane krzesła, przenośne lodówki.

Większość sklepów i punktów usługowych była tego dnia zamknięta. Ale nie kawiarnia Ed. Devin postanowił wstąpić tam na śniadanie; miał godzinę czasu.

W tym roku Memorial Day zbiegł się z początkiem lata. Od samego rana słońce mocno przygrzewało. Jak tak dalej pójdzie, po południu asfalt zrobi się całkiem miękkim. Hm, musi sprawdzić, czy wzdłuż ulicy ustawiono wystarczająco dużo punktów z wodą. Nie chciał, żeby ludzie mdleli.

Święto świętem, a w kawiarni Ed praca wrzała. W powietrzu unosił się smakowity zapach smażonego boczku i świeżej kawy.

Przywitawszy się z gośćmi siedzącymi przy paru stolikach, Devin zajął miejsce na stołku przy ladzie.

- Cześć, szeryfie. - Ed mrugnęła przyjaźnie. Rudowłosa właścicielka kawiarni miała na sobie poplamiony fartuch, ale odsłaniająca brzuch czerwona bluzka i szorty, które ledwo zakrywały pośladki, świadczyły, że przygotowała się do dzisiejszej zabawy. Do tego mocno podkreślone brwi, niebieski cień na powiekach, jaskrawa czerwień na ustach i wetknięte za uszy maki.

Devin uśmiechnął się. Tylko Edwinie uchodził taki strój.

- Poproszę jajecznicę na boczku i dużo kawy.

- Już się robi. - Chociaż mogłaby być jego matką, Ed poprawiła fryzurę i przyjrzała mu się zalotnie. Uwielbiała flirtować. - Przystojnie wyglądasz w tym mundurze!

- Czuję się jak starzejący się harcerz - mruknął Devin.

- Jeden z moich pierwszych adoratorów był harcerzem. - Poruszyła zabawnie brwiami, położyła na talerzyku pączka. - Muszę przyznać, że zawsze wiedział, co do czego służy... Pączek na koszt firmy.

Zostawiwszy Devina, skierowała się do kuchni. Starał się nie myśleć o Cassie. Wyjął notes i zagłębił się w lekturze. Pół godziny później, jedząc ze smakiem jajecznicę, wprowadzał drobne poprawki do zapisanego porządku dnia.

- Dzień dobry, szeryfie. Nikogo ostatnio nie zapudłowałeś?

Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył swoją bratową, kobietę olśniewającej urody, zwykle niezbyt przyjaźnie do niego nastawioną. Gdziekolwiek Savannah MacKade się pojawiała, facetom dosłownie

zapierało dech. Miała ciało bogini, gęste czarne włosy do połowy pleców, oczy w kolorze gorzkiej czekolady, złocistą cerę i piękne rysy.

- Właściwie to nie - odparł Devin, uśmiechając się do bratanka.

Bryan, ciemny, wysoki chłopak o odziedziczonej po matce urodzie, był w stroju bejsbolowym. Czy to się Savannah podobało, czy nie, Devin uważał się za jego wujka. - Bierzesz udział w paradzie?

- Tak, trener nas zabierze. Mnie, Connora i innych chłopaków.

- Nie za wcześnie przyszedłeś?

- Mamy parę spraw do załatwienia - odparła Savannah. -

Obiecaliśmy odebrać Connora. Tylko najpierw mój głodomór musi się pożywić.

- Burczy mi w brzuchu - oznajmił chłopiec i spoglądając na tacę z pączkami, usiadł obok Devina.

- Hej, Ed, masz gościa, któremu z głodu burczy w brzuchu!

- Już idę! - Ed pchnęła wahadłowe drzwi. - Kogo ja widzę? Mistrza we własnej osobie. - Obdarzyła chłopca promiennym uśmiechem. Była jednym z głównych sponsorów drużyny Antietam Cannon, toteż nic dziwnego, że rozpieierała ją duma. - Rozegraliście w sobotę niesamowity mecz.

Skinąwszy do Savannah, przechyliła się nad ladą, pogruchała do maleństwa w wózku i pogrążyła się w rozmowie z Bryanem.

Devin nie spytał, czy mu wolno. Nawet nie miał zamiaru pytać. Zsunął się ze stołka, wziął Laylę na ręce i usiadł z powrotem.

Spod czapeczki wystawały delikatne loczki. Dziewczynka miała włosy równie gęste i czarne, jak jej mama. I takie same usta. Ale oczy, jeszcze niebieskawe, zmieniały odcień na typową dla MacKade'ów zieleń.

- Cześć, moja piękna. - Devin pocałował bratanicę w czołko i rozpromienił się, widząc, jak jej śliczne usteczka składają się do uśmiechu.

- Uśmiechnęła się do wujka!

- Beknęła.

- Akurat! Uśmiechnęłaś się, prawda, kwiatuszku? Kochasz wujka, prawda? No powiedz, aniołeczku. - Opuszką palca pogładził małą po rączce. - Ma oczy MacKade'ów.

- Dopiero zmieniają kolor - burknęła Savannah. Powoli jednak miękła. Mimo że nie znosiła przedstawicieli władzy, każdego dnia czuła do Devina coraz większą sympatię. - Mogą się zrobić brązowe.

- Nie. Będą zielone. - Devin pokiwał z zadowoleniem głową. - Jesteście skazane na nas. I na zieleń.

- Najwyraźniej.

- Zjesz pączka? - spytał. Wiedział, że w głębi duszy bratowa go lubi.

- Może. - Usiadła obok na stołku. - Nie musisz jej trzymać na rękach.

- Ale chcę. Gdzie Jared?

- Zajęty sprawami zawodowymi. Mamy się spotkać o wpół do dziesiątej w pensjonacie.

- Czyli jeszcze tam nie byłaś... ?

- Nie. - Savannah wyjęła pieluchę i rozłożyła ją Devinowi na ramieniu. - Karmiłam ją przed wyjściem. Może się jej odbić i zapaskudzi twój śliczny mundur.

- Wtedy z czystym sumieniem się go pozbędę... Jedziecie po Connora?

- Tak. - Savannah sięgnęła po pączka. - Rafe i Regan później wpadną po Cassie i Emmę. A Shane podrzuci Jareda, żebyśmy nie jechali w

dziesięć samochodów. - Zerknąwszy na syna, zobaczyła, że Bryan wcina drugie ciastko. - A co, chcesz się z nami zabrać po paradzie na piknik?

- Dzięki. W radiowozie mogę udawać, że pracuję.

- Nie widziałam cię w sobotę na meczu.

- Zajrzałem na moment. - Zauważył na trybunie Cassie i wycofał się, podejrzewając, że może czuć się przy nim spięta.

- A w niedzielę nie byłeś na obiedzie na farmie.

- Brakowało ci mojej obecności?

- Nieszczególnie - odparła złośliwie, ale coś w spojrzeniu Devina przykuło jej uwagę. - Dev, masz jakieś problemy?

- Nie.

- Jared wspomniał mi o Dolinie, że pracuje poza terenem więzienia.

Niepokoi cię to, prawda?

- Ogłędnie rzecz ujmując. Cały czas mam drania na oku.

- Domyślam się. - Savannah pogładziła córkę po główce, po czym w geście przyjaźni i wsparcia, który zaskoczył ich oboje, ścisnęła Devina za ramię.

- Może w końcu się do mnie przekonasz? Zabrała rękę, ale kąciki jej ust powędrowały w górę.

- Pewnie nie mam innego wyjścia. No dobra, oddaj mi dzieciaka.

Przekazawszy jej Laylę, pocałował Savannah w policzek.

- Do zobaczenia. Cześć, Bry.

Chłopak, który pożerał kolejnego pączka, mruknął coś niezrozumiale w odpowiedzi.

- Cholerni MacKade'owie - szepnęła Savannah. Ale uśmiechała się, odprowadzając Devina wzrokiem.

W południe miasteczko pękało w szwach. Ludzie tłoczyli się na chodnikach, werandach, gankach i trawnikach. Starsze dzieci ganiały między dorosłymi, niemowlęta darły się wniebogłosy.

Kilka ulic zostało zamkniętych, żeby samochody nie wpychały się pomiędzy uczestników parady. Devin ustawił się na głównym skrzyżowaniu; wskazywał drogę, proponował objazdy, zapraszał do parku na piknik. W radiotelefonie co rusz rozlegały się jakieś trzaski, czasem głosy policjantów dyżurujących wzdłuż trasy przemarszu.

Po drugiej stronie ulicy kłown sprzedawał balony. Pół przecznicy dalej powodzeniem cieszyły się lody i sorbety.

Na chodnikach wały się papierowe opakowania, plastikowe kubki, pęknięte balony. Jutro od rana będzie wielkie sprzątanie.

Raptem do uszu Devina doleciały dźwięki orkiestry dętej, która powoli zbliżała się do placu. Muzyka, rytmiczny stukot butów... takie obrazy kojarzyły mu się z dzieciństwem.

- Panie władzo!

Ruszywszy w stronę zamkniętej uliczki, westchnął w duchu na widok zdenerwowanej pary w samochodzie.

- Słucham panią? - rzekł, uśmiechając się przyjaźnie do kobiety. - Czym mogę służyć?

- Musimy przejechać - oznajmił zirytowany kierowca.

- Mówiłam, George, żebyś nie zjeżdżał z autostrady. A ty uparłeś się przy trasie krajobrazowej.

- Cicho, Marsho. Musimy przejechać - zwrócił się do Devina.

- Hm. Za moment będzie szła tędy parada. - Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się ryk trąbek i huk bębnow. - Ulica będzie zamknięta

jeszcze co najmniej godzinę. A dokąd państwo jada? - spytał z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Do Waszyngtonu.

- Jeśli się państwu spieszy, to radzę zawrócić i jechać tą drogą jakieś osiem kilometrów. Mniej więcej za godzinę dotrzecie do waszyngtońskiej obwodnicy.

- Prosiłam, żebyś nie zjeżdżał z autostrady. George prychnął pogardliwie.

- Skąd mogłem wiedzieć, że w jakiejś pipidówce poustawiają barykady?

- Jeśli natomiast się państwu nie spieszy, to zapraszamy na paradę - spokojnie dokończył Devin.

- Nie mam czasu oglądać żadnej pieprzonej parady! - warknął George, wrzucając wsteczny bieg.

- Szkoda. - Devin obrócił się i wpadł na Cassie. Instynktownie wyciągnął ręce, żeby ją przytrzymać, a potem szybko się cofnął, jakby parzyła. - Przepraszam, nie zauważyłem cię.

- Nie chciałam przeszkadzać, kiedy rozmawiałeś z tymi ludźmi. Należy ci się medal za uprzejmość i powściągliwość.

- Nie wiedzą, co tracą.

Cassie zerknęła w stronę dziewczynek, które maszerowały w cekinowych spódniczkach, podrzucając pałeczki. Ale oczami wyobraźni wciąż widziała Devina. W odświętnym mundurze prezentował się niesamowicie męsko i przystojnie.

- Ano nie wiedzą... Nie jest ci gorąco? Może chcesz coś zimnego do picia?

- Dziękuję, nie... nie trzeba. - Nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział Cassie w szortach. Całymi latami starał się nie myśleć o jej szczupłych, zgrabnych nogach. - Gdzie Emma?

- Zaprzyjaźniła się z Lucy, córką McCutcheonów. Bawią się u niej przed domem. - Odkryła, że łatwiej się jej rozmawia z Devinem, kiedy na niego nie patrzy. - Gniewasz się na mnie, Dev?

- Ależ skąd.

- Na pewno nie jesteś na mnie zły?

- Nie. Tak. - Wetknął ręce do kieszeni, żeby przypadkiem jej nie dotknąć. - To znaczy, jestem zły na siebie, nie na ciebie. Tamtego dnia zachowałem się bardzo nie w porządku.

- Ale mnie się podobało.

Powietrzem wstrząsnął huk bębnow. Kolejna orkiestra wyłoniła się zza zakrętu.

- Słucham? - spytał Devin przekonany, że się przesłyszał.

- Powiedziałam, że... - urwała, bo w tym momencie zaskrzeczał radiotelefon.

- Szeryfie! Tu Donnie. W kwadracie C mamy mały problem. Halo? Szeryfie, jesteś tam?

- W kwadracie C? Musiał się naoglądać seriali kryminalnych - mruknął pod nosem Devin, wyciągając zza pasa aparat. - Tam się mieści szkoła.

- Jesteś zajęty. Nie będę przeszkadzać.

- Wcale nie... - zaczął, ale Cassie zdążyła wtopić się w wiwatujący tłum.

Mały problem okazał się niegroźną awanturą pomiędzy uczniami rywalizujących liceów. Devin polecił młodzieńcom się rozejść, nagadał Donniemu do słuchu, potem pomógł jakiejś kobiecie uspokoić rozhisteryzowaną córkę.

Kiedy przemaszerowała ostatnia orkiestra, zgromadzeni przy chodnikach widzowie przestali machać flagami, a ostatni balon wzniosł się ku niebu, Devina czekały inne obowiązki: wskazywał kierowcom drogę na parking, rozdzielał zadania ekipom sprzątającym, pomagał płaczącym dzieciom odnaleźć swoje mamy.

Wreszcie udał się na komisariat i wszedł pod prysznic. Galowy mundur schował do szafy; nie będzie mu potrzebny aż do kolejnych uroczystości. Kiedy w cywilnym ubraniu dotarł do parku, wielki piknik trwał w najlepsze. Ludzie siedzieli przy grillach, rozmawiali, odbywało się mnóstwo konkursów i zawodów: w rzucie jajkiem, w rzucie podkową, wyścigi w workach.

Rozglądając się, zauważył Shane'a obejmującego Frannie Spader, zgrabną rudowłosą piękność, którą parę dni temu tak wspaniałomyślnie chciał mu podarować. Nieopodal Rafe trzymał w ręku kij bejsbolowy, a Jared wykonywał typowe dla miotacza ruchy. Regan z Savannah i małuchami odpoczywały w cieniu.

Psy ganiały, dzieci szalały, brzuchaci mężczyźni siedzieli na rozkładanych krzesłach, dyskutując o polityce i sporcie, roześmiane staruszki wachlowały się gazetami.

Cy, burmistrz Antietam, wyglądał komicznie, przechadzając się w przykrótkich kraciatych bermudach, które eksponowały jego krzywe, owłosione nogi.

Pani Metz kibicowała swoim wnukom, a w przerwach pałaszowała kurze udka i plotkowała z panną Sarah Jane.

Devin westchnął cicho. Kochał ich. Naprawdę kochał tych ludzi. Spacerował po parku, czasem przystając, żeby z kimś pogadać albo wysłuchać skargi. Przez parę minut wraz ze staruszką Wineburgerem obserwował, jak podkowy z brzękiem uderzają o metalowy pałak. Omawiali różne techniki rzutu, kiedy zobaczył Emmę wyciągającą do niego rączki. Posadził sobie dziewczynkę na biodrze. Wineburger dalej snuł rozważania, ale Devin miał coraz większe problemy z koncentracją.

Emma pachniała słońcem. Była drobna, leciutka... Ile ma lat? Ze zdumieniem uświadomił sobie, że prawie siedem. Wkrótce nie będzie chciała, żeby ją brał na ręce. Tak jak te chichoczące podlotki, będzie flirtowała z chłopakami.

Uśmiechając się w duchu, Devin przytulił ją do piersi.

- Dlaczego jesteś smutny?

- Nie jestem. Myślę o tym, jak strasznie szybko rośniesz. Hej, zjemy po sorbecie?

- Dla mnie fioletowy!

- Dobrze, może być fioletowy. - Postawił Emmę na ziemi i razem ruszyli w stronę urządzenia wytwarzającego kolorowy szron. Kupił dwa fioletowe stożki. Usiedli na trawie.

- Hej, Dev! - zawołał Rafe. - Co się lenisz? Chodź do nas!

- Ani mi się śni. Nie widzisz, jaka śliczna panienka siedzi koło mnie?

- Mamusia też mówi, że jestem śliczna.

- Bo jesteś, aniołku. - Devin pogłaskał dziewczynkę po głowie.

- Ona też jest ładna.

- Bardzo ładna.

Emma przysunęła się bliżej, wiedząc, że Devin zaraz otoczy ją ramieniem.

- Już prawie w ogóle nie płacze. - Z takim zaaferowaniem lizała loda, że nawet nie poczuła, jak Devin znieruchomiał. - Kiedyś ciągle płakała, najbardziej w nocy. Teraz już nie.

- To dobrze. - Więcej nie potrafił z siebie wydusić.

- Mam małego kotka, nazywa się Ed, i już nikt na nas nie krzyczy i nie bije mamusi. Connor gra w piłkę i pisze opowiadania, a do mnie Lucy przychodzi się bawić. I mam w pokoju zasłony w pieśni. I dostałam nowe buty. - Podniosła nóżkę w różowej tenisówce.

- Bardzo ładne - pochwalił Devin.

- A wszystko dlatego, że go od nas zabrałeś. Connor powiedział, że go aresztowałeś i wsadziłeś do więzienia. Teraz już nie może nam zrobić krzywdy. - Emma uniosła umazaną na fioletowo buzię i popatrzyła mu prosto w oczy. - Kocham cię.

- Aniołku, ja też cię kocham. - Rozczulony, przycisnął czoło do jej złotych loków. - Jesteś moim słoneczkiem.

- Wiem. - Cmoknęła go w policzek. - Idę pobawić się z Lucy. - Uśmiechnęła się słodko. Miała uśmiech swojej mamy. - Dziękuję za loda.

Przez chwilę patrzył, jak mała oddala się, podskakując wesoło, potem potarł dłońmi twarz. No i co począć? Nie dość, że kocha Cassie, to kocha również jej dzieci.

Czy do końca życia ma być dobrym, spolegliwym przyjacielem, kumplem, który ochroni i wesprze, ulubionym przyszywanym wujkiem?

Coraz bardziej denerwowała go ta rola. Chciał czegoś więcej.

Kiedy Rafe ponownie zawołał, Devin dźwignął się na nogi. Pogra w piłkę. Może w ten sposób rozładuje frustrację?

Uderzanie białej piłeczki drewnianym kijem sprawiało mu dziwną satysfakcję. Podobał mu się dźwięk piłki odbijanej od drewna, świst powietrza, okrzyki widzów.

Gra pomogła mu pozbyć się napięcia. W czwartej zmianie dobiegł do trzeciej mety i ruszył dalej do domowej, przy której stał Shane grający na pozycji łapacza. Szczercząc zębami w uśmiechu, Devin rzucił się ślizgiem przed siebie.

Nastąpiło brutalne zderzenie ciał, w górę wzbijała się chmura pyłu, publiczność zaczęła szaleć. Shane jęknął z bólu, gdy brat grzmotnął go łokciem w zębra. Devinowi pokazały się gwiazdy, kiedy w szczękę trafiło go kolano Shane'a.

- Jest!

- Nie ma! Aut! - Dla podkreślenia tego faktu Shane wymachiwał piłeczką, którą Jared mu posłał.

- Spóźniłeś się, Shane - oznajmił sędzia Cy. - Żadną częścią ciała nie dotykałeś mety. Devin był pierwszy.

Oczywiście słowa sędziego były równoznaczne z wypowiedzeniem wojny.

Siedząca w cieniu drzewa Savannah obserwowała, jak jej mąż, znakomity prawnik Jared MacKade, chwytając się za bary z burmistrzem miasta, a reszta MacKade'ów wydziera się, głośno dopingując brata.

- Uwielbiam pikniki.

- Mmm, ja też. - Regan przeciągnęła się leniwie. - Hej, nie przejmuj się. - Spojrzała na Cassie nerwowo wyłamującą palce. - Nie zrobią sobie krzywdy. Najwyżej nabiją parę siniaków.

- Wiem - szepnęła Cassie, siląc się na uśmiech. Znała MacKade'ów od dziecka; ciągle się tłukli i nigdy żadnemu nie stało się nic złego.

- Nie denerwuj się - powtórzyła Regan.

Do kibicujących dołączyli Connor z Bryanem. To dobrze, pomyślała Cassie, patrząc na syna, że Connor podskakuje, przepycha się, wydziera. Zbyt długo był cichym, wystraszonym dzieckiem. Teraz z każdym dniem coraz bardziej się otwierał, zachowywał jak inni chłopcy w jego wieku. Jeśli chciał krzykiem wspierać jednego z walczących, niech krzyczy, niech dopinguje.

Wkrótce było po wszystkim; mężczyźni wstali, otrzepali się z kurzu, uzgodnili, że zagrają mecz rewanżowy. Bryan odtńczył taniec radości, po czym chwycił piłkę i stanął na stanowisku miotacza. Devin podniósł rękawicę i szepnął coś na ucho Connorowi. Twarz chłopca rozpromieniła się. Uradowany, przyłączył się do gry.

- Devin świetnie sobie radzi z dziećmi - rzekła Cassie.

- To prawda. Ilekroć do nas wpada, zaraz bierze małego na ręce. -

Regan uśmiechnęła się do synka. - Krew mu leci.

- Ojej, gdzie? - Cassie spojrzała przerażona na chłopczyka.

- Devinowi. Chyba rozciął sobie wargę. Ma któraś chustkę?

- Ja mam! - Cassie pobiegła w stronę Devina.

- Jeszcze się nie zorientowała? - Regan zerknęła na Savannah.

- Jeszcze nie. Devin musi w bardziej zdecydowany sposób pokazać jej, że świata poza nią nie widzi.

- To jedyny MacKade, który działa wolno.

- Devin! Poczekaj! Stań na moment! Obejrząwszy się, Devin zobaczył biegnącą za nim

Cassie. Przezornie wsunął rękę do kieszeni.

- O co chodzi?

- Rozciąłeś wargę - wysapała. - Chryste, ale masz długie nogi! Nie mogłam za tobą nadążyć. - Z wprawą przycisnęła chusteczkę do jego ust. - Widziałam, jak wpadasz głową na Shane'a. Aż zamknęłam oczy. Całe szczęście, że się skończyło na tym. To tylko mecz...

Starął się stłumić jęk, gdy delikatnie ocierała mu krew.

- Wykonałem pełny obieg.

- Tak, wiem. Powoli uczę się zasad. Connor jest strasznie przejęty, że pozwoliliście mu grać.

Serce waliło mu młotem. Dłonie, zaciśnięte w pięści, wciąż trzymał w kieszeniach.

- Cassie, już starczy, nic mi nie jest. Przerwała, zaskoczona jego ostrym, zniecierpliwionym tonem.

- Jednak się na mnie gniewasz - powiedziała.

- Psiakrew, nie gniewam się. Spójrz. - Zdesperowany, wyrwał jej z ręki zakrwawioną chusteczkę.

- Co to?

- Krew. Mówiłam ci, że...

- No właśnie, krew. To mi płynie w żyłach. Krew, nie lodowata woda. Więc jeśli dalej będziesz stała tak blisko i dotykała moich ust... - Zazgrzytał zębami.

- Nie gniewam się - powtórzył, tym razem spokojnie.

- Muszę się przejść.

Przygryzając wargę, patrzyła za nim, dopóki nie znikł za kępą drzew. Na myśl, że mogłaby stracić jego przyjaźń, poczuła przyływ odwagi.

Usłyszawszy za sobą kroki, zatrzymał się.

- Przepraszam. Przepraszam cię, Devin.

- Ty mnie? Cassie, nic złego nie zrobiłaś. - Rozejrzał się. Gdzie się wszyscy podzieli? Dlaczego w pobliżu nie ma nikogo? Bał się przebywać z Cassie sam na sam, zwłaszcza gdy nie do końca nad sobą panował.

- Wracaj do dzieci, Cassie. No idź.

Ruszyła posłusznie. Przywykła do wykonywania poleceń. Po chwili przystanąła. Nie mogła, nie tym razem. To było zbyt ważne.

- W porządku, może się na mnie nie gniewasz, ale coś cię dręczy.

Nie było jej łatwo, ale przełamała się. Zaryzykowała. Mimo żaru w jego oczach postąpiła krok naprzód. Wiedziała, że Devin jej nie skrzywdzi, lecz lata z Doli-nem odcisnęły na niej niezatarte piętno.

- Chodzi o tamten pocałunek, prawda? Boże, Dev, to nic nie znaczyło.

Emocje odpłynęły z jego twarzy. Teraz już nic nie była w stanie z niej wyczytać.

- Wiem, że nie.

- Odwzajemniłeś go. - Serce waliło jej tak mocno, że ledwo mogła mówić. - Potem powiedziałeś, że jesteś zły na siebie. Że nie powinienesz być tego robić. Ale mnie to naprawdę nie uraziło.

- Aha. Więc zapomnijmy o tym. A teraz wracaj do ludzi.

- Dlaczego... dlaczego mnie pocałowałeś? - Powoli opuszczała ją odwaga.

- Jakoś tak wyszło. Zaskoczyłaś mnie i... - urwał. - Czego ode mnie chcesz? Przecież cię przeprosiłem. Obiecałem, że to się więcej nie powtórzy. Próbuję trzymać się od ciebie z daleka, ale... Dwanaście lat marzyłem, żeby cię pocałować, i kiedy nadarzyła się okazja, omal nie zgmiotłem ci kości. Cassie, nie chciałem sprawić ci bólu.

Zaczęła dygotać. Na pewno nie ze strachu. Strach zbyt dobrze знаła, by go nie rozpoznać. Uczucie, które teraz nią owładnęło, było jej całkowicie obce.

- Nie sprawiłeś. - Przełknęła ślinę. - Nie miałam nic przeciwko.

Nie umiał jej rozgryźć.

- Mam ochotę cię znów pocałować.

- Dobrze.

Nie cofnęła się, kiedy podszedł bliżej. Nerwowo zastanawiała się, czy może go dotknąć. Korciło ją, aby położyć dłonie na jego ramionach. Ale nie była pewna, czy powinna.

Niepotrzebnie się zadreczęła. Dotknął dłońmi jej policzków i delikatnie przycisnął usta do jej ust, a po chwili przytulił ją do siebie. Westchnęła błogo.

Właśnie tak zamierzał ją pocałować tamtego dnia, czule, niespiesznie. Pocałunkiem wyrazić tkliwość, opiekuńczość, sympatię.

Stali w cieniu gałęzi, gdzieniegdzie przez liście przedzierały się promienie słońca, ptaszki śpiewały, w powietrzu niósł się zapach kwiatów. Było idealnie.

Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

Te wszystkie lata, kiedy na nią czekał i o niej marzył, nagle przestały istnieć. Liczyła się terazniejszość.

Cassie ponownie westchnęła z błogością. Dochodzące z oddali krzyki i śmiech brzmiały jak radosne brzęczenie pszczoł. Nawet nie wiedziała, kiedy zacisnęła dłonie na nadgarstkach Devina, po prostu nagle wyczuła pod palcami jego przyśpieszone tętno.

Przerwał pocałunek dopiero wtedy, gdy Cassie opuściła rękę. Kiedy uniósł głowę, oczy wciąż miała zamknięte. Po chwili przesunęła językiem po ustach, jakby chciała dłużej rozkoszować się smakiem, który pozostał na jej wargach.

- Cassie...

Zakłopotana otworzyła oczy.

- Nie wiem, co powiedzieć... - zaczęła, lecz raptem uświadomiła sobie, że wie. - Pocałujesz mnie jeszcze raz?

Dwanaście lat tłumił emocje, tylko dlatego się na nią nie rzucił.

- Ale nie teraz. - Odsunął się na wyciągnięcie ręki. Gdyby stał bliżej, pewnie przerzuciłby Cassie przez ramię i ruszył na poszukiwanie jakiegoś ustronnego miejsca. A chyba żadne z nich nie było gotowe na tak szybki rozwój wydarzeń. - Wkrótce.

- Nikt nigdy tak mnie nie całował. Nigdy się tak nie czułam.

Z trudem panując nad sobą, wziął Cassie za rękę.

- Wracajmy. Ja... jeszcze nie jadłem lunchu.

- Ojej, musisz być strasznie głodny.

- Nawet nie wiesz, jak strasznie - rzekł, prowadząc ją do reszty towarzystwa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Kochana jesteś. - Regan wsadziła Nate'a do przenośnej huśtawki. Chłopczyk natychmiast zaczął podskakiwać. - Umówiłam się z klientami, którzy przyjeżdżają z daleka, i mały tylko by nam przeszkadzał. A Rafe ma na głowie ekipy remontowe, więc...

- Nie ma sprawy - zapewniła Cassie.

- Nate jest wspaniały. Wprost nie mogę uwierzyć, że ma już pięć miesięcy. Jadł godzinę temu. Tu masz butelki, pieluszki, ubranka na zmianę i...

- Regan, umiem obchodzić się z maluchami.

- Wiem. - Regan odgarnęła włosy za uszy. - Ale masz mnóstwo innych zajęć...

- Jestem szczęśliwa. - Cassie załadowała zmywarkę. Po śniadaniu część gości wyjechała, a część odpoczywała w pokojach. - Nigdy nie przypuszczałam, że mogę się czuć tak dobrze. Ten pensjonat to najcudowniejsze miejsce na świecie.

- Czyli praca tu cię uszczęśliwia?

- Tak. U Ed nie było mi źle, ale... Uwielbiam ten pensjonat. Dzieci też czują się tu znakomicie.

- I dlatego nuciłaś?

Cassie pochyliła się nad zmywarką, unikając wzroku Regan.

- Jest również inny powód... Pewnie spieszysz się do pracy?

- Mogę się trochę spóźnić. To plusy bycia własnym szefem.

Jeśli z kimkolwiek mogła pogadać od serca, to tylko z Regan. Cassie wyprostowała się, wzięła głęboki oddech.

- Chodzi o Devina. Pewnie przywiązuję do tego za dużą wagę... Albo za małą. Sama nie wiem... Napijesz się kawy?

- Cassie. Mów.

- No, dobra. Pocałował mnie. - Roześmiała się.

- Naprawdę pocałował. Nie cmoknął, tak jak Rafe, Shane czy Jared, ale...

- Czas najwyższy - stwierdziła z przekonaniem Regan. - Już myślałam, że nigdy się na to nie zdobędzie.

- Nie jesteś zdziwiona?

- Cassie, ten facet skoczyłby za tobą w ogień.

- Regan naląła sobie kubek kawy. - I jak było?

Cassie drżącą ręką przeczesała włosy.

- Co jak było?

Regan ze śmiechem oparła się o kuchenny blat.

- Widzę, że to musiał być bardzo namiętny pocałunek.

- Wciąż mi się po nim kręci w głowie. A minęły już dwa dni.

- I co zamierzasz?

- Nie mam pojęcia. - Cassie zaczęła wycierać blaty szafek. -

Zaczęłam chodzić z Joem, kiedy miałam szesnaście lat. Nigdy nie byłam z żadnym innym facetem.

- Nic dziwnego, że trochę się denerwujesz, skoro wasza znajomość zmierza w kierunku bardziej... fizycznym.

Cassie odłożyła ścierkę; wilgotne dłonie otarła o fartuch.

- Nie lubię seksu - oznajmiła zdecydowanym tonem. Pochyliwszy się ponownie nad zmywarką, nie zauważyła wyrazu z troską w oczach Regan. - Jestem w tym kiepska, a poza tym... nie lubię i już.

- Cassie, z tego, co wiem, terapia ci pomogła?

- Bardzo. Cieszę się, że mnie namówiłaś. Spotkania z terapeutą otworzyły mi oczy na wiele spraw. Nabrałam pewności siebie. Już wiem, że nie zasłużyłam na to, by Joe się nad mną znęcał, i dobrze zrobiłam, występując o rozwód. - Wzięła głęboki oddech. - Jednakże seks... Czytałam, że nie wszystkie kobiety to lubią. Ale nie jestem naiwna - dodała szybko, nie dopuszczając Regan do głosu. - Mam świadomość, że Devin, jak każdy normalny mężczyzna, ma swoje potrzeby i w razie czego będę je zaspokajać.

- Może nie jesteś naiwna, ale głupio mówisz - zirytowała się Regan. - Miłosne igraszki nie powinny być obowiązkiem takim jak... jak... - Zniecierpliwionym gestem wskazała na zlew. - Jak mycie naczyń.

- Och, źle mnie zrozumiałaś. Zależy mi na Devinie. Zawsze czułam do niego wielką sympatię. Ale nigdy nie sądziłam, że go pociągam. To mi niesamowicie schlebia.

- Schlebia?

- Oczywiście! On jest taki przystojny. I dobry. I wiem, że nigdy mnie nie skrzywdzi.

- Na pewno cię nie skrzywdzi.

- Tamten pocałunek był niesamowity. Myślę, że seks z Devinem też dostarczy miłych wrażeń.

Miłych? Żeby nie wybuchnąć śmiechem, Regan szybko przystawiła do ust kubek. Jeśli w tych sprawach Devin był choć trochę podobny do Rafe'a, Cassie czekały wprost nieziemskie doznania.

- Namawiał cię, żebyś poszła z nim do łóżka?

- Nie. Nawet nie chciał mnie drugi raz pocałować, kiedy go poprosiłam. Dlatego potrzebuję twojej rady. Jak dać mu do zrozumienia, że nie mam nic przeciwko, byśmy... no wiesz?

Regan zamurowała. Ostrożnie odstawiła kubek.

- Muszę zapomnieć o swoich feministycznych poglądach, zaufać instynktowi, polegać na tym, co wiem o tobie i Devinie. A więc, Cassie, radziłabym ci czekać. Niech Devin nadaje tempo, a ty spokojnie się temu poddawaj. Pozwól się prowadzić, a on na pewno zaprowadzi was do wymarzonego celu.

- Czyli mam nic nie robić?

- Rób to, co ci serce podpowiada. Ale błagam, nie porównuj Devina z Joem. Nie porównuj kobiety, którą byłaś, z kobietą, którą jesteś dzisiaj. Myślę, że czeka cię kilka miłych niespodzianek.

- Jedną już miałam. - Cassie przyłożyła palec do ust. - Była super.

- Cieszę się. - Pocałowawszy Cassie w policzek, Regan kucnęła przy synku. - Cassie... informuj mnie o rozwoju wydarzeń, dobrze?

Do południa Cassie skończyła sprzątać pokoje gości, wrzuciła bieliznę pościelową do pralki, a małego Nate'a ułożyła w przenośnej kołysce w pokoju Emmy. Gdy zeszła na dół, wstawiła kurczaka do piekarnika i dumiała, czy zabrać się za prasowanie, czy szycie. Naraz rozległo się pukanie.

Serce zabiło jej mocniej. Może to Devin? Za siatkowymi drzwiami ujrzała matkę.

- Cześć, mamó. - Jak przystało na posłuszną córkę, cmoknęła matkę na powitanie. - Miło cię widzieć. Właśnie przyrządziłam dzbanek mrożonej herbaty, mam też kawałek ciasta z wiśniami.

- Dobrze wiesz, że w środku dnia nie jadam słodczy. - Constance Connor rozejrzała się po salonie i skrzywiła na widok śpiącego pod stołem kota. Według niej miejsce zwierząt było na zewnątrz.

Skrzywiła się, widząc odsłonięte zasłony. Silnie operujące słońce sprawi, że obicie na meblach szybko straci kolor. Ale w pokoju panował idealny porządek. Tego nauczyła córkę: że czystość i porządek mają ogromne znaczenie.

Nie podobały się jej jaskrawe barwy i te wszystkie bibeloty. Były niepotrzebne, pretensjonalne. Kręcąc z dezaprobatą głową, sztywno usiadła na krześle.

- Źle robisz, bardzo źle, mieszkając w domu mężczyzny, który nie jest twoim mężem.

Powtarzała to do znudzenia, a Cassie odpowiadała tak samo:

- Przez dziesięć lat mieszkałam w domu pana Hallerana.

- Ale płaciłaś czynsz.

- A tu pracuję na swoje utrzymanie. Co za różnica?

- Ogromna. Więcej nie będę do tego tematu wracać.

Przez najbliższy tydzień lub dwa, pomyślała ze znużeniem Cassie.

- Napijiesz się mrożonej herbaty, mamó?

- Potrafię wytrzymać godzinę bez jedzenia czy picia. - Constance położyła torebkę na kolanach, skrzyżowała nogi w kostkach. - Usiądź, Cassandro. Dzieci są w szkole, tak?

- Tak. Świetnie się uczą. Kończą lekcje mniej więcej za godzinę. Mam nadzieję, że zostaniesz przywitać się z wnukami?

- Przyszłam do ciebie.

Starsza kobieta otworzyła torebkę. Serdeczny palec jej lewej dłoni zdobiła obrączka. Innej biżuterii nie nosiła. Obrączka była matowa, bez połysku. Taka jak małżeństwo rodziców, przemknęło Cassie przez myśl. Po każdej wizycie matki Cassie zastanawiała się, czy ojciec nie umarł, by uwolnić się od żony.

Westchnęła ciężko na widok koperty, którą wyciągnęła matka. Nawet nie widząc charakteru pisma, wiedziała, kto był nadawcą.

- To ostatni list od twojego męża. Przyszedł dziś rano. Chciałabym, żebyś go przeczytała.

- Nie. - Cassie skrzyżowała ręce na piersi. Oczy starszej kobiety błysnęły gniewem.

- Cassandro, masz przeczytać list.

- Nie, mam. Joe nie jest moim mężem.

- Składałaś przysięgę przed obliczem Boga!

- I zламаłam ją. Rozwiodłam się - oznajmiła Cassie. Walczyła, żeby zachować spokój; żeby ręce i głos jej nie drżały.

- Mówisz to z dumą? Powinnaś się wstydzić.

- Nie, nie z dumą. Ale na pewno nie żałuję swojej decyzji. Joe dużo wcześniej zламаł małżeńską przysięgę.

Nie patrzyła na list; nie chciała, aby przepojone wściekłością i goryczą słowa Joego zakłóciły jej spokój. Cały czas wpatrywała się w twarz matki.

- Ludzie przysięgają, że będą się kochać, szanować, dbać jedno o drugiego. Czy Joe mnie kochał, kiedy podnosił na mnie rękę? Czy szanował, kiedy się nade mną znęcał? Czy dbał o mnie, kiedy mnie gwałcił?

- Nie powinnaś tak mówić o własnym mężu!

- Przyszłam do ciebie, kiedy nie miałam gdzie się schronić. Kiedy pobił mnie tak, że ledwo powłóczyłam nogami. Dzieci były śmiertelnie wystraszone. A ty mnie odesłałaś do niego.

- Bo twoje miejsce jest w domu. Z mężem.

- Spędziłam z Joem dziesięć lat. To cud, że żyję. Powinnaś była mi pomóc, mamó. Stanąć w mojej obronie.

- Bronię wartości rodzinnych, instytucji małżeństwa! Jeśli swoim zachowaniem zmuszałaś męża, żeby cię dyscyplinował...

- Dyscyplinował? - Cassie poderwała się na nogi. - On nie miał prawa mnie dyscyplinować! Byłam jego żoną, nie psem! Nawet psa nie wolno traktować tak, jak on mnie traktował. Zdyscyplinowałby mnie na śmierć, gdybym nie zdobyła się na odwagę, żeby odejść. Czy wtedy byłabyś zadowolona, mamó? Dotrzymałabym przysięgi: dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

- Dramatyzujesz, Cassandro. Zresztą tamto to już przeszłość.

Wszystkiemu był winien alkohol. Joe się zmienił: przestał pić, zrozumiał swoje błędy. W liście prosi cię o wybaczenie i wyraża nadzieję, że dochowasz przysięgi.

- Ani mu nie wybaczę, ani do niego nie wrócę. Mamo, jak możesz brać jego stronę? Jestem twoją córką, twoim jedynym dzieckiem. - W twarzy Cassie nie było cienia wahania, cienia wątpliwości. - Jak możesz brać stronę mężczyzny, który mnie bił, zdradzał, znieważał? Który przemienił moje życie w piekło? Nie chcesz, żebym była szczęśliwa?

- Chcę, żebyś postępowała jak należy. Tak, jak ci każe.

- Zawsze tego chciałaś. Żebym była grzeczna, potulna, spełniała wszystkie polecenia, nie buntowała się. Jak myślisz, mamo, dlaczego wyszłam za Joego?

Pękła tama. Cassie z przerażeniem słuchała własnego głosu. Nie była w stanie powstrzymać potoku słów.

- Żeby uciec od ciebie. Żeby wyrwać się z domu, w którym nigdy nie rozbrzmiewał śmiech i w którym ludzie nigdy nie zdradzali żadnych uczuć.

- Wychowałaś się w porządnym domu, w duchu chrześcijańskich wartości - rzekła drżącym głosem Constance.

- W domu zimnym i bezdusznym. Nie chcę tego dla moich dzieci. - Cassie ze zdumieniem odkryła, że już się nie złości, nie denerwuje. Ogarnął ją dziwny spokój. - Jesteś moją matką, staram się okazać ci szacunek. I proszę cię o to samo: uszanuj moją wolę; przestań korespondować z Joem.

Constance dźwignęła się na nogi.

- Śmiesz mi mówić, co mam robić?

- Tak, mamo. Proszę, żebyś przestała pisać do Joego. I przestała słać listy do naczelnika więzienia.

- Nie mam zamiaru.

- W takim razie więcej do mnie nie przychodź. Nie mamy o czym rozmawiać.

Starsza kobieta wytrzeszczyła oczy.

- Wkrótce się opamiętasz. Odzyskasz rozum.

- Właśnie go odzyskałam. Do widzenia, mamó. Cassie podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

Patrzyła niewzruszona, jak matka wychodzi. Dopiero gdy została sama, zaczęła drżeć.

Powoli, żeby nie upaść, doczłapała do stołu. Przytrzymując się blatu, osunęła się na krzesło, objęła się w pasie i zaczęła kołysać.

Kwadrans później pojawił się Devin. Zamierzał zapukać, kiedy nagle ją dojrzał: skuloną, z pochylonymi ramionami, kołyszącą się w przód i w tył. Jakby próbowała ukoić ból.

Już raz ją taką widział: kiedy z posiniaczoną twarzą siedziała u niego w komisariacie, składając zeznania. Nie tracąc czasu na pukanie, pchnął drzwi i wpadł do środka.

- Cassie.

Podskoczyła jak oparzona. Z jej oczu wyzierało cierpienie zmieszane z lękiem. Kiedy wyciągnął do niej rękę, cofnęła się.

- Devin... Nie słyszałam, jak wchodziłeś. Byłam... -Nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć, za jakim skryć się kłamstwem. Przez moment, blada i drżąca, stała bez ruchu, po czym nagle zaczęła się kręcić jak fryga. - Napijesz się mrożonej herbaty? - Sięgała po szklanki, dzbanek.
- Mam ciasto z wiśniami. Upiekłam je z samego rana.

Położył ręce na jej ramionach. Znow podskoczyła. Szklanka, którą skończyła napełniać, wylądowała z hukiem na podłodze. Kot, który spał pod stołem, czmychnął w te pędy.

- Boże, ale nabrudziłam... - urwała. Miała wrażenie, że na jej piersi zaciska się żelazna obręcz. - Muszę... muszę...

Obrócił ją twarzą do siebie. Dygotała na całym ciele; starała się cofnąć, chociaż krok.

- Nie puszcze cię - szepnął i zgarnął ją w objęcia. Wybuchnęła płaczem. Wielkie jak groch, gorące łzy wsiąkały w jego koszulę. Przytulił dziewczynę jeszcze mocniej. Całował po włosach, gładził po plecach.

- Co się stało? Powiedz. Wtedy będę w stanie ci pomóc.

Zacząła mówić, szybko, nieskładnie, łkając, jękając się i pociągając nosem, ale najważniejsze zrozumiał. Ogarnęła go wściekłość.

- Słusznie postąpiłaś - powiedział, całując jej mokry policzek. - Nie miałaś wyboru.

- Ale to moja matka. - Cassie uniosła spuchniętą, zapłakaną twarz. - A ja jej wskazałam drzwi.

- To ona ciebie skrzywdziła, Cassie, nie ty ją.

- Tak nie powinno być - szepnęła.

- Zostaw ją! - Connor, synek Cassie, wpadł do środka. Miał zaciśnięte pięści, czerwone policzki, oczy ciskały gromy. Widział płaczącą mamę, a obok niej wielkiego mężczyznę. - Jeśli ją dotkniesz, zabiję cię!

- Connor! - zawołała zszokowana Cassie. Czy ten chłopiec w bojowej pozie to jej dziecko? Kątem oka spostrzegła wystraszoną Emmę. - Zabraniam ci tak mówić do szeryfa MacKade'a. Chłopiec postąpił krok bliżej.

- Zabierz ręce od mojej mamy!

Uniósłszy brwi, Devin posłusznie opuścił ręce.

- Prosiłam, żebyś nie mówił tym tonem... - zaczęła Cassie.

- Wyrządził ci krzywdę. Widziałem, że płaczesz.

- Dziesięcioletni wojownik wyszczerzył groźnie zęby.

- Lepiej, żeby stąd poszedł.

- Devin nie wyrządził mi krzywdy. - Zaskoczona i przejęta postawą syna, Cassie stanęła pomiędzy nim a szeryfem. - On mnie tylko pocieszał. To wasza babcia mnie zdenerwowała. Connor, masz natychmiast przeprosić szeryfa. Słyszysz?

Chłopiec opuścił pięści. Rumieniec wściekłości znikł z jego twarzy, a jego miejsce zajął rumieniec wstydu.

- Chciałbym z nim porozmawiać. W cztery oczy - oznajmił Devin i oczekując sprzeciwu Cassie, ścisnął ją za ramię. - Cass, chyba jakiś maluch popiskuje. Zajrzyjcie do niego z Emmą.

- Boże, Nate! Całkiem o nim zapomniałam. - Cassie przeczesła ręką włosy.

- No, leć. - Pchnął ją lekko w stronę holu. - A Connor i ja wybierzemy się na spacer.

- Chodź, Emmo. Nate płacze. - Skinęła głową na córkę, po czym popatrzyła na syna. - A ty masz przeprosić szeryfa.

- Dobrze, mamó. - Spuściwszy głowę, chłopiec skierował się na zewnątrz.

Wiedział, co go czeka. Potężny wycisk. Ojciec też go tłukł poza zasięgiem oczu i uszu matki. Dzisiejsze lanie będzie gorsze od wszystkich,

jakie dostał od ojca. Bo dziś starał się postąpić słusznie, stanąć w obronie matki, ale źle ocenił sytuację.

Devin nie odzywał się; ruszył przez trawnik w stronę lasu. Instynktownie wybrał ścieżką prowadzącą w lewo. Znał las równie dobrze jak miasteczko, jak własny dom, jak samego siebie. Obok dreptał Connor, ze spuszczoną ze wstydu głową.

Powstrzymał odruch, żeby otoczyć chłopca ramieniem; nie był pewien, jak ten gest zostanie odczytany. Po paru minutach doszedł do głazów, przy których sto pięćdziesiąt lat temu spotkali się żołnierze wrogich armii.

Usiadł. Connor stał, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

- Jestem z ciebie, chłopcze, niesamowicie dumny. obrońca Cassie poderwał głowę. Co jak co, ale takich słów się nie spodziewał.

Devin wyjął papierosa, pierwszego w dniu dzisiejszym.

- Twoja postawa... po prostu odetchnąłem z ulgą. Martwię się o twoją matkę; już dość się w życiu wycierpiała. Ale świadomość, że ma w tobie obrońcę, napawa mnie otuchą.

Chłopiec był zbyt skonfundowany, żeby czuć dumę. Spoglądał na Devina podejrzliwym wzrokiem.

- Byłem wobec ciebie niegrzeczny, szeryfie.

- Niegrzeczny? Nie powiedziałbym.

- Nie spuścisz mi lania?

Devin zawahał się. Rzucił ledwo napoczętego papierosa na ziemię i zgniótł butem. Najchętniej w ten sam sposób zmiażdżyłby gębę Joego Dolina.

- Posłuchaj, Connor. Nigdy cię nie uderzę, ani dziś, ani kiedykolwiek. - Mówił wolno, z powagą, jak mężczyzna do mężczyzny. - Nigdy nie uderzę twojej mamy ani siostry. Słowo honoru. - Wyciągnął rękę; chłopiec popatrzył na nią niepewnie. - Byłbym rad, gdybyś zechciał ją uścisnąć.

- Dobrze, szeryfie. - Connor, osłupiały, wyciągnął swoją.

Wymienili uścisk. Po chwili Devin uśmiechnął się szeroko.

- Rzuciłbyś się na mnie, prawda?

- Próbowalbym-przyznał Connor. Przeżywał cały wachlarz emocji.

Najbardziej bał się tego, że za moment się rozplacze, a wtedy wyjdzie na jaw, że nie jest żadnym obrońcą, tylko małym, głupim chłopcem. - Nigdy wcześniej nie broniłem mamy. Nic nie robiłem.

- To nie była twoja wina.

- Nie broniłem jej. On ją ciągle bił. Bez przerwy.

- Wiem.

- Nie, nie wiesz. Wiesz tylko, że czasem ktoś z sąsiadów dzwonił na policję. I że czasem mama chodziła posiniaczona, bo on był zbyt pijany i wtedy nie przejmował się, gdzie tłucze. Ale znęcał się codziennie.

Devin pokiwał głową. Teraz już nic nie mógł na to poradzić.

Przyciągnął chłopca do siebie i posadził obok na gładzie.

- Ciebie też bił, prawda?

- Tak. Kiedy mama nie widziała. - Chłopiec przytulił policzek do ramienia mężczyzny. - Przy niej nigdy.

Devina ogarnęła bezsilna złość.

- A Emmę?

- Nie, na Emmę nie zwracał uwagi. Ale nie mów mamie, że mnie bił.
Będzie jej przykro.

- Nie powiem. Obiecuję.

- Nienawidzę go. Zabiłbym go, gdybym mógł.

- Wiem, co czujesz. - Kiedy chłopiec potrząsnął głową, Devin ujął go za brodę i zmusił, by popatrzył mu w oczy. - Naprawdę wiem. Coś ci zdradzę. Kiedyś ja też stale wdawałem się w bójki.

- Słyszałem. - Connor pociągnął nosem, na szczęście udało mu się powstrzymać łzy. - Ludzie w miasteczku tak mówią.

- Lubilem się bić i wielu osobom miałem ochotę przyłożyć, czasem nawet bez powodu. Ale nauczyłem się samokontroli. Wystarczy zrobić jeden krok do tyłu. Mówisz, że chciałbyś zabić swojego ojca...

Chłopiec oburzył się.

- Nie nazywaj go tak! - Po chwili się zaczerwienił.

- W porządku. Wcale się nie dziwię twojej nienawiści. Ale musisz zrobić ten krok do tyłu. Niech wymiar sprawiedliwości zajmuje się Dolinem.

- Nie pozwolę mu więcej skrzywdzić mamy.

- Ja też nie. - Devin ponownie się zawahał; w końcu uznał, że chłopiec zasługuje na to, by poznać prawdę. - Wiesz, dlaczego mama płakała? Bo bardzo ją dziś zdenerwowała twoja babcia.

- Babcia chce, żeby on do nas wrócił. Ale się nie zgadzam. Nie wpuszczę go.

- Twoja mama też się z babcią nie zgadza. Dlatego wyrzuciła ją z domu. Nie było to dla niej łatwe, ale przemogła się.

- A ty, szeryfie, ją pocieszałeś. Przepraszam, że...

- Nie przepraszaj - przerwał mu Devin. - Słusznie postąpiłeś. Na twoim miejscu zachowałbym się tak samo.

Żaden komplement, który usłyszał, żadna ocena, którą dostał w szkole, żadna pochwała od kolegi z drużyny nie znaczyła dla niego tak wiele. On, dziesięcioletni Connor, zachował się tak, jakby na jego miejscu uczynił szeryf MacKade!

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, Con. W ramach specjalnego programu Dolin pracuje poza terenem więzienia.

- Wiem. Słyszałem od dzieciaków w szkole.

- Wciąż ci dokuczają? Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie tak jak dawniej.

Dorośleje, pomyślał z dumą Devin; uczy się nie przejmować głupimi docinkami.

- Obiecuj mi, że nie będziesz się zamartwiał. Po prostu miej oczy otwarte. Jesteś bystry, spostrzegawczy, dlatego tak dobrze piszesz opowiadania.

Connor, wyraźnie zadowolony, uśmiechnął się nieśmiało.

- Lubię pisać.

- Wiem. Masz doskonały zmysł obserwacji. Wykorzystaj go: obserwuj to, co się wkoło dzieje. Jeśli zobaczysz albo usłyszysz coś, co wyda ci się dziwne, natychmiast daj mi znać. Dobrze? Obiecasz mi?

- Tak, szeryfie.

- Czy musisz mnie ciągle nazywać szeryfem?

Chłopiec oblał się rumieńcem.

- Tak wypada.

W porządku, później się tym zajmiemy, uznał Devin.

- Wiesz co? Chciałbym mieć takiego syna jak ty.

- Nie chcę mieć ojca!

Przez moment ręka Devina, którą zamierzał objąć chłopca, zawisła nieruchomo w powietrzu.

- Dobrze, powiem inaczej. Chciałbym mieć takiego przyjaciela jak ty.

Pokiwawszy głową, chłopiec spojrzał ufnie w oczy szeryfa.

- Pewnie twoja mama się martwi, że tak długo mnie lejesz - zażartował, a Connor zachichotał. Devin poczochnął małemu włosy. - Wracaj do domu i powiedz jej, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Zajrzę do niej później w ciągu dnia.

- Jasne, szeryfie. - Connor poderwał się na nogi. Zdobywając się na odwagę, spytał: - Czy mogę czasem wpaść do ciebie na komisariat?

Popatrzeć, jak pracujesz?

- Oczywiście.

- Nie będę przeszkadzał. Usiądę sobie w kącie i... - urwał. - Mogę?

- Wpadaj, kiedy chcesz. Ale uprzedzam, moja praca często bywa nudna.

- Nie wierzę. - Chłopca rozpierała radość. - Dziękuję, szeryfie. Za wszystko.

Devin spoglądał na chłopca, jak ten biegiem oddalał się w stronę domu. Miał ochotę zapalić, dopiero po chwili przypomniał sobie, że rzuca palenie.

Kiedyś zostaną rodziną, pomyślał. On, Cassie, Connor i Emma. Tyle że Connor nie chce mieć ojca. Hm, trzeba będzie postępować ostrożnie, krok po kroku.

Pierwszy krok to Cassie. Musi zdobyć jej serce. Wtedy kolejne kroki będą podejmowali razem.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Choć miał wolny dzień, dwie godziny spędził w miejscowym liceum. Numer z bombą dymną wrzuconą do damskiej szatni nie bardzo się dowcipnisiom udał. Dymu było niewiele, a dziewczyny nie wybiegły z piskiem w samej bieliźnie.

Ta, którą sam przed laty skonstruował, odniosła znacznie lepszy skutek. Oczywiście dwóm winowajcom, których dopadł na korytarzu, nie chwalił się swoimi osiągnięciami.

Kiedy sytuacja była pod kontrolą, a młodociani chemicy, trzęsąc się ze strachu, przysięgli, że już nigdy więcej nie będą się tak zabawiać, Devin ruszył do pensjonatu.

Miał dla Cassie niespodziankę. Oby się jej spodobała. Na parkingu dla gości stał samochód. Devin wszedł do holu.

Cassie - w fartuchu, który najwyraźniej zapomniała zdjąć - rozmawiała z dwiema siwowłosymi kobietami. Przyjechały niespodziewanie, bez rezerwacji, i poprosiły, aby oprowadzić je po domu, bo ciekawiła je jego historia.

Były siostrami, obie parę lat temu owdowiały. Chciały poznać legendy związane z Antietam i wojną secesyjną. Zaszuchane schodziły na dół, kiedy pojawił się Devin.

- ... najbardziej krwawy dzień wojny secesyjnej - ciągnęła opowieść Cassie. - Na dawnym polu walki jest obecnie jeden z najlepiej utrzymanych parków w Stanach. Punkt informacyjny dla turystów

znajduje się niecałe osiem kilometrów stąd. Można tam... Dzień dobry, Devin.

- Niech panie nie zwracają na mnie uwagi...

- Pani Berman, pani Cox, przedstawiam paniom szeryfa MacKade'a.

- Szeryfa? - Pani Cox poprawiła okulary i uśmiechnęła się promiennie. - Och, jak miło.

- Witam panie w naszym uroczym miasteczku - powiedział Devin. - Z pewnością jest tu dziś znacznie spokojniej niż we wrześniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku. - Wiedząc, że turyści uwielbiają tego typu informacje, wskazał na schody. - Tu, gdzie panie stoją, zginął żołnierz armii konfederackiej.

- Mój Boże! - Pani Cox przycisnęła dłoń do serca.

- Słyszałaś, Irmo?

- Póki co nie mam problemów ze słuchem, Marge.

- Pani Berman zerknęła na stopnie, jakby szukając śladów krwi. - Pani Dolin opowiadała nam o historii tego domu. W jednej z ulotek wyczytałyśmy, że tu straszy, dlatego postanowiłyśmy przyjechać.

- Owszem, straszy.

- Pensjonat należy do brata szeryfa - wyjaśniła Cassie. - Szeryf może paniom sporo opowiedzieć o tym miejscu.

- Nie, Cassie, ty to robisz znakomicie - zaprotestował Devin. - Pani Dolin na co dzień mieszka z tutejszymi duchami - rzekł do turystek. - Opowiedz paniom historię o dwóch kapralach.

Chociaż opowiadała ją kilka razy w tygodniu, przy Devinie czuła się lekko spięta. Pokonując skrepowanie, skrzyżowała ręce na piersi i wzięła głęboki oddech.

- Podczas bitwy o Antietam dwaj młodzi żołnierze z wrogich armii niechcący oddzielili się od swoich oddziałów. Obaj zawędrowali do lasu, który ciągnie się tuż za pensjonatem. Niektórzy twierdzą, że próbowali odnaleźć drogę do swoich, inni, że chcieli dotrzeć do domu. Spotkali się w lesie, młodzi, zagubieni, wystraszeni. Dobyli broń; przypuszczalnie słyszeli odgłosy walki toczącej się za wzgórzem. Rzucili się na siebie.

- Biedacy - szepnęła pani Berman.

- Obaj odnieśli poważne rany. Zakrwawieni, półprzytomni, ruszyli w przeciwnie strony. Jeden, ten z armii konfederackiej, doczołgał się tu, do tego miejsca. Podobno wydawało mu się, że trafił do rodzinnego domu. Rannego znalazła służąca, pomogła mu wejść do środka. W owym czasie właścicielką majątku była kobieta z Południa, Abigail O'Brian Barlow, która poślubiła bogatego Jankesa. Nie kochała go, lecz byli związani przysięgą małżeńską.

Devin uniósł brwi. Tego szczegółu jeszcze nie słyszał.

- Abigail poczuła sympatię do młodego żołnierza, bo pochodził z Południa i był ranny. Kazała służbie wnieść go na górę, żeby opatrzyć mu rany. Szła obok, trzymając żołnierza za rękę. Pocieszała go. Zdawała sobie sprawę, że sama już nie wróci na ukochane Południe, ale miała nadzieję, że młodzieńcowi się uda. Widziała okrucieństwo i bezsens walki, ból, cierpienie. Gdyby mogła pomóc chociaż temu chłopcu, jej własne życie nabrałoby sensu.

Pani Cox wyjęła z torebki chusteczki.

- Nagle na górze schodów pojawił się mąż Abigail. Wtedy jeszcze nie czuła do niego nienawiści. Nie kochała go, ale szanowała człowieka, którego poślubiła, ojca swoich dzieci. Barlow trzymał strzelbę. Z oczu

meża Abigail wyczytała, co zamierza zrobić. Krzyknęła, żeby nie zabijał żołnierza, błagała. Ścisnęła żołnierza za rękę, ale zabrakło jej odwagi, by osłonić go własnym ciałem.

Na moment zamilkła. Patrząc na schody, westchnęła ciężko.

- Po prostu zabrakło jej odwagi. Barlow strzelił. Młody żołnierz armii konfederackiej zmarł na tych schodach. Ale nie tylko on, ona również. Życie straciło dla niej sens. Nigdy więcej nie odezwała się do męża, którego znienawidziła z całego serca. Przez dwa lata, do dnia swojej śmierci, żyła pogrążona w żałobie. Do dziś w domu unosi się zapach róż, które kochała, i często słyszeć jej płacz.

- Ojej, jaka smutna historia. - Pani Cox ponownie otarła łzy. -
Prawda, Irmo?

Pani Berman pociągnęła nosem.

- Powinna była wyrwać draniowi strzelbę i rozwalić mu łeb!

Cassie uśmiechnęła się.

- Może dlatego wciąż płacze? Z żalu, że tak nie zrobiła? -

Sprowadziła kobiety do holu. - Proszę rozgościć się w salonie, za chwilę przyniosę paniom świeżo zaparzonej herbaty.

- Bardzo dziękujemy... Naprawdę wspaniały jest ten dom. I jak pięknie urządzone.

- Wszystkie meble i dodatki pochodzą z „Czasu Przeszłego”. To sklep z antykami należący do żony właściciela pensjonatu. Warto tam zajrzeć. Tym bardziej że naszym gościom przysługuje dziesięcioprocentowa zniżka.

- Dziesięć procent zniżki... - Pani Berman łakomym wzrokiem popatrzyła na stojący w holu stylowy wieszak.

- Devin, napijesz się herbaty? Szeryf pokręcił przecząco głową.

- Innym razem. - Ciekawe, czy Cassie zdaje sobie sprawę, że talent do snucia opowieści Connor odziedziczył po niej. - Mam dla ciebie coś w samochodzie. Zaniosę ci na górę. Miło mi było panie poznać - zwrócił się do turystek. - Życzę udanego pobytu.

- Co za przystojny mężczyzna. - Pani Cox przytknęła dłoń do serca. - Powiedz, Irmo, widziałaś kiedyś przystojniejszego?

Jej siostra nie słuchała. Przeszedłszy do salonu, podziwiała stół z opuszczanym blatem.

Cassie podała herbatę i ciasteczka. Miała mnóstwo spraw do zrobienia; powtarzała też sobie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Wszystko na nic. Nie wytrzymała i pobiegła do mieszkania na piętrze.

Devin montował na balkonie huśtawkę. Przytwierdzał ciężką drewnianą ławę do łańcucha. Stał w blasku słońca, w koszuli z podwiniętymi rękawami. Ten widok zaparł jej dech.

- Chyba wybrałem dobre miejsce?

- Doskonale. Rafe nic nie wspominał o huśtawce.

- To był mój pomysł. Nie denerwuj się, spytałem go o pozwolenie. - Umocował drugi koniec ławy do łańcucha i lekko ją pchnął. - Działa. - Zebrał z podłogi narzędzia. - Wypróbujemy?

- Ale ja muszę wracać...

- Proszę. Na chwilę. - Odstawił skrzynkę z narzędziami na bok. - Pomyślałem sobie, że będziemy mogli czasem posiedzieć tu razem na powietrzu. I będę mógł cię znów pocałować.

- Pocałować?

- Powiedziałaś, że ci nie masz nic przeciwko.

- No nie. Nie mam. - Serce łomotało jej w piersi. - Nie powinienes być w pracy?

- Mam wolny dzień. - Ujął ją za rękę. - Ślicznie dziś wyglądasz, Cassie.

Zarumieniła się.

- Sprzątałam. Dlatego jestem w fartuchu...

- Wyjątkowo ślicznie. - Pociągnął ją na huśtawkę.

- Może przyniosę ci coś zimnego do picia?

- Kiedy w końcu zrozumiesz, że nie zaglądam tu po to, żebyś mogła mi dać coś do picia?

- Connor mówił, że martwisz się o mnie. Niepotrzebnie. - Odgarnęła włosy. - Cieszę się, że wpadłeś, bo chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś. Connor wrócił jak na skrzydłach.

- Nic nie zrobiłem, Cassie. Masz wspaniałego syna.

- Wiem. - Wzięła głęboki oddech i nieco bardziej odprężona oparła się plecami o tył huśtawki. Łagodne kołysanie sprawiło, że przeniosła się myślami w przeszłość, do czasów dzieciństwa i beztroskich dni. Roześmiała się cicho.

- Co cię śmieszy?

- To, że siedzimy na huśtawce jak para nastolatków.

- Hm, gdybyś miała szesnaście lat, mój następny krok byłby taki... - Przeciągnął się, jedną rękę położył na oparciu, a drugą objął Cassie za ramię. - Bardzo subtelnie starałbym się do ciebie zbliżyć.

Ponownie rozległ się jej śmiech.

- Kiedy miałam szesnaście lat, ty byłeś podrywaczem i rozrabiaką. Wszyscy wiedzieli, że wymykasz się z dziewczynami do kamieniołomów i...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Delikatnie, rozkoszując się drżeniem jej warg.

- Chcesz jechać do kamieniołomów? - spytał, a kiedy Cassie wytrzeszczyła oczy, uśmiechnął się łobuzersko. - Dobra, innym razem. Dziś wystarczą mi twoje usta. Pocałuj mnie. Tak, jakbyś miała szesnaście lat i zero zmartwień na głowie.

Gdyby chodziło o inną kobietę, pewnie rozbawiłby go wyraz koncentracji na jej twarzy. Ale ponieważ chodziło o Cassie, poczuł wzruszenie, gdy po chwili wahania przycisnęła usta do jego warg i nieśmiało objęła go za szyję.

- Rozluźnij się - szepnął. - Postaraj się o niczym nie myśleć.

- Ja... - O niczym nie myśleć? Nie potrafiła. Ale kiedy dłonie Devina zaczęły ją delikatnie pieścić, nagle wszystkie myśli wyparowały jej z głowy.

- Uwielbiam twój dotyk, twój smak. - Całował ją po brodzie, po skroniach, szyi. - Marzyłem o tym.

- Naprawdę?

- Od lat tego pragnąłem. Żeby cię trzymać w ramionach. Tak jak teraz.

- Ale... - Próbowała się skupić na tym, co mówił. - Więc dlaczego... ?

- Wyszłaś za mąż. - Obsypywał pocałunkami jej twarz. - Spóźniłem się. W dniu, w którym poślubiłaś Dolina, upiłem się do nieprzytomności.

Nie wiedziałem, co z sobą począć. Miałem ochotę go zabić, ale uznałem, że go kochasz, a nie chciałem cię unieszczęśliwić.

- Devin, nic z tego nie rozumiem. - Gdyby przestał ją całować, choć na chwilę, łatwiej byłoby jej zebrać myśli.

Ale on nie zamierzał przestawać.

- Tak bardzo cię kochałem... Myślałem, że umrę z rozpacz. Że padnę i więcej się nie podniosę.

- Och, nie! - Przerazona, wyrwała mu się z objęć. Zbyt wiele powiedział. Jutro pewnie będzie żałował swojej szczerości, ale dziś niczego nie chciał przed nią ukrywać.

- Kocham cię od ponad dwunastu lat, Cassandro. Kochałem cię, kiedy byłaś żoną innego mężczyzny, kiedy rodziłaś mu dzieci. Kochałem cię, kiedy cierpiałaś, a ja nie potrafiłem ci pomóc. I kocham teraz.

Wstała i w geście obronnym zacisnęła wokół siebie ręce.

- To niemożliwe, żebyś...

- Nie mów mi, co czuję! Odskokczyła, słysząc gniewny ton.

- I nie kul się ze strachu, kiedy podnoszę głos. - Stał naprzeciw niej. - Nie jestem cichym, potulnym facetem, ale nie jestem też Dolinem. Nigdy cię nie uderzę.

- Wiem. - Opuściła ręce. Przez moment patrzyła w milczeniu, jak Devin usiłuje opanować gniew. - Nie chcę, żebyś się na mnie złościł, ale nie wiem, co ci powiedzieć.

Wsunąwszy ręce do kieszeni, zaczął chodzić tam i z powrotem, od ściany do ściany.

- Zwykle działam wolno, w sposób przemyślany. Wtedy moje działania przynoszą pożądany rezultat. Teraz nie mogłem się

powstrzymać. Musiałem ci powiedzieć, co mi leży na sercu. Nie cofnę tych słów. Następny krok należy do ciebie, Cassie.

- Do mnie? - Oszołomiona, rozłożyła bezradnie ręce. - Mam uwierzyć, że taki mężczyzna jak ty całymi latami mnie kochał i nigdy się z tym nie zdradził?

- A co, do diabła, miałem zrobić? - spytał. - Byłaś mężatką. Dokonałaś wyboru i poślubiłaś Joego.

- Nie przyszło mi do głowy, że mam jakiś wybór.

- Mój błąd - oznajmił z goryczą. - Teraz popełniłem kolejny, bo nie jesteś gotowa na nowy związek. Albo nie jesteś gotowa na związek ze mną.

Przycisnęła dłonie do twarzy. Miała mętlik w głowie.

- Nie potrafię jasno myśleć. Jesteś moim przyjacielem. Jako szeryf bardzo mi pomogłeś. Do końca życia będę ci wdzięczna...

- Nie mów tak! - zdenerwował się. Wzburzony, nie zauważył, że Cassie pobladła. - W nosie mam wdzięczność. I nie traktuj mnie jak szeryfa.

- Przepraszam...

- Nie chcę twoich przeprosin! Nie chcę wdzięczności! Jeśli musisz komuś dziękować, że wsadziłem za kratki drania, który latami cię dręczył, to podziękuj wymiarowi sprawiedliwości. Boja bym łobuza zatłukł na śmierć. A jeśli jesteś wdzięczna, że wpadam do ciebie w odwiedziny, to nie bądź. Wpadam, bo... Mniejsza z tym! - Zmierzył ją wzrokiem. - To cię nie interesuje, prawda? Pragniesz czegoś innego: żebym nie podnosił głosu, tłumił emocje i trzymał ręce przy sobie.

- Nie, ja wcale...

- Wiem, wiem, nie przeszkadzają ci moje pocałunki. Ale co masz biedna mówić, skoro jesteś mi taka wdzięczna?

- Devin...

- Znudziło mi się bycie miłym, poczciwym facetem. Znudziło mi się czekanie. Znudziła mi się nieodwzajemniona miłość. Do diabła z nią!

Minął Cassie i ruszył w dół po schodach. Był prawie na samym dole, kiedy, oprzytomniawszy, rzuciła się za nim pędem.

- Devin, poczekaj. Pozwól mi... Stracił jej dłoń ze swojego ramienia.

- Zostaw mnie, Cassie.

Znała takie spojrzenie pełne goryczy, wściekłości i furii, choć nie spodziewała się zobaczyć go w oczach Devina. Ogarnął ją strach, lecz zacisnęła zęby i nie uciekła. Devin nie dowie się, ile kosztuje ją dzisiejsza rozmowa.

- Nigdy nic nie mówiłeś - wykrztusiła, usiłując zapanować nad emocjami. - Z niczym się nie zdradziłeś. Teraz otwierasz przede mną serce, ale nie dajesz mi chwili na zastanowienie, na to, żebym mogła wszystko spokojnie przetrwać. Protestujesz, kiedy wyrażam wdzięczność. Protestujesz, kiedy przepraszam. Ale taka jestem. Już nigdy nie zmienię się dla żadnego mężczyzny. Po prostu nie mogę. Zrozum.

- Rozumiem. - Potworny, rozdzierający ból, który nim targał, nie pozwalał mu jasno myśleć. - Ale w jednym się mylisz, Cassie. Nie chcę cię innej, nie chcę, żebyś się zmieniała. Kiedy to w końcu do ciebie dotrze, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Otworzyła usta, lecz nie zdążyła nic powiedzieć. Zresztą co miałyby powiedzieć? Łzy podeszły jej do gardła.

To nie wściekłość wyczierała z oczu Devina. To ból. Ból, który niezamierzenie mu zadała.

Devin MacKade ją kochał. Było to wprost niepojęte. Na samą myśl kręciło się jej w głowie. Jeszcze bardziej niepojęte było to, że kocha ją od tylu lat. Devin MacKade, najszlachetniejszy, najcudowniejszy człowiek pod słońcem, wyznał, że kocha ją od dwunastu lat, a jedyne, co miała mu do powiedzenia, to że mu dziękuje i że jest mu wdzięczna.

Teraz go straciła. Straciła jego przyjaźń, którą tak sobie ceniła. Straciła, bo Devin pragnął kobiety, a ona czuła się pusta w środku.

Nie rozplakała się. Za późno na łzy. Wyprostowała się i wróciła do kuchni. Czekają na nią mnóstwo obowiązków, a zawsze najlepiej się jej myślało, kiedy była pochłonięta pracą.

Na dole nie było nikogo. Siwowłose siostry najwyraźniej ruszyły na poszukiwanie antyków. Cassie udała się na piętro i włączyła odkurzacz, żeby dokończyć sprzątanie.

Pracowała metodycznie: najpierw korytarz, potem pokoje. Na koniec zostawiała ten, który najbardziej lubiła: dawną sypialnię małżeńską zajmowaną przez Abigail. Dziś jednak nie zwracała uwagi na śliczną tapetę w małe różyczki, na wspaniałe łoże z baldachimem, na promienie słońca przeciskające się przez koronkowe zasłony w oknach.

Przypomniała sobie, że musi wstawić do wazonu świeże kwiaty. Nawet gdy w pokoju nikt nie mieszkał, na stole pod oknem zawsze stały kwiaty. Tego ranka o nich zapomniała.

Mimo to w powietrzu unosiła się intensywna woń róż.

Nagle do sypialni wpadł chłodny powiew, jakby ktoś gdzieś otworzył drzwi. Cassie zadrżała.

- Devin... - Przepęłniły ją emocje: ulga, smutek, nadzieja.

Obróciła się. Mężczyzna stojący w drzwiach, wysoki, przystojny brunet, to nie był Devin. Rysy twarzy miał inne, ubranie także - wizytowe, nieco staroświeckie. Puściła odkurzacza, jego szum wciąż brzęczał jej w uszach.

Abigail, jedź ze mną. Zabierz dzieci i jedź ze mną. Zostaw dom, zostaw męża. Przecież go nie kochasz.

Nie, pomyślała Cassie, nigdy go nie kochałam. A teraz go wręcz nienawidzę.

Nie widzisz, jak to wszystko na ciebie wpływa? Jak długo możesz tak żyć?

A co mogę zrobić? Nie mam innego wyjścia.

Kocham cię, Abby. Tak bardzo cię kocham. Gdybyś mi tylko pozwoliła, uczyniłbym cię szczęśliwą. Wyjedźmy stąd, jak najdalej od niego. Zacznijmy razem nowe życie. Tak długo na ciebie czekam.

Wyjechać? Jak? Przecież to niemożliwe. Mam z nim dzieci. A ty... twoje życie też jest tutaj. Nie możesz porzucić miasteczka, obowiązków, ludzi, którzy na tobie polegają. Nie możesz rozpocząć życia z żoną innego mężczyzny, z jego dziećmi.

Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił. Zabiłbym dla ciebie. Umarł dla ciebie. Na miłość boską, Abigail, daj mi szansę. Pozwól się kochać. Tyle lat stałem na uboczu, obserwowałem cię i widziałem, że jesteś nieszczęśliwa. Ale to się skończyło. Jego nie ma. Możemy wyjechać i być daleko stąd, zanim on wróci do domu. Dlaczego mamy zadowolić się tym, co los nam zgotował, skoro możemy mieć znacznie więcej? Nie chcę

siedzieć z tobą w salonie i udawać, że cię nie kocham, nie potrzebuję. Nie mogę ciągle być twoim przyjacielem.

Przecież wiesz, że cię lubię. Że cię cenię.

Powiedz, że mnie kochasz.

Nie mogę. Jestem pusta w środku. Nic nie czuję. On zabił we mnie wszystko.

Jedź ze mną. Zaczynaj znów żyć.

Ktokolwiek to był, rozplątał się w powietrzu. Znikł. Pozostał jedynie silny zapach róż. Cassie stała na środku pokoju, kołysząc się lekko; trzymała wyciągniętą przed siebie rękę, jakby usiłowała kogoś dotknąć.

Osunęła się na kolana. Odkurzaczy wciąż cicho szumiało.

Co to było? - zastanawiała się. Halucynacje? Omamy? Sen?

Przyłożyła rękę do serca; trzepotało niczym ptak w klatce, który rozpaczliwie próbuje wydostać się na zewnątrz. Usiadła na podłodze, przyciągnęła kolana do brody, oparła na nich czoło.

Wielokrotnie słyszała poruszające się po domu duchy, czuła ich obecność. Uświadomiła sobie, że dziś po raz pierwszy w życiu zobaczyła ducha. Nie Barlowów, nie biednego zabłąkanego żołnierza, lecz ducha mężczyzny, którego Abigail kochała i który ją kochał.

Kim był? Pewnie nigdy się tego nie dowiem. Jego smutna twarz przykuwała spojrzenie, w głosie pobrzmiwała siła. Dlaczego Abigail nie wyjechała z ukochanym? Dlaczego nie ujęła ręki, którą do niej wyciągał? Dlaczego nie uciekła, dlaczego nie chciała się ratować?

Przecież go kochała. Co do tego Cassie nie miała najmniejszych wątpliwości.

Czy dlatego wciąż płacze? Bo stchórzyła i straciła człowieka, którego kochała? Nie zareagowała na jego prośbę, nie wzięła jego ręki, a potem... potem już było za późno?

Bała się, więc złamała mu serce.

Tak jak ona, Cassie, złamała dziś serce Devina.

Dlaczego tak postąpiła? Ze strachu i niepewności. Z przyzwyczajenia. Ależ była żałosna! Devin pragnął usłyszeć, że jej na nim zależy, że coś do niego czuje. A ona? Nie zdobyła się na to. Nie umiała okazać mu, jak wiele dla niej znaczy.

Czy zamknie się w sobie, tak jak Abigail? A może podejmie ryzyko? W końcu jak długo można być tchórzem?

Wierzchem dłoni przetarła wilgotną twarz i wstała. Musi do niego pojechać. Musi się z nim spotkać i porozmawiać. Po prostu musi.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Miała dzieci; nie mogła zostawić ich bez opieki. Miała też pracę, obowiązki, gości, którymi powinna się zająć. Minęło kilka godzin, zanim się ze wszystkim uporała. Lecz z każdą minutą ogarniały ją coraz większe wątpliwości.

Powtarzała sobie, że nic złego się nie stanie. Że sobie poradzi. Devin jej pragnie. To jest najważniejsze.

- Kochana jesteś, Ed. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

- Bez przesady. - Zasiadłszy przed telewizorem z miską prażonej kukurydzy na kolanach, Ed machnęła lekceważąco ręką. - Zamknęłam lokal godzinę wcześniej. Mam prawo.

- Dzieciaki śpią. Prawie nigdy się w nocy nie budzą.

- O nic się nie martw, złotko. Ani o dzieci, ani o gości na dole - dodała Ed. - Jeżeli czegoś będą potrzebowali, zadzwonią na górę i

powiedzą. Obejrzę sobie film, który wzięłam z wypożyczalni, a potem też uderzę w kimono.

- Na łóżku, pamiętaj. Mnie po powrocie wystarczy kanapa.

Po powrocie? Ed podejrzewała, że ten powrót nastąpi dopiero wcześniej rano.

- Pozdrów ode mnie Devina. Cassie nerwowo skubała bluzkę.

- Chcę wpaść do niego do biura. Porozmawiać.

- Skoro tak twierdzisz.

- Jest na mnie zły. Tak wściekły, że może wyrzucić mnie za drzwi.

Ed przyjrzała się uważnie Cassie.

- Skarbie, jak popatrzysz na niego tymi swoimi pięknymi oczami, to nie tylko cię nie wyrzuci, ale zaciągnie na pryczę, na której czasem sam przesypia noce. Och, przestań! - Roześmiała się, widząc, jak przyjaciółka nerwowo przygryza wargę. - Devin do niczego nie będzie cię zmuszał. Tacy jak on nie muszą uciekać się do siły.

- Skąd wiedziałaś, że ja... że chcę...

- Cassie, słoneczko, rozmawiasz z kobietą, która niejedno widziała, niejedno słyszała i niejedno przeżyła. Jeśli prosisz, żebym u ciebie przenocowała, bo musisz pogadać z Devinem, nietrudno mi się domyślić, o co chodzi. Już dawno powinnaś była się z nim dogadać.

Cassie zerknęła do lustra; zobaczyła w nim młodą kobietę w gładkiej bawełnianej bluzce, prostych spodniach i butach na płaskim obcasie. Nie wyglądała na żadną *femme fatale*.

- Boże, Ed, nie wiem, jak się do tego zabrać... Ed przekrzywiła na bok głowę.

- Nie denerwuj się, Devin na pewno sobie poradzi.

- Regan mówiła, że powinnam pozwolić mu narzucać tempo. Może...

- Kotku, czasem nawet twardej potrzebuje małego kopa. No, przestań wyłamywać sobie palce. Idź i zwyciężaj.

- Może powinnam coś zrobić z włosami? I pomalować usta, bo chyba starła mi się szminka? A może się przebrać? Włożyć sukienkę?

Ed zsunęła z nosa rogowe okulary.

- Cassie, wyglądasz doskonale. Świeżo i niewinnie. A Devin nawet nie zwróci uwagi na to, co masz na sobie. Wierz mi. Po prostu ucieszy się, że przyszedłaś. Leć.

Cassie wzięła głęboki oddech, sięgnęła po torebkę.

- Dobrze. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała...

- Nie będę. Idź już.

- Idę, idę.

Ed potrząsnęła rudą czupryną. Biedna dziewczyna, pomyślała, odprowadzając Cassie wzrokiem; ma minę, jakby szła na ścięcie.

Roześmiewszy się cicho, nasunęła na nos okulary i włączyła film.

Wierzyła w urok i siłę przekonywania Devina MacKade'a.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Naprawdę powinien się poddać, wyciągnąć na pryczy i zwyczajnie w świecie spróbować zasnąć. Tak sobie powtarzał, ale dalej siedział przy biurku z nosem w książce. Powieść nie wzbudzała jego zainteresowania, choć nie było w tym winy autora. Po prostu w tym momencie nic nie było w stanie go zainteresować.

Wciąż był spięty i zły. Nie miał na kim ani na czym wyładować złości. Nawet kusilo go, żeby pojechać na farmę i wszcząć bójkę z bratem. Ale to zbyt łatwe rozwiązanie, łatwe i głupie. Dlatego z niego zrezygnował.

I dlatego, tłumaczył sobie, że jest dorosłym, odpowiedzialnym facetem. Bójki jako sposób wyładowania frustracji czy wściekłości są dobre dla nastolatków. Gdyby miał dwadzieścia kilka lat, może by wybrał taką opcję. Cholera, wybrałby ją jeszcze tydzień temu.

Ale dziś nie miał ochoty.

Nie, dziś będzie siedział w swoim gabinecie, z nogami na biurku, i czytał. Nawet jeśli miałby przy tym zdechnąć.

Minęła dwudziesta druga. Mała szansa, żeby w środku tygodnia o tej porze zadzwonił telefon. Był skazany na nudę. Oczywiście nikt mu nie kazał tkwić po nocy na komisariacie, ale lubił panujący tu spokój i ciszę. No i czuł dziwną satysfakcję, że spędza czas za biurkiem, a nie za kratkami.

Zazwyczaj, żeby ożywić atmosferę, włączał radio. Dziś nie. Dziś paliła się tylko jedna pojedyncza lampka. Oświetlała książkę, którą trzymał w ręku, lecz której nie czytał.

Zastanawiał się, czy wstać, by zaparzyć kawy. Ale pożałował wysiłku.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej był taki zły, a jednocześnie tak nieludzko zmęczony. Zwykle kiedy się złościł, skakał mu poziom adrenaliny, serce biło szybciej, energia go rozsadzała. Teraz czuł się wypompowany, wyczerpany z sił. No ale zwykle jego wściekłość była skierowana na innych, a tym razem... Owszem, był zły na Cassie, głównie jednak na siebie.

Kiedy kobieta rani mężczyznę, reakcją obronną mężczyzny jest gniew.

Mówił innym kobietom, że je kocha, ale to nie była cała prawda. Usiłował je kochać. Próbował zapomnieć o Cassie. Bo najbardziej w świecie nie chciał uzalać się nad sobą.

A właśnie się uzalał.

Dąsas się, nabzdyczasz, stwierdziłaby jego matka. Cholera, strasznie za nią tęsknił. Dziś bardziej niż kiedykolwiek, a przecież cały czas odczuwał jej brak.

Matka pewnie wytargałaby go za ucho albo roześmiała się serdecznie. Powiedziałyby, żeby przestał się roztkliwiać. Kazałyby wziąć się do roboty, zamiast dumać nad tym, co powinien był zrobić. Albo co zrobił źle.

Szlag by to trafił. Odchyliwszy się w fotelu, położył otwartą książkę na piersi, zamknął oczy i spróbował się skupić na czymś innym.

Musi porozmawiać z burmistrzem o ustawieniu znaku stopu przy Reno, za dużo tam wypadków. Obiecał dyrektorowi liceum, że zanim dzieciaki rozjadą się na wakacje, wygłosi na apelu parę słów na temat bezpieczeństwa i przestrzegania prawa. No i powinien pomóc Shane'owi przy pierwszych sianokosach.

Sen nadszedł chyłkiem, niespodziewanie. W jednej chwili Devin rozmyślał o sianokosach, w następnej stał przed drzwiami sypialni. Czyżby... To nie była sypialnia Cassie, lecz Abigail. Poczuł, jak na nowo wzbiera w nim miłość i tęsknota. Dlaczego nie rozumiała, że są sobie przeznaczeni? Że potrzebują się nawzajem? Jak długo zamierza siedzieć, z haftem w dłoni, posepna i zagubiona?

Prosił i błagał, lecz w żaden sposób nie potrafił jej przekonać, aby z nim wyjechała, aby pozwoliła mu się kochać. Mogli być razem, szczęśliwi, ale ona ciągle odmawiała.

Oprócz miłości i tęsknoty wezbrała w nim również złość. Był zmęczony żebraniem o uczucie, o szansę na wspólne życie.

Nie będę cię więcej prosił. Nie będę więcej przychodził, żebyś raz po raz łamała mi serce. Zbyt długo czekałem. Jeśli ma być jak dotąd, to wolę opuścić Antietam. Nie mogę być tu szeryfem, wiedząc, że jesteś obok, lecz na zawsze poza moim zasięgiem. Muszę się pozbierać, spróbować ułożyć sobie życie.

Nie odpowiedziała. Odwrócił się i wyszedł. Idąc korytarzem, a potem schodami na dół, zrozumiał, że to już koniec. Gdy był na zewnątrz, z domu dobiegł go jej cichy płacz.

Stała po drugiej stronie biurka, międląc w palcach pasek od torebki. Zaskoczona widokiem Devina, śpiącego w fotelu, z nogami na biurku i

książką na piersi, rozważała, czy go obudzić. A może zostawić, a samej cichutko wyjść?

Zwykle na twarzy człowieka pogrążonego we śnie maluje się błogość i spokój, ale twarz Devina była ponura, spięta, usta gniewnie zaciśnięte. Cassie żałowała, że nie ma odwagi jej pogłodzić, sprawić, by znikły bruzdy, a pojawił się uśmiech.

Nigdy nie należała do odważnych. Na tym polegał problem.

Nagle Devin otworzył oczy, a ona podskoczyła jak oparzona.

- Przepraszam. Nie chciałam cię obudzić.

- Nie spałem. - Przynajmniej nie sądził, że spał. W głowie miał chaos, wciąż czuł zapach róż. Przez moment wydawało mu się, że Cassie stoi ubrana w długą do ziemi niebieską suknię z koronkowym żabotem pod szyją.

Nie, to były zwidy. Miała na sobie skromną bawełnianą bluzkę i spodnie.

- Rozmyślałem o pewnych sprawach służbowych.

- Jeśli ci przeszkadzam, to mogę...

- O co chodzi, Cassie?

- Ja... - Widziała, że nadal jest zły. Ale była na to przygotowana. -

Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Słucham.

- Wiem, że cię zraniłam i jesteś na mnie wściekły. I nie chcesz, bym cię przeproszała, więc nie będę.

- Świetnie. Nie zaproponujesz mi kawy?

- Tak, oczywiście... - Postąpiła krok w stronę ekspresu, zreflektowała się. Kiedy obróciła się do Devina, ten uniósł pytająco brwi. - Nie, nie proponuję.

- Brawo.

- Pracowałam w kawiarni. Przyzwyczaiałam się do obsługiwania gości. - Ogarnęła ją irytacja, uczucie jej obce, lecz całkiem przyjemne. - Przykro mi, jeśli ci to przeszkadza. Ale może ja to lubię? Może dzięki temu czuję się potrzebna?

Widział wzburzenie w jej oczach; podniecało go.

- Nie chcę, żebyś mnie obsługiwała. I nie chcę, żebyś czuła się wobec mnie w jakikolwiek sposób zobligowana.

- Ale się czuję. Nic na to nie poradzę... Tylko na mnie nie krzycz. Zamknął usta, zaskoczony jej rzeczowym tonem.

- Daj mi dokończyć. - To wcale nie jest takie trudne, pomyślała. Należy tylko być stanowczym, jasno wyrażać swoje życzenia, unikać dygresji. - Mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, ale to nie znaczy, że poza wdzięcznością... że nic więcej do ciebie nie czuję.

- A co czujesz?

- Nie umiem tego sprecyzować. Dawno... właściwie nigdy nic nie czułam do żadnego mężczyzny... Nie chcę stracić twojej przyjaźni. Na nikim mi tak bardzo nie zależy, jak na tobie. Kiedy... kiedy jesteśmy razem... - zaczęła dukać; wiele by dała, żeby umieć opanować zdenerwowanie. - Lubię, kiedy jesteśmy razem. Tak jak dziś po południu, zanim się na mnie wściekłeś. Było... naprawdę miło.

Wzruszyła go, gdy tak stała, skubiąc pasek od torebki. Złość całkiem z niego wyparowała.

- W porządku, Cassie. Może więc...

- Przyszłam tu, żeby... żeby pójść z tobą do łóżka. Zatkąło go. Nim ochłonął z wrażenia, drzwi się

otworzyły i do gabinetu wparował Shane.

- Cześć, Cassie. Hej, Dev. Pomyślałem sobie, że może masz ochotę wpaść do Duffa i zagrać w bilard. Cassie mogłaby nam kibicować. Zresztą najwyższy czas, żeby sama nauczyła się grać.

- Wynocha, Shane - mruknął Devin, nie spuszczać oczu z Cassie.

- No chodź. Przecież nie masz tu nic do roboty. Będiesz tak siedział, czytając książki i pijąc zwietrzałą kawę? - Podniósł do nosa dzbanek i powąchał. - To świństwo cię zabije.

- Zjeżdżaj stąd albo ja cię zabiję.

- Cholera jasna, czym ci się naraziłem? Przecież tylko... - Nagle Shane urwał. Wyczuł napięcie w powietrzu, zobaczył, jak brat wpatruje się w Cassie, jak ona patrzy na niego. - O kurczę. O kurczę - powtórzył, wolno rozciągając usta w szerokim uśmiechu. - A niech mnie! Kto by pomyślał?

- Daję ci dziesięć sekund na dojście do drzwi, a potem strzelam.

- Dobra, już idę. Skąd mogłem wiedzieć, że ty i Cassie...

- Jutro połamię ci kości. - Devin opuścił nogi na podłogę.

- W porządku. Skoro nie kusi was bilard, to sam sobie pogram. Aha, chcecie, żebym was zamknął? - Mrugnawszy porozumiewawczo do brata, przekręcił w zamku zasuwkę i wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi.

- Chyba jutro go nie dopadniesz? - zaniepokoiła się Cassie. - On nie chciał nic złego... - Nagle urwała.

Devin wstał z fotela i wolno obszedł biurko.

- Możesz powtórzyć to, co powiedziałaś, zanim tu wparował mój durny braciszek?

- Że chcę pójść z tobą do łóżka.

- Tak mi się wydawało. Czyli jednak się nie przesłyszałem. Hm... - zmarszczył czoło. - Czy to twój nowy sposób na utrzymanie przyjaźni? Na wyrażenie skruchy lub żalu?

- Ależ nie. - Bała się, że wszystko zepsuje. Devin sprawiał wrażenie mocno zaintrygowanego, a nie podnieconego. - Chociaż może. Nie mam pojęcia. To znaczy, myślałam, że tego chcesz. A nie chcesz?

- Pytam, Cassie, czego ty chcesz.

- Przecież ci powiedziałam. - Boże, ile razy można to powtarzać? - Przyszłam do ciebie, tak? Poprosiłam Ed, żeby została z dziećmi. - Na moment zacisnęła powieki. - Jestem tu, Devin. Cała ta sytuacja... to nie jest dla mnie łatwe.

- Widzę, Cassie. Posłuchaj: pragnę cię, ale nie chcę cię do niczego zmuszać. Nie chcę, abyś myślała, że pójdziecie do łóżka to jedyny sposób na naprawienie naszych relacji.

Raz tak postąpiła. Wtedy się udało, więc liczyła, że tym razem też się uda. Przyłożywszy rękę do policzka

Devina, bez słowa wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- I teraz czekasz, że się na ciebie rzucę... - mruknął.

- Boże, gubię się w tym wszystkim. - Zdegustowana cisnęła torebkę na krzesło. - Zawsze byłam do niczego w tych sprawach.

- W tych sprawach. To znaczy w seksie?

- Oczywiście, że w seksie. A o czym mówimy?

- Cassie, nie... - zaczął, ale nie dopuściła go do głosu.

Wzięła głęboki oddech i przystąpiła do szturmu. W tak bojowym nastroju jeszcze jej nie widział.

- Nie mam pojęcia, czego chcesz, co lubisz, ani w jaki sposób mogę ci to zaofiarować. Gdybyś zachowywał się jak zawsze, był dawnym sobą, wszystko jakoś by się potoczyło. Nie o to chodzi, że nie spodoba mi się seks z tobą. Spodoba. Nie mam co do tego wątpliwości. Przecież to nie twoja wina, że jestem taka sztywna i niezdarna. I że nigdy nie przeżyłam orgazmu.

Urwała przerażona; miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię.

Devin wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Słucham?

Ja tego nie powiedziałam! To nie ja, to ktoś inny! Rozglądała się nerwowo po pokoju, starannie unikając spojrzenia Devina; można było odnieść wrażenie, że szuka ukrytego winowajcy. Nie znalazłszy go, a usiłując się bronić przed poczuciem wstydu, które zalewało ją niczym potężna fala, brnęła dalej:

- Chcę iść z tobą do łóżka. Wiem, że będzie miło. Skoro tak jest, kiedy mnie całujesz, to cała reszta też na pewno będzie miła. Boże, Devin, nie stój tak! Zrób coś, cokolwiek, żebym nie czuła się jak kretyńka.

Zrób coś? Zakreśliło mu się w głowie. Wiedział, że kobieta, na którą patrzy, jest matką dwójki dzieci i od dziesięciu lat mężatką. Ale dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że pod wieloma względami jest również dziewczicą.

Ta myśl go dosłownie sparaliżowała. Był przerażony jak nigdy w życiu.

Otworzył usta. Zamierzał powiedzieć, że pójście do łóżka nie jest dobrym rozwiązaniem, że lepiej cofnąć się krok, a potem zacząć od nowa, wolno, bez pośpiechu. Ale zrozumiał, że nie powinien tego mówić, że byłby to błąd. Cassie dość się wycierpiała; teraz zdobyła się na odwagę, przysła do niego. Prośbę o cierpliwość odczytałaby jako odrzucenie.

- Mam robić z tobą to, na co mam ochotę? Odetchnąwszy z ulgą, uśmiechnęła się.

- Tak.

Serce zabiło mu mocniej, adrenalina skoczyła. Jeśli nie chciał Cassie wystraszyć, wiedział, że musi nieco ochłonać.

- I mówić ci, co ty masz robić, a ty wszystko wykonasz?

- Tak. - No proszę, życie naprawdę może być piękne i proste, pomyślała. - Tylko żebyś nie liczył na zbyt wiele, bo nie mam dużego doświadczenia...

- Może zaczniemy... o tak. - Położył ręce na jej ramionach i delikatnie przysunął usta do jej ust. - Cassie, jest jedna rzecz, na której bardzo mi zależy.

- Dobrze.

- Powiedz, że się mnie nie boisz. I wiesz, iż nie wyrządę ci krzywdy.

- Nie boję cię. I wiem.

- Chciałbym, żebyś mi coś obiecała - szepnął, całując ją lekko w ucho. Poczował, jak Cassie się odprężyła.

- Dobrze.

- Jeśli zrobię coś, co ci się nie spodoba albo sprawi, że poczujesz się niezręcznie, natychmiast powiesz, żebym przestał.

- Nic takiego nie zrobisz.

Przysunął wargi do jej ucha. Gorący oddech podziałał na nią podniecająco. Zadrżała.

- Obiecuj, proszę.

- Obiecuję.

Ujmując Cassie za rękę, wprowadził ją do pokoiku, w którym czasem spędzał noce. Wewnątrz panował mrok. Pokój był skromnie urządzone; stało tu tylko wąskie łóżko i chybocliwy stolik z popielniczką, z której prawie już nie korzystał.

- Nie za ładnie tu - rzekł cicho. - Powinienem cię zabrać w inne miejsce.

- Nie. - Bała się, że straci odwagę, jeśli zacznie to odkładać na później. Zresztą wystrój wnętrza nie miał znaczenia. - Tu jest dobrze.

Z pudełka świeczek, które kupił na wypadek, gdyby w budynku nastąpiła przerwa w dostawie prądu, wyjął jedną i przytknął do niej zapalniczkę. W delikatnym blasku migoczącego płomyka Cassie, wystraszona, gotowa mu się oddać - złożyć w ofierze, przemknęło Devinowi przez myśl - wyglądała ponętnie, a zarazem niewinnie.

Pokaże jej, że seks może być radością, wyzwoleniem, ekscytującym przeżyciem. Że naprawdę nie ma się czego bać.

- Kocham cię, Cassie - powiedział. Nieważne, że mu nie wierzyła. Prędzej czy później uwierzy. Zgarnął ją w ramiona i pocałował, czule, niespiesznie.

Z sekundy na sekundę pocałunek się zmieniał, pogłębiał; Cassie rozchyliła usta, przytuliła się.

- Obejmij mnie - szepnął Devin.

Posłusznie, pragnąc spełnić każde jego życzenie, objęła go mocno w pasie. Zdumiała się, że ma tak twardy, umięśniony tors. Nie była przyzwyczajona do dotykania męskich ciał, dlatego w pierwszej chwili poczuła się speszona, ale skrępowanie szybko zniknęło. Coraz śmielej przesuwała dłońmi po plecach Devina.

- Chcę cię widzieć, patrzeć na ciebie. Wypowiadając te słowa, całował ją po szyi. Cassie na moment zastygła. Nie przejął się. Jej nieśmiałość go wzruszała.

- Masz taką śliczną buzię... - Nie spuszczać z niej wzroku, powoli rozpinał jej bluzkę. - Oczy wielkie, jakby zamglone, usta kuszące, seksowne...

Oszołomiona, niemal zahipnotyzowana, wsłuchiwała się w głos mężczyzny. Nawet nie zaprotestowała, kiedy rozchylił jej bluzkę i odsłonił piersi. Nikt nigdy nie nazwał jej seksowną. Devin powiódł spojrzeniem w dół i z jego gardła dobył się ochrypły jęk. Zadrzała.

Przyłożył dłonie do jej piersi z taką czcią, jakby się bał, że jednym nieostrożnym ruchem mógłby je uszkodzić.

- Są piękne.

- Drobne.

- Idealne. Po prostu idealne.

Wstrzymała oddech, czując na piersiach jego dłonie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Cassie na moment otworzyła oczy, po czym znów zacisnęła powieki.

Dlaczego przestał? Dlaczego zabrał ręce? Zakręciło się jej w głowie.

- Musisz zamykać oczy? - spytał Devin, ponownie przysuwając ręce do aksamitnych krągłości. - Kiedy cię dotykam, stają się zamglone, rozmarzone. Uwielbiam cię gładzić, pieścić...

- Nie mogę oddychać.

- Oddychasz. Słyszę bicie twojego serca. - Schyliwszy się, musnął wargami jej obojczyk, ramię, po czym wyprostował się i zrzucił koszulę. - Zobacz, jak moje łomocze.

Wyglądał jak model na zdjęciu w kolorowych czasopismach. Gładka skóra, cudowne mięśnie, wyrzeźbiona klatka piersiowa i brzuch. Zawahała się, ale trwało to dosłownie ułamek sekundy. Przyłożyła rękę do jego żeber.

- Rzeczywiście łomocze - uśmiechnęła się. - Jesteś gotów?

- Och, Cassie. - Zdławiwszy jęk, chwycił ją w objęcia i przygarnął do siebie. - Gotów? Nie żartuj!

Wciągnęła głęboko powietrze i pokonując skrępowanie, przesunęła rękę na jego brzuch. I niżej.

Tego się nie spodziewał. Przeklinając cicho, odskoczył, a ona, zakrywając bluzką piersi, wytrzeszczyła oczy.

- Myślałam, że... że chodzi ci o... - dukała.

Boże, tego naprawdę się nie spodziewała. On już jest...

Parsknął śmiechem. W tej sytuacji to najlepsze wyjście.

- Skarbie, błagam, nie rób tego, bo zaraz będziemy zaczynać od nowa. Na razie wolałbym skoncentrować się na tobie.

- Dobrze, ale ty...

- Obiecałaś, że zrobisz wszystko, co każe - przypomniał jej, starając się opanować podniecenie. - Chciałbym, żebyś na mnie popatrzyła.

Kiedy podniosła wzrok, ponownie zacisnęła dłonie na jej piersiach. Obserwował reakcję Cassie: widział pełną zdumienia radość malującą się na jej twarzy, słyszał przyspieszony oddech. Nachyliwszy się, zaczął szeptać jej do ucha czułe słówka.

Zamknęła oczy. Uniósł ją nieco; przez moment wisiała w powietrzu, a on całował jej szyję, dekolt, dotarł do piersi.

Wbiła palce w jego ramiona i wygięła plecy. Przeszył ją niesamowity żar. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potrząsnęła głową, próbując się odnaleźć, oczyścić umysł...

- Devin...

- Mmm... Chcesz, żebym przestał?

- Nie. Och, nie.

- Całe szczęście.

Z ustami przyciśniętymi do jej ust opuścił ją na podłogę. Oddychała ciężko, jej piersi gwałtownie falowały. Była podniecona, mimo to lekko zeszywniała, dosłownie na moment, kiedy pociągnął w dół suwak jej spodni.

Powtarzała w duchu, że będzie dobrze. Nigdy dotąd nie czuła takiego pożądania, nie miała tak wyostrzonych zmysłów. A jeśli czuła, to tego nie pamiętała. Ręce Devina były szorstkie od pracy na farmie, dłonie pokryte odciskami, a zarazem tak delikatne. Mogłyby ją pieścić do końca świata, nic bardziej by jej nie uszczęśliwiło. Zamknęłaby oczy i unosiła się na fali nieziemskiej rozkoszy.

Rozbierał ją, wolno ściągając kolejne części garderoby. Zaraz będzie po wszystkim. Ale wiedziała, że Devin nie odejdzie, nie zostawi jej samej, lecz będzie ją trzymał w ramionach i tulił. O tym marzyła.

Kiedy wziął ją na ręce, uśmiechnęła się. W głębi pokoju migotał łagodnie płomyk. Ogarnęła ją dziwna błogość, stan wzruszenia, szczęśliwości. Devin sprawiał, że czuła się piękna i pożądana. Przycisnęła usta do jego ust i objęła go za szyję. Sprężyny zaskrzypiały pod ich ciężarem.

Skonfundowana otworzyła oczy; sądziła, że to zaraz się stanie, lecz Devin wyciągnął się obok niej. Spoglądając na nią z uśmiechem, gładził ręką jej ciało.

- Nie poganiaj - szepnął. - Tak jest dobrze.

Nie mogła uwierzyć, gdy zaczął prawić jej komplementy, podziwiając jej ciało, aksamitną skórę, oczy, zgrabne uda. Mówił, a ją trawił ogień.

Była wdzięczna, że nie żąda od niej odpowiedzi. Nie byłaby w stanie dobrać z siebie słowa. Ledwie oddychała.

Przyglądał się jej z zachwytem. Była taka słodka, taka zdumiewająco niewinna. Właśnie to go powstrzymywało, dlatego wcześniej nie próbował jej uwieść. Dwanaście lat czekania, pomyślał, a teraz nagle...

Wciągnęła z sykiem powietrze, kiedy powiódł palcem po wewnętrznej stronie jej uda. W ciągu dwunastu lat można wyrobić w sobie cierpliwość. Miał jej ogromne pokłady i choć krew w nim wrzała, nie spieszył się.

Ponownie przysunął usta do jej piersi, drobnych, jędrnych, pachnących niczym wiosna. A ona znów zadrżała. Wiedział, że czerpie przyjemność z jego pieścizot.

Pragnął dać jej więcej, znacznie więcej, pragnął, aby wiała się z rozkoszy. Więc pieścił ją, gładził i całował, aż naprawdę zaczęła się wić.

Zbliżała się do krawędzi, jeszcze mały krok i stanie nad przepaścią. Pokaże jej, że lot z wysokości może być niezapomnianym przeżyciem.

Było za duszno, za gorąco. Cała płonęła. Serce waliło jej młotem. Miała wrażenie, że coś w niej pędzi z niesamowitą szybkością. Nie potrafiła nad tym czymś zapanować, bała się. Powietrze wydawało się naelektryzowane, emocje sięgały zenitu. Jeszcze nigdy tyle naraz nie czuła, nie przeżywała. Przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć.

- Jak chcesz, możesz krzyknąć - powiedział ochryple Devin. - Na cały głos. Poza mną nikt cię nie usłyszy. Śmiało, Cassie, nie powstrzymuj się.

- Nie mogę.

Dotknął jej i zakręciło mu się w głowie.

- Nie każ mi przerywać - szepnął, pocierając wargami o jej usta. - Błagam, nie teraz.

- Nie przerywaj, Devin. Och, nie!

I nagle pokój wypełnił dziki, niepokohamowany krzyk. Cassie nawet nie była świadoma, że pochodzi z jej gardła. Prężyła się, wyginała, lgnęła ku Devinowi, doznając wrażeń, o jakich nie śniła. Jakie wydawały się jej wręcz niepojęte. Raptem zastygła, a potem wystrzeliła w kosmos. Kiedy opadła z powrotem na ziemię, a raczej na łóżko, nie miała siły ruszyć palcem.

- Jeszcze - jęknął Devin, przetaczając Cassie na siebie.

Poczuła go w sobie. Zdumiona i zachwycona otworzyła szeroko oczy. Kochał się z nią powoli, nie spiesząc się. Wymagało to od niego ogromnej samokontroli. Ale został wynagrodzony, bo Cassie ponownie

wstrząsnęła seria dreszczy. Tym razem wiedział, że w tę podróż pomkną razem. Wreszcie razem, we dwoje.

Wciąż drżała. Ale nie było jej zimno. Wcale nie było jej zimno. Żar, który bił z ich splecionych ciał, zalewał ją raz po raz niczym potężna fala przyływu. Tuż obok siebie słyszała oddech Devina; dyszał ciężko jak człowiek po długim, wyczerpującym biegu. Leżał na niej całym ciężarem, przygniatał ją.

Była szczęśliwa, wniebowzięta. Po raz pierwszy w życiu zakosztowała uroków cielesności, seksu.

- Wiem, że cię gniotę - zamruczał Devin. - Próbuję się podnieść, ale...

- Zostań. - Objęła go mocniej, nie pozwalając mu się ruszyć.

- Cieszę się, że tak cierpliwie to znosisz, skoro nie przepadasz za seksem.

Uśmiechnęła się błogo, nie przejmując się jego lekko ironicznym tonem.

- Nie przepadam? - spytała szeptem. - Devin, to było cudowne. Wyobraź sobie, że...

- Wiem. I to kilka razy. Liczyłem.

Wybuchnęła śmiechem.

- Nieprawda!

- Ależ prawda, prawda. Liczyłem. - Zdobywając się na wysiłek, uniósł głowę i popatrzył Cassie w oczy. - Później mi podziękujesz.

Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak na nią nie patrzył, zamglonym wzrokiem, z wyrazem spokoju i błogości na twarzy.

- Było dobrze, prawda? - Wzruszona pogładziła go po policzku. -

Prawda, Dev?

- Owszem, warto było czekać. - Pocałował ją we wgłębienie dłoni. -

Ale nie zamierzam czekać kolejnych dwunastu lat.

- Och, ja też nie. - Nie czuła własnego ciała; była lekka jak piórko. -

Jesteś taki przystojny...

- Przekleństwo MacKade'ów.

- Mówię serio. - Opuszkami palców pocierała jego powieki, nos, uroczy dołeczek w kąciku warg. - Pamiętasz, jak w dzieciństwie przyjeżdżałam do was na farmę? Twoja mama mnie czasem zapraszała.

- Pamiętam. Byłaś strasznym chudzielcem. Nie zwracałem na ciebie uwagi i bardzo tego żałuję.

- Lubiłam ci się przyglądać. Zwłaszcza latem. Kiedy z gołym torsem pracowałeś na polu.

Wyszczrzył zęby.

- Tak? No proszę, kto by pomyślał?

- Przez chwilę potwornie się w tobie durzyłam, snułam odważne fantazje na twój temat. - Roześmiała się wesoło. - To znaczy, wtedy wydawały mi się odważne, ale... No wiesz, nigdy nie wyobraziłam nas sobie w sytuacji choćby zbliżonej do dzisiejszej. Boże, nie mogę uwierzyć, że ci to opowiadam.

- Biorąc pod uwagę, że leżymy nadzy, obejmując się, a przed chwilą się kochaliśmy, myślę, że śmiało możesz mi mówić o wszystkich swoich marzeniach i fantazjach. - Miał nadzieję, że usłyszy coś podniecającego. Znow wracały mu siły.

- Miałam dwanaście lat, a ty zawsze byłeś dla mnie miły. Twoi bracia też. Uwielbiałam przyjeżdżać do was na farmę. Szczególnie latem, kiedy chodziłeś bez koszuli. - Poglądziła go po ramieniu. - Mięśnie miałeś naprężone, lśniące od potu, ciało... po prostu nie mogłam oderwać od niego... od ciebie wzroku. Czasem wpadałeś do kawiarni Ed. Kiedy wychodziłeś, kobiety wznosiły oczy do nieba, wzdychały głośno.

- Nie żartuj.

- Mówię serio. Na twoich braci reagowały tak samo. Wszyscy czterej wzbudzaliście sensację.

- Wolę, byś koncentrowała się na mnie. Roześmiawszy się, odgarnęła mu włosy z twarzy.

- No dobrze, więc po twoim wyjściu wzdychały dłużej i głośniej.

- O, tak znacznie lepiej.

- A Ed kiwała głową i niezmiennie powtarzała: „Ten Devin MacKade ma najzgrabniejszy tyłeczek w całym stanie”. - Cassie zachichotała. - Ojej, nie powinnam tego zdradzać.

- Za późno. Poza tym wiem, że tę część męskiego ciała Ed uwielbia najbardziej. Sama mi to powiedziała.

- Bezwstydnica! - Wzdychając głęboko, Cassie ponownie objęła kochankę w pasie i przesunęła ręce w dół. - Muszę przyznać, że Ed miała rację. Masz wspaniałe pośladki.

- Dobra, sama tego chciałaś! - Nic nie mogło mu sprawić większej satysfakcji niż wyraz zdziwienia w oczach Cassie.

- Mój Boże! Jakim cudem możesz tak szybko...

- Jak widzisz, mogę.

Dopiero po wielu, wielu minutach wyciągnął się obok niej na wąskim łóżku, zdyszany i szczęśliwy, z twarzą wtuloną w jej włosy, z nogami splecionymi z jej nogami.

Tak jak marzyła, leżał, trzymając ją w ramionach.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bładym świtem Cassie zakradła się do swojego mieszkania. Czuła się jak nastolatka wracająca do domu później, niż obiecała rodzicom, przemykając na palcach, żeby ich nie obudzić. Choć była dorosłą kobietą i nikomu nie musiała się tłumaczyć, gdzie była i co robiła. A robiła to, co czasem robią dorosłe kobiety.

Świadomość tego faktu podziałała na nią wyzwalająco, dodała jej skrzydeł i odwagi.

Spędziła noc, całą noc, z najbardziej ekscytującym, przystojnym i szlachetnym mężczyzną, jakiego знаła.

Ona, Cassandra Connor Dolin, ma romans!

Przycisnęła rękę do ust, powstrzymując wybuch śmiechu. Serce wciąż jej biło tysiąc razy na minutę, a uśmiech nie schodził z ust.

Była pewna, że wygląda inaczej, że wszystko można wyczytać z jej twarzy. Pochyliła się nad tosterem, usiłując w jego metalowej powierzchni dojrzeć swoje odbicie. Obróciła się wokół własnej osi, wykonując taniec radości, nim włączyła czajnik.

Następnie, jak przystało na dobrą matkę, poszła do dzieci sprawdzić, czy śpią. Opuszczając pokój syna, obróciła się i o mało nie krzyknęła. W korytarzyku stała Ed z rudymi włosami nawiniętymi na miękkie różowe wałki, ubrana w kwiecistą różowo-niebieską podomkę.

- Przepraszam - szepnęła Cassie. - Nie chciałam cię budzić.

- Poruszasz się cicho jak myszka. Nasłuchiwałam, kiedy wrócisz. -

Ed powiodła wzrokiem po przyjaciółce i pokiwała z zadowoleniem głową.

- Hm, widzę, że od samego rana humor ci dopisuje. Znakomicie. Czas najwyższy.

Cassie jeszcze raz zerknęła na śpiącego chłopca, zamknęła drzwi sypialni i ruszyła do kuchni.

- Dzieciaki nie sprawiały ci kłopotu?

- Nie żartuj. To aniołki. Nawet się nie obudziły. - Szczerząc zęby od ucha do ucha, Ed przez moment patrzyła, jak Cassie sypie kawę do ekspresu. - Opowiesz, co się stało, czy mam puścić wodze fantazji? A trzeba ci wiedzieć, że wyobraźnię mam bujną.

Cassie, speszona, ale i szczęśliwa, oblała się rumieńcem.

- Spędziłam noc z Devinem.

- Skarbie, tyle to się sama domyśliłam. - Ed wrzuciła kromkę chleba do tosterka. - Sądząc po błogim wyrazie twojej twarzy, nie omawialiście sytuacji polityczno-gospodarczej na świecie. Hm... - Otworzyła lodówkę i zmarszczywszy czoło, zaczęła czegoś w niej szukać. - Nie myśl, że jestem wścibska. Chciałabym tylko wiedzieć, czy czujesz się tak dobrze, jak wyglądasz.

- Czuję się świetnie - odparła Cassie i uśmiechnęła się do Ed, która wyglądała przezabawnie: w jednej ręce trzymała słoiczek dżemu, w drugiej galon mleka, policzki miała lśniące od kremu, którym wysmarowała się na noc, rude kosmyki wysuwały się jej z wałków na głowie, a chude jak patyki nogi wystawały spod krzykliwej podomki.

Kocham tę kobietę, uzmysłowiła sobie Cassie; w głębi serca to ją uważam za swoją matkę. Odstawiła czajnik z wrzątkiem i zarzuciła Edwinie ręce na szyję.

- Już dobrze, złotko. - Ed, wzruszona i zaskoczona, przycisnęła usta do czoła Cassie.

- Czuję się... inaczej. Czy wyglądam inaczej?

- Wyglądasz na osobę szczęśliwą.

- Wciąż mam motylki w brzuchu. - Kręcąc z niedowierzaniem głową, Cassie cofnęła się krok i przyłożyła rękę do brzucha. - Jestem bardzo szczęśliwa. Nawet nie przypuszczałam, że seks może być tak cudownym przeżyciem.

Zerknąwszy pośpiesznie w stronę sypialni dzieci, ponownie sięgnęła po czajnik. Dzieci spały; nie musi ich budzić przez co najmniej pół godziny. Po tych wszystkich latach, pomyślała, nareszcie ma matkę, osobę, która wysłucha, pocieszy, doradzi.

- Z nikim dotąd nie byłam. Tylko z Joem.

- Wiem, skarbie.

- Przed ślubem nie pozwalałam mu się dotknąć. Chciałam, żeby było po bożemu, najpierw ślub, potem seks. - Nalała kawy do kubków i usiadła przy stole. - W noc poślubną byłam strasznie zdenerwowana, ale i podniecona. Pamiętam, dostałam od ciebie białą koszulę nocną. Była piękna, po prostu marzenie. Czułam się w niej jak panna młoda. Kiedy dojechaliśmy do motelu, poprosiłam Joego, żeby dał mi godzinę. Chciałam się przygotować, wziąć długą, gorącą kąpiel... no, wiesz.

- Wiem, wiem. Kąpiel, balsam na skórę, odrobina perfum za uszy, cały ten kobiecy rytuał.

- Joe wyszedł, zostawił mnie samą. Wrócił nie po godzinie, lecz po dwóch, w dodatku kompletnie pijany. Zdarł ze mnie koszulę i pchnął mnie na łóżko. Wszystko trwało dosłownie chwilę, minutę, dwie, góra pięć.

Sprawił mi koszmary ból. Liczyłam się z bólem, wiedziałam, że utrata dziewictwa może boleć, ale chyba nie aż tak bardzo. Oczywiście Joe natychmiast zasnął. Zsunął się ze mnie i zaczął chrapać, a ja leżałam, wpatrując się w sufit. Nie czułam nic prócz bólu i pustki.

- Mężczyzna nie ma prawa tak traktować kobiety! - Gdyby Ed już wcześniej nie cierpiała Dolina, znienawidziłaby go po tym wyznaniu Cassie. - Miłość fizyczna powinna dawać ukojenie, być czymś pięknym i wyjątkowym.

- W naszym domu seks na ogół odbywał się tak, jak tej pierwszej nocy. Nigdy nic nie czułam, żadnej przyjemności czy satysfakcji. Na szczęście nie zawsze bolało, ale zawsze było szybko i zwykle trochę brutalnie. Uważałam, że to moja wina, zresztą Joe często mi to powtarzał. Ucieszyłam się, kiedy zaszłam w pierwszą ciążę, bo wtedy się ode mnie odczepił; rzadko żądał, bym wypełniała obowiązek małżeński. Nie wiedziałam, że zaspokaja swoje potrzeby gdzie indziej, że mnie na okrągło zdradza. Byłam głupia i naiwna.

- Nie mów tak! Nie chcę tego słyszeć.

- Może mi nie zależało, aby poznać prawdę? Może nie chciałam wiedzieć? Nie mam pojęcia - ciągnęła Cassie. - Chodziłam z wielkim brzuchem, szykowałam się do roli mamy, potem urodziłam Connora. Wkrótce po ślubie, jeszcze zanim zaszłam w ciążę, Joe zaczął mnie bić. Nie bardzo się orientowałam, co mogę zrobić. Uciec z domu? Poskarżyłam się mamie, ale ona powiedziała... zresztą nieważne. Później przyszła na świat Emma. Po jej narodzinach Joe przestał się mną interesować; stwierdził, że nie zaspokajam jego potrzeb. Od tamtego czasu spaliśmy ze sobą tylko kilka razy. Właściwie nie spaliśmy, tylko Joe mnie gwałcił.

- Boże, skarbie, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Wstydziałam się, Ed. Joe był moim mężem, a ja miałam zakonotowane w głowie, że mężowi wszystko wolno. Dziś wiem, że tak nie jest. — Wzięła głęboki oddech. - Kiedy wczoraj wybrałam się do Devina, nie przypuszczałam... To znaczy podejrzewałam, że seks sprawi mu przyjemność, myślałam jednak, że ja sama nic nie będę czuła... że on zaspokoi swój popęd, a ja...

- Ale trafił ci się prawdziwy mężczyzna - wtrąciła Ed. - Dzięki któremu zobaczyłaś, jaką radość może dawać kobiecie seks.

- Tak. - Cassie uśmiechnęła się. - Devin był delikatny, cierpliwy, nie złościł się, nie poganiał. Moje odczucia były dla niego ważne, ważniejsze niż jego własne. Sprawił, że czułam się piękna, powabna. Och, Ed... - Przygryzła wargę, ale to nie pomogło; nie potrafiła powściągnąć uśmiechu. - Podoba mi się seks. Nie mogę się doczekać następnego razu.

Wybuchnąwszy wesołym śmiechem, Ed ścisnęła Cassie za rękę.

- Brawo! Świetnie.

- Devin twierdzi, że mnie kocha - szepnęła Cassie. - Wiem, że mężczyźni mówią kobietom takie rzeczy, kiedy chcą je zaciągnąć do łóżka. Czasem mówią, bo kobiety tego od nich oczekują. Ale... myślisz, że naprawdę mnie kocha?

- Myślę, że Devin MacKade nie należy do mężczyzn, którzy kłamią. A ty, skarbie? Kochasz go?

- Nie wiem, Ed. Mam mętlik w głowie. Joego nie kochałam. Nigdy. Nawet na początku. Posłużyłam się nim, wykorzystałam go.

- Cassandro...

- Naprawdę, przysięgam. Chciałam wyrwać się z domu, mieć rodzinę. Joe mi to umożliwił. Nie zachowałam się wobec niego fair. Oczywiście to mu nie dawało prawa, żeby się nade mną znęcać - dodała szybko, spostrzegłszy gniewny błysk w oczach przyjaciółki. - Nie powinien był stosować przemocy. Ale faktem jest, że go nie kochałam. Nie tak, jak żona powinna kochać męża.

- Nie zasłużył na miłość.

- To prawda. Przy Devinie czuję tyle różnych emocji, ale nie umiem się w nich połapać.

- Potrzebujesz czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć i ułożyć w głowie. Nie spiesz się. I nie pozwól, aby ktokolwiek cię poganiał. Nawet Devin.

- A skąd będę wiedziała, że to miłość?

- Będiesz wiedziała, wierz mi. Kiedy nadejdzie właściwy czas, wszystko nagle stanie się jasne i proste.

Kiedy Cassie z Ed siedziały w kuchni, rozmawiając i popijając kawę, Devin wyruszył na farmę. Ciągnęło go do domu. Zaparkował samochód i ruszył do dojami, gdzie Shane cierpliwie demonstrował dwóm młodzieńcom - czasem najmował do pomocy studentów - jak podłączać dojarkę do wymion. W pomieszczeniu unosił się zapach ciepłego mleka, zwierząt, siana.

- Zarówno przed dojeniem, jak i po trzeba obejrzyć wymiona, sprawdzić, czy nie wdało się zakażenie. - Obejrzawszy się, uśmiechnął się do brata. - Jak widzicie, szeryf zjawia się, kiedy większość roboty jest odwalona. No dobra, chłopaki, zabierajcie krasulę.

Devin poklepał krowę, pomógł bratu oczyścić i zdezynfekować maszyny. Była to łatwa robota, niemal rutyna.

- Pamiętasz, jak ojciec kazał nam doić ręcznie?

- Miał rację. Maszyny się psują, a krowy trzeba doić... Wcześniej jesteś na nogach. I masz taki głupi, rozanielony wyraz twarzy. Chyba ci się poszczęściło, co, bracie?

- Za dobrze się czuję, żeby sprawić ci manto.

- Tak? To świetnie, bo nie mam czasu się bić. Muszę jeszcze zajrzeć do kurnika... Proszę, proszę! - Shane uśmiechnął się szeroko. - Ty i Cassie. Kto by pomyślał?

- Ja. Od dawna o tym myślałem - rzekł Devin, pomagając bratu przelać świeże mleko do baniek z nierdzewnej stali. - Kocham ją od... sam nie wiem, od ilu lat.

Shane skrzywił się.

- O Chryste, błagam. Ty też? Gdziekolwiek spojrzę, ciągle ktoś się w kimś zakochuje. Zaczynam mieć koszmary.

- Przykro mi, braciszku. Zamierzam poprosić Cassie o rękę.

Shane potarł dłońmi twarz, zdjął czapkę i przeczesał włosy.

- Psiakrew, co się dzieje? Mamy zainfekowaną wodę? Powietrze? O co chodzi? Najpierw Rafe, potem Jared, teraz ty. Odwracam się na moment i kolejny brat się żeni. Zamykam oczy i rodzi się następne dziecko. Nie dobijaj mnie, Dev.

- Boisz się, że to zaraźliwe?

- Nie żartuj. Jutro zgłoszę się do lekarza po zastrzyk uodporniający. Słuchaj, Cassie to słodkie, urocze dziewczę, miłe i dobre, ale nie popadajmy w przesadę.

- Kocham ją - oznajmił z taką prostotą Devin, że Shane aż jęknął. - Zawsze kochałem. Nic na to nie poradzę. Nawet gdybym chciał, to się nie odkocham.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie będę miał przez ciebie kłopoty? Zlituj się nad młodszym bratem! Z naszej czwórki ja jeden zostanę kawalerem. Kobiety zlecą się jak muchy, nie dadzą mi spokoju. Żadna nie pójdzie ze mną do łóżka ot tak, bez zobowiązań. Każdej będzie się marzyła suknia ślubna.

- Nie narzekaj. Jakoś sobie poradzisz.

- Wyjaśnij mi, co fajnego jest w małżeństwie? Tak bardzo cię kusi obrączka? - Mruczając gniewnie pod nosem, Shane wyszedł z dojami. - Zastanów się. Będiesz miał jedną babę do końca życia. Jedną, słyszysz? A jest ich tyle, niskich, wysokich, chudych, puszystych, blondynek, brunetek...

Ubawiony cierpieniem brata, Devin poklepał go po plecach.

- Zostanie więcej dla ciebie.

- To prawda - przyznał Shane, kierując się w stronę kurnika, po czym filozoficznie wzruszył ramionami. - Sam, biedaczysko, będę musiał podtrzymywać legendę MacKade'ów. Ale nie martw się, zrobię, co w mojej mocy, żeby nie przynieść wam wstydu. - Nie przyniesiesz. Wierzę w ciebie.

Cassie nigdy nie przebywała długo w bibliotece. Była zbyt odpowiedzialna, żeby sprzątać po łebkach, ale starała się tak zaplanować dzień, aby ktoś był w domu, kiedy ścierała kurze z zastawionych książkami półek.

Dziś nie było nikogo. Dzieci jeszcze nie wróciły ze szkoły, a goście wyruszyli na zwiedzanie miasteczka. Szukała wymówek, tłumaczyła sobie, że ma pilniejsze obowiązki, ale wiedziała, że powinna odłożyć książki na regały, podlać kwiaty, umyć okna.

Nie bądź śmieszna, powtarzała w duchu. Znała ten dom, jego atmosferę i nastroje lepiej od własnego mieszkania na piętrze. Nic złego jej tu nie spotka, nikt nie wyrządzi jej krzywdy. Praca w pensjonacie odmieniła jej życie na lepsze.

Weszła do biblioteki, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Nie ze strachu, a na wypadek, gdyby któryś z gości wrócił i czegoś potrzebował.

Powstawiała książki na półki. Goście czasem brali coś do poczytania w deszczowe popołudnia albo na wieczór. Rafe i Regan postarali się, żeby każdy znalazł tu coś dla siebie. Sama też mogła korzystać z biblioteki, lecz robiła to rzadko.

Nagle uświadomiła sobie, że Connor również tu rzadko zagląda, chociaż uwielbia czytać. Najwyraźniej unikał tego pomieszczenia, mimo że w pozostałych pokojach czuł się świetnie.

Chodziło o te dziwne wibracje. O to coś, co unosiło się w powietrzu. Wzdrygnąwszy się, podeszła do okien, z których rozciągał się widok na ogród. W donicach rosły dwa ogromne filodendrony; już dawno powinna była przetrzeć z kurzu ich liście.

Nagle poczuła chłód.

Zrozumiała, że nie jest sama.

Miała wrażenie, że kątem oka go widzi: potężnie zbudowanego, otyłego mężczyznę o szerokiej, wykrzywionej twarzy.

Joe.

Przerażona, obróciła się na pięcie, ale nikogo nie zobaczyła. Była sama. Panował jednak straszliwy ziąb. Zdrętwiałymi palcami sięgnęła do okna; chciała je otworzyć, wpuścić trochę ciepłego powietrza.

Klamka nawet nie drgnęła. Przez moment Cassie siłowała się z nią. Bezskutecznie.

Pozwoliłaś, żeby cię dotknął. Dziwka.

Odruchowo skuliła ramiona, szykując się na cios, ale ten nie nastąpił.

Myślałaś, że się nie dowiem? Że możesz mnie bezkarnie zdradzać w moim własnym domu? Paradujesz z tą niewinną miną, udając wielką damę z Południa, a jesteś zwykłą ladacznicą.

Dygocząc na całym ciele, Cassie powoli odsuwała się od okna. Rozglądała się nerwowo po pokoju, szukając właściciela głosu. Ale poza nią nikogo nie było.

Wiedz jedno. Nigdy nie pozwolę ci odejść. Prędzej cię zabiję.

Przecież mnie nie kochasz! - miała ochotę wykrzyknąć.

Nienawidzisz mnie. Dlaczego nalegasz, żebym z tobą została? Słowa jednak nie chciały jej przejść przez gardło.

Zabiję was oboje. Pamiętaj. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Śmierć to twoja jedyna ucieczka.

- Cassie.

Ze zdławionym krzykiem obróciła się w stronę drzwi. Devin stał w progu, z wyrazem zatroskania na twarzy. Bez wahania rzuciła mu się w ramiona.

- Och, Devin, musisz iść! Uciekaj, zanim on cię dojrzy. Bo zginiesz.

- O czym ty mówisz, Cassie? Boże, trzęsiesz się jak liść. Co się stało? I dlaczego tu tak potwornie zimno?

- Czujesz? - Zęby jej dzwoniły. - Czujesz ten ziąb?

- No jasne. Mam wrażenie, jakbym się nagle znalazł w Arktyce. -
Potarł energicznie dłonie, żeby je ogrzać.

- Myślałam, że to Joe. Wydawało mi się, że widzę, jak jego pięść zbliża się do mojej twarzy, i raptem... - Świat zawirował jej przed oczami. Poczula, że osuwa się na podłogę. Devin pochwycił ją na rękę. Dziwny stan oszołomienia trwał dosłownie chwilę. - Już w porządku - szepnęła. - Już po wszystkim.

Chłód znikł. W pokoju zrobiło się jasno, słonecznie, ciepło; dookoła unosił się zapach róż i pasty do mebli. Devin podszedł do skórzanej kanapy i delikatnie ułożył na niej Cassie.

- Przyniosę ci szklanekę wody.

- Nie, nic mi nie jest! - zawołała. Bała się zostać sama. - To... to ten pokój. - Wzdrygnąwszy się, usiadła. - Słyszałam głos. W pierwszej chwili wydawało mi się, że należy do Joego. Ale to nie był Joe. To był Barlow.

Devin nie spuszczał z niej wzroku. Wciąż była przeraźliwie blada, ale spojrzenie miała przytomne. Parę minut temu, kiedy ujrzał, że jej białka uciekają gdzieś w bok, przeżył chwilę grozy.

- Czy kiedyś wcześniej ci się to zdarzyło?

- Aż tak to nie. Tym razem to było wyjątkowo silne. Zawsze czuję się nieswojo w bibliotece. Już wolę sprzątać jego sypialnię. Jednakże dziś... Boże, pomyślisz, że zwariowałam.

- Nie pomyślę. - Ujął jej twarz w dłonie. - Przysięgam.

- No dobrze. - Wciągnęła powietrze. - Słyszałam jego głos. Barlowa. Zupełnie jakby się rozlegał w mojej głowie. Brzmiał podobnie do Joego, z tonu, z doboru słów, z furii, jaka z niego biła. Nazwał mnie... a raczej ją...

dziwką, ladacznicą. Wiedział, że kocha innego, ale nie zamierzał pozwolić jej odejść. Powiedział, że prędzej ją zabije. Ją i jej kochanka.

- Chodźmy stąd. Chodźmy do ciebie na górę.

- Jeszcze nie skoń...

- Zapomnij o tym, co się wydarzyło, Cassie. - Wzięłby ją na ręce, ale zerwała się z kanapy, ścisnęła jego dłoń. - Tamtego dnia, kiedy rozmawiałaś z tymi miłymi staruszkami, wspomniałaś, że Abigail była zakochana w innym mężczyźnie. Sądziłem, że to wymyśliłaś, żeby ubarwić legendę.

- Nie. Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu wiem, że tak było.

Widziałam go.

- Kogo?

- Mężczyznę, którego kochała. Sprzątałam w jej sypialni, a kiedy podniosłam wzrok, on stał w drzwiach. Patrzył na mnie i mówił, jakbym była nią. Czułam jej obecność. Kochała go, ale kazała mu odejść. Zmusiła go, żeby wyjechał. Devin... Wydaje mi się, że Abigail popełniła samobójstwo.

Podprowadził Cassie do fotela pod oknem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Tego też nie umiem wytłumaczyć. Takie mam wrażenie. Że to był jedyny sposób ucieczki. Na to, żeby uwolnić się od męża brutalą... Ja też o tym kiedyś myślałam.

Krew odpłynęła Devinowi z twarzy.

- Boże, Cassie....

- Tylko przez moment - dodała szybko. - Nigdy bym tego nie zrobiła.

Miałam przecież dwoje małych dzieci. Gdyby nie one, to kto wie... Kiedy

człowiek żyje z pętlą na szyi, kiedy nie może normalnie oddychać i nie wie, jak sobie pomóc, to różne myśli przychodzą mu do głowy.

Przeraziły go jej słowa.

- Pomógłbym ci. Gdybyś tylko mi pozwoliła...

- Nie chciałam twojej pomocy. Niczyjej nie chciałam. Wiele osób próbowało wyciągnąć do mnie rękę. Ty, Ed, Regan. Inni także. Dziś wiem, że niepotrzebnie się upierałam, ale... To już przeszłość. - Przykryła dłonią jego rękę. - Nie mówię tego, żebyś mi współczuł, ale żebyś zrozumiał, skąd wiem o samobójstwie Abigail. Ona nie miała nikogo, kto by jej pomógł. Już Barlow się o to postarał. Nie spotykała się z kobietami z miasteczka. A służące były zbyt przerażone, aby cokolwiek mówić.

Cassie zamknęła oczy. Wyobraziła sobie Abigail żyjącą samotnie w wielkim domu.

- Bił ją - oznajmiła cicho. - To nie pięść Joego dziś widziałam, ale pięść Barlowa. Pod tym względem też wiele nas łączy. Kiedy na oczach żony zastrzelił rannego żołnierza, Abigail zrozumiała, że Barlow jest zdolny do wszystkiego. Poddała się. Odechciało jej się żyć. Nawet dzieci nie zdołały jej powstrzymać. Śmierć była dla niej wybawieniem.

- Nie jesteś Abigail, Cassie.

- Ale mogłabym być.

- Nie jesteś Abigail - powtórzył stanowczo Devin.

- Twoje miejsce jest tutaj, ze mną. Niczego nie musisz się bać.

- Jestem zmęczona życiem w strachu. - Przymknawszy powieki, oparła głowę na ramieniu mężczyzny.

- Cieszę się, że wpadłeś... - Westchnęła cicho. - Swoją drogą, co tu robisz?

- Tak sobie zaplanowałem pracę, żebym mógł się wyrwać na godzinę. Chciałem cię zobaczyć. Być z tobą choć przez moment.

- Cały ranek myślałam o tobie. Na niczym nie mogłam się skupić. O mało nie wlałam Emmie kawy do termosu, kiedy szła do szkoły.

- Serio? - Był to najwspanialszy komplement, jaki w życiu słyszał. Kiedy Cassie podniosła głowę, zobaczył, że się rumieni. - Myślałaś o tym, jak się kochaliśmy, i że znów byś chciała?

- Tak.

- Mamy trochę ponad pół godziny. - Wstał i delikatnie podciągnął ją na nogi.

- Jest środek dnia!

- Zgadza się - odpowiedział, prowadząc ją w stronę sypialni.

- Devin, świeci słońce.

- Owszem, świeci. - Odpiął pasek, zawiesił go na klamce, i zsunął Cassie bluzkę z ramion.

- Jest dopiero południe... - Serce jej waliło.

- Wiem. - Zbliżył usta do jej ust. - Mam przestać? Przymknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Nie. Och, nie.

Zapomniała o słońcu, o swiergocie ptaków. Zapomniała, że nieopodal szosą przejeżdżają samochody, że ludzie chodzą po miasteczku, załatwiają różne sprawy.

To było takie łatwe - nie protestować, nie opierać się, po prostu zamknąć powieki i rozkoszować się tym, jak ręce Devina błądzą po jej ciele, jak jego wargi całują jej twarz. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno.

Rozebrał ją, powoli, niespiesznie, zachwycając się każdym odsłoniętym skrawkiem ciała. Wprost nie mógł się nacieszyć, że ta wspaniała kobieta należy do niego. Nie przerywając pieszczot i pocałunków, pozbył się ubrania. Był delikatny i cierpliwy, bo wiedział, że Cassie tego potrzebuje. Nie ponaglał. Słuchał jej oddechu, patrzył na jej reakcje. Chciał, by to ona wyznaczała tempo.

Położył ją na łóżku, które rano tak starannie posłała, i nie mogąc oprzeć się pokusie, rozrzucił jej złociste włosy na bawełnianej kapie.

Wczorajszego wieczoru kochali się na wąskim łóżku w pokoju, w którym unosił się stęchły zapach kawy. Ciemności rozjaśniał tylko płomyk świeczki.

Dzisiaj świeciło słońce, śpiewały ptaki, z ogrodu niósł się zapach kwiatów. Co ważniejsze, dzisiaj Cassie niczego się nie bała; wiedziała, że czekają ją wyłącznie miłe doznania.

Tak też było. Zasypywał ją czułościami, pieszczotami, a ona płynęła na fali rozkoszy, pławiła się w niej bez zahamowań. Zmysłowe doznania sprawiły, że zapomniała o lękach, o nieśmiałości, o wcześniejszych wahaniach.

Uwielbiała dotyk jego szorstkiej skóry, dłoni pokrytych odciskami. Raz po raz przenikały ją dreszcze. Jego usta działały na nią hipnotyzująco. Słyszała coraz szybszy oddech Devina, cichutki pomruk zadowolenia dobywający się z jego gardła, ilekroć znajdował na jej ciele nowe, dotąd nietknięte miejsce. Był piękny, ale to nie zewnętrzna uroda tak bardzo ją pociągała. Pociągało ją piękno jego duszy, jego siła, cierpliwość, szlachetność.

Zaciskała ręce na jego bicepsach, zachwycała się mięśniami ramion, pleców. Podobał się jej kształt i ciężar jego ciała, to, jak ją przygniatał do materaca; podobała ostrość jego zębów, gdy delikatnie kąsał ją w ucho lub szyję. Odwdzięczała się tym samym; dłońmi, językiem i ustami badała różne zakamarki.

Nagle, wciągnąwszy z sykiem powietrze, poderwał głowę. Nie wiedząc, co się dzieje, Cassie natychmiast otworzyła oczy. W jego zielonych tęczówkach dojrzała dziki błysk. Serce zabiło jej mocniej.

Po chwili Devin odzyskał nad sobą kontrolę.

- Nie bój się - szepnął ochryple, delikatnie muskając wargami jej usta. - Nie bój się mnie.

Chciała go zapewnić, że absolutnie się nie boi, że ufa mu w stu procentach, że wszystko, co robi, zaakceptuje bez zastrzeżeń. Intrygował ją dziwny błysk w jego oczach, który tak nagle się pojawił i tak nagle znikł, ale nie zdołała niczego powiedzieć ani o nic spytać, bo Devin znów zasypał ją pocałunkami, przeniósł do cudownej krainy, w której było jej tak dobrze.

Powitała go w sobie, wydając niski pomruk rozkoszy. Nic nie dostarczało jej tak wspaniałych przeżyć jak zespolenie ciał, które nagle stawały się jednym.

Raptem poczuła gorący oddech przy swoim uchu, a potem usłyszała swoje imię, które Devin powtarzał raz po raz.

- Kocham cię, Cassie - szepnął, gdy wrócili na ziemię. - Kocham i chcę, żebyś przyzwyczaiła się do tych słów.

- Devin...

- Wiem, jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie jesteś gotowa. - Wtulił twarz w jej włosy i wciągnął w nozdrza ich zapach. Pachniała jak ukwiecona łąka. - Przyzwyczajaj się do nich, powoli. A kiedy się przyzwyczaisz, kiedy je zaakceptujesz, daj mi znak. Wtedy poproszę cię o rękę.

Zesztywniała.

- Nie, ja nie... To się dzieje za szybko.

- Nie dla mnie - rzekł. Nie zamierzał się złościć ani poganiać Cassie, a tym bardziej zniechęcać się jej wylęknionym tonem. Gładząc ją po ramieniu, dodał cicho: - Jestem cierpliwy. Tyle lat na ciebie czekałem, mogę poczekać jeszcze kilka tygodni czy miesięcy. Pragnę cię. Chcę mieć dom, rodzinę, dzieci. Ale poczekam, aż będziesz gotowa.

- Może nigdy nie będę. Zrozum mnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ponownie wyjść za mąż.

- Zobaczymy. - Oparłszy się na łokciu, przez moment studiował jej twarz. Widział, że swoim wyznaniem napędził jej stracha. - Po prostu wiedz, że cię kocham. Spróbuj przywyknąć do tej myśli.

- Nie widzisz, że...

- Widzę tylko ciebie, Cassie. - Pochylił się i tak długo ją całował, aż ręka, którą podniosła, by go odepchnąć, opadła bezwładnie. - Tylko ciebie, maleńka.

Kilka kilometrów dalej Joe Dolin krążył po dawnym polu bitewnym, zbierając śmieci po turystach. Cały czas wodził wzrokiem po sąsiednich polach, wzgórzach, biegnącej dołem drodze. Gdzieś rosnęły duże rozłożyste drzewa, na prawo ciągnął się kamienny mur. Joe zamierzał starannie wybrać czas i miejsce. Jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora.

Prędzej czy później dotrą do mostu. Teren wokół był nierówny, kamienisty, gęsto porośnięty krzakami. Tam bez trudu zdoła się ukryć, a jeśli będzie szedł brzegiem strumyka, to psy nie wytropią jego zapachu.

Często kłusował w tych lasach, z kumplami od wódki strzelał do saren i jeleni. Miał mnóstwo czasu, żeby obmyślić plan, zastanowić się, gdzie najlepiej się ukryć, do kogo ewentualnie zwrócić się o pomoc.

Na razie grał rolę dobrego, posłusznego więźnia: zbierał puszki i śmiecie, które cholerni turyści i miejscowi wagarowicze rzucali gdzie popadnie. Naczelnik był cwany gościem, ale Joe nigdy z nim nie dyskutował, o nic się nie wyklócał; przeciwnie, zawsze pierwszy na ochotnika zgłaszał się do wszelkich robót, nawet tych nieprzyjemnych.

Starał się wyrobić sobie dobrą opinię. Wierzchem dłoni otarł z czoła pot. Liczył, że dobra opinia, o którą nigdy wcześniej nie dbał, pozwoli mu wydostać się z tej przeklętej klatki.

I wrócić do Cassie. Do małej, słodkiej Cassie.

Suka zapłaci mu za każdy dzień, jaki spędził za kratkami. Za każdą godzinę, jaką musiał obywać się bez kielicha i bez seksu.

A kiedy z nią skończy, dorwie się do MacKade'a. Może do wszystkich czterech MacKade'ów. Wszystko sobie dokładnie obmyślił, wiedział, czego się wystrzegać.

Miał nadzieję, że uda mu się zabić chociaż jednego. Oby to był Devin. Później wyruszy do Meksyku, zabierając ze sobą żonę.

Potrzebował jedynie pieniędzy, samochodu, gnata. Znał miejsce, gdzie mógł je zdobyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Connor widział, że Bryan zaczyna się nudzić: nie pociągało go obserwowanie pracy szeryfa. Ale dla niego to była fascynująca przygoda; mógłby godzinami patrzeć, jak szeryf odbiera telefony i sporządza raporty.

Zamierzał napisać opowiadanie o pracy policji i chciał wszystko dokładnie obejrzeć, żeby nie popełnić żadnych błędów. Interesował go wygląd gabinetu, unoszące się w powietrzu cząsteczki kurzu, zarysowania na biurku, ślady po papierosach, skrzypienie zawieszzonego u sufitu wiatraka.

Connor wziął głęboki oddech: w nozdrza uderzył go mocny aromat kawy. Starał się zapamiętać dźwięk dzwoniącego na biurku telefonu, szuranie fotela o podłogę. Obserwował, jak szeryf umieszcza w segregatorze dokumenty, jak drapie się po głowie, potem po policzku.

A także - to było najważniejsze - zapamiętać głos szeryfa, gdy odbierał telefon, głos niski, cichy, w którym czasem pobrzmiwała nuta wesołości. Innymi razy ten sam głos brzmiał szorstko, rzeczowo, oficjalnie. Dwukrotnie Connor widział, jak na czole szeryfa pojawiają się pionowe bruzdy.

Zauważył też, że szeryf pije strasznie dużo kawy i mnóstwo rzeczy zapisuje w notesie. Connor chciał zadać tysiące pytań, ale powstrzymywał się; nie chciał szeryfowi przeszkadzać.

Podniósłszy wzrok, Devin zobaczył, że chłopiec przygląda mu się jak sowa: uważnie i cierpliwie. Spojrzał na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że od ich przyjscia w ten sobotni ranek minęły dwie godziny.

Connor pewnie mógłby siedzieć bez ruchu, w milczeniu obserwując jego poczynania, ale Bryan coraz bardziej się nudził; wiercił się niespokojnie na krześle i wyraźnie miał dość.

- Donnie, przejmij moje obowiązki, a ja i chłopaki wybierzemy się na lunch do Ed.

- Jasne, szefie.

- Jak federalni zadzwonią w sprawie Messnera, powiedz, że do poniedziałku dostaną raport.

- W porządku, szefie - odrzekł zastępca, marszcząc czoło.

- Przyniosę coś do żarcia Curtisowi. Powiedz mu, gdyby nagle zaczął się pieklić w celi.

- Ojej, wujku! To w celi siedzi groźny przestępca? - ożywił się Bryan. - Nic nam nie mówiłeś.

- Nie przestępca - przyznał z żalem Devin, wiedząc, że chłopcy będą zawiedzeni - tylko ktoś, kto wypił za dużo i nie mógł trafić do domu. Hm, zjadłbym hamburgera, a wy?

- Ja też! - Bryan wybiegł za drzwi. - Konam z głodu! Hamburger z dużymi frytkami, prawda, Con?

- Tak, może być. - Biedny Connor ledwo mógł się skupić na jedzeniu; tyle innych kwestii go zajmowało. - Szeryfie, dlaczego wciąż masz włączone policyjne radio? Większość wiadomości nie dotyczy naszego miasta.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się ważna informacja.

- A czy jak znasz człowieka, to trudniej ci go zamknąć za kratkami?

- Jak się kogoś zna, to zwykle można pogadać i rozwiązać problem, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

- A zdarzyło się, żeby bandyta uciekł z więzienia?
- spytał Bryan. Szedł tyłem, podskakując wesoło.
- Żeby walnął cię w głowę i czmychnął do lasu?

Devin uśmiechnął się pod nosem. Przed oczami stanął mu obraz staruszka Curtisa, który gramoli się na otaczający więzienie mur.

- Nie, nie przypominam sobie takiej sytuacji.

- A gdyby jakiś więzień się wydostał, pewnie musiałbyś do niego strzelić? - Oczy chłopca lśniły z podniecenia. - Na przykład w nogę?

- Jest duża szansa, że wiedziałbym, gdzie ten więzień mieszka, więc poszedłbym do niego i przyprowadził go z powrotem do więzienia.

- A gdyby stawiał opór?

- Wtedy musiałbym użyć siły - odparł Devin.

- Bach! Zakułbyś go w kajdanki! I bach! Wepchnąłbyś go do celi!

- To dzięki szeryfowi w miasteczku panuje spokój - oznajmił

Connor.

Devin, wzruszony, dał chłopcu pstryczka w daszek czapki.

- Staram się, mój mały przyjacielu.

- Szeryfie...

Obejrzawszy się, Devin westchnął ciężko na widok zbliżającego się właściciela sklepiku. Staruszek każdego potrafił zagadać na śmierć.

- Witam, panie Grant. Jak tam interesy?

- Jako tako, szeryfie. Raz lepiej, raz gorzej. - Na moment zamilkł, strzepnął niewidoczny pyłek z pomiętej brązowej koszuli. - Pomyślałem sobie, że powinienem pana o tym powiadomić... oczywiście nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy... Wyznaję zasadę: żyj i pozwól żyć.

Była to ulubiona kwestia pana Granta, którą powtarzał do znudzenia. A że pamięć miał krótką, nie dokończył pierwszego zdania.

- O czym powinien mnie pan powiadomić? - spytał Devin.

- A, tak. Bo widzi pan, postanowiłem wybrać się na mały spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Akurat przechodziłem koło banku, to było tuż po zamknięciu...

- I?

- I odniosłem wrażenie, że w środku odbywa się napad.

- Słucham?

- Że w środku odbywa się napad - powtórzył staruszek. - Jakiś człowiek celował z broni. Chyba kalibru czterdzieści pięć, ale mogę się mylić. Mógł to być kaliber trzydzieści osiem.

Zanim którykolwiek z chłopców zdążył zareagować, Devin pchnął ich w stronę kawiarni.

- Idźcie do Ed. I nie wystawiajcie nosa za drzwi.

- Ale wujku...

- Marsz, Bryan. Ty też, Connor. Idźcie tam, ale nikomu nic nie mówcie. Słyszycie? - Zmierzył ich groźnym spojrzeniem. - Buzia na kłódkę, jasne? Nie możemy pozwolić, żeby ludzie wpadli w panikę i zaczęli przeszkadzać w akcji.

- A ty? - spytał Connor. - Co chcesz zrobić?

- Powstrzymać napad. No, wynocha stąd! Szybko! Chłopcy oddalili się pośpiesznie. Dla pewności

Devin nie spuszczał ich z oczu, dopóki nie znikli w kawiarni.

- Panie Grant, może byśmy się przeszli razem koło banku? Zerknęli, co się tam dzieje?

- Bardzo chętnie.

Stary murowany budynek z żelaznymi kratami w oknach znajdował się po drugiej stronie ulicy, po skosie od kawiarni Ed. Devin obejrzał się za siebie. Zobaczył przyklejone do szyby twarze chłopców. Popatrzył w prawo i w lewo. Jak na sobotnie popołudnie całkiem sporo samochodów, to może być problem.

- Przyjrzał się pan napastnikowi, panie Grant?

- Trochę. Powiedziałbym, że to dość młody człowiek, mniej więcej w pana wieku, szeryfie. Podobny do syna Harrisów, tyle że to nie był on.

Devin pokiwał głową. Przed bankiem zauważył brudny biały wóz sportowy z tablicą rejestracyjną stanu Delaware.

- Rozpoznaje pan ten samochód?

- Nie - odparł po chwili wahania pan Grant. - Nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Niech pan tu zaczeka.

Odpiąwszy pasek przy kaburze, Devin od niechcienia minął okratowane drzwi banku. Przez szybę widział siedzącą za ladą kasjerkę, a przed nią mężczyznę, który nerwowo wymachiwał pistoletem.

Czterdziestką. Grant miał rację.

Devin wrócił do staruszka.

- Panie Grant, niech pan pójdzie na komisariat i powie Donniemu, że trwa napad na bank i potrzebuję wsparcia. Nie chcę, aby przyjeżdżał tu na sygnale. Ani żeby wchodził do banku. Czy to jasne? Mogę na pana liczyć?

- Pewnie, szeryfie. Chętnie panu pomogę.

- I niech pan tam zostanie. Na komisariacie. Niech pan tu nie wraca.

Staruszek odszedł. Kątem oka Devin dostrzegł zbliżającego się Rafe'a. Chwycił go za łokieć, zanim ten zdążył się przywitać.

- Mianuję cię moim zastępcą.

- Oszalałeś? Regan wysłała mnie po paczkę pieluszek. Nie mam czasu bawić się w twojego zastępcę.

- Widzisz ten biały samochód z tablicami z Delaware?

- Widzę. Nie jestem ślepy.

- Zrób coś, żeby nie mógł ruszyć z miejsca. Rafe uniósł pytająco brwi.

- Do czego ty mnie namawiasz?

- Zrób, co ci mówię! - zniecierpliwił się Devin.

- A o co chodzi?

- O napad na bank. Gdyby złodziejowi udało się wybiec z budynku, nie może stąd odjechać. Aha, i postaraj się, żeby nie gromadzili się tu gapie.

- Mowy nie ma, żebyś poszedł tam sam!

- Mam broń, Rafe. Ty nie. I noszę odznakę szeryfa.

A teraz bądź tak miły i zajmij się samochodem. O mnie się nie martw. Z tego, co widziałem, w środku jest tylko jeden facet. Jeśli wybiegnie, machając gnatem, nie próbuj go zatrzymać. Nie rób nic głupiego. Po prostu usuń się z drogi, jasne?

Akurat, pomyślał Rafe, ale posłusznie ruszył w stronę zaparkowanego przed bankiem auta.

Devin wyciągnął broń i wetknął ją za pasek, by była niewidoczna, a odznakę szeryfa schował do kieszeni. Pchnął drzwi i wszedł do banku.

- Cześć, Nancy. - Uśmiechnął się do kasjerki.

- Bałem się, że nie zdążę z wpłatą, ale na szczęście jeszcze pracujesz.

Na twarzy kobiety malował się wyraz przerażenia.

- Ale... ale... - zaczęła dukać.

- żona obsztorcuje mnie, jeśli wrócę do domu z forszą. Firma ubezpieczeniowa potrąca nam składkę z konta, a dziś akurat wypada ten dzień. - Leniwym krokiem podszedł do lady.

- Człowieku, odbiło ci?! - ryknął napastnik z bronią; nerwy miał napięte do ostatnich granic. - Oszalałeś, czy co? Kładź się na podłogę! No już!

- Wcale nie próbuję się przed pana wepchnąć - rzekł Devin. - Spokojnie poczekam na swoją kolej.

- Nie spuszczać oczu z faceta, wsunął rękę do kieszeni, w której mężczyźni zwykle noszą portfel.

- Na swoją kolej, tak? - Napastnik skierował na Devina broń, którą dotychczas trzymał wycelowaną w Nancy. - No dobra, wyjmuj forszę! Ona też mi się przyda.

Devin uniósł rękę, jakby dopiero teraz spostrzegł pistolet.

- Jasna cholera! Czyżby to był napad na bank?

- A jak ci wydaje, Einsteinie? No, dawaj forszę!

- Tylko spokojnie, już ją wyjmuję. - Ale zamiast portfela, Devin wyciągnął zza pasa broń. - To co, będziemy tak stać i w siebie mierzyć?

- Zabiję cię! - Oczy napastnika lśniły gorączkowo.

- Zabiję! Przysięgam!

- To całkiem możliwe - stwierdził Devin. Ale mało prawdopodobne, pomyślał, widząc, jak facet wymachuje pukawką. - Ale równie możliwe, że to ja zabiję ciebie. Lepiej rzuć spluwę na ziemię i cofnij się od lady. Już

i tak będziesz odpowiadał za napad z bronią w ręku. Chcesz odpowiadać za zabicie policjanta?

- Policjanta? Szlag by to... - Nie posiadając się z wściekłości, napastnik ponownie skierował broń na kasjerkę. - W takim razie ją zastrzele!

Kiedy mężczyźni rozmawiali, Nancy przytomnie schowała się pod ladę. Była poza zasięgiem strzału.

Devin nie zawahał się. Nawet nie zaklął, żeby nie tracić czasu. Ponieważ stał blisko napastnika, zamiast pociągnąć za spust, wymierzył cios pięścią.

Facet strzelił, na szczęście w sufit. Nie zdołał utrzymać broni; wypadła mu z ręki. Devin nie schylił się po nią; własną przytknął do czoła bandyty.

- A teraz ręce za głowę - oznajmił spokojnie.

- Inaczej odstrzele ci łeb, a wolałbym tego nie robić, bo wykładzina ma zaledwie rok.

- Cholerny gliniarz! Cholerne zadupie!

- Masz rację. - Nie ceregieląc się, Devin zakuł faceta w kajdanki. - Zadupia najlepiej omijać z daleka. Bo my się tu wszyscy znamy i lubimy. Hej, nikt nie ucierpiał? - zawołał do pracowników ukrytych za ladą.

- Nancy, wszystko w porządku?

Rozległ się chór przejętych, podekscytowanych głosów.

Obejrząwszy się za siebie, Devin zobaczył Rafe'a z łomem w ręce.

- Przecież mówiłem, że sobie poradzę.

- Wiem, ale uznałem, że łom nie zaszkodzi... Coś ty mu zrobił, Dev? Oskalpowaleś biedaka?

Devin podniósł perukę, która podczas szamotaniny zsunęła się napastnikowi w głowy.

- Na to wygląda. Hm, może przy okazji warto go ogolić... ? -

Chwytał w palce doczepiane wąsy i szarpnął mocno. - Jeśli się zastanawiasz, co z tobą będzie, to jesteś aresztowany. Masz prawo do odmowy składania zeznań... - Pouczając typa, co mu wolno, a czego nie, pchnął go w stronę drzwi. - Wszystkich proszę o pozostanie na miejscu - zwrócił się do ludzi za ladą.

- Donnie zaraz spíše wasze zeznania.

Przez okno kawiarni chłopcy widzieli, jak szeryf wychodzi, prowadząc przed sobą łysiejącego faceta z rozkrwawioną wargą.

- Dorwał go - szepnął z niedowierzaniem Bryan.

- Devin dorwał autentycznego rabusia.

- Oczywiście, że dorwał. - Connor uśmiechnął się szeroko. - W końcu jest szeryfem, nie?

Przez cały dzień w miasteczku nie mówiono o niczym innym, jak o napadzie na bank. Oczywiście bardzo koloryzując i dramatyzując. W rozmowach przez telefon i na ulicy ludzie opowiadali sobie, jak to Devin wpadł do budynku z wyciągniętą bronią i furią w oczach. Czasem pojawiała się inna wersja – gołymi rękami powalił na ziemię groźnego, uzbrojonego po zęby bandytę.

Wdzięczne mieszkanki Antietam znosiły mu domowe wypieki; pod koniec dnia śmiało mógłby otworzyć własną restaurację. Te wszystkie pyszności wynagradzały mu trud pisania urzędowych sprawozdań. A także trud odbierania kolejnych telefonów, a to od przejętych obywateli, a to od

burmistrza, a to od dyrektora banku, a to od licznych pań gotowych pocieszać go po dzisiejszej niebezpiecznej przygodzie.

Właśnie tłumaczył kolejnej, że czuje się doskonale i nie potrzebuje wsparcia, kiedy do gabinetu wkroczyli jego bracia.

- Nie, Annie, nie jestem ranny. - Wzniósł oczy do nieba. Bracia wyszczerzyli zęby w uśmiechu. - Nie postrzelił mnie. Sharilyn przesadza. Co takiego?

- Zdumiony ofertą, chrząknął. - To miło z twojej strony, Annie. Doceniam twoje dobre serce, ale.... Nie, nie sędzę, aby wystąpił u mnie opóźniony syndrom stresu. Tak, wiem, słyszałem o czymś takim, ale... Nie, naprawdę nic mi nie dolega. Przepraszam cię, nie bardzo mogę teraz rozmawiać. Tak, mam mnóstwo pilnych spraw służbowych. Oczywiście. Dobrze. Ty też na siebie uważaj. Do widzenia. - Odłożywszy słuchawkę, pokręcił głową. - Rany boskie!

- To była Annie Linstrom, zwana Bóstwem? - spytał Shane.

- Próbowwała mnie poderwać - oznajmił Devin.

- Chyba nigdy nie zrozumie kobiet.

Jared przysiadł na krawędzi biurka.

- Podobno kule odbijają się rykoszetem od twojego torsu.

- A ja słyszałem, że on jada kule na śniadanie. - Shane przysunął nos do cytrynowego placka i powąchał. - Która go upiekła? Betty Malloy?

- Tak. - Devin skrzywił się na dźwięk telefonu; marzył o chwili przerwy. - Gdzie, u diabła, podziewa się Donnie?

- Widziałem go, jak z dumnie wypiętą pierśią paradował po Main. - Rafe wskazał na terkoczący aparat. - Nie odbierzesz?

Przeklinając pod nosem, Devin chwycił słuchawkę.

- MacKade, słucham.

Oparł się plecami o ścianę i przymknął powieki. Kolejny dziennikarz. Wszystkie redakcje prasowe i stacje radiowo-telewizyjne w obrębie stu kilometrów próbowały zdobyć informacje o udaremnionym napadzie. Devin wyrecytował oficjalną wersję zdarzeń, wymigał się od dłuższego wywiadu i pożegnał.

- Niezły jesteś - pochwalił Jared. - Surowy, stanowczy, rzeczowy.

- Powinienem był kopnąć kretyna w łeb - mruknął Devin. - Mam przez niego same kłopoty. Siedzę tu, odbieram telefony, piszę raporty, a ten idiota od siedmiu boleści, który nawet nie potrafiłby okraść straganu z oranżadą, nie mówiąc już o banku, tkwi w celi na zapleczu i żałośnie zawodzi.

- Przynajmniej nie grozi ci śmierć głodowa - podsumował Shane, częstując się ciastkiem. - Chcieliśmy cię zabrać do Duffa, wypić zdrowie dzielnego szeryfa.

- Nie mogę zostawić więźnia bez opieki.

- Szkoda. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie wrażenie wywarłeś na Bryanie - powiedział Jared. - Jesteś lepszy od Rambo.

Devin, rozbawiony, podrapał się po brodzie.

- Tak? To mu nie mów, że poprzednia kradzież, jaką się zajmowałem, dotyczyła pary nastolatków, którzy z ogrodu pani Metz zwędzili suszącą się na sznurze bieliznę. - Przesunął papiery na biurku. - Zaglądałeś do pensjonatu, Rafe? Wszystko tam w porządku?

- Tak. Cassie trochę się zdenerwowała. Doszły ją plotki... Ale powiedziałem jej, że wszystko zostało wyolbrzymione.

- Dzięki, stary.

- Drobiazg. Connor siedział w kuchni i pisał opowiadanie o tobie.
- Serio? - Devin uśmiechnął się od ucha do ucha.
- „Dzień z życia szeryfa MacKade'a". - Rafe nalał sobie kawy. -

Chłopak cię uwielbia.

- To dobrze. - Shane sięgnął po kolejne ciastko. - Biorąc pod uwagę, że Devin zamierza poślubić jego mamę.

Rafe wylał odrobinę gorącej kawy na rękę i zaklął cicho.

- Cassie? Zamierzasz poślubić naszą małą Cassie?

- Shane'a jak zwykle ponosi fantazja - oznajmił Devin, mierząc najmłodszego MacKade'a gniewnym wzrokiem.

- Jaka fantazja? Sam mi to powiedziałeś. Nie pamiętasz? A ja się oburzyłem, że ci odbiło. Tak jak tym dwóm.

- Zamknij się, Shane. - Jared nie spuszczał oczu z Devina. - Ty i Cassie?

- Coś ci nie pasuje?

- Ależ nie, pasuje.

- Dopytujesz się jako jej prawnik? - Devin wstał od biurka. Bał się, że jeśli znów zadzwoni telefon, to wyrwie gniazdko ze ściany. Żeby się uspokoić, ruszył po dzbanek z kawą.

- Zakochał się chłopina - stwierdził Rafe. - Swoją drogą, pamiętam, że wzdychałeś do Cassie, kiedy miałaś dziesięć albo dwanaście lat...

Uważnie przyglądał się bratu. Ten nie zareagował; nalał sobie kawy i pociągnął łyk. Nagle Rafe doznał olśnienia.

- A niech mnie! To trwa od tamtej pory, prawda? Nasz brat romantyk! - Przyłożył rękę do serca. - Kto by pomyślał?

- Nabijaj się, nabijaj, a gorzko tego pożałujesz - warknął Devin.

- Rany! - mruknął zde gustowany Shane, wpychając do ust kolejne ciastko. - Codziennie mamy tu walentynki, czy co? Aż strach wyjść na ulicę. Człowiek nawet nie wie, kiedy go trafi strzała Amora.

- Cassie to urocza młoda kobieta - powiedział Rafe.

- Nie przeczę. Sympatyczna, w dodatku ładna - przyznał Shane. - Ale czy to znaczy, że Devin koniecznie musi się z nią żenić? No spójrzcie. - Zatokzył ręką łuk, wskazując na torty, ciastka i placki. - Baby za nim szaleją, zabiegają o jego względy, a on je odrzuca, bo dla niego liczy się tylko jedna. Zachowuje się nie tylko głupio, ale i bardzo egoistycznie.

Rafe poklepał Shane'a po ramieniu.

- Kocham cię, braciszku. Dzięki tobie legenda MacKade'ów przetrwa kolejne dziesięciolecia.

- A żebyś wiedział! Żadna baba nie zaciągnie mnie do ołtarza. Tyle kwiatków rośnie na łące! Po jaką cholerę skusić się na jeden, kiedy można mieć bukiet?

- Kolejny romantyk. - Rafe ponownie pacnął Shane'a w ramię. - No dobra, chodźmy na piwo.

- Wy dwaj idźcie. - Jared nie ruszył się z miejsca. - Muszę chwilę pogadać z Devinem.

Rafe i Shane skierowali się do drzwi, kłócąc się, kto będzie płacił. Kiedy w gabinecie nastąpiła cisza, Devin wrócił z kawą do biurka.

- O co chodzi? Masz problem?

- Nie. - Jared obrócił się twarzą do brata. - Ale ty możesz mieć.

Rozmawiałeś z Cassie o małżeństwie?

- Trochę. Bo co?

- Joe Dolin.

- Są rozwiedzeni.

- Owszem, są rozwiedzeni. Ale prędzej czy później on znajdzie się na wolności. I wróci do Antietam.

- Poradzę sobie.

- Nie wątpię. Ale przypominam ci, że istnieje coś takiego jak prawo i praworządność.

Devin odruchowo potarł odznakę na piersi.

- Jeśli dotknie Cassie, jeśli chociaż spróbuje się do niej zbliżyć, natychmiast wyląduje za kratkami. Nie będę się z nim patyczkował.

- I w tym cały problem. Jesteś szeryfem, ale nie zdołasz zachować bezstronności.

Devin odstawił kawę i pochylił się do przodu.

- Zakochałem się w niej jako szczeniak. Całymi latami beczynn timer patrzyłem na jej krzywdę. Nie mogłem nic zrobić. Wiedziałem, co się dzieje w ich domu, ale miałem związane ręce, bo Cassie trzymała język za zębami. Teraz sprawy wyglądają inaczej. Joe już nigdy więcej jej nie uderzy. Jeżeli spróbuje, zabiję go. Problem zniknie.

Jared pokiwał głową. Poważnie traktował wyznanie brata. Devin nie rzucał słów na wiatr. Zresztą on sam też by uczynił wszystko, aby chronić ukochaną kobietę.

- No dobrze, wyobraź sobie inny scenariusz. Może Joe będzie miał na tyle rozumu, że nie podniesie na Cassie ręki. Ale jeśli po odsiedzeniu kary zamieszka z powrotem w miasteczku?

- Wtedy będę musiał pilnować Rafe'a, żeby go nie zatłukł za to, co drań usiłował zrobić Regan.

To prawda, pomyślał Jared. Zresztą nie tylko Rafe i Devin nie powitają Dolina z otwartymi ramionami. Innym też załazł za skórę.

- Posłuchaj, jako jej prawnik dokładnie wiem, co Cassie przeżyła. Prowadziłem jej sprawę rozwodową, znam wszystkie szczegóły. Facet znęcał się nad żoną, fizycznie i psychicznie. Zamienił jej życie w piekło. To, że Cassie się nie załamała, że stanęła ponownie na nogi, to zasługa terapii i dobrych ludzi w miasteczku, a także jej siły charakteru. Ale pozostały blizny, których nigdy się nie pozbędzie.

- Wiem, Jared. Dlatego jej nie poganiam. Do niczego nie zmuszam. Staram się być cierpliwy i ostrożny. Nie nalegam, aby podejmowała jakiegokolwiek decyzje.

- Próbuję ci uzmysłwić, w co się pakujesz. Nie zrozum mnie źle. To wspaniała dziewczyna, która zasługuje na szczęście i na porządnego faceta. Chcę, żebyście byli razem, ułożyli sobie wspólnie życie. Ale tu nie tylko o was chodzi; również o dwoje małych dzieci. Dzieci Joego Dolina.

Devin zmrużył oczy.

- Ty mi to mówisz? Ty, który wychowujesz Bryana? Przecież traktujesz go tak samo jak Laylę. Co za różnica, że w żyłach Connora i Emmy płynie krew innego mężczyzny?

- Nie w tym rzecz, Dev - powiedział spokojnie Jared. - Widywałem cię z dziećmi Cassie. Szalejesz za nimi, a one za tobą. Potrzebują takiego ojca jak ty. Ojca, który je pokocha i zapewni im szczęśliwy, bezpieczny dom.

- No właśnie.

- Ale pod jednym względem dzieci Cassie różnią się od Bryana. Biologiczny ojciec Bryana nie istnieje, a Dolin niestety tak. I wróci do Antietam.

- Dzieciaki go nic nie obchodzą. Nigdy nie obchodziły.

- To prawda. Ale wciąż jest ich ojcem i ma do nich prawo. - Biorąc głęboki oddech, Jared rozłożył bezradnie ręce. - Jeżeli nie uda mu się dobrać do Cassie, jeśli Cassie nie będzie chciała się z nim widzieć, Joe może wpaść na pomysł, aby posłużyć się dziećmi. Po odsiedzeniu kary będzie mógł je odwiedzać, uczestniczyć w ich życiu. Nie będziesz w stanie mu tego zabronić.

Nie pomyślał o tym. A może nie chciał zastanawiać się nad takimi sprawami. Teraz poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Jesteś prawnikiem. Wymyśl coś.

- Prawa rodzicielskie i opieka nad dziećmi to bardzo skomplikowane zagadnienia. Trzeba udowodnić, że Joe nie dorósł do roli ojca, że jest nieodpowiedzialnym rodzicem, który w dodatku naraża dzieci na niebezpieczeństwo. W przeciwnym razie nic nie wskóramy.

- Bił Connora.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Mały nie przyznawał się matce; nie chciał pogarszać jej sytuacji.

- Hm, może wykorzystam tę informację. Problem polega na tym, że kiedy człowiek wychodzi z więzienia, uznaje się, że odbył karę. Wiele win zostaje wymazanych. Wprawdzie miną lata, nim Joe skończy odsiadkę, ale powinieneś wiedzieć, co cię czeka.

- Wiem. I zapewniam cię, że Cassie, dzieci i ja będziemy rodziną. Nic nas nie powstrzyma. Ani Dolin, ani system prawny, ani nic.

- No dobra. - Jared zeskoczył z biurka. - A dla jasności: masz moje pełne poparcie. Rafe'a i Shane'a też.

- Dzięki. Doceniam to.

- Jeśli zdołasz się wyrwać na godzinę, zajrzyj do Duffa. Postawię ci piwo. - Jared ruszył zadowolony ku drzwiom. Przystanął z ręką na klamce.

- To wspaniała kobieta, Dev. Urocza, sympatyczna i znacznie silniejsza, niż ci się wydaje. Jeżeli przekonasz ją, żeby za ciebie wyszła, będziecie bardzo szczęśliwi... Aha, dam ci jedną radę.

- Oczywiście, skoro musisz - mruknął ironicznie Devin.

- Cassie nie wystarczy świadomość, że ją kochasz. Ona chce czuć się potrzebna. Za mężczyzną, który będzie jej potrzebował, skoczy w ogień.

Ale to ja jej potrzebuję, pomyślał Devin, kiedy Jared zamknął za sobą drzwi. Jak powietrza.

Nie chciał, żeby skakała za nim w ogień. Chciał tylko, żeby była szczęśliwa. Żeby się czuła bezpieczna. Chciał ją kochać, chronić, pilnować, aby jej i dzieciom już nigdy nie stała się krzywda.

Jego własne potrzeby mogły poczekać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Powtarzała sobie, że niepotrzebnie się martwi. Devinowi nic nie jest. Rafe o wszystkim jej opowiedział; jego wersja zdarzeń na pewno była bliższa prawdy niż te wcześniejsze, które słyszała przez telefon. Nawet historia, którą po powrocie przedstawił jej podekscytowany Connor, brzmiała mniej dramatycznie niż plotki krążące po miasteczku.

Czyli nie było powodu do zmartwień.

Mimo to niepokoiła się. Podskakiwała nerwowo za każdym razem, kiedy dzwonił telefon. Gdyby miała z kim zostawić dzieci i mogła choć na godzinę opuścić pensjonat, pojechałaby na komisariat i sama sprawdziła, czy Devin jest cały i zdrowy.

Jedna myśl cały czas krążyła jej po głowie: stał naprzeciwko uzbrojonego bandyty.

Wzdrygnęła się, próbując usunąć ten obraz sprzed oczu. Nie potrafiła. Devin wszedł do banku, w którym odbywał się napad; ryzykował życie, aby chronić życie innych. Po raz pierwszy w pełni uświadomiła sobie, co naprawdę oznacza gwiazda szeryfa. Do tej pory sądziła, że w ich spokojnym miasteczku praca szeryfa polega na sztuce dyplomacji i negocjacji; że nie wiąże się z ryzykiem i niebezpieczeństwem.

Ależ była głupia i naiwna. Przecież ciągle wybuchały jakieś awantury, ludzie upijali się, włamywali do sklepów, kłócili z rodziną i sąsiadami. Z własnego doświadczenia wiedziała, czym się może skończyć kłótnia małżeńska; przemoc za zamkniętymi drzwiami miała groźne konsekwencje.

Zrozumiała również, że strach o Devina, który towarzyszył jej przez całe popołudnie i wieczór, to coś więcej niż strach o przyjaciela czy kochanka. Lękała się o mężczyznę, którego kochała i bez którego nie wyobrażała sobie przyszłości.

Potrzebowała silnego przeżycia, wstrząsu, żeby się jej otworzyły oczy. Teraz przejrzała, zobaczyła zarówno teraźniejszość, jak i przeszłość. Odkąd sięgała pamięcią, Devin był zawsze w pobliżu. Polegała na jego pomocy, podziwiała go i w skrytości ducha chyba miała nadzieję, że nigdy nie zniknie z jej życia.

Wstydziła się, wręcz czuła się upokorzona, kiedy musiała pójść na komisariat i opowiedzieć o Joem, pokazać swoje sińce i rany, obnażyć duszę.

Nie wstydziła się szeryfa, wstydziła się Devina.

On zawsze bardziej ją onieśmielał niż jego bracia. Pewnie dlatego, że zależało jej na nim. Patrzyła na niego inaczej. Nie jak na kolegę, nie jak na szeryfa, lecz jak na kogoś wyjątkowego.

Tak, Devin był wyjątkowym człowiekiem, wyjątkowym mężczyzną. A ona, wreszcie wolna od męża brutala, nie musiała dłużej ukrywać swoich uczuć; mogła dać im wyraz, przyznać się sama przed sobą, że kocha Devina do szaleństwa.

Poczuła radość i zdumienie. Kocha Devina MacKade'a.

Kiedy zadzwonił telefon, pobiegła go odebrać. W słuchawce usłyszała głos Savannah.

- Cześć. Pewnie znasz najnowsze plotki?

- W całym miasteczku aż huczy. - Chcąc uspokoić rozedrgane nerwy, Cassie wyjęła z lodówki dzbanek soku. - Widziałaś Devina?

- Ja nie, ale Jared tak. Mówi, że naszego dzielnego szeryfa denerwuje szum wokół jego osoby. Z Haggerstown przysłali ekipę telewizyjną, przyjechało sporo dziennikarzy z lokalnych gazet. - Savannah urwała. Doskonale rozumiała niepokój Cassie. - Kochanie, nic mu nie jest. Przysięgam. Tylko wścieka się, że z powodu tej afery nie może wyrwać się z pracy. A ty, jak się czujesz?

- Ja? - Cassie utkwiała wzrok w szklance soku. - Dobrze. Trochę się denerwuję, to wszystko.

- Wcale ci się nie dziwię. Kiedy Bryan mi o tym opowiedział, byłam kłębkiem nerwów. Ale jednego możemy być pewni: Devin umie radzić sobie w trudnych sytuacjach.

- To prawda - przyznała Cassie. Podniosła szklanę, odstawiła ją. - W każdym razie cieszę się, że nic mu nie jest.

Tylko dlaczego nie dzwoni? Dlaczego się nie odzywa?

- Cassie, mam prośbę. Czy Connor mógłby zostać u nas na noc? Bryan błaga mnie o to, odkąd wrócił do domu.

Cassie wyjrzała przez okno; dzieci bawiły się z kotem.

- Connor będzie zachwycony. Jesteś pewna, że wytrzymasz z dwójką urwisów?

Na drugim końcu linii rozległ się huk.

- Bryan! - zawołała Savannah. - Jeśli stłuczesz szybę, to koniec z piłką! - Wzdychając, zwróciła się do Cassie. - Tak, Cassie, jestem absolutnie pewna. Ale to nie wszystko. Czy Emma też mogłaby spędzić tu noc?

- Emma? Na miłość boską, po co ci Emma?

- Jared uznał, że czas najwyższy przyzwyczajać się do małych dziewczynek. Żebyśmy wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy Layla wyrośnie z pieluch. - Roześmiała się wesoło. W tle Cassie usłyszała cichutkie gruchanie dziecka. - To co, pożyczysz nam Emmę? Oddamy ci ją w jednym kawałku. Przysięgam.

- Emma będzie wniebowzięta. Ale jak ty sobie z czwórka poradzisz?

- Spokojna głowa. Zresztą oboje z Jaredem kochamy liczbę cztery, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Chcecie mieć czworo dzieci? - wykrzyknęła Cassie. - No to faktycznie, nabierajcie wprawy.

- Spakujesz ich? Jared zaraz ruszy do was spacerkiem. Dotrze za jakieś pół godziny.

- Jasne. Ale obiecaj, że zadzwonisz, gdybyś potrzebowała pomocy albo miała wszystkiego dość.

- Obiecuję. - Rozległ się kolejny huk; coś spadło z brzękiem na podłogę. - Bryan, zabiję cię! Cassie, błagam, dawaj tu swoje dzieciaki. Bryan będzie miał towarzystwo i może nie zdemoluje mi domu.

Emma i Connor nie posiadali się z radości, zwłaszcza Emma, która pierwszy raz miała nocować poza domem. Szybciutko spakowali do torby czyste ubrania, piżamy, szczoteczki do zębów, postanowili nawet zabrać kota. Wysłuchali instrukcji, jak zachowywać się w gościach. Kiedy poszli z Jaredem, Cassie poczuła się straszliwie samotna.

Nagle miała za dużo czasu na myślenie i zamartwianie się.

Po zewnętrznych schodach zeszła na dół do pensjonatu. Goście, zmęczeni zwiedzaniem, odpoczywali w salonie; niektórzy grali w karty.

Cassie wyjęła talerzyki, pokroiła ciasto, zaparzyła kawę. Postawiła wszystko na stoliku, zaproponowała gościom po kieliszku wina.

Nakryła stół w jadalni, żeby rano czekał gotowy, sprawdziła zawartość lodówki i spiżarki, chociaż wiedziała, że są doskonale zaopatrzone. Pensjonat zaczynał słynąć z pysznych niedzielnych śniadań.

W końcu, nie mając co ze sobą zrobić, wyszła do ogrodu. Nie była przyzwyczajona do leniuchowania. Czasem puszczała wodze fantazji, wyobrażała sobie, że ma wolny wieczór i bierze długą, gorącą kąpiel, potem czyta, może ogląda film w telewizji.

Weźmie kąpiel. Tylko najpierw zajrzy do miasteczka i sprawdzi, czy Devin na pewno czuje się dobrze.

Wróciła na górę i krzyknęła na widok ciemnej postaci bujającej się na huśtawce.

- Widziałem, że jesteś zajęta - rzekł Devin. - Postanowiłem tu na ciebie poczekać.

Wciąż stała z ręką przyciśniętą do serca.

- Myślałam, że nie możesz się ruszyć z komisariatu.

- Donnie mnie zastąpi. Należy mi się wolne po tych dziesiątkach telefonów. - Wyciągnął zza pleców bukiet herbacianych róż. - Dla ciebie. Przejeżdżałem koło kwaciarni i nagle uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie dałem ci kwiatów. A przecież wiem, że lubisz róże.

- Są piękne. Dziękuję.

- Nie usiądziesz?

Przysiadła, trzymając bukiet w ramionach.

- Są piękne - powtórzyła cicho. - Powinnam je wstawić do wody.

- Chwilę wytrzymają. - Ujął Cassie za brodę i obrócił twarzą do siebie. - Hej, co ci jest?

- Strasznie się o ciebie martwiłam - przyznała. - Nie mogłam zostawić pensjonatu. Czekałam, aż zadzwonisz... Dlaczego nie zadzwoniłeś? - Nagle zawstydzila się. - Przepraszam. Nie powinnam czynić ci wyrzutów.

Znów przeprosza, przemknęło mu przez myśl; przyzwyczała się do przeproszania tego łobuza Joego. Właśnie o takich trwałych ranach i bliznach mówił Jared.

Nie pozwolił jej odwrócić wzroku.

- Nie przepraszaj. Dzwoniłem. Kilka razy. Ale było zajęte.

- No tak, bo wszyscy dzwonili. Słyszałam tyle wersji...

- Ta prawdziwa jest najmniej ekscytująca.

- Wchodząc do banku, wiedziałeś, że facet jest uzbrojony.

- Spełniłem swój obowiązek, i tyle. Nawet gdyby udało mu się opuścić bank, to w torbie z forszą był specjalny pojemnik z czerwoną farbą. Taki pomazaniec daleko by nie uciekł. - Devin zaśmiał się. - Trochę żałuję, że pojemnik nie zdążył wybuchnąć. Byłoby niezłe przedstawienie. No, ale wolałem nie ryzykować; jeszcze ktoś by ucierpiał.

- Drań mógł cię zabić.

- Nie słyszałaś, że kule się mnie nie imają?

Przytuliła twarz do jego ramienia.

- Cieszę się, że nie jesteś ranny. I że przyjechałeś.

- Ja też. - Objąwszy Cassie, wprawił huśtawkę w ruch. - Zjawiłbym się wcześniej, gdybym mógł. Ale...

- Wiem. Pokazywali cię w wiadomościach.

- Podobno.

- Nie widziałeś? - Popatrzyła mu w oczy. - Na pewno dadzą powtórkę o jedenastej.

- Wiem, jak wyglądam.

- Jesteś speszony... - powiedziała, wzruszona jego zmieszana miną.

- Nieprawda. No, może trochę - przyznał.

Był naprawdę uroczy z tym lekkim rumieńcem na twarzy.

- Jestem z ciebie dumna - rzekła, całując go w usta. - I wiesz co?

Nagrałam ten program. Connor był tak przejęty... Jak chcesz, możemy go razem obejrzeć.

- Darujmy sobie. Nie...

Ponownie przywarła ustami do jego ust i poczuła dziwną moc, kiedy serce zabiło mu tak, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - Dłonie miał wilgotne. Dobra, MacKade, pomyślał, wstając. Odsuń się, zanim eksplodujesz. - Za mało wychodzisz z domu. Nigdzie cię jeszcze nie zaprosiłem. Do restauracji, do kina.

- Wiosną zabrałeś nas do zoo, a zeszłego lata na festyn.

Dlaczego tak na mnie patrzy? - zastanawiał się nerwowo. Nigdy dotąd tak intensywnie się w niego nie wpatrywała.

- Sami, we dwójkę, nigdzie nie byliśmy. Uwielbiam towarzystwo twoich dzieci, ale...

- Nie musisz zapraszać mnie na randki, Devin. Odpowiada mi obecny stan rzeczy.

- Mimo wszystko... - Kiedy siedziała na wprost niego, z uśmiechem na ustach i z bukietem róż w dłoniach, nie był w stanie się skupić. -

Przywiozłem trochę smakołyków. Ciastek, tortów, placków. Całe popołudnie ludzie znosili mi pyszności.

- Są wdzięczni za to, co zrobiłeś. - Wstała. - W ten sposób chcą się odwdzińczyć.

- Wiem, ale sam nie zdołam wszystkiego zjeść. Część zostawiłem Donniemu, a resztę... Uznałem, że może dzieciaki... Swoją drogą, gdzie się podziewają? W sobotę nie chodzą tak wcześnie spać.

- Nie ma ich - odparła Cassie, dziękując w duchu Savannah i Jaredowi za ich wspaniały pomysł zabrania na noc Connora i Emmy. - Nocują u Bryana.

- Nie ma ich?

- Nie. Jesteśmy sami.

Był przygotowany, że spędzi z Cassie godzinę, potem odjedzie. Nie narzucałby się, wiedząc, że dzieci śpią w pokoju obok. Mogłyby to źle odebrać.

Ale dzieci nie było. Byli sami, a wieczór dopiero się zaczynał. Zalała go fala pożądania. Broniąc się przed pokusą, zaprosił Cassie na kolację.

- Wolę, żebyś zaprosił mnie do łóżka.

- Cassie... - Delikatnie pogładził ją po policzku. - Nie oczekuję seksu za każdym razem, jak się widzimy. Zależy mi na tobie, a nie tylko na...

- Wiem - przerwała mu, przyciskając usta do jego dłoni. - Ale chcę się dziś z tobą kochać. Pójdę wstawić kwiaty.

Obróciwszy się, znikła w mieszkaniu. Lekko skołowany ruszył za nią do środka.

- Kupiłam ten wazon w sklepiku Regan. - Wskazała zielony ceramiczny dzban pamiętający czasy Wielkiego Kryzysu. - Wciąż trudno

mi się przyzwyczaić do myśli, że mam pieniądze, które mogę wydawać, jak mi się podoba.

- I nie czuć wyrzutów sumienia.

- Czasem mnie dopadają. - Ułożyła kwiaty w wazonie. - Ale nie z powodu tego zakupu. Ani z powodu ciebie. - Podniosła wzrok. - Wiesz, co czuję, kiedy jesteśmy razem?

Pokręcił głową. Bał się, że nie zdoła wypowiedzieć słowa.

- Oszłomienie. Dzięki tobie doświadczam emocji, jakich nigdy wcześniej nie znałam. Pragnę rzeczy, o jakich nie śniłam. Chociaż mam dwadzieścia dziewięć lat, jesteś pierwszym mężczyzną, który mnie pieścił. Pragnę, żebyś mnie dotykał, całował.

On też tego chciał, ale najpierw musiał odzyskać nad sobą kontrolę. Nad swoim ciałem, nad rozumem.

Stał nieruchomo, milczał. Przestraszyła się. Pewnie postąpiła niewłaściwie, zrobiła coś nie tak.

- Ale jeśli nie chcesz... - zaczęła dukać. - Jeśli wolisz kiedy indziej albo...

Nie wytrzymał.

- O Chryste! - jęknął tak głośno, że aż się skuliła. - Cassie, chodźmy na spacer. Proszę cię. Jest taka ładna ciepła noc, księżyc na niebie. Chodźmy.

Tak, popełniła błąd. Tylko nie wiedziała, na czym ten błąd polega. Chyba na dostrojeniu się: ona była podniecona, on nie. Najwyraźniej nie sprawdziła się w roli uwodzicielki.

- Dobrze, oczywiście...

Rozpoznał ten ton, tę udawaną pogodę ducha, fałszywą wesołość. Nie mógł tego tak zostawić; musiał jej wyjaśnić, w czym rzecz.

- Maleńka, to nie jest tak, że nie chcę się z tobą kochać. Chcę. Bardzo. Ale... Nie wiem, może po dzisiejszej przygodzie w banku jestem odrobinę bardziej spięty, niż sądziłem. Potrzebuję spokoju, wytchnienia, zanim... Po prostu nie mogę się do ciebie teraz zbliżyć - dokończył szybko.

- Dlaczego?

- Bo jestem zbyt podminowany. Bo za bardzo cię pragnę. W dodatku kiedy tak na mnie patrzysz, to... Nie, nie mogę! Mógłbym wyrządzić ci krzywdę.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie. - Zaklął pod nosem, zaczął przemierzać kuchnię. -

Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Stoisz z rękami na biodrach, wpatrując się we mnie swoimi pięknymi ślepiami. Ledwo mogę oddychać... Kiedyś mi to nie przeszkadzało, ten twój wzrok, ale teraz... Odkąd się kochaliśmy... Chryste, wyjdźmy, nim się na ciebie rzucę!

- Nigdzie nie pójdziemy - sprzeciwiła się.

- Przecież mówię ci, że...

- Wiem, co mi usiłujesz powiedzieć. Myślisz, że jestem zbyt krucha i delikatna, aby poradzić sobie z twoją namiętnością. Nie jestem.

- Nie masz pojęcia, na co się narażasz.

- Może nie mam. Ale może chcę się przekonać.

- Zebrawszy na odwagę, podeszła bliżej i stanęła na wprost Devina. - Do tej pory, kiedy się kochaliśmy, usuwałeś się na dalszy plan. Chciałeś, żeby to mnie było dobrze.

- Żeby nam obojgu było dobrze.

- Nieprawda. Myślałeś głównie o mnie. - Przyjrzała mu się uważnie. Emanował siłą. Facet z krwi i kości. - Dbalesz o mój komfort, o moje potrzeby, o moją przyjemność. Nikt nigdy nie okazał mi tyle ciepła, dobra, cierpliwości, co ty.

- Wiem. - Delikatnym ruchem odgarnął jej loki.

- Bo byłeś z brutalem. Ale jego już nie ma, już nie wyrządzi ci krzywdy.

- Devin, jestem kobietą, nie dzieckiem. - Objęła go za szyję. - Kochając się ze mną, wstrzymywałeś się. Za każdym razem. A ja byłam zbyt przejęta i oszołomiona, aby zwrócić na to uwagę.

- Potrzebujesz czułości.

- Nie mów mi, czego potrzebuję. Już dość się tego nasłuchałam. - Oczy błyszczały jej gniewnie. - Owszem, potrzebuję czułości, ale potrzebuję również zaufania, szacunku, bycia traktowaną jak kobieta. Jak normalna kobieta.

- Nie naciskaj, Cassie. - Pocałował ją w czoło. Wstąpiła w nią furia.

- Pocałuj mnie. Mocno. - Przysunęła usta do jego ust. - Pokaż mi, jak to się robi. Pokaż, jaki jesteś, kiedy tracisz nad sobą panowanie.

Przegrał walkę. Zakławszy pod nosem, porwał Cassie w ramiona. Całował ją żarliwie, namiętnie. Tak jak tamtego pierwszego razu, kiedy się w pełni przed nią odsłonił.

- Psiakrew, Cassie.

Próbował opuścić ręce, cofnąć się krok. Nie pozwoliła mu.

- Jeszcze raz - szepnęła, przyciągając jego głowę ku sobie. - Jeszcze raz pocałuj mnie w ten sposób. - Nie odrywała spojrzenia od jego oczu. - Pragnę cię. Och, całuj mnie, Devin, całuj. Całe życie na to czekałam. -

Wodziła dłońmi po jego torsie, czuła łomot serca, słyszała zdyszany oddech. - Weź mnie! Błagam, weź mnie. Nie bądź dziś czuły czy delikatny. Bądź sobą! Pokaż, co potrafisz!

Drżącymi rękami chwycił ją za włosy, owinał wokół swoich nadgarstków i pociągnął jej głowę do tyłu. Dysząc ciężko, chwilę się w nią wpatrywał, ale już nie targały nim wątpliwości. Zmiażdżył pocałunkiem jej usta. Przez moment trwał w zawieszeniu, jakby czekał na protest. Powtarzał sobie w duchu, że jeżeli Cassie się wystraszy, natychmiast przestanie, natychmiast wszystko przerwie.

Wiedział, że to kłamstwo. Że nie da rady. Była jak narkotyk, od którego nie potrafił się uwolnić.

- Cassie...

- Kochaj mnie, Devin. - Nie czuła strachu; czuła pożądanie, nie miała żadnych zahamowań. - Pokaż, jaki jesteś.

Tama pękła. Już nad niczym nie panował. Stracił kontrolę, do głosu doszedł prymitywny, zwierzęcy instynkt.

Szarpnął za bluzkę, niechcący rozrywając materiał. Jęcząc cichutko, Cassie objęła go mocno za szyję. Czuł, jak jej ciało drży. Wiedział, że z podniecenia, nie ze strachu.

- Dłużej nie... nie wytrzymam.

- Nikt ci nie każe - szepnęła, przylegając do niego brzuchem, udami, piersią. - Dotknij mnie. - Zaskoczona własną namiętnością, wsunęła ręce we włosy Devina. - Bo zaraz zwariuję!

Pochwyciwszy ją w ramiona, skierował się do sypialni. Cassie oplotła go nogami. Bał się, że nie doniesie jej do łóżka; że rzuci ją na

podłogę i... W drzwiach przystanął i przypierając Cassie do framugi, pochylił głowę. Przez materiał bluzki zacisnął usta na jej piersi.

- Jeszcze! Mocniej! - krzyknęła. Złapawszy za poły, rozchyliła bluzkę, odsłaniając piersi.

Poczuła jego usta i w tym samym momencie wstrząsnął nią potężny dreszcz. Zastygła, a po chwili wstąpiło w nią nowe życie.

Osunęli się na podłogę, niepomiernie otaczającego ich świata. Zdarli z siebie ubrania. Słysząc było tylko urwane okrzyki, ciche pomruki, przyśpieszone bicie serc. Żadnych westchnień, żadnych szeptów, żadnych czułych słówek.

To był seks, najdzikszy seks.

- Jeszcze! Więcej! Mocniej!

Ich ciała wiły się po podłodze, wykonując jakiś pierwotny taniec. Taniec, który trwał i trwał, bo szkoda było go kończyć. Wreszcie poczuła, że już nie mogą być bliżej.

Nie była w stanie dłużej wytrzymać. Starła się. Ale skąd mogła wiedzieć, że będzie tak wspaniale? Że Devin tak bardzo jej pragnie? A ona jego? Zamknęła oczy i poddała się rozkoszy.

Nagle ciało Devina zamarło w bezruchu. Odrzucił w tył głowę i zacisnął wargi, jakby przeszył go niehumaniczny ból. A potem, opadając na nią, zawołał jej imię.

Rozpłakała się.

Poczuł na ramieniu jej łzy. Przerażony, chciał poderwać się, ale zanim zdołał cokolwiek uczynić, Cassie z całej siły objęła go w pasie.

- Nie. Błagam. Nie ruszaj się.

- Przepraszam. - Nie wiedział, co powiedzieć, jak się wytłumaczyć. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. - Sprawilem ci ból.

Przysięgałem, że nigdy nie wyrządę ci krzywdy, a jednak wyrządziłem.

- Wiesz, co zrobiłeś? - Uśmiechała się, lecz on tego nie widział. Zaciskał oczy, rozmyślając o tym, jak brutalnie obszedł się z najwspanialszą istotą na świecie. - Zapomniałeś.

- Zapomniałem? Nie rozumiem. - Ponownie usiłował się podnieść, ale Cassie znów przytrzymała go z całej siły.

- Zapomniałeś być ostrożny i troskliwy. Zapomniałeś się o mnie martwić. O wszystkim zapomniałeś. Nie sądziłam, że mam nad tobą taką niesamowitą władzę. - Westchnęła z satysfakcją.

- Władzę? - Zaszło mu w gardle. Chciał wstać, podnieść ją z ziemi. Na miłość boską, nawet nie doszedł z nią do łóżka! Kochali się na podłodze! Pragnął przenieść ją na materac, szeptać jej do ucha kojące słówka... Ale to słowo i ton, jakim je wymówiła, zbiły go z tropu.

- Tak, czuję się silna, seksowna. - Powolnym, zmysłowym ruchem uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się. - Nigdy dotąd nie czułam takiej mocy. Podoba mi się ten stan. Naprawdę mi się podoba. - Zadowolona, zamruczała cichutko.

I właśnie taką ją ujrzał, kiedy w końcu oparł się na łokciu: uśmiechniętą i szczęśliwą. Wyglądała jak kobieta, która posiadała ekscytującą tajemnicę. Odniosła wielki życiowy triumf.

- Podoba ci się - powtórzył.

- Tak. Znów chcę się tak czuć. Znów, i znów, i znów. Chcę, żebyś był namiętny. A czasem delikatny. Wszystko chcę. Ciebie chcę. - Na

moment zamilkła. - Zapomniałeś. Ja to sprawiłam - powiedziała uradowana. - Uwiodłam cię. Przyznaj się. Uwiodłam, prawda?

- Pozbawiłaś mnie rozumu i sił. A ja podarłem ci bluzkę.

- Wiem. Było fantastycznie. Zrobisz to jeszcze kiedyś? - Oczy jej lśniły.

Potrząsnął głową, ale nic mu się w niej nie przejaśniło.

- Pewnie. Do usług, moja śliczna.

- A ja mogę ci podrzeć koszulę?

Zatkało go, po prostu zabrakło mu słów. Chrząknął.

- Wstańmy z tej podłogi - mruknął cicho.

- Podoba mi się tu. Tak bardzo mnie pragnąłeś, że nie doniosłeś mnie do łóżka. - Zaczęła się bawić ciemnymi lokami, które opadały mu na czoło. - Podoba mi się, jak na mnie patrzysz. I to, co wcześniej powiedziałeś. Że od lat mnie pragniesz. Że całymi latami przyglądałeś mi się z dystansu i marzyłeś o mnie. Że chciałeś się ze mną kochać. Tak jak teraz.

- No, może nie całkiem tak jak teraz.

- Nie? - Uśmiechnęła się zalotnie, a jemu serce zabiło szybciej. - A jak?

- No dobrze, masz rację.

Koniuszkiem języka oblizwała wargi.

- Mmm, wciąż mam na ustach twój smak.

- Boże, Cassie.

- Znów to robię - szepnęła.

- Co?

- Uwodzę cię.

- Moja kusicielka...

- Powiedz, że mnie kochasz, Devin - poprosiła. - Chcę to usłyszeć, kiedy jesteś we mnie.

- Kocham cię. - Wtulił twarz w jej włosy. Jak ta dziewczyna na niego działa! Miał wrażenie, że niczego już nie kontroluje. - Kocham i nigdy nie przestanę.

Dotrzymywała mu tempa, które z każdą sekundą stawało się coraz szybsze. Kiedy wyczuła, że oboje znajdują się na krawędzi, że jeszcze jeden mały krok i stoczą się w cudowną bezdenną przepaść, zbliżyła usta do ucha kochanka.

- Ja ciebie też. Kocham cię, Devin. Chyba zawsze kochałam.

Obojgiem wstrząsnął potężny orgazm. Po paru minutach, kiedy Devin doszedł do siebie, usiadł i wziął Cassie w ramiona.

- Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałem usłyszeć te słowa.

- Powiedziałam szczerą prawdę.

- Wiem. I zburzyłaś mój misternie skonstruowany plan.

- Jak to?

- Bo widzisz, wszystko sobie zaplanowałem. Że do Bożego Narodzenia rozkocham cię w sobie. Będę zdobywał twoje serce i wiosną namówię cię na ślub.

- Nie mówmy o małżeństwie. Proszę cię. Jeszcze nie teraz.

- A kiedy? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Nie wiem. Małżeństwo nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

- Mylisz się. Jest. Przynajmniej dla ludzi, którzy się kochają.

Uczyniłbym cię bardzo szczęśliwą.

- Och, wiem. - Obróciwszy się, pocałowała Devina w szyję. - Już i tak dałeś mi więcej, niż mogłam się spodziewać.

- Dobrze, poczekajmy. Mam pomysł. Otwórzmy butelkę wina, weźmy ciasto i urządzmy sobie piknik.

- Świetnie - ucieszyła się. - Przyniosę talerzyki. Odruchowo sięgnęła po spodnie, ale powstrzymał ją.

- Nie będą ci potrzebne - rzekł z figlarnym błyskiem w oku.

Roześmiała się wesoło.

- Chyba nie sądzisz, że z gołą pupą będę nakładała ciasto? - Serce zabiło jej szybciej. - Co?

- Przekonajmy się.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Koniec roku szkolnego Connor i Bryan powitali z wielką radością. Nawiedzony las kusił ich i pobudzał wyobraźnię. Chłopcy spędzali w nim całe godziny: wypatrywali duchów, nasłuchiwali huku mózdzierzy, w krzakach i na ziemi szukali bardziej namacalnych pamiątek z czasów wojny. Nawet po tylu latach wciąż można było trafić na stare naboje.

Connor miał pokaźną kolekcję, której Bryan mu zazdrościł: chropowate kule wyglądające jakby je wykonano z gliny, mosiężny guzik od munduru, metalowe strzemię, które Cassie znalazła w ogrodzie na tyłach pensjonatu. Chłopcy zgodnie uznali, że należało do generała armii unijnej i jego dumnego rumaka.

Connor wiele sobie obiecywał po tegorocznych wakacjach. Zeszłoroczne też były fajne, bo wprowadził się z mamą i siostrą do nowego mieszkania, ale wtedy jeszcze nie wierzył, że szczęście, które się do nich uśmiechnęło, będzie trwałe. Teraz już się nad tym nie zastanawiał; myślał tylko o długich letnich dniach, które będzie spędzał w towarzystwie swojego najlepszego przyjaciela, i o zabawach, których nie zakłóci pijak szukający okazji do bójki.

Nadal uważnie obserwował mamę. Już nie miała zmęczonej twarzy i śmiała się częściej. Podobało mu się, że przynosi do domu kwiaty i kupuje różne ładne rzeczy w sklepie Regan. Oczywiście nikomu o tym nie mówił; bał się, że koledzy zaczną się z niego nabijać.

Bryan nigdy go nie wyśmiewał. Był świetnym kumplem; nawet mu nie przeszkadzało, że Emma wszędzie za nimi łązi. Chętnie słuchał jego

opowiadań i potrafił dotrzymywać tajemnic. Byli jak bracia; właściwie to byli braćmi, bo któregoś dnia nakłuli sobie palce i wymienili się kroplą krwi.

Pierwsze dni letnich wakacji, wolne od książek i lekcji, spędzali w zbudowanym przez Jareda domku na drzewie na skraju lasu. Bawili się w ogrodzie za pensjonatem. No i często odwiedzali farmę Shane'a. Uwielbiali Shane'a, który pozwalał im na wszystko: mogli bawić się z psami, głaskać szczeniaki, przesiadywać na stryszku wielkiej starej stodoły.

Niemal każdego dnia chodzili do lasu. Wreszcie wyblągali zgodę na biwak w lesie. Tylko we dwóch.

Pożyczyli stary namiot Devina. Connor wiedział, że to dzięki Devinowi dostali pozwolenie. Mama się lękała, mówiła, że są za młodzi, że coś złego może im się przydarzyć. Devin przekonał ją, że noc w lesie stanowi pewnego rodzaju inicjację i że takie wspomnienia są ważne, bo zostają na zawsze. Czyli najważniejszą przygodę w życiu zawdzięczał szeryfowi MacKade'owi.

Ostrożnie rozpalili ognisko; najpierw ułożyli kamienie, tak jak im Devin pokazał, potem do środka wrzucili suche gałęzie. Piekli kielbaski. Cassie dała im duży pojemnik z sokiem, a Devin kilka puszek napojów. Puste puszki i wszystkie inne śmieci kazał im rano zabrać na farmę.

W namiocie rozpostarli maty. Na niebie świecił księżyc, gdzieś nieopodal pohukiwały sowy. Płomienie trzaskały głośno, zapach pieczonych kielbasek wypełniał nocne powietrze. Chłopcy byli zachwyceni.

- Ale super.

- Całkiem nieźle - przyznał Bryan, patrząc, jak nadziana na patyk kiełbaska przybiera czarny kolor. Lubił mocno przypieczone. -
Moglibyśmy tu nocować codziennie.

Connor wiedział, że gdyby codziennie nocowali w lesie, szybko by im się znudziło, ale nie powiedział tego na głos.

- Szeryf mówił, że on z braćmi często tu biwakowali.

- Tata lubi spacerować po lesie - rzekł Bryan, któremu używanie słowa „tata” sprawiało ogromną przyjemność. - Mama też. I lubią się całować. - Zaczął cmokać, chcąc rozśmieszyć przyjaciela. - Nie pojmuję, co fajnego jest w całowaniu. Ja bym pewnie zwymiotował, gdyby jakaś dziewczyna przytknęła usta do moich. Fuj! To paskudne!

- Ohydne! Zwłaszcza wtykanie języka.

W tym momencie Bryan wydał odgłos naśladujący odgłos wymiotowania i obaj chłopcy parsknęli śmiechem.

- Shane ciągle całuje dziewczyny. - Connor przewrócił oczami. - Bez ustanku. Słyszałem, jak twój ojciec mówi, że Shane to nałogowiec.

Bryan prychnął pogardliwie.

- Nie rozumiem tego. W sumie to klawy gość. Na wszystkim się zna, na zwierzętach, na maszynach, na prowadzeniu farmy. A mimo to lubi, jak wokół kręcą się dziewczyny. Robi mu się wtedy taki śmieszny wzrok, taki maślany. Devin tak patrzy na twoją mamę. Pewnie niektóre kobiety wypalają facetom mózg.

- O czym mówisz? - Connor nagle znieruchomiał.

- Ich spojrzenie działa jak laser. Puf! - Bryan przyłożył sobie palec do skroni.

- Nie, o szeryfie i mojej mamie.

- Że się w niej zabujał. - Kiełbaska na końcu patyka była już mocno przypieczona. Ostrożnie, żeby się nie poparzyć, chłopiec podmuchał na nią. - Ciągłe ją odwiedza, przynosi jej kwiaty. To samo robił mój tata, zanim ożenił się z mamą. Dawał jej kwiaty, a ona się nad nimi rozplýwała. - Pokręcił zde gustowany głową. - To chore.

- Devin wpada do nas, bo jest szeryfem - oznajmił stanowczo Connor. - Pilnuje, żeby nie stała nam się krzywda.

- Jasne, że pilnuje. - Bryan, pochłonięty jedzeniem kiełbaski, nie zauważył przerażenia malującego się na twarzy przyjaciela. - Może od tego się zaczęło. Wpadał do was, wpadał i się zadurzył. Słyszałem, jak zeszłej nocy moi rodzice rozmawiali. Mama powiedziała, że bardzo się cieszy, że nasz wielki, groźny szeryf... zawsze tak nazywa Devina - wyjaśnił - zwariował na punkcie Cassie. - Bryan zamilkł. - Hej, wiesz co? Gdyby się pobrali, bylibyśmy kuzynami! Bomba, nie?

- Mama nie wyjdzie za szeryfa! - gniewnie krzyknął Connor.

Bryan wytrzeszczył oczy.

- Ale...

- Mama nigdy za nikogo nie wyjdzie. - Connor poderwał się na nogi, odruchowo zacisnął dłonie w pięści. - Mylisz się. Nic ich nie łączy, nic a nic! Wszystko sobie wyssałeś z palca!

- Hej, Con, o co ci chodzi?

- Szeryf nas odwiedza, bo jest szeryfem. Bo pilnuje porządku. Wcale się nie zadurzył w mojej mamie. Odszczekaj to. Odszczekaj!

Może by odszczekał, gdyby Connor normalnie go poprosił, ale gniewny błysk w oczach przyjaciela sprawił, że w Bryana też wstąpiła złość.

- Nie mam zamiaru. Trzeba być ślepy, żeby nie widzieć, jak Devin wodzi wzrokiem za twoją mamą.

Connor rzucił się na niego z pięściami. W pierwszej chwili miał przewagę, bo Bryan nie spodziewał się ataku. Wkrótce ją stracił: Bryan był weteranem, jeśli chodzi o bójki, a Connor nowicjuszem.

Po paru sekundach Bryan przygwoździł przyjaciela do ziemi. Leżeli jeden na drugim, brudni, podrapani, oddychając ciężko, Connor z rozkrwawioną wargą, Bryan z odsłoniętymi zębami niczym rozjuszony wilk.

- Poddajesz się?

- Nie!

Connor dźgnął przeciwnika łokciem w bok. Ten jęknął z bólu. Obrzucając się wyzwiskami, stoczyli się w krzaki. Bryan ponownie znalazł się na górze; uniósł pięść, zamierzając wymierzyć cios. Nagle zamarł w tej pozycji. Coś usłyszał; gotów był przysiąc, że głos umierającego człowieka, ale dochodzący jakby zza grobu.

- Con, słyszałeś?

- Tak. - Zaciskając rękę na podartej koszulce Bryana, Connor rozejrzał się na boki. - Ale to brzmiało jak... jak...

- Jak duchy - szepnął Bryan. - O Chryste, Con. To oni, to naprawdę oni. Dwaj kaprale.

Connor leżał bez ruchu, wyteżając słuch. Dziwne głosy znikły; ciszę wypełniało pohukiwanie sów, szelest drobnej zwierzyny. Ale wcześniej słyszał. I czuł. Dzięki temu zrozumiał, co to znaczy wojna, walka jednego człowieka z drugim, obcego z obcym, brata z bratem.

Ogarnął go wstyd, bo Bryan był jego bratem, a on podniósł na niego pięść. Łzy zapiekły go pod powiekami. Uderzył przyjaciela, brata; czym różnił się od Dolina, który bił żonę i syna?

- Bry, przepraszam. - Nie umiał powstrzymać łez.

- Przepraszam. Nie chciałem...

- Hej, nic się nie stało. Niezły masz cios, wiesz?

- Bryan poklepał kumpla po ramieniu, wstał i zaczął strzepywać z siebie liście, kawałki suchych gałązek, kolce. - Ale musisz bardziej popracować nad gardą.

- Nie chcę się więcej bić. Nienawidzę walki.

- Connor usiadł na ziemi i otoczył rękami kolana.

- Kiepsko wyglądamy. Trzeba będzie coś wymyślić. Może powiemy, że zaatakowało nas stado dzikich psów?

- E tam. Nikt nie uwierzy.

- No to ty coś wymyśl. Pisziesz opowiadania, więc masz głowę nabitą pomysłami.

Connor westchnął, oparł czoło na kolanach. Nie chciał kłamać. Nienawidził kłamstw równie mocno, jak przemocy. Ale nie chciał ujrzeć zawodu w oczach matki.

- Może powiemy, że niechcący rzuciłem piłkę w jeżyny i kiedy szukaliśmy jej, to kolce czepiały nam się ubrań...

Niezłe, pomyślał Bryan. Czasem proste kłamstwo jest lepsze od zawitych tłumaczeń.

- A twoja warga? Do jutra ci spuchnie.

- Powiem, że upadłem.

Bryan przetarł ręce o brudne dzinsy.

- Nie boli? - spytał. - Może przyłóż sobie puszkę coli.

- Nie trzeba.

- Słuchaj, ja... nie chciałem obrazić twojej mamy. Ona jest naprawdę fajna. Gdyby ktoś mówił coś złego o mojej mamie, też bym się wściekł i rzucił z pięściami.

- W porządku - mruknął Connor. - Wiem, że nie chciałeś jej obrazić.

- Skoro wiesz, to dlaczego mnie zaatakowałeś? Connor podniósł głowę. Był już znacznie spokojniejszy.

- Wydawało mi się, że szeryf odwiedza nas, bo mnie lubi.

- Jasne, że cię lubi.

- Ale wpada głównie z powodu mojej mamy. Pewnie się z nią całuje i... No, wiesz.

Bryan wzruszył filozoficznie ramionami.

- Skoro się w niej buja...

- Było tak dobrze. Zamieszkaliśmy w pensjonacie, mama odżyła, zaczęła się uśmiechać. A teraz wszystko się zmieni. Na gorsze. Nic nie będzie tak, jak dotąd. Jeśli mama wyjdzie za szeryfa, to koniec.

- Dlaczego? Przecież Devin to równy gość.

- Nie chcę mieć ojca. Nigdy więcej. - Oczy Connora pociemniały. - Przejmie w domu kontrolę, zacznie rządzić, rozstawiać nas po kątach. Zacznie pić, krzyczeć i nas bić.

- Nie Devin.

- Tak się dzieje - rzekł gorączkowym szeptem Connor. - Najpierw facet jest miły, a potem diabeł w niego wstępuje. Uważa, że wszyscy powinni go słuchać i robić tak, jak on każe. Jak coś mu się nie spodoba, to zacznie znęcać się nad mamą, a ona będzie płakać... - Przypomniał sobie

rozmowę, jaką odbył z Devinem w lesie, ale szybko odepchnął od siebie te wspomnienia. - Tacy są ojcowie.

- Mój tak nie robi - zaprotestował Bryan. - Nigdy nie uderzył mamy. Owszem, czasem krzyknie, ale wtedy mama też krzyknie. A czasem mama pierwsza podniesie głos. Śmiesznie jest, jak się kłóca.

- Nie uderzył, ale prędzej czy później uderzy. Po prostu ona go jeszcze tak nie rozgniewała.

- Och, czasami doprowadza go do białej gorączki. Kiedyś byłem pewien, że tata zacznie dymić uszami, tak jak na kreskówkach. A on podszedł i bez słowa przerzucił sobie mamę przez ramię.

- Widzisz?

Bryan pokręcił głową.

- Nie zrobił jej nic złego. Zaczęli się tarzać po trawie. Mama najpierw głośno przeklinała, a potem oboje zaczęli się śmiać. A później całować. - Chłopiec przewrócił oczami. - To było strasznie krepujące.

- Gdyby naprawdę był na nią zły...

- Był. Mówię ci, że był. Kiedy tata się wścieka, twarz mu tężeje, spojrzenie staje się harde. Naprawdę aż się gotował.

- Nie bałeś się?

- E tam. - Bryan ponownie wzruszył ramionami.

- No dobra, może trochę się boję, kiedy to ja go zdenerwuję. Ale przecież wiem, że mnie nie uderzy.

- Postąpił krok w stronę przyjaciela i otoczył go ramieniem. - Uwierź mi, Con. Devin w niczym nie przypomina Dolina.

- Lubi się bić.

- Z braćmi. Albo z innymi facetami. Ale nie z kobietami i nie z dziećmi.

- Co za różnica, z kim się bije?

Bryan westchnął. Nie mieściło mu się w głowie, że Connor, jeden z najmądrzejszych chłopaków, jakich znał, czasem bywa tak niewiarygodnie tępy.

- Przed chwilą rzuciłeś się z pięściami na mnie. Czy to znaczy, że po powrocie do domu zlejesz Emmę?

- Oczywiście, że nie. Nigdy w życiu bym... - nagle Connor urwał i zamyślił się. - Hm, chyba faktycznie to robi różnicę. Muszę się zastanowić.

- Później się zastanowisz. - Bryan potarł obolałe zębra. - A teraz otwórz czoło i opowiedz jakąś historyjkę o duchach. Taką, żebyśmy się trzęśli ze strachu.

Devin wstał skoro świt. Karmił świnię, kiedy dojrzał dwóch chłopców wyłaniających się z lasu. Pomachał do nich, a kiedy podeszli bliżej, popatrzył zdziwiony na ich sińce i podarte koszulki.

- To musiała być ciekawa noc - mruknął. - Pewnie natknęliście się na parę niedźwiedzi?

Rechocząc pod nosem, Bryan głaskał rozradowane psy.

- Nie. Na parę wilków.

- Aha, na parę wilków... - Devin zerknął na opuchniętą wargę Connora. - Musieliście stoczyć z nimi zażartą walkę.

Wyciągnął rękę do chłopca, ale ten cofnął się pośpiesznie.

- Piłka nam wpadła w jeżyny - oznajmił bezbarwnym tonem Connor.

- Trochę się pokłuliśmy, kiedy jej szukaliśmy, a ja się potknąłem o wystający korzeń.

- Może wasze mamy uwierzą w tę bajeczkę - stwierdził Devin. - Twój tata na pewno nie - zwrócił się do Bryana - ale nie będzie się o nic dopytywał. - Nasypał świniom karmy do koryta; zwierzęta zaczęły chrumkać żarłocznie. - A poza tym jak było?

- Świetnie. - Bryan wspiął się na dolną żerdź, żeby mieć lepszy widok na świnię. - Piekliśmy kielbaski, opowiadaliśmy sobie historie o duchach. A w którymś momencie nawet słyszeliśmy głosy z zaświatów.

- Czyli dobrze się bawiliście.

- Tak. Dziękujemy za namiot - rzekł Connor.

- Drobiazg. Wiesz co? Zatrzymaj go. Myślę, że prędzej wam się przyda niż mnie.

- Nie chcę twojego namiotu - burknął chłopiec.

- Niczego nie chcę. - Rzucił namiot na ziemię. - Wracam do domu.

Przez chwilę stał, z dumnie uniesioną brodą, czekając na reakcję Devina. Spodziewał się wybuchu złości, może klapsa. Ale w oczach Devina nie widział gniewu, jedynie ogromne zdziwienie.

- Lepiej przyłóż na wargę zimny kompres.

Connor odwrócił się na pięcie i ruszył szybko w kierunku pensjonatu.

- Może ja wezmę namiot... ? - Bryan, zirytowany manierami przyjaciela, obrzucił gniewnym spojrzeniem jego oddalającą się sylwetkę.

- Przepraszam, wujku, za Connora. On zwykle nie zachowuje się jak krety.

- Jest na mnie zły. Nie wiesz dlaczego? - Widząc spuszczoną głowę Bryana, Devin westchnął. - Nie chcę, żebyś zdradzał mi jego tajemnice, Bry. Ale jeżeli nieświadomie wyrządziłem mu krzywdę, chętnie bym ją naprawił.

- To moja wina. - Chłopiec z nieszczęśliwą miną zaczął rozgarniać butem ziemię. - Powiedziałem, że się zadurzyłeś w jego mamie. A wtedy Connor dostał szału.

Devin poklepał Bryana po ramieniu.

- Dlatego się pobiliście? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, pokiwał głową. - W porządku. Dzięki, że mi powiedziałeś.

- Devin... - Dotąd nie miał problemów z lojalnością. Dziś jednak chciał być lojalny i wobec przyjaciela, i wobec wujka. - On... obleciał go strach. Connor nie jest tchórzem, ale boi się, że jeśli ty i jego mama... jeśli się macie ku sobie, to znów będzie tak jak dawniej. Jak wtedy, zanim Dolin trafił do więzienia... Ubzdurał sobie, że zaczniesz bić jego mamę, tak jak to robił ten drań. - Bryan obejrzał się za siebie, ale Connor zniknął już między drzewami. - Próbowałem mu wytłumaczyć, że się myli, ale najwyraźniej mi nie uwierzył.

- Dzięki, Bry.

- Znienawidzi mnie, że ci powiedziałem.

- Nie znienawidzi. Postąpiłeś słusznie. Jak prawdziwy przyjaciel.

- Nie gniewasz się na Connora? Za jego zachowanie?

- Słowo honoru, że nie. Wiesz, co Jared do ciebie czuje, prawda? Chłopiec, zmieszany, ale i zadowolony, pokiwał głową.

- Wiem.

- Ja to samo czuję do Connora i Emmy. Ale muszę dać im, a zwłaszcza Connorowi, trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaił.

Starła się nie martwić. Naprawdę się starała. Ale kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła syna idącego przez ogród, poczuła ogromną ulgę. Pobieгла do drzwi.

- Tu jestem, kochanie! - zawołała. - Dobrze się bawiliś... - urwała na widok podrapanej twarzy swojego dziecka i jego podartego ubrania. Serce podeszło jej do gardła. Wybiegła na zewnątrz niczym wystrzelona z procy. - Mój Boże, co się stało? Syneczku kochany, kto cię skrzywdził? Pokaż, co...

- Nic mi nie jest. - Wciąż kipiąc ze złości, chłopiec odsunął się od matki. Takiego spojrzenia, jakie jej posłał, jeszcze nigdy nie widziała na jego twarzy. Furia mieszała się z pogardą. - Czuję się świetnie. Czy nie tak mówiłaś, mamó, kiedy on wychodził, zostawiając cię pobitą? Potknęłam się, upadłam, nadziałam na cholerne drzwi.

- Connor...

- A ja ci powiem prawdę, mamó. Pobitem się z Bryanem. Ja uderzyłem jego, on uderzył mnie.

- Kochanie, ale dlaczego...

Cofnął się o krok, odsuwając od jej wyciągniętych ramion.

- To moja sprawa. Moja i Bryana. Nie muszę ci mówić wszystkiego. Ty też masz przede mną tajemnice.

Rzadko podnosiła na syna głos.

- To prawda - rzekła, siląc się na spokój. - Nie musisz mi mówić wszystkiego. Ale nie życzę sobie, żebyś zwracał się do mnie tym tonem.

Spuchnięta warga zadrżała, ale Connor nie spuścił wzroku.

- Dlaczego jemu tego nie mówiłaś? Dlaczego nie mówiłaś, żeby nie krzyczał? Żeby zmienił ton, kiedy z tobą rozmawia? Pozwalałaś mu na wszystko! Dlaczego?

Zmieszała się. Najgorsze było to, że chłopiec miał rację.

- Connor, jeżeli masz na myśli swojego ojca...

- Nie nazywaj go tak. Nigdy nie nazywaj go moim ojcem.

Nienawidzę go, a za ciebie mi wstyd.

Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

- Znow chcesz na to pozwolić! - krzyknął. - Znowu!

- Nie wiem, o czym mówisz, synku. Wejdz do środka, usiądź i porozmawiajmy.

- Nie mamy o czym. Nie zostanę tu, jeżeli poślubisz szeryfa MacKade'a. Nie będę patrzył, jak on cię bije. Nie chcę mieć kolejnego ojca.

Cassie wciągnęła z sykiem powietrze.

- Nie zamierzam wychodzić za męż, Con - rzekła. - Owszem, przemknęło mi to przez myśl, ale nigdy, przenigdy nie podjęłabym decyzji w tak ważnej sprawie, nie konsultując jej z tobą i Emmą. Nigdy tego nie zrobię wbrew wam. Przysięgam.

- Ale on tego chce.

- Tak, Devin tego chce. Kocha mnie i pragnie, żebyśmy byli rodziną. To dobry człowiek, który zasługuje, by być szczęśliwy. - Wypowiadając te słowa, uzmysłowiła sobie, jaką jest egoistką, każąc Devinowi czekać bez końca. - Sądziłam, że go lubisz.

- Nie chcę mieć ojca. I nie będę miał, bez względu na to, jak postąpisz. - Na moment zamilkł. - Nasze życie układa się teraz tak dobrze, a ty chcesz wszystko zepsuć.

- Nie chcę. - Przełknęła łzy. - A teraz, Con, idź na górę i umyj się.

- Nie...

- Zrób, jak mówię - rozkazała ostro. - Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, jestem twoją matką i ja tu rządzę. Więc idź na górę, oporządź się i popilnuj Emmy, dopóki nie skończę przygotowywać posiłku dla gości.

Obróciwszy się na pięcie, Cassie wróciła do kuchni. Po śniadaniu wstawiła naczynia do zmywarki i zajrzała do dzieci. Zaproponowała, żeby pobawiły się w ogrodzie, bo ona musi posprzątać pokoje.

Connor zaoferował pomoc, lecz podziękowała. Zmieniała pościel w dawnej sypialni Abigail, kiedy usłyszała szcęk frontowych drzwi.

Czuła, że to Devin. Zaraz przyjdzie na górę.

Nie wiedziała, że Connor usłyszał nadjeżdżający samochód i wymusiwszy na Emmie milczenie, zakradł się do holu.

- Mogę ci pomóc? - zagadnął Devin.

- Nie trzeba. - Cassie wsunęła brzegi prześcieradła pod materac. - Już kończę.

- Spotkałem rano Bryana i Connora. Nie jesteś na niego zła, co? Chłopcy czasem wdają się w bójki.

- Nie, o to nie jestem zła.

- A o co?

Wzięła głęboki oddech. Bez przerwy rozmyślała o porannej rozmowie z synem. Zawiodła swoje dzieci; nie zapewniła im spokojnego

dzieciństwa. I obiecała sobie, że odtąd, bez względu na cenę, zawsze będzie je stawiać na pierwszym miejscu.

- Devin, musimy pogadać.

- W porządku. Słucham.

- Connor jest bardzo zdenerwowany, bardzo nieszczęśliwy. - Nie przerywała pracy; wygładzała pościel, poprawiała poduszki. - Albo coś wyczuł, albo mu ktoś coś o nas powiedział, bo...

- Wiem. Mówiłem ci, że spotkałem go rano. Jest wściekły.

- No właśnie. Wściekły, nieszczęśliwy. I przerażony. - Zaciśnęła usta, by powstrzymać ich drzenie. - Ale głównie przerażony. Nie mogę na to pozwolić, Dev. Nie po tym, co przeszedł.

- To była wina Joego, nie twoja.

- Tak myślisz? Jestem tak samo winna, jak Joe. Mogłam coś zrobić, zabrać dzieci i uciec z domu, przerwać ten koszmar, a nie zrobiłam nic. Wmawiałam sobie, że chronię dzieci. Ale Connor zna prawdę. I jest mu za mnie wstyd.

- Nieprawda, Cassie. - Devin podszedł bliżej, ujął jej dłonie. - Jeśli tak powiedział, to dlatego, że jest zły na mnie, a ty akurat byłaś pod ręką. On cię kocha nad życie.

- Skrzywdziłam go bardziej, niż przypuszczałam. Emmę również. Po rozstaniu z Joem zaczęłam wynagradzać im krzywdy. Wreszcie odzyskały radość życia. Nie mogę im tego odbierać i znów ich unieszczęśliwiać. A to znaczy, że ty i ja... że nie powinniśmy się więcej widywać.

Devin poczuł narastającą panikę.

- Cassie, przecież wiesz, że to bez sensu. Słuchaj, porozmawiam z Connorem.

- Nie. Proszę. - Wyszarpnęła swoje dłonie. - Sama to muszę załatwić. Udowodnić Connorowi, że potrafię zadbać o moją rodzinę, że on i Emma są dla mnie najważniejsi.

- Przecież ja nie chcę ich niczego pozbawiać. Chcę jedynie dzielić z wami życie. Kocham cię, Cassie.

- Wiem. Ja ciebie też kocham. I zawsze będę. Ale nie możemy być razem. Nie każ mi wybierać.

- O co mnie prosisz? - spytał z niedowierzaniem Devin. - Żebyś odszedł? Czekam na ciebie od dwunastu lat. Cassie, pasujemy do siebie. Możemy być szczęśliwi. Jesteś dla mnie wszystkim, ty i twoje dzieci. Potrzebuję cię, potrzebuję całej waszej trójki.

Czuła, jak serce jej krwawi.

- Och, Devin, gdyby sytuacja była inna...

- Zobaczysz, uda nam się. Jestem tego pewien. - Zacisnął ręce na jej ramionach.

Cofnęła się i obróciła twarzą do okna.

- Mówisz, że mnie potrzebujesz. Ale Connor też mnie potrzebuje, a on jest dzieckiem. Moim małym, przerażonym synkiem.

Próbując uspokoić nerwy, wzięła głęboki oddech. Musiała to z siebie wyrzucić.

- Nie chcę, żebyś na mnie czekał w nieskończoność, Devin. Pragniesz mieć żonę, rodzinę. I zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Zasługujesz na kobietę, która będzie cię kochała, która zaspokoi wszystkie twoje potrzeby. Ja tego nie zdołam. Dlatego nie możemy być razem.

- Myślisz, że zapomnę o tym, co nas łączyło, że uzbroję się w cierpliwość i...

- Nie. Nie czekaj na mnie. Poszukaj innej kobiety.

- W moim życiu jesteś tylko ty.

- Poszukaj innej - powtórzyła cicho, z ciężkim sercem. - Postaraj się ode mnie uwolnić. Wcześniej byłam niesprawiedliwa wobec ciebie.

Wiedziałam, że zawsze mogę na ciebie liczyć. A teraz...

- Teraz chcesz się mnie pozbyć ze swojego życia tylko dlatego, że prosi cię o to dziesięcioletni chłopiec? Do jasnej cholery, Cassie, dorośnij! Przejmij kontrolę.

Po raz pierwszy swoimi słowami sprawił jej ból.

- Właśnie próbuję. Przejęcie kontroli nie zawsze znaczy, że robi się to, na co ma się ochotę. Czasem oznacza, że postępuje się tak, żeby nie skrzywdzić tych, których się kocha.

- W porządku! Nie będę się łąsił. - Z głosu Devina przebijała złość, gorycz, frustracja. - I nie będę cię więcej prosił o rękę. Mam dość stania na uboczu, patrzenia, jak Joe cię bije, czekania, aż mnie zauważysz. Nie chcesz, to nie. Trudno.

- Boże, nie chcę cię krzywdzić, Devin. Ale nie mogę ci dać tego, czego pragniesz. Dlatego muszę się wycofać.

- Czyli wszystko albo nic? W porządku. Żegnaj, Cassie.

Słuchała oddalających się kroków, trzasku drzwi na dole. Tak musiała się czuć Abigail, przemknęło jej przez myśl, kiedy odesłała mężczyznę, którego kochała.

Osunęła się na brzeg łóżka, zakryła dłońmi twarz i zaszlochała.

Stojący w holu Connor zacisnął rękę na rączce siostry.

- Mamusia płacze - szepnęła dziewczynka.

- Wiem. - I to nie Dolin jest sprawcą jej łez, pomyślał chłopiec. Nie Dolin i nie szeryf MacKade.

To on, Connor, doprowadził mamę do płaczu.

Gdy Cassie płakała w pokoju na piętrze, a Connor, przejęty i pełen wyrzutów sumienia krążył po parterze, Joe Dolin uznał, że pora zaryzykować. Właściwy moment nadszedł.

Woda z głośnym bulgotem przepływała pod mostem Burnside. Liście drzew stanowiły dobrą osłonę. Strażnik, zaintrygowany gniazdem jadowitych węży, które znaleźli więźniowie, patrzył w przeciwną stronę i energicznie kogoś przywoływał.

To wystarczyło.

Joe pochylił się, jakby chciał podnieść z ziemi śmieci, i ostrożnie skierował się ku kępie drzew. Po chwili wtopił się w las. Idąc pośpiesznie wąską ścieżką, ściągnął pomarańczową kamizelkę i cisnął ją w gęste krzaki porastające brzeg strumyka.

Nie puścił się biegiem. Wciąż miał kłopoty z widzeniem obwodowym po tym, jak Regan MacKade, broniąc się przed atakiem, dźgnęła go w oko. Poruszał się ostrożnie, rozglądając się na boki, aby zapoznać się z terenem.

Wreszcie rzucił się pędem, przez gałęzi i krzaki jeżyn. W końcu wskoczył do wody. Dysząc ciężko, kilkaset metrów wędrował strumykiem.

Później, przytrzymując się kamieni i bluszczu, wygrzebał się na brzeg. Odetchnął głęboko; nareszcie był wolny.

Gdy Devin coś postanowił, nie sposób było na niego wpłynąć. Rafe dobrze o tym wiedział. Kiedy wszedł do gabinetu i ujrzał brata z posępną miną walącego w klawisze, domyślił się, że coś się stało.

- Cześć. Mam cię zaprosić na kolację - rzekł lekkim tonem.

- Spadaj.

- Regan wymyśliła, że spotkamy się jutro całą rodziną, plus Cassie z dziećmiakami.

- Jutro jestem zajęty. Spadaj.

- Nawet ci jeszcze nie podałem godziny. - Rafe stanął za bratem i zerknął mu przez ramię. - Co piszesz?

- A jak myślisz?

- Wygląda to na rezygnację. Co ci, do diabła...

- Zjeżdżaj. Nie denerwuj mnie.

Jak przystało na kochającego brata, Rafe wyrwał kartkę z maszyny.

- Spokojnie. - Poklepał Devina po ramieniu, zanim ten zdążył poderwać się od biurka. - Jak chcesz, możemy się sobie rzucić do gardeł, nie mam nic przeciwko, ale najpierw wyjaśnij mi coś. Dlaczego, do jasnej cholery, składasz rezygnację z funkcji szeryfa?

- Powinienem był to zrobić dawno temu. Wyjeżdżam z tego zadupia. Mam dość tych samych pieprzonych uliczek, tych samych pieprzonych sklepów, tych samych pieprzonych mieszkańców.

- Dev, przecież kochasz to zadupie. - Rafe cisnął kartkę na podłogę. - Rozmawiałeś z Cassie? Co się stało?

- Nic. Nie chcę o tym mówić.

- A kto mi kazał zajrzeć w głąb siebie i przyznać, co czuję do Regan? No kto?

- Ja wiem, co czuję do Cassie, w dodatku od lat. Nie muszę nigdzie zaglądać. Muszę się odkochać i tyle.

- Dała ci kosza? - Błysk wściekłości w oczach brata nie przestraszył Rafe'a, raczej go wzruszył. - No śmiało. Możesz walnąć. Nie oddam ci.

- Odczep się. - Devin zrezygnowany opadł na fotel.

- Chcesz pogadać?

- Nie mam już sił. - Devin potarł dłońmi twarz.

- Connor mi nie ufa, Cassie mi nie ufa. Nie chcą mnie w swoim życiu. A ja nie mam ochoty dłużej walczyć.

- Dzieciak zmienił się, odkąd Dolin trafił do więzienia. Otworzył się. Cassie też. Daj im więcej czasu.

- Nie mogę, nie potrafię. Potrzebuję czegoś w zamian, Rafe. Dłużej tak nie wytrzymam. Za bardzo boli. Dlatego zamierzam wyjechać.

Zanim Rafe zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Devin chwycił słuchawkę.

- Gabinet szeryfa - warknął. - Mówi MacKade.

- Sekundę później, miotając przekleństwa, poderwał się na nogi. - Kiedy? Co takiego? Do jasnej... Minęła ponad godzina! Dlaczego mnie wcześniej nie powiadomiono?

W milczeniu wysłuchał wyjaśnień, a potem cisnął słuchawkę.

- Dolin zwiął. - Podszedł do szafki z bronią, wyciągnął strzelbę. - Mianuję cię moim zastępcą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Joe przyczał się w wąwozie nieopodal skromnego rancza teściowej. Wątpił, żeby policja tu go szukała. Najpierw sprawdzą, czy się nie ukrył u kumpli, potem zajądą do Cassie i może na samym końcu ktoś, MacKade albo jeden z jego zastępców, wpadnie na pomysł, żeby przyjechać na ranczo Constance Connor.

Teściowej nie było w domu. Na podjeździe nie stał żaden samochód, zasłony w oknach były zaciągnięte.

Dom znajdował się na końcu drogi; idealnie nadawał się na kryjówkę. Rozglądając się uważnie, Joe przebiegł wąwóz. Od frontu okna wychodziły na drogę, od tyłu na drzewa. Joe wybił jedno łokciem.

Wszedłszy do środka, ruszył do sypialni. Musi się przebrać. Wiedział, że teściowa wciąż przechowuje w szafie, niczym relikwie, ubrania swojego świętej pamięci małżonka.

Stara prukwa miała nie po kolei w głowie.

Była też paranoiczką. Duża szansa, że w szafce przy łóżku trzyma naładowany rewolwer. Jedyna rzecz, jakiej w tym domu nie znajdzie, to alkohol. Ale z tym sobie wkrótce poradzi.

W suchym, ciut za ciasnym ubraniu usiadł w salonie i uzbroił się w cierpliwość.

Słyszał, jak samochód zatrzymuje się pod domem, jak teściowa męczy się z zamkiem i wreszcie otwiera drzwi. Uśmiechając się, wstał z kanapy i wyszedł z pogrążonego w półmroku salonu.

W jednej ręce ścisnęła wielką siatkę z zakupami, w drugiej tanią torebkę. Na widok zięcia wytrzeszczyła oczy.

- Joe, a cóż ty...

Zrobił to, co miał ochotę zrobić od lat. Zamachnął się i tak ją uderzył, że z hukiem wylądowała na podłodze.

Korciło go, żeby ją zabić. Ale uznał, że większą przyjemność sprawi mu zakatrupienie żony. Jęcząc z bólu, starucha usiłowała go odpędzić, ale bez trudu związał ją sznurem od bielizny. Kiedy leżała, wijąc się jak ryba, wysypał na podłogę zawartość torebki.

- Dwadzieścia nędznych dolców? Cholera, powinienem był wiedzieć! - Wepchnął banknoty do kieszeni i chwycił kluczyki. - Pożyczam twój samochód. Chcę zabrać żonę w małą podróż. Posłuszna żona wszędzie pojedzie z mężem, prawda?

Wyszczерzył w uśmiechu zęby, kiedy zobaczył przerażenie malujące się w oczach teściowej.

- To miło, że pisałaś w mojej sprawie listy do władz. Doceniam to. I w nagrodę nie pogruhoczę ci kości.

Parsknął śmiechem, kiedy Constance mimo knebla w ustach próbowała coś powiedzieć.

- Cassie natomiast... nie trwała przy mężu jak wierna, kochająca żona, prawda? Należy jej się porządna nauczka. Och, popamięta mnie, suka jedna! Ciekawa jesteś, starucho, co zrobię twojej córce? Powiedzieć ci, co zaplanowałem?

Podobał mu się błysk przerażenia w oczach Constance Connor, więc schylił się i powiedział.

Devin z piskiem opon zajechał pod pensjonat. Pędząc na tył domu, gdzie znajdowały się schody prowadzące do mieszkania Cassie, usiłował przeniknąć wzrokiem każdy krzew i drzewo. Przez całą drogę modlił się, aby Cassie była bezpieczna. Pchnął drzwi. Widząc ją przy kuchence, odetchnął z ulgą, chwycił ją w ramiona i przytulił najmocniej, jak umiał.

- Devin...

- Przepraszam. - Powściągając emocje, cofnął się o krok i ponownie przeobraził w szeryfa. - Musimy porozmawiać.

Zerknął w stronę salonu. Connor z Emmą siedzieli na kanapie. Zamierzał poprosić chłopca, żeby zabrał siostrę do sypialni. Nagle jednak uświadomił sobie, że myśli jak gliniarz, a nie jak ktoś bliski.

- Godzinę temu Joe samowolnie oddalił się z miejsca pracy.

Cassie zakreśliło się w głowie; wyciągnęła rękę, żeby się czegoś przytrzymać. Devin podprowadził ją do krzesła.

- Usiądź i posłuchaj. Policja sprawdza kumpli Joego, miejsca, do których najczęściej zaglądał. Znajdziemy go, Cassie. Czy on wie, dokąd przeprowadziłaś się z dziećmi?

- Nie mam pojęcia. Mama mogła mu wspomnieć, ale nie wiem.

- Lepiej nie ryzykować. Spakuj rzeczy na kilka dni. Zabieram cię stąd.

- Ale...

- Zamieszkasz u Savannah. Będę potrzebował Jareda. I Shane'a.

Gdyby nie to, zawiózłbym cię na farmę. Cassie...

- Nie mogę, Devin. Nie będę narażać Savannah i jej dzieci na niebezpieczeństwo.

- Savannah sobie poradzi.

- Ja również. Poczekaj, muszę się skupić... - Na moment zamilkła. -
W porządku. Zabierz Connora i Emmę. Gdzieś, gdzie będą bezpieczni.

- Nie! - zaprotestował chłopiec, ściskając siostrę za rękę. - Bez ciebie się nie ruszę. Nie zostawię cię samej.

- Żadne z was tu nie zostanie. Koniec dyskusji - oznajmił stanowczo Devin. - Jedziecie tam, gdzie wam każe. A teraz spakujcie rzeczy.

- Savannah musi troszczyć się o swoją rodzinę - rzekła Cassie. - A ja o swoją.

- Nie czas na dyskusję, Cassie. Nie mogę z wami zostać i was pilnować, dlatego róbcie, co wam każe.

Obrócił się. W jego oczach Connor dojrzał ledwo skrywaną furię; tak wielkiej nie widział nawet w oczach Dolina.

- Connor, idź na dół do samochodu!

- Potrafię zaopiekować się mamą.

- To dobrze; zaopiekujesz się, ale gdzie indziej. A teraz zrób, co proszę.

- Devin, zabierz dzieci i...

- Szlag by to trafił! - Z irytacją przerzucił sobie Cassie przez ramię. - Marsz na dół! - krzyknął do Connora i nagle zobaczył, jak chłopcu krew odpływa z twarzy. - Do jasnej cholery, chłopcze, nie rozumiesz, że gotów jestem skoczyć za wami w ogień? Że prędzej bym umarł, niż komukolwiek z was wyrządził krzywdę?

Do Connora nareszcie to dotarło i zawstydzony swoim zachowaniem oblał się rumieńcem.

- Rozumiem - szepnął. - Chodź, Emmo.

- Puść mnie, Dev, proszę - zawołała Cassie. - Pójdę z dziećmi.

- Dobrze. - Postawił ją. - Chcę wam pomóc, Cassie. Zaufaj mi, proszę.

- Ufam ci. - Wzięła syna za rękę. - Wszyscy ci ufamy.

Devin otworzył drzwi, rozejrzał się i wyszedł na zewnątrz.

- Wychodźcie, szybciotko. Zablokowaliśmy drogi, wezwaliśmy helikoptery. Złapiemy Joego przed zapadnięciem nocy... Ile osób przebywa w pensjonacie?

- Nie ma nikogo. Wieczorem przyjeżdża jedna rodzina...

- Wszystkim się zajmę - obiecał Devin. - Więc... Nagle powietrzem wstrząsnął strzał. Cassie chwyciła się za serce, Devin zaś osunął na ziemię.

- Cześć, kochanie. - Zza drzewa wyłonił się Joe z szerokim uśmiechem na ustach i bronią w garści. - Wróciłem.

Instynktownie osłoniła dzieci i skierowała wzrok na Joego. Widziała zmiany w jego wyglądzie. Twarz miał bardziej pociągłą, ciało chudsze, umięśnione. Kość policzkową pod prawym okiem szpeciła szeroka, biała blizna. Ale spojrzenie pozostało takie jak dawniej. Drapieżne, bezlitosne.

- Pójdę z tobą, Joe.

Devin żył, oddychał, lecz na skroni, gdzie drasnęła go kula, zbierała się krew. Potrzebował pomocy. Cassie wiedziała, że może uratować i jego, i dzieci tylko w jeden sposób: oddając siebie w ręce Joego.

- Słyszysz? Pójdę z tobą. Tylko błagam, nie skrzywdź dzieci.

- Zrobię z gówniarzami, co mi się podoba. A ty, suko, milcz. -

Popatrzył na Devina. - Cholera, powinienem był lepiej wycelować. -

Roześmiawszy się, potarł brodę. - Mam drobny problem z okiem, ale z bliska na pewno nie spudłuję.

Cassie miała wrażenie, że śni. Przeniknął ją straszliwy ziąb. Już raz to wszystko widziała. Ale wtedy rannym był młody żołnierz, a zdjeta strachem kobieta nie potrafiła go uratować.

- Nie! - Własnym ciałem zakryła ciało Devina.

- On jest ranny! - Zdając sobie sprawę z bezużyteczności tych słów, gorączkowo zastanawiała się, jak powstrzymać Joego przed oddaniem kolejnego strzału.

- Jeśli go stukniesz i policja cię złapie, resztę życia spędzisz za kratkami. Kary za zabicie gliniarza są bardzo surowe. Nie warto, Joe. Przecież powiedziałam, że z tobą pójdę.

- Wstawaj, Cassie, bo przestrzelę cię na wylot. A potem zabiję... - Uśmiechając się, skierował rewolwer na Connora.

- Zostaw moje dzieci!

Rzuciła się na Joego niczym kobieta opętana; z taką furją, że niemal przewróciła go na ziemię. Walił ją na oślep, lecz nie potrafił się od niej uwolnić. A potem z dzikim wrzaskiem Connor skoczył mu na plecy i zaczął okładać go pięściami.

Joe strząsnął chłopca, jakby ten był muchą.

- Nauczę cię manier, ty gnoju... - Zanim huknął kolbą w głowę dziecka, w oddali rozległo się wycie syren. - Wrócę po ciebie - wycedził.

Zaciskając ramię wokół szyi Cassie, wycelował rewolwer w jej skroń. Jediną drogą ucieczki był las.

- Zabiję ją! - krzyknął głośno, tak by niewidzialny wróg go usłyszał.

- Jeśli ktokolwiek za nami pójdzie, zabiję ją!

Depcząc po kwiatach, ruszył w stronę drzew. Kucnąwszy na ziemi, Emma ścisnęła Devina za rękę.

- Obudź się. Proszę, obudź się.

Connor przyczołgał się do siostry. Zza domu wybiegł Rafe z jakimś policjantem.

- Dolin postrzelił szeryfa i zabrał naszą mamę! Rafe kucnął zatroskany nad bratem.

- Na szczęście to tylko draśnięcie. - Wyciągnął z kieszeni chustkę i przytknął do rany. - Chyba odzyskuje przytomność - dodał cicho i odetchnął z ulgą, kiedy Devin poruszył się. - Connor, leć do domu i dzwoń po karetkę. Szybciutko.

- Nie... - mruknął Devin, unosząc powieki i odsuwając rękę z chustką. - Nic mi nie jest. Cassie...

- Leż, idioto! On cię postrzelił.

Rafe jednak nie zdołał powstrzymać brata. Devin podniósł się i zachwiał. Na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zaklął siarczyście.

- Dokąd ją zabrał?

- Do lasu. - Connor przygryzł wargę. - Groził mamie. Próbowałem go zatrzymać, ale mi się nie udało.

- Zaopiekuj się siostrą - polecił chłopcu Devin, po czym zwrócił się do swojego zastępcy: - Donnie, po pierwsze, niech paru ludzi patroluje ten teren. Po drugie, zawiadom Jareda, niech wraca do domu. Diabli wiedzą, dokąd Dolin pójdzie. Po trzecie, pilnuj dzieciaków.

- Idę z tobą - oznajmił Rafe.

- Dobrze. - Devin wyciągnął broń. - Ale pod warunkiem, że drania zostawisz mnie.

Kiedy oddalili się od Devina i dzieci, Cassie zaczęła się opierać, usiłując spowolnić Joego. Już nigdy więcej nie będzie milczącą, bezwolną ofiarą. Drapała, gryzła, kopała.

- Zapomniałaś, kto jest szefem? Sądziłaś, że możesz mnie wsadzić za kratki i robić, co zechcesz? - Przeklinając pod nosem, Joe wetknął rewolwer za pasek spodni, żeby mieć dwie wolne ręce. - Zaraz ci przypomnę, kto rządzi w tej rodzinie.

- Znajdą cię. Złapią i zamkną na wiele lat.

- Może złapią, a może nie.

Szedł, potykając się o korzenie. Ciągnął Cassie za sobą, raz po raz gubiąc drogę. Nienawidził tego lasu!

- Miałem w pierdłu wiele czasu na myślenie. I wymyśliłem: ukradniemy samochód. A potem pojedziemy w siną dal. - Żałował, że musiał porzucić samochód teściowej. - Mam kumpli. Oni mi pomogą.

- Nie masz nikogo. I nigdy nie miałeś. A Devin nie da za wygraną; jeśli trzeba, do końca życia będzie cię ścigał.

- Ścigał? Facet leży nieprzytomny na ziemi i wykrwawia się na śmierć.

- Do końca życia będzie cię ścigał - powtórzyła Cassie. - Jakikolwiek ból mi zadasz, on zada tobie tysiąc razy większy.

- Dobierał się do ciebie, co? - Przystanął zasapany i szarpnął Cassie za włosy. - Ty suko! Jesteś moją własnością. Nie zapominaj o tym. Ja tobą rządę. I będę, dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

- Ty nędzny bufonie! - zdenerwowała się. - Wiesz, kim jesteś? Żalonym brutalem i pijaczną! - Syknęła, kiedy ponownie szarpnął ją za włosy. - Nie rządzisz mną, nawet sobą nie rządzisz! Potrafisz się tylko

wyżywać na słabszych. No, śmiało, uderz mnie. Bo tylko to umiesz. Ale, jak Boga kocham, tym razem nie ujdzie ci płazem.

Pchnął ją tak mocno, że upadła na ścieżkę. Ból i wściekłość sprawiły, że wstąpiła w nią siłą. Z furją poderwała się na nogi, zacisnęła dłonie w pięści.

Joe postąpił krok do przodu. Uniosła ręce, gotowa do walki.

- Tylko ją tkniesz, a strzelam.

Na dźwięk głosu Joe obrócił się. Devin stał trzy metry dalej z wycelowaną bronią. Koło niego Rafe MacKade. Kiedy Joe zaczął rozglądać się nerwowo, szukając drogi ucieczki, zza kępy drzew wyłonił się Shane. A za plecami Cassie pojawił się Jared.

- Wyjmij powoli broń i rzuć na ziemię. Bo cię zabiję.

- Aleś odważny, MacKade - wycedził Joe; posłusznie wyciągnął zza paska rewolwer i schylił się, by położyć go na ścieżce. - Nietrudno o odwagę, jak się ma trzech braci i cztery spluwy.

- Kopnij gnata w moją stronę.

- O tak, prawdziwy z ciebie bohater. Inaczej byś gadał, gdybyśmy byli sami. - Joe przesunął rewolwer czubkiem buta. - Zabawiałeś się z moją żonką, prawda?

- Ty nie masz żony - burknął Devin, oddając pistolet Rafe'owi. - Odsuńcie się - powiedział do braci. Twarz Cassie zaczynała robić się sina. Na ten widok zalała go fala nienawiści. - Cassie, idź do Savannah. Pójdziecie do dzieci.

- Nie rób tego, Dev...

- Muszę. - Uśmiechnął się. - Chodźmy, Joe. Wyrównamy rachunki.

- A skąd mogę wiedzieć, że któryś z twoich braci nie strzeli mi w plecy, jak stłukę cię na miazgę?

- Nie możesz. Ryzyk-fizyk. - Uśmiech stał się drapieżny. - No, dupku? To twoja ostatnia szansa, żeby mi przyłożyć.

Z dzikim okrzykiem Joe skoczył do przodu. Wykonawszy pół obrotu, Devin zamachnął się. To wystarczyło: Joe wylądował w krzakach.

- Trudniej się bić z kimś swojego wzrostu, co? - spytał ironicznym tonem Devin. - Dużo łatwiej bić kobietę czy dziecko. No chodź, draniu! Na co czekasz?

Nie zważając na rozciętą wargę, Joe rzucił się jak tygrys. Las rozbrzmiewał odgłosami posapywania, jęków, przekleństw, plaśnień, huknięć. Cassie z trudem się hamowała, żeby nie przysłonić dłońmi oczu.

Bo Devin walczył o nią. Każdy cios, jaki wymierzał i dostawał, był dla niej. Dlatego nie mogła, nie chciała odwrócić wzroku.

Z każdą sekundą strach, jaki czuła przed Dolinem, malał. Miała rację; facet był żalosnym pyszałkiem, nędznym brutalem. Był mocnej postury i naładowany wściekłością, dlatego udało mu się wymierzyć Devinowi kilka ciosów, a nawet powalić go na ziemię.

Nie ulegało jednak wątpliwości, kto jest górą. Pięści Devina były szybkie, ciosy twarde, spojrzenie skupione. Skoncentrowany na walce, przypuszczalnie nie czuł żadnego bólu.

Nie zamknęła oczu na widok krwi, nie przycisnęła rękami uszu, żeby zagłuszyć krzyk. Kończył się jeden rozdział jej życia. I chciała być tego świadkiem.

Opełnany dzikim szałem Devin widział jedynie twarz Joego. Ilekroć trafiał w nią pięścią, czuł dziką satysfakcję. Kłykcie miał rozorane, koszulę

podartą i poplamioną krwią, własną i cudzą, lecz wciąż napierał. Wciąż nie miał dość.

- Dobra, już starczy. - Usiłując podnieść Devina, który okładał Joego pięściami, Jared sam o mało nie dostał pięścią w twarz. - Wystarczy! - powtórzył. Ale dopiero we trzech zdołali odciągnąć brata na bok.

- Jaki przyjemny widok - stwierdził Rafe, przyglądając się sponiewieranej gębie nieprzytomnego Dolina. - Aż się serce raduje.

- Zbiegły więzień stawiał opór podczas aresztowania, prawda, Jared? - spytał Shane, drapiąc się po brodzie.

- Też tak to widzę - potwierdził Jared. - No dobra, chłopaki, trzeba zatańczyć ten zewłok do samochodu. A tobie, Dev, przyda się piwo i zimny kompres.

Devin, wciąż ogarnięty furia, strząsnął rękę brata.

- Zostaw mnie. - Obróciwszy się, spojrzął na Cassie, która stała blada, posiniaczona, z wylęknionym wzrokiem. Zerwał z koszuli odznakę szeryfa i cisnął ją na ziemię. - Wracam do domu.

- Devin... - Cassie postąpiła krok w jego stronę.

- Daj mu trochę czasu - szepnął Jared, patrząc, jak brat oddala się ścieżką prowadzącą ku farmie. - Na razie za bardzo cierpi.

Starła się. Wróciwszy do pensjonatu, próbowała pocieszyć dzieci. Odbyła krótką rozmowę telefoniczną z matką; upewniła się, że poza paroma siniakami i strachem, jakiego się najadła, Constance nie odniosła większych obrażeń. Po raz pierwszy w życiu pomiędzy matką a córką nawiązała się nić porozumienia.

W końcu poddała się: łyknęła tabletki nasenne i aż do rana spała kamiennym snem.

Rano uświadomiła sobie, że nie może zostawić spraw swojemu biegowi. Musi stawić czoło demonom. Postanowiła wyruszyć na farmę.

- Idziesz spotkać się z szeryfem?

W drzwiach sypialni zobaczyła Connora. Był blady jak trup, oczy miał spuchnięte, twarz lekko posiniaczoną. Chciała go przytulić, ale wyczuwała w chłopcu dystans.

- Tak. Muszę z nim porozmawiać, podziękować mu.

- Powie, że wykonywał swój obowiązek.

- Wiem. Co nie znaczy, że nie należą mu się podziękowania. Mógł zginąć. Z naszego powodu.

- W pierwszej chwili myślałem, że nie żyje. - Głos uwiązał chłopcu w gardle. - Kiedy zakrwawiony osunął się na ziemię, wystraszyłem się, że zaraz wszyscy zginiemy.

Cassie wzdrygnęła się. Usiłowała powstrzymać łzy.

- Przepraszam cię, synku. Za to, co zrobiłam, i za to, czego nie zrobiłam. Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz.

- To nie była twoja wina, mamusiu. Nie powinienem był mówić tamtych okropnych rzeczy. - Chciał spuścić wzrok, ale wiedział, że tak się zachowują tchórze. - Wcale nie uważam, że mogłaś postąpić inaczej, po prostu... po prostu powiedziałem tak, żeby ci sprawić przykrość, bo... bo...

- Connor. - Rozpostarła ramiona i odetchnęła z ulgą, kiedy syn się do niej przytulił. - Tamten rozdział naszego życia się skończył. Definitywnie.

- Wiem. Byłaś bardzo dzielna. Wzruszona, pocałowała syna w czubek głowy.

- Ty też.

- Szeryf MacKade stanął w naszej obronie. Emma i ja rozmawialiśmy o tym. Chcemy wybrać się z tobą na farmę i...

- Następnym razem. Teraz lepiej będzie, jak sama tam pójde. Devin jest... trochę przybity.

- Muszę z nim porozmawiać. Proszę cię, mamo. Nie potrafiła odmówić dziecku; najwyraźniej oboje potrzebowali tego samego: postawienia kropki nad i.

- No dobrze. Odwiedzimy go wszyscy razem.

Siedział na werandzie przed domem, kiedy zobaczył trzy postacie wyłaniające się z lasu. Przez ułamek sekundy korciło go, żeby wstać i wejść do środka, ale uznał, że niczego tym sposobem nie osiągnie.

Wyglądali jak zgrana, szczęśliwa rodzina. I pewnie taką chcą pozostać. Rodziną trzyosobową.

Krew dudniła mu w skroniach, ręce piekły. Ale najgorszy był ucisk w sercu, który rósł z każdym ich krokiem.

Cassie i Connor mieli posiniaczone twarze. Ponownie wstąpiła w niego wściekłość. I nagle... nagle Emma rzuciła się pędem w jego kierunku.

- Przyszliśmy ci podziękować, że aresztowałeś tego niedobrego. - Wgramoliła mu się na kolana, jakby tu było jej miejsce. - Ojej, masz kuku... - Ze skupioną miną dziewczynka pocałowała kolejno wszystkie jego rany, zadrapania, nawet biały opatrunek na skroni. - Teraz mniej boli?

Wtulił twarz w jej lśniące loki.

- Tak, aniołku, dziękuję. - Podniósł głowę i napotkał pytające spojrzenie Cassie. - Nie wiem, czy ktoś się z tobą kontaktował, ale mogę cię zapewnić, że Dolina przeniesiono do więzienia federalnego. Mając tyle

nowych zarzutów, ucieczkę, kilka napaści, kradzież samochodu, nielegalne posiadanie broni oraz - potarł swoje poranione kłykcie - stawianie oporu w czasie aresztowania, do końca życia nie wyjdzie na wolność. Ty i dzieci już nie musicie się martwić.

- Jak się czujesz? - spytała cicho Cassie.

- Świetnie. A ty?

- Świetnie. - Z całej siły ścisnęła Connora za rękę. - Przyszliśmy ci podziękować...

- Wykonywałem swoje obowiązki.

- Mówiłem, że to powie - bąknął chłopiec.

- Widocznie jestem przewidywalny. - Devin ponownie skierował spojrzenie na Cassie. - Spisałaś się znakomicie. Gratuluję. A teraz wybaczcie, mam sporo pracy.

- Devin, proszę cię! - zaprotestowała. - Nie...

- Wyrządził ci krzywdę! - wyrzucił z siebie.

- Skrzywdził was wszystkich, a ja go nie powstrzymałem!

- Na miłość boską, byłeś ranny. Leżałeś nieprzytomny, krew się z ciebie lała...

- On znów chciał do ciebie strzelić - poinformowała go Emma. - Ale mamusia mu nie pozwoliła. Położyła się na tobie.

Zastygł w bezruchu.

- Cholera jasna, Cassie! Oszalałaś?

- Byłam ci potrzebna - oznajmiła drżącym głosem. - Nie mogłam tylko beczynnie się przyglądać. A teraz chcę cię prosić... - wyjęła z kieszeni gwiazdę szeryfa - żebyś przypiął ją sobie do piersi. Nie rezygnuj, Devin. Nie wyjeżdżaj.

Zerknął na odznakę, potem na Cassie.

- Wiesz, jak to jest codziennie patrzeć na coś, czego się pragnie, a czego nie można mieć? Przykro mi, ale nie zamierzam tak dłużej żyć. Skoro nie chcesz za mnie wyjść, muszę wyjechać. Sama przyjaźń mi nie wystarczy.

- Ja się z tobą ożenię. - Emma objęła go rączkami za szyję. - Kocham cię.

Przytulił dziewczynkę, delikatnie postawił ją na ziemi.

- Nie dam rady, Cassie. - Wstał; nogi miał jak z waty. - Zostaw mnie.

Wracaj do domu,

- Szeryfie... - Connor, który stał parę metrów dalej, wbiegł na werandę. - Przepraszam.

- Nie musisz, chłopcze. Każdy ma prawo do własnych uczuć.

- Chciałbym coś powiedzieć.

- No dobra, mów.

- Wiem, że jesteś na mnie zły. Nie, nie zaprzeczaj. Z początkują też byłem zły. Myślałem, że odwiedzasz nas z mojego powodu, a potem zrozumiałem, że przychodzisz ze względu na mamę. I przestraszyłem się, że wszystko się zmieni, że obróci się na gorsze. Przysięgałeś, że tak się nie stanie, ale... Bryan mówił to samo, ale mu nie wierzyłem. Nie chciałem mu wierzyć.

Na moment urwał i wziął głęboki oddech.

- Wczoraj, kiedy chciałeś nas zawieźć do Bryana, a mamusia sprzeciwiła się, wpadłeś w gniew. Już wcześniej byłeś zły, ale odmowa mamy naprawdę cię rozgniewała. Prawda?

- Zgadza się.

- Krzyczałeś.

- Owszem.

- Pomyślałem sobie: zaraz ją uderzy. Ale parę dni temu powiedziałeś, że nigdy byś tego nie zrobił. Przypomniałem to sobie, kiedy ruszyłeś za mamą do lasu, i wiedziałem, że idziesz ją uratować. Nie dlatego, że to twój obowiązek. Ale dlatego, że ci na niej zależy. Że chcesz pomóc mamie. I nam.

Dygocząc ze zdenerwowania, chłopiec zdobył się na odwagę i stanął na wprost Devina.

- Rzuciłeś się jej na pomoc nawet po tym, jak przeze mnie cię odtrąciła.

- Za nic w świecie nie skrzywdziłbym twojej mamusi.

- Wiem. Ona płakała - rzekł chłopiec, ignorując cichy protest matki. - Po tym, jak ci kazała odejść, płakała pół nocy. Wcześniej to Dolin doprowadzał ją do łez, ale tym razem płakała przeze mnie. I dlatego cię przepraszam, szeryfie. Nic na to nie poradzę, ja naprawdę nie chcę mieć ojca...

- W porządku, Con. - Devin bał się, że za moment sam się rozplacze.

- W porządku.

- Nie chcę ojca - rzekł pośpiesznie Connor - chyba że tym ojcem będziesz ty. - Czując na ramieniu rękę szeryfa, chłopiec odważnie brnął dalej: - Chcę, żebyś był z nami cały czas. Wiem, że po tym, co zrobiłem, możesz mieć do mnie pretensje, ale... postaram się nie wchodzić ci w drogę. Byłem głupi. Możesz mnie ukarać, ale proszę, nie odchodź, nie wyjeżdżaj. Nie musisz mnie kochać, wystarczy, że...

Devin podniósł chłopca i z całej siły przytulił do piersi.

- Och, głuptasie, głuptasie. Jak to możliwe, żeby takie mądre dziecko wygadywało takie bzdury? Nie przestałem cię kochać. Ani ciebie, ani Emmy, ani twojej mamy.

- Zostań, proszę cię. - Connor zacisnął ręce wokół szyi Devina. - Nie wyjeżdżaj.

- Nigdzie nie wyjadę. Zostanę tutaj, z wami, dobrze?

- Tak, szeryfie! - zawołał uradowany chłopiec.

- I przestań ciągle nazywać mnie szeryfem. Devin pocałował chłopca w mokry od łez policzek.

Nagle poczuł, jak Emma szarpie go za nogawkę spodni.

- Ja też chcę! Mnie też przytul!

Schyliwszy się, wziął dziewczynkę na ręce. Uśmiechnął się bezradnie do Cassie, która obserwowała tę scenę z oczami pełnymi łez. W jednej dłoni trzymała odznakę, drugą przyciskała do ust.

Nie tak wyobrażał sobie oświadczyzny, z dwójką przysłuchujących się, zapłakanych dzieci, ale cóż, widocznie tak musiało być.

- Cassie, nikt nie kocha cię bardziej niż ja. Nikt bardziej niż ja nie kocha tych dzieci. I nikt nie stworzy im lepszego życia. Nie wyobrażam sobie przyszłości bez waszej trójki. Kocham was. Na miłość boską, Cassie, wyjdź za mnie.

Nawet nie domyślał się, co dla niej znaczą jego słowa, tak proste i szczere, wypowiedziane w obecności dzieci, które tulił do piersi, jakby był ich ojcem.

Bo był. Troszczył się o nie jak najprawdziwszy ojciec.

Och, jaka była niemądra, chcąc postąpić jak Abigail i zrezygnować z miłości.

Weszła na werandę, ujęła dzieci za ręce i patrząc Devinowi w oczy, rzekła:

- Jesteś najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego znam. Kocham cię do szaleństwa. Jeśli w ogóle masz jakieś wady, to chyba tylko nadmierną cierpliwość.

- Która powoli się wyczerpuje.

- To odpowiem krótko. Już dłużej nie musisz na nas czekać.

Na moment puściła rękę syna, żeby przypiąć Devinowi odznakę szeryfa. Wspięła się na palce i na oczach dzieci pocałowała go w usta.

- Tak, chcę zostać twoją żoną. Chcemy zostać twoją rodziną. - Przytuliła policzek do jego serca. - Stanowczo zbyt długo czekaliśmy.

Miłość Shane'a

PROLOG

Na ścieżce lśniła cienka warstewka lodu, setki gwiazd skrzyły się na niebie. Oddychając, człowiek miał wrażenie, że wraz z powietrzem wciąga tysiące lodowych igiełek.

Shane MacKade wyszedł z domu i ruszył do dojrni. Zawsze rozpoczynał dzień od dojenia krów. Pogwizdywał wesoło; w przeciwieństwie do braci lubił pracę na farmie.

Uwielbiał mroźne, ciche poranki przed wschodem słońca.

Najstarszy z braci, siedemnastoletni Jared, do pracy na farmie podchodził jak księgowy. Wszystko mierzył, ważył, przeliczał. Może słusznie, pomyślał Shane. Po tym, jak dwa miesiące temu stracili ojca, sytuacja finansowa rodziny mocno się pogorszyła.

Niespokojny duchem Rafe już w wieku piętnastu lat marzył, by jak najszybciej opuścić rodzinne strony i zobaczyć świat. Pracę na farmie traktował jak obowiązek. Wypełniał go sumiennie, lecz bez przyjemności. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz Shane wiedział, że to Rafe najbardziej przeżył śmierć ojca.

Kochali Bucka MacKade'a, człowieka o donośnym głosie, silnych dłoniach i wielkim sercu. To ojciec nauczył Shane'a farmerstwa, a także miłości do zwierząt i ziemi.

Może dlatego Shane tak bardzo nie cierpiał. Ziemia, którą ojciec uprawiał, pozostała, a zatem duch ojca też. Byli na zawsze ze sobą związani.

Tą myślą Shane mógłby podzielić się z Devinem, który był doskonałym słuchaczem. Byli w podobnym wieku: Devin miał czternaście lat, on za tydzień skończy trzynaście. Jednak swoje spostrzeżenia zachował dla siebie.

W dojarni krowy muczały, wymachiwały ogonami. Dojenie było łatwym, ale dość monotonnym zajęciem; wszystko odbywało się automatycznie - podłączało się krowy do dojarek, a te ściągały mleko, które płynęło prosto do sterylnych pojemników.

Pracowali dwójkami: Shane z Devinem, Rafe z Jaredem. Mimo zimna i wczesnej pory praca sprawnie posuwała się naprzód. Właściwie mogliby ją wykonywać w pojedynkę, ale razem było różniej.

Po krowach należało zająć się kurami i świniami, zebrać jajka, zgarnąć obornik, rozłożyć świeżą słomę. Uporawszy się z porannymi obowiązkami, siadali do śniadania, po czym pakowali się do samochodu Jareda i jechali do szkoły.

Gdyby Shane miał wybór, najchętniej zostałby w domu. W szkole nie uczą człowieka, jak orać, siać i kosić. Ani jak po wyglądzie nieba i zapachu powietrza przewidywać pogodę; jak po wyrazie krowich oczu wiedzieć, że nic jej nie dolega.

Jednak matka była nieugięta; zależało jej, by dzieci zdobyły przynajmniej średnie wykształcenie.

- Z czego się tak cieszysz? - spytał burkliwie Rafe, dźwigając ciężkie wiadra. - To twoje gwizdanie doprowadza mnie do szału.

Shane uśmiechnął się, wzruszył ramionami i przeszedł dalej, przemawiając czule do krów:

- Grzeczne dziewczynki...

- Zaraz mu łeb rozwałę - mruknął Rafe.
- Nie warto - rzekł Devin. - Zresztą rozumu mu nie dodasz.
- Fakt. A jest tak pioruńsko zimno, że jeszcze palce by mi odpadły.
- Dziś się ociepli - stwierdził Shane, klepiąc po zadzie krowę. - Na pewno temperatura będzie na plusie.

Rafe nie spytał, skąd Shane to wie; Shane zawsze wiedział.

- Na plusie? Też mi coś! - Ruszył do stodoły.
- Co go gryzie? - zdziwił się Shane. - Dziewczyna go rzuciła, czy co?
- Nie. Po prostu nie cierpi krów - odparł Jared.
- Serio? To takie urocze stworzenia, prawda, malutka? - Shane

pacnął w zad najbliższą jałówkę.

- A Shane je kocha. - Devin wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Bo w przeciwieństwie do dziewczyn nie zwiewają, kiedy próbuje je całować.

Shane zmrużył oczy; ogarnęła go złość.

- Nie całuję krów. A dziewczyny mógłbym, gdybym chciał.

Widząc, na co się zanosi, Jared pokręcił głową. Nie miał ochoty na bójkę. Czekало ich jeszcze sporo pracy, poza tym musiał się przygotować do testu z literatury. A ta bójka mogłaby trwać bez końca.

- Jasne, prawdziwy z ciebie donżuan - powiedział, usiłując skierować uwagę Shane'a na siebie. - Dziewczyny tylko czekają, kiedy raczysz do nich podejść.

W tym momencie Devin, jak ostatni kretyn, zaczął wydawać odgłosy cmokania. Kiedy Shane uniósł pięści, żeby mu przyłożyć, Jared wsunął się pomiędzy braci.

- Ale zanim, kochasiu, wyruszysz na podryw, trzeba napoić zwierzęta. Woda w korycie całkiem zamarzła.

Rzuciwszy Devinowi groźne spojrzenie, Shane wybiegł na zewnątrz. Każdą mógłbym pocałować, pomyślał, rozbijając łomem lodową pokrywę. Każdą, gdybym tylko chciał.

Ale na razie nie był zainteresowany.

No, może trochę był. Podmuchał na zziębnięte palce. Niektóre dziewczyny zaczynały nabierać całkiem atrakcyjnych kształtów. Pamiętał też dziwny dreszczyk, który przebiegł mu po skórze, kiedy dziewczyna Jareda, Sharilyn, wepchnęła się koło niego na przednie siedzenie samochodu.

Ją też mógłby pocałować, gdyby chciał. Miałby Jared nauczkę. Tacy byli wszyscy mądrzy! Myśleli, że jako najmłodszy na niczym się nie zna. Mylili się. Może nie do końca się znał, ale miał bujną wyobraźnię.

Po śliskiej, ośnieżonej ziemi ruszył do chlewu.

Wiedział, na czym polega seks. Bądź co bądź dorastał na farmie. Widział, jak zachowuje się byk, gdy obok była krowa w rui. Ale nigdy nie kojarzył tego z przyjemnością. Do czasu, aż dostrzegł zmiany, jakie zaszły w szkolnych koleżankach; wtedy zmienił zdanie.

Skruszył kolejną warstwę lodu. Nie wrócił do dojarni, lecz zajął się szykowaniem paszy.

Chciał być już dorosły. Chciał udowodnić, że nie jest gorszy od braci. Pozostało mu czekanie. Za kilka lat o wszystkim sam będzie decydował.

Ziemia należała do niego. Wyczuwał to intuicyjnie. Tylko ona się liczyła. Ziemia. Dziewczyny też, ale ziemia była najważniejsza.

Powiódł wzrokiem po pokrytych śniegiem polach. Na wschodzie, przy wierzchołkach gór, niebo przybierało jasnorożowy odcień. Tę ziemię

uprawiał Buck MacKade, wcześniej ojciec Bucka, a przed nim jego ojciec. Tu, na tej farmie, żyły kolejne pokolenia MacKade'ów; w czasach suszy, powodzi, w czasach wojny.

Farma przetrwała okres najgorszej zawieruchy, kiedy na polach i w pobliskim lesie toczyły się walki między Północą a Południem. Dwie armie ścierały się w boju, huk moździerzy wstrząsał powietrzem, pola płonęły, trup słał się gęsto, żołnierze wyli z bólu, czołgali się, brocząc krwią. Ziemia, o którą walczyli, przetrwała.

Śnieg chrząścił mu pod nogami. Dobrze, że jest sam. To on odpowiada za farmę, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Choć nie miał pojęcia, skąd to wie.

Kiedy usłyszał za sobą szelest, na moment zeszywniał. Ściskając w dłoni łom, powoli się obrócił.

Nikogo nie było.

Przełknął ślinę. Na pewno słyszał kroki i cichy jęk. Zresztą nie pierwszy raz. Zdawał sobie sprawę, że wokół mieszkają duchy: na polach, w lesie, na wzgórzach. Wzbudzały w nim lęk.

Zdobywając się na odwagę, obszedł szopę i ruszył do starej kamiennej wędzarni. Pewnie któryś z braci próbuje go nastraszyć. Liczą, że przerażony dziwnymi odgłosami rzuci się do ucieczki. O mało tak nie postąpił, kiedy spędzali noc po drugiej stronie lasu w starym domu Barlowów. W domu nawiedzonym przez duchy.

- Dobrze się bawisz, Devin? - spytał na głos, głównie po to, żeby uspokoić samego siebie.

Wyszędłszy zza wędzarni, nie zobaczył ani brata, ani śladów butów na śniegu. Za to przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi

skuloną, zakrwawioną postać o zbolałym spojrzeniu i twarzy białej jak śnieg.

Pomóż mi. Proszę, pomóż mi. Umieram.

Kiedy postąpił krok do przodu, postać znikła. Shane ponownie zastygł bez ruchu. Po chwili zaczął dygotać; chłód przenikał przez warstwy ubrania, ziębił aż do kości.

Nagle w oddali usłyszał śmiech braci i głos matki wołającej ich na śniadanie.

Obrócił się na pięcie, starając się wymazać z pamięci obraz rannego i jego błaganie o pomoc. Wrócił pośpiesznie do domu, nikomu nie przyznając się, czego przed chwilą był świadkiem.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shane MacKade uwielbiał kobiety, ich wygląd, zapach, śmiech, dotyk. Uwielbiał wszystkie bez wyjątku. Wysokie, niskie, pulchne, chude, stare, młode. Fascynowała go ich kobiecość: trzepot rzęs, drżenie warg, kołysanie bioder.

Uważał się za szczęściarza, bo kobiety odwzajemniały jego uczucia.

Kochał nie tylko kobiety. Kochał swoją rodzinę, farmę, zapach świeżo pieczonego chleba, smak zimnego piwa w upalny dzień.

Ale kobiety były... po prostu wyjątkowe.

Właśnie uśmiechał się do jednej z nich. Mimo że Regan była żoną jego brata i darzył ją wyłącznie braterskim uczuciem, potrafił docenić jej kobiece walory: krótkie złociste włosy, maleńki pieprzyk nad górną wargą, seksowny, a zarazem niezwykle schludny wygląd.

Jeśli facet musi wybrać jedną kobietę, by spędzić z nią resztę życia, Rafe nie mógł trafić lepiej.

- Na pewno nie sprawiam kłopotu? - spytała, biorąc na ręce najmłodszego przedstawiciela rodu MacKade'ów.

- Słucham? Ach, mówisz o jeździe na lotnisko! - zreflektował się. - Przepraszam. Rozmyślałem o tym, jak ślicznie wyglądasz.

Pokręciła ze śmiechem głową. Jej najmłodsze dziecię wrzeszczało wniebogłosy, była potargana i pewnie bardziej pachniała pieluszkami niż perfumami, którymi się rano skropiła, a Shane prawił jej komplementy.

- Ślicznie? Raczej jak straszdyło.

- Daj mi tego urwisa. - Wziął od niej trzytygodniowe maleństwo. -
Mówię serio. Ślicznie.

Regan zerknęła w stronę kojca, który ustawiła w kącie sklepu z antykami. Ze wzruszeniem popatrzyła na starszego synka, który przespał całe zamieszanie. Jakiż Nate jest podobny do Rafe'a! Zatem również do wujka Shane'a.

- Dzięki za miłe słowa. Przepraszam, że cię wykorzystuję.

- Żaden problem - rzekł. - Przywiozę ci twoją przyjaciółkę, panią profesor.

Regan podała mu filiżankę herbaty.

- Rebeca jest niesamowita. Po prostu genialna. Przez dwa semestry dzieliłyśmy pokój w akademiku. W wieku piętnastu lat już była na drugim roku. Dostała dyplom z wyróżnieniem, w dodatku rok przede mną.

Pociągnęła łyk herbaty. Jason, utulony przez Shane^, słodko gruchał.

- Cały wolny czas spędzała w laboratorium i w bibliotece.

- Innymi słowy: dusza towarzystwa?

- Hm, można powiedzieć, że poważnie podchodziła do życia. Była też bardzo nieśmiała, czemu trudno się dziwić, bo była najmłodsza na roku. Mimo to zaprzyjaźniłyśmy się. Nie była na moim ślubie, bo akurat wyjechała do Europy. Albo do Afryki. Nie pamiętam.

Shane z rozrzewnieniem przypomniał sobie czasy, kiedy sam miał piętnaście lat. To chyba mniej więcej wtedy opanował sztukę odpinania stanika. Po ciemku.

- Miło, że postanowiła cię odwiedzić.

- Dla niej ten przyjazd to połączenie przyjemności z pracą. - Regan przygryzła wargę. Nikomu oprócz męża o tym nie mówiła. Skoro jednak

poprosiła Shane'a o odebranie Rebeki z lotniska, to chyba powinna wyznać mu prawdę.

Przyglądała się, jak Shane robi miny do dziecka. Wszyscy MacKade'owie byli przystojni, ale od Shane'a nie sposób było oderwać wzroku. Miał wyjątkowy urok.

Urok i urodę MacKade'ów. Gęste, czarne jak węgiel włosy, związane w kucyk. Twarz o kwadratowej szczęce i wysokich kościach policzkowych, pełne usta, dołeczek, który pojawiał się przy uśmiechu, zielone oczy obramowane długimi rzęsami. Każdy z braci miał oczy w innym odcieniu zieleni. Oczy Shane'a przypominały ocean p brzasku.

Podobnie jak bracia, był wysoki, szczupły, umięśniony. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi, ubierał się we flanelowe koszule, dzinsy i kowbojki.

Co do uroku MacKade'ów... wszyscy czterej zostali nim hojnie obdarzeni, ale Shane chyba dostał go ciut więcej od braci. Niezwykły wdzięk Shane'a widoczny był w sposobie, w jaki patrzył na kobietę, niezależnie czy miała osiem, czy osiemdziesiąt lat, w czarującym uśmiechu, jaki jej posyłał, w ujmującym, pogodnym stylu bycia.

Podejrzewała, że Rebeca, onieśmielona Shane'em, przez całą drogę nie odezwie się słowem.

- Świetnie sobie radzisz z maluchami - rzekła.

- Ty je ródź, a ja je będę kochał. Rozbawiona, przechyliła w bok głowę.

- Wciąż nie chcesz się ustatkować?

- Nie żartuj! Po co miałbym to robić? - Przeniósł wzrok z Jasona na Regan. - Jestem ostatnim wolnym MacKade'em. Muszę bronić naszej twierdzy, dopóki nie dorośnie następne pokolenie.

- A swoje powinności traktujesz z niezwykłą powagą?

- Żebyś wiedziała... Zasnął. - Pocałował Jasona w czołko. - Położyć go?

- Gdybyś mógł. Słuchaj - powiedziała, kiedy Jason już leżał w staroświeckiej kołysce. - Rebeca spodziewa się, że to ja po nią wyjadę. Nie zdążyłam jej zawiadomić o zmianie planów. - Nerwowym ruchem przeczesła ręką włosy. - Opiekunka mi nawaliła, Rafe pojechał po materiały budowlane, Cassie ma pełne ręce roboty w pensjonacie, w dodatku Emma się przeziębiła, a Savannah... jej nie mogłam prosić o pomoc.

- Kiedy ostatnim razem ją widziałem, wyglądała, jakby się zaraz miała rozsypać. - Shane wyciągnął ręce, demonstrując wielkość brzucha ciężarnej żony Jareda.

- No właśnie. W dziewiątym miesiącu ciąży nie powinna odbywać takiej podróży. Gdyby nie dostawa mebli, to jakoś bym się wyrobiła, a tak...

- To dla mnie żaden kłopot. - Cmoknął bratową w czubek nosa. - Pewnie ta twoja przyjaciółka nie jest tak ładna jak ty?

Regan roześmiała się wesoło.

- Nie widziałyśmy się... hm, z pięć lat. Ostatnio, kiedy na kilka dni wpadłam do Nowego Jorku. Rebeca siedziała obłożona książkami i pisała artykuł. Jest cztery lata ode mnie młodsza i ma dwa doktoraty. Zresztą może więcej. Nie nadążam z liczeniem.

Shane pokiwał głową. Lubił wszystkie kobiety, i mądre, i głupiutkie. Ale wiedział, że na ogół inteligencja nie idzie z urodą w parze. Czyli przyjaciółka Regan raczej nie jest królową piękności.

- Na pewno z psychiatrii i historii Stanów Zjednoczonych - kontynuowała Regan. - Dziwna mieszanka, ale taka już jest Rebeca. Niepospolita. Pamiętam, że chodziła na zajęcia z matematyki, fizyki, chemii. Po dyplomie przez jakiś czas studiowała w Instytucie Technologicznym Massachusetts.

- Po jaką cholere? - zdumiał się Shane.

- Uwielbia zdobywać wiedzę. Ma pamięć fotograficzną. Wszystko natychmiast zapamiętuje.

- I w dodatku jest psychiatrą?

- Nie prowadzi prywatnej praktyki. Udziela konsultacji, pisze artykuły, prowadzi wykłady. Jeden dzień w tygodniu pracowała w klinice psychiatrycznej. Specjalizowała się... chyba w psychozach. A może w fobiach? Nie pamiętam. Aha, jeszcze jedno... - Regan poklepała Shane'a po ramieniu. - Interesuje się parapsychologią.

- Czyli duchami?

- Parapsychologia to nauka o zjawiskach paranormalnych, o postrzeganiu pozazmysłowym, o...

- O duchach - dokończył Shane, krzywiąc się.

- Niech ci będzie. W każdym razie Reбекę interesują tutejsze legendy. - Regan mówiła szybko, znając niechęć Shane'a do miejscowego folkloru. - Stary dom Barlowów, dwaj kaprale, nawiedzony las... Właśnie dlatego pensjonat cieszy się takim powodzeniem. Spędzić noc w domu, w którym straszy... to ludzi fascynuje, podnieca.

Shane wzruszył ramionami.

- To mi nie przeszkadza, niech sobie śpią z duchami. Jednego nie cierpię: kiedy mi łażą po farmie i... - Nagle zmrużył oczy. - Twoja przyjaciółka chce obejrzeć farmę?

- Chce poznać całą okolicę. Podejrzewam, że chętnie spędziłaby trochę czasu na farmie, ale wszystko zależy od ciebie - dodała pośpiesznie Regan. - Zresztą zobaczysz, to naprawdę niesamowita kobieta. Aha, zapisałam ci numer jej lotu...

- Powiedz mi, jak wygląda, żebym ją poznał.

- Brunetka o piwnych oczach. Włosy nosiła ściągnięte do tyłu. Czasem rozpuszczone. Mojego wzrostu, szczupła...

- Szczupła czy chuda, bo to różnica.

- Raczej chudawa. Może mieć okulary. Kiedyś używała ich do czytania. Odkładając książkę, zapominała je zdjąć i ciągle na coś wpadała.

- Innymi słowy, chuda niezdarna brunetka w okularach.

- Na swój sposób jest bardzo atrakcyjną kobietą - oznajmiła lojalnie Regan. - Ale nieśmiała, więc bądź dla niej miły.

- Zawsze jestem miły, zwłaszcza dla kobiet.

- Wiem. Gdybyś jej nie znalazł, poproś, żeby wezwano doktor Rebeke Knight do punktu informacyjnego.

Obserwacja lotniska była frapującym zajęciem. Miał wrażenie, że ludzie wciąż pędzą, chcąc najszybciej opuścić miejsce pobytu i jak najszybciej dotrzeć do celu. Objuczeni wypchanymi torbami, natychmiast po wylądowaniu rzucają się do biegu, jakby goniło ich stado wilków. Zastanawiał się, co ich tak gna; dlaczego tak się przemieszczają z miejsca na miejsce.

Nie żeby miał coś przeciwko podróżom. Jednak równie dobrze można dojechać do celu samochodem. Siedząc za kierownicą, człowiek panuje nad czasem, kilometrami, prędkością.

Widać są różni ludzie i różne gusty.

Był pewien, że bez trudu rozpozna przyjaciółkę Regan: będzie to brunetka mniej więcej dwudziestopięcioletnia, wzrostu około metr sześćdziesiąt pięć, chuda, o brązowych oczach przysłoniętych grubymi szklami. Przypuszczalnie niezbyt modnie ubrana. Skromna intelektualistka z teczką w ręce i w wygodnych butach na płaskim obcasie.

Stał przy wyjściu, z którego mieli wyłonić się pasażerowie z Nowego Jorku. Zerknął na dwie stewardesy. Oto zawód, w którym nie ma nieatrakcyjnych kobiet, pomyślał. I dobrze, bo skoro człowiek musi siedzieć w metalowej puszce kilka kilometrów nad ziemią, to jest mu dużo przyjemniej, kiedy zajmują się nim takie śliczne istoty.

Oderwał od nich spojrzenie, kiedy w holu pojawili się pierwsi pasażerowie. Grupa zmęczonych biznesmenów w garniturach i krawatach. Za żadne pieniądze świata nie zgodziłby się paradować tak ubrany przez osiem czy dziesięć godzin dziennie. Ładna blondynka w obcisłych czerwonych spodniach posłała mu zalotny uśmiech. Ciągnął się za nią delikatny zapach perfum.

Za blondynką wyszła ładna brunetka o wielkich złocistych oczach. Skojarzyły mu się z bursztynowym naszyjnikiem, jaki mama trzymała w szkatułce z biżuterią.

Za brunetką dreptała babcia z ogromną torbą i rozradowaną twarzą; natychmiast rzuciła się ku niej trójka wnucząt.

No, nareszcie! - pomyślał na widok lekko przygarbionej młodej kobiety o ciemnoblond włosach upiętych w koczek. Wszystko się zgadzało: czarna skórzana teczka, sznurowane buty na płaskim obcasie, okulary w kwadratowych ramkach. Przystanęła, rozglądając się niepewnie.

- Cześć. - Shane uśmiechnął się przyjaźnie. Kobieta cofnęła się i wpadła na mężczyznę, który pędził z wypchaną torbą na garnitury. - Jak leci? - Kiedy wyciągnął rękę po teczkę, którą ścisnęła w dłoni, przerażona wytrzeszczyła oczy. - Nazywam się Shane MacKade. Regan prosiła, żebym cię odebrał. Coś jej wypadło i nie mogła sama przyjechać. Jak minął lot?

- Ja... - Kobieta przycisnęła teczkę do szczupłej piersi. - Zaraz zawołam ochronę.

- Spokojnie, Becky, mam cię tylko podwieźć do domu.

Krzyknęła piskliwie. Kiedy Shane wyciągnął rękę, chcąc ją uspokoić, kobieta wzięła zamach i z całej siły pacnęła go teczką. Zanim zdążył zakląć czy się oburzyć, poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

- Przepraszam. - Ładna brunetka o bursztynowych oczach przyjrzała mu się z namysłem. - Podejrzewam, że to na mnie czekasz. - Kształtne usta wygięły się ponętnie w lekko ironicznym uśmiechu.

- Usłyszałam, jak się tej pani przedstawiłeś. Shane MacKade, tak?

- Tak. - Shane zerknął na kobietę, którą zamierzał porwać do samochodu. - Najmocniej panią... - zaczął, lecz nieznajoma rzuciła się do ucieczki.

- Pewnie dawno nie przeżyła takiej przygody - mruknęła pod nosem Rebeca. Wiedziała, co biedaczka czuje. To koszmar być nieśmiałą, niezbyt

atrakcyjną kobietą, którą przeraża współczesny świat. - Rebeca Knight - przedstawiła się, wyciągając na powitanie dłoń.

Różniła się od jego wyobrażenia o szarej myszce, ale kiedy przyjrzał się jej dokładniej, stwierdził, że wcale się tak bardzo nie pomylił. Zdecydowanie wyglądała na intelektualistkę, tyle że zamiast wygodnych butów na płaskim obcasie miała wygodną fryzurę - na chłopczycę. Osobiście preferował dłuższe włosy, ale krótka czupryna pasowała do twarzy Rebeki.

Co do chudości... Hm, pewnie była chuda, chociaż czarne workowate spodnie i luźna czarna marynarka skrywały figurę.

Uśmiechając się, uściśnął dłoń kobiety.

- Regan mówiła, że masz piwne oczy. A twoje są bursztynowe.

- Na prawie jazdy widnieje kolor piwny. U Regan wszystko w porządku?

- Tak. Opiekunka jej nawaliła i niespodziewanie wynikły jakieś sprawy zawodowe. Daj, wezmę to. - Sięgnął po dużą torbę z licznymi kieszeniami, którą miała przewieszoną przez ramię.

- Nie, dziękuję. Czyli jesteś jednym ze szwagrów Regan?

- Tak. - Ujął ją za łokieć i poprowadził w głąb hali.

Ma silny uchwyt, pomyślała. I lubi kontakt fizyczny. W porządku; jej to nie przeszkadza. Nie rzuci się z piskiem do ucieczki, jak tamta kobieta. Choć jeszcze przed kilkoma miesiącami pewnie by tak zrobiła.

- Tym, który mieszka na farmie?

- Owszem. Nie wyglądasz na osobę z tytułami naukowymi, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Nie? - Popatrzyła na niego spod rzęs. - A ta biedaczka, która pewnie wciąż dygocze ze zdenerwowania, wyglądała?

- To wina jej sznurowanych butów.

W drodze do wyjścia Rebeca uważnie przyjrzała się Shane'owi. Rozpięta pod szyją flanelowa koszula, sprane dżinsy, znoszone kowbojki, mocne dłonie. Gęste czarne włosy wysuwające się spod bejsbolówki, pociągła opalona twarz, która mogłaby reklamować dosłownie wszystko.

- A ty wyglądasz na farmera - oznajmiła po chwili. - Daleko stąd do Antietam?

Przez moment zastanawiał się, czy tym farmerem chciała mu sprawić przykrość, czy powiedzieć komplement. Nie potrafił odgadnąć.

- Godzina drogi. Odbierzemy bagaż i...

- Wszystko mam przy sobie. - Poklepała trzymaną na ramieniu torbę.
- Resztę rzeczy nadałam pocztą.

- Świetnie. - Miał wrażenie, że próbuje przeniknąć go na wylot. Odetchnął z ulgą, kiedy założyła okulary słoneczne. Przywykł do kobiecych spojrzeń, ale Rebeca patrzyła bardziej intensywnie, jakby rozbierała go na czynniki pierwsze.

Na parkingu rzuciła okiem na pikapa. Kiedy Shane otworzył jej drzwi, zsunęła z nosa okulary i uśmiechnęła się słodko.

- Jeszcze jedno...

- Słucham?

- Nie używam zdrobnienia Becky - rzekła, zajmując miejsce. Torbę położyła na podłodze.

Podobała jej się jazda. Shane prowadził znakomicie, silnik cichutko mruczał. W głębi duszy czuła satysfakcję, że udało jej się zbić MacKade'a

z tropu. Mężczyźni tak przystojni jak jej dzisiejszy kierowca, w dodatku emanujący seksem, często grzeszyli nadmierną pewnością siebie.

Przez całe życie była wylękniona, uważała się za gorszą i brzydszą od innych. To zaczęło się zmieniać parę miesięcy temu, kiedy postanowiła wziąć się w garść. Praca nad poprawą własnego wizerunku i samopoczucia szybko przyniosła pożądane efekty.

Shane podtrzymywał rozmowę. Była mu za to wdzięczna. Kilka kilometrów za lotniskiem skręcili z autostrady i jechali krętymi lokalnymi drogami.

Dookoła rozciągał się sielski, malowniczy krajobraz: wzgórza, domy, pastwiska, drzewa, które wciąż zachwycaly soczystą zielenią, choć był koniec sierpnia, gdzieś w polu koń lub skubiąca trawę krowa.

W pikapie panował porządek. Czasem w powietrzu zawirowała kępka złocistej sierści. Kilka nabazgranych karteczek przy tablicy rozdzielczej, w popielniczce pobrzękujące monety, ale nigdzie nie walały się puszki po piwie czy stare gazety.

Może dlatego dostrzegła wystający spod maty złoty kolczyk.

- Twój? - spytała, podnosząc go z podłogi. Zerknąwszy na przedmiot, który trzymała w dłoni,

Shane przypomniał sobie, że Frannie Spader miała identyczne kolczyki, kiedy ostatni raz... kiedy wybrali się razem na przejażdżkę.

- Przyjaciółki. - Wyciągnął rękę po zgubę i wrzucił kolczyk do monet w popielniczce.

- Pewnie się martwi, że go gdzieś zapodziała. To czternastokaratowe złoto. - Na moment Rebeca zamilkła. - Czyli jest was czterech?

- Tak. Ty masz rodzeństwo?

- Nie. Z waszej czwórki ty prowadzisz farmę?

- Jakoś tak wyszło. Jared otworzył kancelarię prawniczą, Rafe ma firmę budowlaną, a Devin jest szeryfem.

- Jaka to farma? Co hodujesz?

- Mam krowy, świnie. Uprawiam kukurydzę, głównie na paszę, ale również żyto, pszenicę, lucernę. No i ziemniaki.

- Serio? - W rytm płynącej z radia muzyki zaczęła bębnić palcami po kolanie. - Czy to nie za dużo na jednego człowieka? Wzruszył ramionami.

- Zawsze mogę liczyć na braci. W sezonie zatrudniam studentów.

Poza tym mam dwóch jedenastoletnich bratanków, których czasem zaganiam do roboty, tłumacząc, że to świetna zabawa.

- Zabawa?

- Dla mnie praca na farmie to czysta przyjemność. - Przyjrzał się jej z ukosa. - Nigdy nie mieszkałaś na wsi?

- Nie. Dorastałam wśród wieźowców.

- W Antietam nie uświadczysz ani jednego.

- Wiem. Regan mi mówiła. Sporo czytałam o tych stronach. To musi być ciekawe mieszkać w miejscu, gdzie rozegrała się jedna z najbardziej znanych bitew wojny secesyjnej.

- Historia bardziej pociąga Rafe'a niż mnie. Dla mnie ważniejsza jest uprawa ziemi.

- Czyli szczególnie interesujesz się przeszłością?

- Nieszczególnie. Oczywiście, mieszkając tu, nie sposób nie znać historii. Ale nie rozmyślałam stale o słynnej bitwie.

- A o duchach?

- Też nie.

Kąciki jej warg zadrżały.

- Ale wiesz o ich istnieniu? Ponownie wzruszył ramionami.

- Jasne. Więcej dowiesz się od reszty rodziny.

- Podobno na farmie straszy?

- Podobno. - Nie bardzo chciał rozmawiać na ten temat. - Regan wspomniała, że zamierzasz... właściwie to nie jestem pewien, jakie masz plany.

- Chciałabym zaobserwować i zarejestrować choćby parę przykładów zjawisk paranormalnych - odparła z uśmiechem. - To moje hobby.

- Najwięcej zaobserwujesz w dawnym domu Barlowów, który Regan z Rafe'em przerobili na pensjonat. Prowadzi go jedna z moich bratowych. Tam aż się roi od duchów.

- Wiem, pensjonat figuruje na mojej liście. Chciałabym tam chwilę pomieszkać. Chciałabym również wynająć pokój u ciebie na farmie. Z tego, co Regan mówiła, masz dużą chałupę.

Nie miał nic przeciwko goszczeniu Rebeki, przeszkadzał mu jedynie cel jej wizyty.

- Długo zabawisz w naszych stronach?

- To zależy... - Wyjrzała przez okno, podziwiając widoki. - Zależy, co znajdę i ile czasu zajmie mi sporządzenie dokumentacji.

- A twoja praca?

- Wzięłam roczny urlop. - Na moment przymknęła powieki. - Mam mnóstwo czasu i zamierzam go w pełni wykorzystać. - Otworzywszy oczy, zobaczyła połyskujący w popielniczce kolczyk. - Nie martw się, nie będę

ci wchodzić w drogę. Kiedy zaprosisz sobie gościa, nie wychylę nosa z pokoju.

Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Rebeca podskoczyła na siedzeniu.

- Co się stało?

Potrząsnęła głową; miała dziwne uczucie *deja vu*. Przed nimi wyrastały porośnięte trawą wzgórza. Kilka wyższych szczytów odcinało się od zachmurzonego nieba. Na prawo od drogi ciągnęły się pola zielonej kukurydzy, dalej żyta. Na lekkim wzniesieniu pasły się krowy.

Ciemny las otaczał polanę, wzdłuż niej wił się strumyk.

- Wygląda dokładnie tak, jak powinno - szepnęła Rebeca. - Pięknie tu. Idealnie.

- Dziękuję. To ziemia MacKade'ów. - Shane zdjął nogę z gazu. W jego głosie pobrzmiwała duma. - O tej porze roku liście zasłaniają dom, który stoi na końcu tamtej drogi.

Zobaczyła wąską polną drogę wzdłuż linii drzew. Skinęła głową. Serce waliło jej młotem.

Niech się dzieje, co chce, ale na pewno tu wróci. Nic jej nie powstrzyma. Wróci i zamieszka na farmie. I nie odjedzie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

- Daleko stąd do miasteczka? - spytała, blada jak ściana.

- Kilka kilometrów. - Shane popatrzył na nią z z troskaniem. - Dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Opuściła jednak szybę i wzięła głęboki oddech. - Naprawdę świetnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez okno Regan zobaczyła samochód zatrzymujący się pod sklepem. Z pociechami na rękach wybiegła na zewnątrz.

- Doktor Knight!

- Pani MacKade! - Z okrzykiem radości Rebeca wyskoczyła z pikapa i objęła przyjaciółkę.

Gdzie się podziała chłodna, rzeczowa intelektualistka? - zastanawiał się Shane, obserwując z rozbawieniem dwie trajkoczące, obściskujące się kobiety. Miał pewne zastrzeżenia dotyczące Rebeki Knight, ale nie ulegało wątpliwości, że ona i Regan się uwielbiały.

- Boże, jak się za tobą stęskniłam! Nawet nie wiesz, jak mi ciebie brakowało - powtarzała Rebeca, nie kryjąc łez. - Jak ślicznie wyglądasz! I jakie masz cudne dzieci!

Łzy płynęły jej po twarzy. Przy Regan nigdy nie musiała się czaić. Pociągając nosem, pogładziła policzek Nate'a, a potem delikatną główkę małego Jasona.

- Wystarczy na kilka lat spuścić cię z oczu, a wychodzisz za męża i zostajesz matką dwóch maluszków. Dasz mi potrzymać jednego?

Nate jak zwykle ochoczo wyciągnął łapki.

- Pewnie jesteś podobny do swojego tatusia? - spytała zachwycona Rebeca, kiedy chłopczyk nadstawił buzię do pocałunku.

- Piłka! - zawołał Nate, podskakując jak sprężyna.

- Wujek Shane, na baranka!

- Oj, głuptasie, wolisz wujka od pięknej damy?

- Shane posadził sobie brzdąca na ramionach, a ten natychmiast zacisnął rączki na jego włosach.

- Cieszę się, że Shane cię znalazł. - Regan uśmiechnęła się promiennie. - Tak mi przykro, że nie mogłam cię sama odebrać.

- Masz pełne ręce roboty. A twój szwagier poradził sobie znakomicie. - Rebeca posłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Na pewno jesteś zmęczona. Chodź do środka. Właśnie zamykałam, nikt nam nie będzie przeszkadzał. Shane, napij się z nami herbaty?

- Dzięki, ale muszę wracać do siebie. No, złazimy, Nate. - Trzymając bratanka pod pachami, wykonał „samolocik”, po czym postawił chłopczyka na ziemi.

- Dzięki. - Regan cmoknęła Shane'a na pożegnanie. - Jestem twoją dłużniczką. Jutro wydaję dla Rebeki powitalny obiad. Mam nadzieję, że wpadniesz?

- Darmowa wyzerka? Możesz na mnie liczyć.

- Dzięki za podwiezienie, farmerze. Shane przystanął z ręką na kłamce pikapa.

- Drobiazg, Becky.

- Becky? - Regan uniosła pytająco brwi.

- To taki żart. - Rebeca rozejrzała się dookoła; podobał się jej tutejszy spokój, stare murowane domy, gawędzący ludzie. - Próbuję sobie wyobrazić ciebie w roli mieszkanki prowincjonalnego miasteczka i właścicielki sklepu z antykami.

- Od razu poczułam się tu jak w domu. Chodź, pokażę ci moje królestwo.

Przekroczywszy próg „Czasu Przeszłego”, Rebeca miała wrażenie, że znalazła się w innym świecie. Zachwyciły ją stylowe meble, piękne stare lampy, wyroby ze szkła, bibeloty. W powietrzu unosił się miły zapach, mieszanina kadzidełek, przypraw korzennych i talku dla dzieci.

- Powiedz, jakie to uczucie być mamą? - Uśmiechnęła się.

- Niesamowite. - Przeszedłszy do pokoju na zapleczu, Regan włożyła niemowlę do wiklinowego łóżeczka, a Nate'a posadziła w dzieciennym krzeselku.

- Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Rafe'a. Widziałas Shane'a, więc masz ogólne pojęcie, jak wyglądają MacKade'owie.

- Wszyscy są tacy?

- Tak. Śniadzi, wysocy, przystojni. I w dodatku mają reputację niegrzecznych chłopców. - Uśmiechając się, Regan zmierzyła przyjaciółkę wzrokiem.

- Wiem, że ludzie zwykle to mówią po długim niewidzeniu, ale nie mogę się powstrzymać: wyglądasz wspaniale.

Rebeca przeczesала ręką swoje krótkie włosy.

- Parę miesięcy temu, podczas pobytu w Europie, zdobyłam się na odwagę i poszłam do fryzjera. Pamiętam, że ciągle usiłowałaś mnie namówić, żebym zrobiła coś z włosami.

- Może, ale ja bym nie miała tyle odwagi ani inwencji. Pasuje ci ta fryzura. W dodatku zmiana...

- Stylu? - Rebeca uśmiechnęła się szeroko. - To też zasługa Europy. Przeżyłam mały kryzys. Spacerowałam sobie po Paryżu i nagle w szybie wystawowej spostrzegłam odbicie jakiejś kobiety. Wyglądała jak zaniedbany strach na wróble. Włosy potargane, zwisające wzdłuż twarzy,

jakiś szaro-bury kostiumik. Zrobiło mi się jej żal. Oj, bidula! pomyślałam. Żeby tak wyglądać w mieście słynącym z elegancji. I wtem uświadomiłam sobie, że tą bidulą jestem ja.

- Zbyt surowo się oceniasz.

- Wyglądałam strasznie. Jak przysłowiowy mały geniusz w dziurawym sweterku i brudnych butach. Pod wpływem impulsu weszłam do najbliższego salonu kosmetycznego. Nigdy nie sądziłam, że dobra fryzura może wpłynąć na moje samopoczucie. A jednak... To bez sensu wydawać tyle forsy na zabiegi upiększające, powtarzałam w duchu, opuszczając salon z kremami do twarzy i ciała wartymi kilkaset dolarów.

Pokręciła ze śmiechem głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w swoją cudowną przemianę.

- A potem pomyślałam sobie, że choć wygląd nie jest najważniejszy, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby prezentować się przyjemniej dla oka.

- Brawo. Naprawdę wyglądasz wspaniale. Po prostu rewelacyjnie. - Regan wyciągnęła ręce do przyjaciółki. - Cieszę się. Gdybym pojechała po ciebie na lotnisko, to pewnie bym cię nie rozpoznała.

- Regan, nawet nie wiesz, ile ci zawdzięczam. Jesteś pierwszą osobą, która się ze mną zaprzyjaźniła. Pierwszą, która nie traktowała mnie jak dziwoląga. Od dawna chciałam ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczyło.

- Przestań, bo się rozbeczę.

- To nie wszystko. Byłam potwornie zdenerwowana, lecąc tu. Zastanawiałam się, czy nasza przyjaźń przetrwała. Teraz wiem, że tak. - Rebeca pociągnęła nosem. - Masz chusteczkę?

Regan wyciągnęła paczkę chustek. Jedną podała przyjaciółce, w drugą sama wydmuchała nos.

- Strasznie się cieszę - powiedziała, ocierając łzy.

- Ja też.

Stary kamienny dom tuż za granicą miasteczka idealnie pasował do MacKade'ów. Miał w sobie piękno i kobiecy wdzięk Regan, a zarazem surowy, męski styl Rafe'a.

Z miejsca poznała, że Rafe to brat Shane'a. Podobieństwo między braćmi było uderzające. Nie zdziwiła się więc, kiedy Rafe porwał ją w ramiona i serdecznie uściskał.

Wiedziała już, że MacKade'owie kochają kobiety.

- Regan od dwóch tygodni denerwowała się, czy ze wszystkim zdąży
- rzekł, kiedy usiedli w przestronnym salonie.

- Wcale nie.

Rafe uśmiechnął się do żony i pogładził ją czule po ręce.

- Wypucowała cały dom. Codziennie odkurzała, by pozbyć się psich kłaków. - Trącił nogą śpiącego na dywanie retrievera.

Nate, niezadowolony ze swojej konstrukcji, rozsypał klocki.

- Słusznie - pochwalił go ojciec. - Jak się nie podoba, trzeba zburzyć i zacząć od nowa.

- Tatuś, chodź...

- Najważniejsze są fundamenty. - Rafe położył się na podłodze obok syna i podtykał małym pulchnym rączkom kolejne klocki; - Regan wspomniała, że chciałabyś obejrzeć pensjonat... ?

- Nie tylko obejrzeć. Również w nim pomieszkać.

- Ale ja chcę cię gościć tutaj - zaprotestowała Regan.

- Też chcę spędzić z tobą jak najwięcej czasu. Ale kilka nocy w pensjonacie... to by mi bardzo pomogło w pracy.

- Łowczyni duchów - szepnął do synka Rafe.

- Owszem, łowczyni duchów - chłodno przyznała Rebeca.

- Hej, nie obrażaj się. Kto jak kto, ale ja akurat wiem, że one tam krążą. Dzięki duchom pierwszy raz trzymałem Regan w ramionach. Złapałem ją, gdy o mało nie zemdlą, gdy ją wystraszyły.

- Myślałam, że Rafe próbuje mnie nastraszyć, a kiedy zorientowałam się, że to nie on... po prostu wpadłam w popłoch.

- Wcale ci się nie dziwię. - Rebeca, zafascynowana opowieścią, pochyliła się bliżej. - Co widziałaś?

- Nic. - Regan zerknęła na syna. Był zbyt pochłonięty zabawą, żeby zwracać uwagę na rozmowę dorosłych. - Ale czułam czyjąś obecność. Dom od wielu lat stał pusty. Nikt w nim nie mieszkał. Rafe jeszcze nie zaczął remontu. Usłyszałam hałasy: kroki, trzaśnięcie drzwiami. Mniej więcej w połowie schodów znajduje się taka strefa chłodu...

- I co? Przeniknął cię ziąb? - spytała rzeczowo Rebeca, tonem naukowca zbierającego informacje.

- Do szpiku kości. To było przerażające. Później Rafe wyjaśnił, że na tych schodach, w dniu bitwy nad Antietam, został zastrzelony młody żołnierz armii konfederackiej.

- Dwaj kaprale - mruknęła pod nosem Rebeca i uśmiechnęła się na widok zdziwionej miny przyjaciółki. - Sporo czytałam o tej okolicy, o słynnej bitwie, legendach z nią związanych. Siedemnastego września tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku dwaj żołnierze wrogich armii spotkali się w lesie. Nie wiadomo, czy chcieli zdezerterować, czy może się zgubili. Obaj byli bardzo młodzi. Stoczyli z sobą walkę, w której obaj zostali ciężko ranni. Jeden resztkami sił dotarł do domu Charlesa

Barlowa, w którym dziś mieści się wasz pensjonat. żona Barlowa, Abigail, pochodziła z Południa, jej mąż z Północy. Kobieta kazała służbie zanieść półprzytomnego żołnierza na górę, by opatrzyć mu rany. Byli z połowie schodów, kiedy pojawił się Charles Barlow i z zimną krwią zastrzelił młodzieńca.

- Zgadza się. W powietrzu często unosi się zapach róż. Abigail je uwielbiała.

- Hm... - Rebeca zamyśliła się. - To naprawdę fascynujące. Udało mi się odnaleźć potomka jednej ze służących, która w tamtym czasie pracowała u Barlowów. Podobno po śmierci żołnierza Abigail zachowała się wyjątkowo przytomnie. W kieszeniach zmarłego znalazła kilka listów. Napisała do jego rodziców, a potem załatwiła transport ciała, aby rodzina mogła urządzać pogrzeb.

- Nie wiedziałam - szepnęła Regan.

- Abigail starała się zachować wszystko w tajemnicy, by nie narazić się na gniew męża. Żołnierz nazywał się Franklin Gray; był kapralem i zginął, zanim skończył dziewiętnaście lat.

- Niektórym zdarza się słyszeć strzał. I szloch. Cassie, żona Devina, zarządza pensjonatem. Ona najwięcej może ci opowiedzieć o tych dziwnych zjawiskach.

- Chętnie bym się tam jutro wybrała. I do lasu. Chciałabym też obejrzeć farmę. Drugi kapral o nieznanym nazwisku został pochowany przez MacKade'ów. Może zdołam odkryć coś więcej? Jutro po południu, najdalej pojutrze, powinien dotrzeć mój sprzęt.

- Sprzęt? - zdziwił się Rafe.

- Czujniki, kamery, termometry. Do parapsychologii należy podchodzić w sposób naukowy. Czy kiedykolwiek zaobserwowano przykłady telekinezy? Czyli poruszania się przedmiotów?

- Nie. - Regan wzdrygnęła się. - Nic mi o tym nie wiadomo.

- Trudno. Pozostaje mieć nadzieję. Regan wytrzeszczyła oczy.

- Nie mogę uwierzyć. Dawniej byłaś taka...

- Poważna? Nadal jestem. Zjawiska parapsychologiczne traktuję z najwyższą powagą.

- No dobrze. - Regan wstała z fotela. - Czas, abym ja z powagą pomyślała o kolacji.

- Pomogę ci.

- O rany! Zaraz mi powiesz, że będąc w Europie, nauczyłaś się gotować!

- Nie, nadal nie potrafię ugotować jajka.

- Mówiłaś, że to sprawa genetyczna.

- Wiem. Dziś sądzę, że to zwykła fobia. Gotowanie wiąże się z zagrożeniem. Ostre krawędzie, żar, ogień. Ale potrafię nakryć do stołu.

- To chodź.

Późnym wieczorem, pożegnawszy się z gospodarzami, Rebeca usiadła z książką i kubkiem gorącej herbaty na wygodnym siedzisku pod oknem. Nagle z pokoju na końcu korytarza dobiegł cichy płacz dziecka, po chwili odgłos kroków. Niemowlę przestało płakać. Pewnie Regan przystawiła je do piersi. Rebeca uśmiechnęła się w duchu. Wciąż nie potrafiła sobie wyobrazić Regan w roli matki. Dziewczyna, którą znała na studiach, była dowcipna, pełna życia; wszystko ją ciekawiło. Chłopcy

wciąż do niej wzdychali. Lecz nie tylko uroda Regan, również jej charakter i sposób bycia zjednywały jej powszechną sympatię.

Poważna, niezdarna i nieśmiała Rebeca wprost nie mogła uwierzyć, że Regan wyciągnęła do niej przyjazną dłoń. Zamyśliła się. Mimo nowo nabytej pewności siebie nadal była nieśmiała. Ale wtedy, na studiach, czuła się bezradna, wyobcowana i zagubiona. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Oprócz Regan, która wzięła wystraszoną nastolatkę pod swoje skrzydła.

Rebeca nigdy jej tego nie zapomniała. Siedząc w pięknie urządzonego pokoju gościnnym, wyposażonym w łóżko z baldachimem i duże kuliste lampy, cieszyła się, że przyjaciółce się poszczęściło. Miała wspaniałego, przystojnego męża, który ją uwielbiał, dwójkę uroczych dzieci, interes, który świetnie prosperował, cudowny dom.

Cieszyła się jej szczęściem. Sama zaś... no cóż, nie najlepiej się jej ostatnio wiodło. Większość czasu spędzała na uczelni, lecz coraz bardziej czuła się tam jak w więzieniu. Dusila się tam i coraz częściej pragnęła się z niej wyrwać. Dlatego wzięła roczny urlop; chciała przestać myśleć, badać, analizować, a zacząć naprawdę żyć: czuć, bawić się, podejmować ryzyko, popełniać błędy, robić zarówno głupstwa, jak i rzeczy ekscytujące.

Może tę decyzję podjęła pod wpływem snów, dziwnych powtarzających się snów. W każdym razie nie potrafiła oprzeć się pokusie odwiedzenia przyjaciółki mieszkającej w Antietam, miasteczku o bogatej przeszłości, z którym wiązało się tyle ciekawych legend.

Chciała nie tylko zacieśnić więzy przyjaźni, ale też poświęcić czas nowemu hobby, które coraz bardziej ją wciągało. Nie umiała dokładnie wskazać momentu, kiedy zainteresowała się zjawiskami paranormalnymi.

Narastało to w niej stopniowo, trochę pod wpływem własnych przemyśleń, trochę z powodu artykułów w prasie.

Nie bez znaczenia były też sny. Pierwsze pojawiły się kilka lat temu. Z początku były to krótkie migawki, niewyraźne obrazy; stopniowo nabierały ostrości, stawały się dłuższe, pełniejsze.

Zaczęła je zapisywać. Jako psychiatra rozumiała wagę snów. Jako naukowiec doceniała siłę podświadomości. Podeszła do zadania z powagą, w sposób zorganizowany i obiektywny. Ale w zachowaniu bezstronności coraz częściej przeszkadzała jej zwykła ciekawość.

Przyjechała do Antietam, bo coś ją tu ciągnęło. Coś nieokreślonego. Prędzej czy później to się wyjaśni. Na razie postara się przyjemnie spędzić czas z dala od wielkomejskiego gwaru. Będzie prowadziła długie rozmowy z Regan, będzie podziwiała piękno krajobrazu, oddawała się swojej pasji, będzie badała legendy związane z tym historycznym miejscem i pracowała nad samą sobą, swym charakterem, zdobywaniem śmiałości i towarzyskiej ogłady.

Dziś poradziła sobie całkiem nieźle. Kiedyś, nie tak dawno temu, w towarzystwie przystojnego mężczyzny byłaby koszmarnie spięta; jąkałaby się, czerwieniła, mruzczała pod nosem, garbiła. Truchlałaby na myśl, że miałyby rozmawiać na tematy niezwiązane z nauką.

Dziś nawet się nie zarumieniła, nie speszyła. Ba, ze dwa razy zażartowała. Kto wie, może niedługo odważy się na flirt?

W końcu co jej szkodzi?

Rozbawiona pomysłem, wstała i wsunęła się do łóżka. Nie miała ochoty na czytanie i postanowiła nie robić sobie wyrzutów, że cały dzień spędziła leniwie, bez wdawania się w intelektualne dysputy. Zamknęła

oczy. Jakież miły był dotyk gładkiej satynowej pościeli i zapach kwiatów w wazonie na toaletce.

Uczyła się czerpać radość z prostych rzeczy odbieranych zmysłami, nie rozumem. Słyszała westchnienia wiatru, skrzypienie drewnianych podłóg, szelest prześcieradła, gdy poruszała nogą.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Cieszą ją drobiazgi, na które dawniej nie zwracała uwagi. A które nowa odmieniona Rebeca docenia coraz bardziej.

Zgasila lampę. Leżąc w ciemnościach, dumala o tym, co zrobi nazajutrz. Na pewno wybierze się do pensjonatu. Nie mogła się doczekać, kiedy obejrzy nawiedzony dom i pozna Cassie MacKade, której Regan z Rafem powierzyli prowadzenie pensjonatu. Chciała też poznać jej męża Devina, tutejszego szeryfa.

Jeśli dopisze jej szczęście i znajdzie się wolny pokój, ustawi tam swój sprzęt. A jeśli wszystkie pokoje są wynajęte, to chociaż obejrzy stary dom Barlowów i wysłucha związanych z nim opowieści.

Kusił ją też spacer po lesie, w którym podobno można spotkać duchy. Miała nadzieję, że ktoś pokaże jej miejsce, gdzie według legendy stoczyli walkę dwaj młodzi kaprale.

Z tego, co mówiła Regan, po drugiej stronie lasu była farma Shane'a. Kiedy przejeżdżali obok niej w drodze z lotniska, Reбекę przeniknął dziwny prąd. Czy jutro też tak będzie?

Wszystko wydawało jej się znajome. Drzewa i głązy, szmer strumyka. Takie niesamowicie znajome.

Można to racjonalnie wytłumaczyć, pomyślała sennie. Kiedyś tu była, wiele lat temu. Wędrowała po okolicy, oglądała pole bitewne i

pamiętki po wojnie secesyjnej, odtwarzała w myślach każdy moment walki. Nie pamiętała szosy, którą dziś jechała; być może wtedy na tylnym siedzeniu samochodu rozwiązywała testy podsunięte przez rodziców.

Wtedy, przed laty, las jej nie wzywał. Była zbyt pochłonięta zbieraniem informacji, analizowaniem faktów i zapisywaniem ich, aby interesować się kształtem i kolorem liści czy szumem strumyka płynącego po kamienistym podłożu.

Jutro nadrobi te braki. Jutro zacznie nadrabiać mnóstwo zaległości.
Zapadła w głęboki sen.

Nie mogła słuchać odgłosów bitwy. Straszna była świadomość, że tylu młodych mężczyzn walczy i ginie. Umiera, tak jak jej Johnnie, jej wysoki, przystojny syn, który już nigdy się do niej nie uśmiechnie, nigdy nie zakradnie się do kuchni po ciastko.

Huk moździerzy rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Sarah starała się powściągnąć strach i skupić na gulaszu, który podgrzewała na ogniu. Powtarzała sobie, że przynajmniej miała Johnniego przez osiemnaście cudownych lat. Nikt nie odbierze jej wspomnień. Na szczęście Bóg obdarzył ją dwiema pięknymi córkami, które były jej pocieszeniem.

Martwiła się o męża. Wiedziała, że dniami i nocami tęskni za zmarłym synem. Walka, która toczyła się tak przeraźliwie blisko ich domu, uzmysławiała, jak okrutna jest wojna.

Dobry z niego człowiek, pomyślała, wycierając ręce o fartuch. Dobry, silny, uczciwy. Kochała swojego Johna równie mocno jak dwadzieścia lat temu, kiedy zgodziła się zostać jego żoną. W tym czasie ani przez moment nie zwątpiła w jego miłość.

Byli razem tak długo, ale serce wciąż biło jej szybciej, kiedy John wchodził do pokoju, kiedy w nocy brał ją w ramiona. Wiedziała, że nie wszystkie kobiety mają tyle szczęścia, co ona.

Martwiła się o męża. Od dnia, kiedy nadeszła wiadomość, że Johnnie zginął nad Buli Run, John rzadko się śmiał, miał stale podkrążone oczy, a w spojrzeniu gorycz, której dawniej nie było.

Młody idealista Johnnie postanowił walczyć po stronie Południa; ojciec był z niego ogromnie dumny.

W stanie Maryland, granicznym między Północą a Południem, mieszkało wielu zwolenników Konfederacji, w wielu rodzinach dochodziło do ostrych konfliktów. Jednak nie u MacKade'ów. Johnnie samodzielnie dokonał wyboru i dostał błogosławieństwo ojca. Swój wybór przypłacił życiem.

Tego najbardziej się bała. Że winą za śmierć syna John obarcza zarówno Jankesów, jak i siebie. Że ani im, ani sobie nigdy tego nie wybaczy. I już nigdy nie zazna spokoju.

Wiedziała, że gdyby nie ona i córki, przyłączyłby się do walczących. Czowała, że John dusi w sobie pragnienie, by sięgnąć po broń i niszczyć wrogów. To ją przerażało. Nigdy nie poruszali tego tematu.

Wyprostowawszy się, Sarah przyłożyła rękę do obolałych pleców. Głosy córek obierających warzywa działały na nią kojąco. Domyślała się, że dziewczynki trajkoczą, żeby zagłuszyć dochodzący zza lasu huk moździerzy.

Dziś rano walki toczyły się tak blisko, że żołnierze stratowali pół pola kukurydzy. Dzięki Bogu, że potem wszystko przeniosło się paręset metrów na wschód, w przeciwnym razie pewnie siedziałyby skulona z

dziećmi w piwnicy. Dzięki Bogu, że John był bezpieczny. Nie przeżyłaby, gdyby jeszcze on zginął.

Kiedy John wszedł do kuchni, bez słowa naląła mu kawy. Widząc zrezygnowaną minę męża, przytuliła się do niego. Pachniał sianem i zwierzętami. Odwzajemnił uścisk. Uwielbiała jego silne ramiona.

- Walka przenosi się dalej. - Pocałował żonę w policzek. - Nie denerwuj się, Sarah.

- Nie denerwuję się. - Uśmiechnęła się, kiedy uniósł szpakowate brwi. - Może troszkę.

- Troszkę? - Pogładził ją delikatnie po twarzy, po sińcach pod oczami. - Przekłęta wojna. Przekłęci Jankesi. Jakim prawem włożą na naszą ziemię i strzelają? Dranie. - Opuściwszy ramiona, sięgnął po kawę.

Sarah spojrzała na córki; dziewczynki przerwały pracę i posłusznie poszły do salonu.

- Odchodzą - szepnęła do męża. - Odgłosy strzelaniny są coraz słabsze. To już długo nie potrwa.

Wiedział, że żona nie mówi o tej jednej bitwie. Potrząsnął głową. W jego spojrzeniu znów zagościł wyraz goryczy.

- Potrwa tyle, ile oni zechcą. Póki mają synów gotowych walczyć, wojna będzie trwała. Sprawdzę, czy wszystko pozamykane. - Odstawił nietkniętą kawę. - Nie wyściubiajcie nosa za drzwi.

- John... - Przycisnęła jego dużą dłoń do serca. Co mogła powiedzieć? Że nie ma winnych? Są. Tyle że osoby odpowiedzialne za wojnę i śmierć pozostawały anonimowe. - Kocham cię.

- Sarah. - Na moment jego spojrzenie złagodniało. - Moja śliczna Sarah. - Musnął ją lekko w usta i poszedł do wyjścia.

Rebeca poruszyła się niespokojnie we śnie.

Wiedział, że niewiele może zrobić. W oddali sterczały spalone i połamane badyle kukurydzy. Krew rannych i zabitych zapewne już wsiąkła w ziemię. Ciekawe, czy ciała martwych żołnierzy zostały zabrane.

Do jasnej cholery, to jego ziemia! Gdy wiosną zaczną orać, wciąż będzie myślał o tych, którzy tu zginęli.

Wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na miniaturowym portreciku syna, który zawsze z sobą nosił. Nie rozplakał się; suchymi oczami wodził po polu. Gdyby nie miał ziemi, byłby nikim. Gdyby nie miał Sarah, całkiem by się pogubił. Gdyby nie miał córek, chętnie pożegnałby się z tym światem.

Ale miał ziemię, Sarah i córki; nie miał jedynie syna. Musiał żyć.

Stał z posepną miną, z rękami w kieszeniach, wzrokiem wbitym w dal. Nagle zmarszczył czoło. Coś kwili? Zaglądał do zwierząt. Czyżby przeoczył jakiegoś cielaka? A może jeden z psów, które zamknął, by nie trafiła ich kula, wydostał się na zewnątrz?

Wyteżając słuch, ruszył w stronę wędzarni. Bał się, że znajdzie ranne zwierzę, które będzie musiał opatrzyć lub uśpić. Chociaż całe życie pracował na farmie, przeżywał katusze, gdy trzeba było uśpić cierpiącego czworonoga.

To nie było zwierzę, a człowiek. Przeklęty Janke, który wykrwawiał się na jego ziemi. Przez moment czuł radość. A umieraj sobie. Umieraj tak jak mój syn, na wrogiej ziemi. Kto wie, może to właśnie ty go zabiłeś.

Trącił rannego butem, żeby przekreślić go na wznak. Niebieski mundur był brudny, przesiąknięty krwią. Bardzo dobrze, masz za swoje!

Raptem John zobaczył twarz rannego. Nie była to twarz mężczyzny, lecz chłopca. Dzieciak popatrzył na niego mętnym wzrokiem.

- Tatuś? Tatusiu, wróciłem do domu.
- Nie jestem twoim tatą, chłopcze. Ranny zamknął oczy.
- Pomóż mi. Proszę, pomóż mi. Umieram...

Wiercąc się we śnie, Shane zacisnął dłonie w pięści i rozkopał prześcieradło.



ROZDZIAŁ TRZECI

Była to jedna z najbardziej ekscytujących chwil w życiu Rebeki. Stała, wdychając świeże sierpniowe powietrze, nad głową miała błękitne niebo, a przed sobą stary kamienny dom. Zapach pierwszych jesiennych chryzantem mieszał się z zapachem ostatnich róż.

Przez kilka semestrów studiowała architekturę; podziwiała majestatyczne katedry we Francji, romantyczne wille we Włoszech i wspaniałe ruiny starożytnej Grecji.

Ten dwupiętrowy budynek z miejscowego kamienia i drewna, z lśniącymi oknami i sterczącymi z dachu kominami, wywarł na niej równie wielkie wrażenie, co paryska Notre Dame.

Nic dziwnego, był nawiedzony przez duchy.

Marzyła o tym, by poczuć ich obecność, usłyszeć szepty i zawodzenia, zobaczyć przesuwające się cienie. Wierzyła w zjawiska paranormalne. Jako naukowiec przekonała się, że istnieje na świecie wiele rzeczy niewytłumaczalnych. Ilekroć ktoś o czymś takim mówił, natychmiast domagała się szczegółów. Kto był świadkiem, co czuł i słyszał? Oczywiście sama również chciała tego doświadczyć.

Tak było ze starym domem Barlowów, obecnie pensjonatem MacKade'a. Gdyby nic o nim nie wiedziała, przypuszczalnie zobaczyłaby jedynie piękny stary dom z dwiema werandami i wspaniałym ogrodem. Zastanawiałaby się, jak jest urządzone i jaki widok rozciąga się z okien. Zapewne ciekawiłoby ją, kim byli dawni właściciele, co się z nimi stało, dokąd się przeprowadzili.

To już wiedziała. Spędziła mnóstwo czasu, zdobywając informacje na temat pierwszych właścicieli i ich potomków.

Czuła, jak serce jej łomocze.

- Boże, Regan, jest piękny.

- Szkoda, że nie widziałas go wcześniej, przed remontem. - Regan z dumą popatrzyła na dom. - Z zewnątrz to była kompletna ruina, wybite szyby, zapadające się ganki. A w środku - potrząsnęła głową - lepiej nie mówić! Gdyby nie Rafe... On ma niesamowity dar; potrafi dostrzec potencjał, a potem sprawić, by to, co sobie wymarzył, stało się rzeczywistością.

- Sam wszystkiego nie dokonał - zauważyła Rebeca.

- To prawda. - Regan uśmiechnęła się i pchnęła drzwi. - Odwaliłam kawał porządnej roboty. Zobacz.

Faktycznie odwaliła kawał porządnej roboty. Piękna drewniana podłoga lśniła złościście w promieniach słońca. Ściany pokrywała jedwabna tapeta. Eleganckie stare meble i finezyjne bibeloty idealnie z sobą harmonizowały.

Z holu Rebeca przeszła do salonu z ogromną kanapą i wielkim marmurowym kominkiem. Sosnową półkę nad kominkiem zdobiły dwa piękne wazony z ostróżkami i frezjami. Obok stały dwa stare zdjęcia w srebrnych ramkach.

- Mam wrażenie, że zaraz rozlegnie się szelest krynoliny.

- Zależało nam, żeby wewnątrz było zgodne z duchem epoki; meble, dodatki, kolory obić i ścian są takie, jak w okresie wojny secesyjnej. Podobnie urządziłam łazienki i kuchnię, choć tam, dla wygody gości i domowników, wprowadziłam nowoczesne sprzęty.

- Wyobrażam sobie ogrom pracy...

- O tak. Ciężko zasuwaliśmy - przyznała Regan. - Ale to była przyjemność. Zresztą eksplozja uczuć zawsze człowieka oślepia...

- Eksplozja? - Rebeca uśmiechnęła się. - To brzmi groźnie.

Niebezpiecznie.

- Kiedy ma się do czynienia z MacKade'ami, pojęcie spokoju czy nudy nie istnieje.

- Życie na wysokich obrotach najwyraźniej ci odpowiada.

- Tak. Kto by pomyślał?

- Prawdę rzekłszy, zawsze sądziłam, że zwiążesz się z eleganckim, zarozumiałym typem, który dla kondycji grywa w squasha. Cieszę się, że się pomyliłam.

- Ja też - powiedziała ze śmiechem Regan, po czym zmarszczyła czoło. - W squasha?

- Lub w polo. Od biedy w tenisa. Co się dziwisz? Zawsze byłaś szykowną estetką. - Wskazała na jej granatowe spodnie z kantem i lśniące guziki przy blezerze. - Wciąż jesteś.

- Czy to komplement? - W głosie Regan pobrzmiwała ironia.

- Oczywiście. Marzyłam, żeby ubierać się jak ty, podobnie czesać...

Wydawało mi się, że wtedy nie będę się czuła tak ciamajdowato.

- Nie byłaś ciamajdą.

- Byłam. Na szczęście powoli uczę się ukrywać swoje słabości i wady...

- Mamy towarzystwo - przerwała przyjaciółce Regan.

Zerknąwszy na schody, Rebeca ujrzała szczupłą blondynkę. W chuście na piersi miała niemowlę. Jedną ręką trzymywała się lśniącej poręczy, drugą delikatnie obejmowała dziecko.

- Domyśliłam się, że jesteś na górze. - Regan podeszła bliżej i rzuciła okiem na śpiące maleństwo. - Nie mogłaś się wstrzymać ze zmianą pościeli, aż ktoś zajmie się dzieckiem?

- Wolałam mieć to z głowy. A Ally troszkę marudziła, więc wzięłam ją z sobą... To pewnie twoja przyjaciółka?

- Tak, poznajcie się. Rebeca Knight, genialna kobieta, Cassandra MacKade, niezastąpiona menadżerka pensjonatu.

- Miło mi panią poznać. - Cassie wyciągnęła dłoń.

- Czy możemy sobie mówić po imieniu? - Rebeca uśmiechnęła się serdecznie.

- Oczywiście. Regan oprowadza cię po naszym królestwie?

- Na razie zwiedziłam salon. Nie mogę się doczekać, by obejrzeć resztę domu.

- No to nie przeszkadzam. Dokończę porządki. Wołajcie w razie czego. W kuchni jest świeżo zaparzona kawa i babeczki.

- Mogłam się tego domyślić! - Regan roześmiała się i pogładziła ciemną główkę Ally. - Zrób sobie przerwę, Cass, i przyłącz się do nas. Reбекę strasznie ciekawią wszelkie legendy i anegdoty związane z tym miejscem.

- Proszę - błagalnie rzekła Rebeca. - Regan mówiła, że przeżyłaś tu parę zaskakujących momentów. Że widziałaś ducha.

- Ja... - Cassie oblała się rumieńcem. O swojej wizji opowiadała niechętnie; było to dla niej coś bardzo osobistego.

- Chciałabym zebrać i opisać wszystkie niecodzienne zdarzenia, jakie miały lub mają tu miejsce...

- Dobrze. - Cassie wzięła głęboki oddech. - Widziałam mężczyznę, którego kochała Abigail Barlow. Rozmawiał ze mną.

Niesamowite, powtarzała w myślach Rebeca. Wędrując po pokojach, z przejęciem słuchała relacji Cassie. Przenikały ją dreszcze. Czowała niedosyt; wciąż czegoś jej brakowało.

Zrozumiała to, kiedy zwiedziwszy pensjonat, skierowała się w stronę lasu. Chyba miała nadzieję, że sama również czegoś doświadczy; że coś zobaczy lub poczuje. Z biegiem lat coraz bardziej interesowały ją zjawiska paranormalne, a jednocześnie rosła jej frustracja, ponieważ nigdy osobiście się z takim zjawiskiem nie zetknęła. Tylko w snach, czasem zwykłych, niemal nudnych, a czasem najeżonych symbolami, w snach, które były dziełem podświadomości, przenosiła się w inny świat.

Pensjonat wywarł na niej wrażenie, doceniała jego piękno, ale... Wolałaby poznać któregoś z jego niewidzialnych mieszkańców.

Nie traciła nadziei. Do wieczora sprzęt powinien dotrzeć na miejsce. W tygodniu poprzedzającym rocznicę bitwy wszystkie pokoje były zarezerwowane, ale teraz kilka stało wolnych; jeśli chciała, mogła wprowadzić się na parę dni.

Kiedy weszła do cienistego lasu, przeniknął ją chłód. Tu, w tym lesie, dwaj młodzi żołnierze stoczyli z sobą walkę na śmierć i życie. Niektórzy czuli w powietrzu ich obecność, słyszeli szczęk bagnetów, okrzyki bólu.

Ona słyszała śpiew ptaków, szelest wiewiórek zbierających orzechy na zimę, ciche bzyczenie owadów. Dzień był gorący, bezwietrzny; liście

wciąż miały soczyście zieloną barwę. Nic nie wskazywało, że za niecały miesiąc nastanie jesień.

Kierując się wskazówkami Cassie, doszła do głazów, przy których spotkali się dwaj kaprale. Usiadłszy, wyjęła z torby laptopa i zaczęła zapisywać swoje spostrzeżenia; zamierzała je później przegrać na dyskietkę.

„Trudno mówić o *deja vu*; jeśli w ogóle się pojawiło, było słabe, nieporównywalne z piorunującym uczuciem, jakie wcześniej mnie ogarnęło na widok farmy MacKade'ów. Cudownie znów ujrzeć Regan, poznać jej dzieci i męża, zobaczyć, że jest szczęśliwa. To chyba prawda, że każdy ma swoją idealną połówkę, trzeba ją tylko odnaleźć. Regan swoją znalazła. Rafe jest silny, pewny siebie, nie boi się pracy fizycznej; po prostu macho. Jego miłość i oddanie żonie i dzieciom są niebywałe. Stworzyli wspaniałą rodzinę, spełnili też swoje marzenia, przekształcając stary dom Barlowów w stylowy pensjonat. Położenie pensjonatu i związane z nim legendy przyczyniły się do sukcesu całego przedsięwzięcia. A także wybór menadżerki; Cassie jest świetna, lepszej ze świecą szukać.

Cassie MacKade sprawia wrażenie osoby dobrze zorganizowanej, kompetentnej, przyjaźnie nastawionej do świata. Ma w sobie pewną... niewinność. A przecież jest dorosłą kobietą, matką trojga dzieci i, jak twierdzi Regan, ma za sobą ponurą przeszłość. Wzbudziła moją sympatię. W jej towarzystwie natychmiast poczułam się swobodnie, jakbyśmy się znały od lat.

Nie mogę się doczekać, kiedy poznam jej męża, szeryfa Devina MacKade'a. Ciekawe, czy przypomina braci, nie tylko z wyglądu, także z charakteru.

Charaktery... Shane MacKade. Nie sposób go zapomnieć. Pewny siebie jak Rafe, ale chyba bardziej wyluzowany. Podejrzewam, że cieszy się ogromnym powodzeniem u płci przeciwnej. Trudno się oprzeć takiej kombinacji urody, wdzięku i zmysłowości.

Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Jak jeszcze żaden mężczyzna. Mam nadzieję, że się z tym nie zdradziłam. Myślę, że taki mężczyzna nie potrzebuje żadnej zachęty".

Na moment przerwała pisanie i potrząsnęła z rozbawieniem głową. Czy tak pracuje naukowiec? Czy takie ma spostrzeżenia? Z drugiej strony przyjazd do Antietam był bardziej prywatną wycieczką niż wyprawą naukową.

„Miło było obejrzeć pensjonat, ale nie było to jakieś porywające przeżycie. Cassie i Regan pokazały mi apartament małżeński, który dawniej należał do Abigail Barlow. Przez kilka lat mieszkała tam niemal w całkowitym odosobnieniu. Tam zmarła. Cassie uważa, że z rozpaczy odebrała sobie życie. Obejrzałam też sypialnię pana domu, Charlesa Barlowa, oraz pokój dziecinny, obecnie przerobiony na śliczną sypialnię z malutkim salonikiem. Zwiedziłam bibliotekę, w której i Regan, i Cassie doświadczyły zjawisk natury paranormalnej. Zazdroszczę im, że są otwarte na tego typu doznania.

Niestety ja - mimo najlepszych chęci i gotowości do zakosztowania czegoś nowego - jestem zbyt mocno osadzona w racjonalnym świecie. W lesie, w którym straszy od ponad stu lat, czuję tylko chłód wywołany

brakiem słońca i widzę jedynie drzewa i skały. Może nowoczesna technologia zdoła mi pomóc. Na razie korci mnie, żeby obejrzeć farmę. Nie jestem jednak pewna, czy będę mile widzianym gościem. Odniosłam wrażenie, że Shane nie przepada za duchami. Mimo to złożę mu wizytę. Może nie spotkam duchów, ale przynajmniej zobaczę, na czym polega prowadzenie farmy.

I jeszcze raz rzucę sobie okiem na farmera. Rzadko widuje się tak urodziwych ludzi".

Uśmiechając się pod nosem, Rebeca zamknęła laptopa i schowała go do torby. „Urodziwy”. Niejedna pewnie tak o nim myślała. Wyszła z lasu. Dom stał na wprost, po drugiej stronie odłogu, nad którym unosił się intensywny zapach obornika. O dziwo, zapach jej nie brzydził, przeciwnie, intrygował. Ruszyła przed siebie, patrząc uważnie pod nogi.

Wokół panował sielski nastrój: podobał się jej błękit nieba, białe pierzaste chmurki, rosnąca przy strumyku wierzba płacząca, szmer wody. Zachwycaly rzędy wysokiej kukurydzy, złociste łany zbóż, stara stodoła, niebieska wieża, która przypuszczalnie była silosem.

A dalej... kolejne silosy, szopy, padoki, wybiegi, zagrody. Uśmiechnęła się na widok stada krów na zielonej łące, którą gdzieniegdzie znaczyły szare kamienie.

Obrazek jak z pocztówki. Pola, strumyk, las, dom. Miała wrażenie, że od wieków nic się tu nie zmieniło.

Dom... Nagle serce zabiło jej mocniej. Przystanęła i oddychając płytko, utkwiała wzrok w budynku.

Materiał użyty do budowy przypuszczalnie pochodził z tych samych kamieniołomów co kamień, z którego był zbudowany dom Barlowów.

Dom MacKade'ów był zdecydowanie skromniejszy. Popatrzyła na proste kwadratowe okna na parterze i piętrze, na szeroki drewniany ganek od strony kuchni. Ciekawe, czy od frontu jest drugi? Pewnie tak. A na nim fotel bujany, może nawet dwa. Na górze daszek lub markiza chroniąca przed słońcem i deszczem.

Gdzieś w oddali słyszała szczekanie psów, ale nie zwracała na nie uwagi. Wpatrywała się w sterczące z dachu kominy, w szare okiennice zamontowane bardziej w celach praktycznych niż dekoracyjnych.

Ten dom jakby już kiedyś widziała. Może na fotografii? Zamrugła, wypuściła powietrze. Nawet nie wiedziała, że wstrzymała oddech.

Nie, na pewno nie na fotografii. Po prostu Regan wszystko jej szczegółowo opisała. Opis przyjaciółki nałożył się na rzeczywisty obraz i dlatego farma wygląda znajomo.

Pokręciwszy ze śmiechem głową, Rebeca podjęła wędrówkę. Zawahała się, kiedy podbiegły do niej dwa psy o lśniącej złocistej sierści. Regan wspominała, że psy Shane'a są rodzicami jej młodego golden retrievera. Rebeca lubiła zwierzęta, ale zwykle trzymała się od nich na odległość. Psy Shane'a ganiały wokół niej, ujadając wesoło i machając ogonami.

- Grzeczne pieski. - Ostrożnie wyciągnęła rękę. Kiedy ją obwąchały, a potem polizały, odetchnęła z ulgą. - Grzeczne pieski - powtórzyła pewniejszym tonem i zdobyła się na odwagę, aby pogłodzić wielkie złociste łby. - Fred i Ethel, tak?

W odpowiedzi psy zaszczekały i popędziły do domu. Potraktowawszy to jak zaproszenie, podażyła ich śladem.

Zatrzymała się, widząc świnię. Były czystsze, niż się spodziewała, i znacznie większe. Kiedy zaczęły chrząkać, chrumkać i tłoczyć się przy ogrodzeniu, wybuchnęła śmiechem. Pochyliła się; już zamierzała wsunąć rękę, by sprawdzić miękkość świńskiej sierści, kiedy powstrzymał ją męski głos.

- Nie radzę. Ugryzą.

Podskoczyła jak oparzona. Obróciwszy się, ujrzała Shane'a z ogromnym kluczem francuskim w dłoni. Przeniknął ją dreszcz. Nie, nie bała się, choć Shane wyglądał groźnie. Dreszcz był wynikiem podniecenia, ale dopiero później to sobie uświadomiła.

Ręce miał umazane smarem, ramiona umięśnione i lśniące od potu. Ubrany był w opięte na biodrach dzinsy, do białości wytarte na kolanach, i podkoszulek, kiedyś pewnie biały, dziś mocno sprany, gdzieś podarty. Czarne potargane loki opadały zadziornie na niebieską bandankę na czole.

Rozciągnął usta w łobuzerskim uśmiechu. Przypuszczalnie doskonale wiedział, jak ten uśmiech działa na kobiety.

- Ugryzą - powtórzyła, starając się umknąć fali pożądania, która ją zalewała.

- Tak, skarbie. - Wetknął klucz do tylnej kieszeni i podszedł bliżej. Wyglądała rozkosznie, kiedy stała w tym swoim bezkształtnym blezerze, mrużąc bursztynowe oczy przed blaskiem słońca. - Są żarłoczne. Lepiej mieć w ręku jedzenie, inaczej utną palce. - Ujął niedbale jej dłoń, obejrzał ją. - Ładne paluszki. Długie, szczupłe...

- A twoje brudne - powiedziała dziwnie ochryłym głosem.

- Pracowałem.

Zdobywszy się na uśmiech, uwolniła dłoń.

- Nie chcę ci przeszkadzać...

- Nie przeszkadzasz. - Poglaskał psy. - Naprawiałem grabie.

- I tak się ubabrałeś?

W policzku Shane'a ukazał się dołeczek.

- Grabie są różne... Zwiedziłaś już pensjonat?

- Tak, Cassie mnie oprowadziła. Umówiliśmy się, że później podrzuci mnie do Regan. Byłam w okolicy, więc pomyślałam sobie... -
Urwała i zerknęła na zagrodę ze świniami. - Nigdy nie widziałam świń z bliska. Ciekawa byłam, jaką mają sierść.

- Szczeciniastą. - Shane ponownie błysnął zębami w uśmiechu. -
Przypomina ostrą szczotkę.

- Aha. - Chętnie sama by się przekonała, ale wołała nie ryzykować.
Westchnąwszy cicho, powiodła wzrokiem po farmie. - Pięknie tu.
Dlaczego na tamtym polu nic nie rośnie?

- Od czasu do czasu trzeba dać ziemi wypocząć. - Zerknął na ugór przy lesie. - To się nazywa płodozmian. Masz ochotę posłuchać wykładu na ten temat?

- Może. - Uśmiechnęła się. - Ale nie w tej chwili.

Trzymała rękę na ogrodzeniu. Shane położył swoją tuż obok.
Typowy chwyt uwodzicielski, pomyślała.

- A w tej chwili na co masz ochotę?

- Rozejrzeć się. Jeśli naprawdę ci nie przeszkadzam... - Z trudem powściągnęła odruch, aby cofnąć się parę kroków.

- Ładna kobieta nigdy mi nie przeszkadza. - Zdjął bandankę, wytarł dłonie. - Chodź.

Zanim zdążyła zareagować, wziął ją za rękę. Jego była szorstka, pokryta odciskami; czuło się w niej siłę. Kiedy skęcili za szopę, oczom Rebeki ukazała się wielka, groźnie wyglądająca maszyna wyposażona w rzędy ostrych kłów.

- To są te grabie, które naprawiałem - wyjaśnił Shane.

Ruszył do stodoły. Ludzi z miasta zwykle ciekawi, co się w niej mieści. Rebeca zatrzymała się przy kurniku.

- Hodujesz kury? Dla jajek?

- Owszem, dla jajek. I dla mięsa. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Jadasz własne kury?

- Przynajmniej wiem, że są zdrowe. A kupując poćwiartowane mięso w supermarkecie, nigdy nie masz pewności.

Skrzywiwszy się, Rebeca zerknęła w stronę chlewu. Shane uśmiechnął się. Czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

- Zjesz ze mną obiad?

- Nie, dziękuję.

- Byłaś kiedyś na świniobiciu? - spytał. - Organizujemy je raz w roku podczas dorocznej zbiórki pieniędzy na miejscową straż pożarną. To huczna impreza, zjeżdża się mnóstwo ludzi, można zjeść pyszne śniadanie, no i popatrzeć na ubój...

Rebeca przycisnęła rękę do brzucha.

- Robisz mnie w konia?

- Bynajmniej. Człowiek nie wie, jak smakuje prawdziwa kielbasa, dopóki...

- Zamierzam przejść na wegetarianizm - przerwała mu. - Brawo, farmerze. Na moment ci uwierzyłam.

- Nie mogłem oprzeć się pokusie - rzekł pełen podziwu dla jej refleksu. - Miałaś taki wyraz twarzy, jakbyś każde kwiknięcie zapisywała sobie w pamięci, by wykorzystać to potem w artykule o amerykańskiej farmie.

- Zgadłeś. - Przysłoniwszy ręką oczy przed blaskiem słońca, popatrzyła badawczo na swego rozmówcę. Chyba nigdy w życiu nie widziała równie przystojnego faceta. - Interesują mnie szczegóły. A także pisanie artykułów. Dużo szczegółów to gotowy artykuł. A z dobrego artykułu wyłania się jasny, przejrzysty obraz.

- Na mój rozum ktoś, kogo interesują detale, artykuły i przejrzyste obrazy, nie powinien uganiać się za duchami.

- Gdyby naukowcy byli pozbawieni ciekawości, do uprawy ziemi wciąż byś używał kamiennych narzędzi i składał ofiary bogom słońca.

Po tych słowach skierowała się do stodoły. Nie zważając na unoszące się w powietrzu cząsteczki kurzu, półmrok i wdzierający się w nozdrza zapach zwierząt, podeszła do boksu. Nagle krzyknęła przerażona, bo nad sobą ujrzała ogromny krowi łeb. Rozległo się głośne muczenie.

- Złapała biedaczka infekcję - wyjaśnił Shane, przezornie kaszlnięciem maskując śmiech. - Musiałem odseparować ją od reszty stada.

- Rany boskie, ale jest wielka.

- Należy do mniej sztych. Śmiało, możesz ją pogłaskać. O tu, po głowie. - Przysunął rękę Rebeki do krowiego łba.

- Wyzdrowieje, prawda?

- Tak. Z każdym dniem ma się coraz lepiej.

- Sam leczysz zwierzęta? Nie wzywasz weterynarza?

- Wzywam, ale do poważniejszych spraw. - Czuł, jak Rebeca rozpościera dłoń i z zaciekawieniem głaszcze krowę. - Też nie lecisz do lekarza z byle przeziębieniem.

- Fakt. - Uśmiechnęła się. - Nie sądzę jednak, żeby w miejscowej aptece sprzedawali antybiotyki dla krów.

- W aptece nie, ale w sklepach weterynaryjnych można dostać większość potrzebnych preparatów.

Przyjrzała mu się chłodno, z uwagą, jakby był obiektem badań. Stanowiła wyzwanie, któremu nie mógł się oprzeć. Powoli przesunął wzrok niżej, z jej oczu na wargi.

- Regan twierdzi, że masz kilka doktoratów. Po co ci te wszystkie stopnie naukowe?

- Do kolekcji - odparła lekkim tonem.

- Pytam serio. Po co?

- Bo wiedza to siła - rzekła, cofając się krok. - Kiedy indziej chętnie obejrzę farmę, ale dziś... Gdybyś mógł mi pokazać kuchnię, w której zmarł młody kapral.

- Ślady krwi dawno zmyliśmy z podłogi.

- To dobrze. - Przechyliła głowę na bok. - O co chodzi?

O co? Chyba o to, że Rebeca Knight wydawała się kompletnie nieczuła na jego wdzięki.

- Regan prosiła, żebym poszedł ci na rękę. Więc pójdę, ze względu na nią. Ale nie podoba mi się pomysł, żeby ktoś kręcił się po moim domu, szukając duchów.

- Boisz się, że mogę je znaleźć?

- Niczego się nie boję - warknął. - Powiedziałem tylko, że nie podoba mi się taki pomysł.

- Wiesz co? Zaproś mnie do środka, zaproponuj szklankę wody albo soku. Może wypracujemy jakiś kompromis?

Znów ujął ją za rękę, odruchowo. Zanim jednak doszli do drzwi kuchennych, uznał, że nie warto się tak szybko poddawać. Jak na naukowca pachniała przepięknie.

Hm, jeszcze nigdy nie całował kobiety ze stopniem naukowym. Podejrzał, że wykrzywione w ironicznym grymasie usta Rebeki mogą smakować bosko.

- Mam mrożoną herbatę.

- Świetnie. - Stała na progu i rozglądała się ciekawie.

Coś czuła. Wprawdzie obecność Shane'a mąciła nieco obraz i nie pozwalała jej się w pełni skupić, ale...

Tak, patrząc na wyszorowaną podłogę, na czyste blaty i lśniące urządzenia kuchenne, wyraźnie czuła jakieś dziwne prądy.

Kuchnia była duża, wygodna, idealna dla licznej rodziny. Na środku stał wielki drewniany stół i solidne krzesła z wyplatanyimi siedzeniami. Na blacie leżała dzisiejsza gazeta; pewnie Shane czytał ją do porannej kawy.

Parapet zdobiły doniczki z ziołami. Rozmaryn, bazylia, tymianek. Proszę, proszę, pomyślała z uznaniem.

Trzymając w ręku dwie szklanki złocistego płynu, Shane zmarszczył czoło. Rebeca stała nieruchomo, skupiona. Sprawiała wrażenie, jakby widziała coś, czego on, mieszkaniec tego domu, nie dostrzegał. Trochę go to wkurzyło.

- Nigdy nie widziałaś kuchni?

Obróciła się do niego z chłodnym uśmiechem. Potrzebowała kilku minut w samotności. Trzech, góra pięciu. Może wtedy, wyzwolona spod uroku Shane[^], zdołałaby odkryć, skąd się biorą wibracje w powietrzu.

- Zabrzmi to seksistowsko, ale nie spodziewałam się takiego porządku. Kawaler, który wiezie beztrudne życie, zapraszając kobiety i kumpli na partyjkę pokera...

- Nie zapraszam kobiet razem z kumplami. - Podał Rebecce szklanke.
- Moja matka miała bzika na punkcie czystości w kuchni. Tak jak w dojrani, wszystko musi być czyste.

- W dojrani? Następnym razem chętnie bym ją obejrzała.

- Wpadnij o szóstej rano, kiedy odbywa się dojenie. Nie chcesz zdjąć blezera? - spytał znienacka.

- Jest ciepło. - Chciał zobaczyć ją dokładniej.

- Jest mi w sam raz. - Podeszła do okna. - Piękny widok. Ze wszystkich okien rozciągają się piękne widoki. Czy z czasem człowiek się do nich przyzwyczaja?

- Owszem. I zaczyna je traktować jak swoją własność. - Stał tuż za nią i przeciągnął palcem po jej szyi. Rebeca znieruchomiała. - Masz śliczne włosy, chociaż szkoda, że takie krótkie. Choć tak lepiej widać linię szyi, a szyję też masz śliczną. Długą, gładką, smukłą.

Czym prędzej powtórzyła w myślach układ pierwiastków, co pozwoliło jej zachować spokój. Odwróciwszy się, uśmiechnęła się zaczepnie.

- Przyznaj się, farmerze, próbujesz mnie poderwać?

- Poderwać? Raczej lepiej poznać. Zżera mnie ciekawość. -
Odstawiwszy szklanki, zacisnął ręce na parapecie, nie dając Rebecce możliwości ucieczki.

- A ciebie nie?

- Ciekawość to cecha dobrego naukowca.

Czuł jej zapach, czysty, świeży, z lekką cytrusową nutą.

- To może przeprowadzimy mały eksperyment?

Spokojnie, nakazała sobie. Nie denerwuj się, nie jękać, nie próbuj uciekać. Pilnuj, by nie domyślił się, że całkiem straciłaś głowę.

- Mały eksperyment, powiadasz? A jaki, jeśli wolno spytać?

- Zaraz ci zademonstruję...

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Miała talię osy. Zacisnął na niej rękę, potem przesunął je lekko do góry. Zalała go fala gorąca. Nie spodziewał się, że pragnienie uderzy w niego z tak potężną siłą. Świat dosłownie zawirował mu przed oczami.

Ponieważ Rebeca nie zaprotestowała, prawdę mówiąc, nawet nie drgnęła, przysunął się bliżej. Teraz ich ciała do siebie przylegały.

Nagle poczuł ogromną chęć, żeby zgnieść jej usta w namiętym pocałunku. Nie dlatego, że była piękną, pociągającą kobietą, ale dlatego, że patrzyła na niego z dezaprobatą.

Uwielbiał taki wzrok pełen dezaprobaty.

Pochylił głowę. Jej wargi były coraz bliżej.

- Eksperyment? - spytała, wytrącając go z równowagi. - A hipoteza?

- Co?

- Hipoteza - powtórzyła, zadowolona ze zwłoki. Zyskała moment, żeby przygotować się psychicznie. - Co chcesz udowodnić?

Przeprowadzając eksperyment, zwykle próbujemy coś udowodnić.

- Hm... - Nie spuszczał oczu z jej ust. Coraz bardziej go kusily. - Że pocałunek jest przyjemnością. Czy to wystarczy, pani profesor?

- Tak. - Starła się spowolnić bicie serca. Chciała uchodzić za chłodnego naukowca. - Czyli zamierzasz mnie pocałować?

- Taki mam zamiar.

Najpierw zacisnął lekko zęby na jej brodzie, a dopiero po chwili musnął wargami jej usta. Raz, drugi, potem przywarł nieco mocniej,

badając ich kształt i miękkość. Ku swej radości przekonał się, że są cudownie pełne, cudownie gorące i wilgotne.

Rozkoszował się nimi, a jednocześnie miał wrażenie, że doskonale zna ich smak. Nie wiedział, jak to możliwe. Wczoraj spotkali się po raz pierwszy w życiu, lecz gotów był przysiąc, że już kiedyś całował Rebekę.

Serce waliło mu jak szalone, w głowie mu się kręciło. Minęło kilka minut, zanim uświadomił sobie, że Rebeca nie wykonała żadnego ruchu. Nie objęła go, nie westchnęła, nie wydała ani jednego dźwięku. Nie odwzajemniła pocałunków. Po prostu stała, jakby wrosła w ziemię.

Opuścił ręce. Cofnął się i utkwiał spojrzenie w jej twarzy.

- Tak, to było całkiem miłe - rzekła nieco protekcyjnym tonem. - Ciekawe, czy potrafisz lepiej?

Oczy mu pociemniały. Umiał pogodzić się z odtrąceniem. Kobieta ma prawo nie chcieć lub nie akceptować umizgów mężczyzny. Ale nie tolerował sarkazmu i drwin. A Rebeca wyraźnie sobie z niego drwiła.

Korciło go, by porwać ją w ramiona i rozładować przynajmniej drobną część podniecenia, jakie w nim mimo woli wzbudziła. Na szczęście zdołał się opanować.

- Jeśli chodzi o eksperymenty, ten niewątpliwie należy do nieudanych. Przepraszam, muszę wrócić do pracy. - Wskazał na telefon. - Jak skończysz oglądać kuchnię, możesz zadzwonić stąd do Cassie.

- Dobrze. Do zobaczenia wieczorem na kolacji u Regan.

Przystanąwszy w progu, obejrzał się za siebie. Rebeca wciąż stała oparta o parapet.

- Masz tupet...

- Podobno. Dzięki za herbatkę, farmerze. I za eksperyment.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Rebeca wypuściła z płuc powietrze. Nogi jej drżały. Miała ochotę usiąść, ale bała się, że upadnie, zanim pokona ten metr dzielący ją od krzesła.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że można tak całować.

Przycisnęła rękę do serca i niczym nurek, który wynurza się na powierzchnię wody, wzięła kilka głębokich oddechów. Porównanie z nurkiem było całkiem adekwatne. Czuła się bowiem tak, jakby przez moment tkwiła w ciemnej, pozbawionej powietrza przestrzeni, z której cudem udało jej się wydostać, nim straciła przytomność.

Co jak co, ale Shane MacKade stanowi zagrożenie dla rodzaju żeńskiego. Żadna kobieta nie może się czuć bezpieczna w jego obecności.

Drżącą ręką podniosła szklanekę z mrożoną herbatą i patrząc na brzęczące kostki lodu, zbliżyła ją do nabrzmiąłych od pocałunku ust.

Nie uległa Shane'owi. Zapanowała nad emocjami, bo kiedy on ją całował, ona powtarzała w myślach monolog Henryka V wygłoszony w dniu świętego Kryspina. Diabli wiedzą, skąd jej ten pomysł przyszedł do głowy. Przy słowach: „Nas, małej, ale szczęśliwej garstki braci” zaczęła tracić koncentrację, ale akurat wtedy Shane przerwał pocałunek.

Gdyby to trwało dziesięć sekund dłużej, wypowiedź Henryka przemieniłaby się w nieskładny bełkot.

- Uf! - Opróżniła szklanekę do dna. Zimna herbata ostudziła jej gardło i rozgrzaną krew.

Nigdy dotąd nie zaznała takiej namiętności. Shane pewnie padłby ze śmiechu, gdyby wiedział, jakie wrażenie wywarł na niej ten pocałunek. Na

niej, doktor Rebecce Knight, osobie obdarzonej genialnym umysłem, wiecznej dziewicy.

Pogratulowała sobie w duchu, że mimo burzy, jaka szalała w jej sercu, zdołała zachować spokój, a raczej pozory spokoju. Gdyby Shane odkrył prawdę, przypuszczalnie by to wykorzystał.

A wówczas... wówczas niczego by nie osiągnęła w sprawach zawodowych, za to wyjechałaby ze złamanym sercem.

Była pewna, że bardziej doświadczone kobiety również ulegały czarowi Shane'a. I że kończyło się to ognistą eksplozją. Nie, zdecydowanie bezpieczniej trzymać go na dystans.

Wzdychając, wstawiła pustą szklankę do zlewu. Przyjechała do Antietam w konkretnym celu: zbadać pewne zjawiska, napisać artykuł, dodać kolejną publikację do swego dorobku.

Shane nie mieścił się w jej planach.

Ale jego dom... Wzięła głęboki oddech, próbując ukoić rozdygotane nerwy. Czuła, że coś tu znajdzie. Oczywiście nie teraz, nie dziś, kiedy jest podniecona, zdekoncentrowana, niezdolna do logicznego myślenia.

Wróci tu jeszcze. Na dłużej, może na tydzień. Do tego jednak potrzebna będzie jej zgoda Shane'a. A zatem musi go oczarować, a jednocześnie mu nie ulec.

Wieczorem u Regan przystąpi do dzieła.

Roilo się od dzieci; były wszędzie: niemowlęta, raczkujące szkraby, biegające kilkulatki. Jedne gruchały lub kwiliły cichutko, inne klóciły się, jeszcze inne ganiały z kąta w kąt. Na dywanie w salonie leżał stos kolorowych klocków, którymi synek Regan bawił się ze swoją kuzynką Laylą.

Rebeca zdażyła się już zorientować w rodzinnych zawiłościach. Layla była dzieckiem Jareda i Savannah, podobnie jak szczupły, ciemnowłosy chłopiec o imieniu Bryan. Jared, najstarszy z braci MacKade'ów, był prawnikiem.

Jego żona była prawdziwą pięknoscią. Z ogromnym brzuchem - była w ostatnich tygodniach ciąży - z czarnymi włosami zaplecionymi w gruby warkocz i czarnymi oczami o błogim, lekko rozmarzonym spojrzeniu wyglądała jak bogini płodności.

Jasnowłosy, nieśmiały Connor, rówieśnik Bryana, był synem Cassie. Córka Cassie, Emma, urocza, mniej więcej siedmioletnia dziewczynka o złotych lokach, siedziała koło swojego ojczyma. Devin MacKade jedną ręką obejmował dziewczynkę, a drugą tulił do piersi swoje niedawno narodzone, śpiące maleństwo.

Może MacKade'owie byli twardzielami, ale Rebeca nigdy nie widziała mężczyzn tak troskliwych i rodzinnych.

- Jak ci się podoba Antietam? - spytał Rafe, podchodząc ostrożnie, żeby nie rozdeptać psów, dzieci i zabawek.

- Bardzo. - Rebeca uśmiechnęła się. - Kocham takie spokojne, urocze miasteczka z bogatą historią.

Dolawszy jej wina, Rafe uniósł brwi.

- Odkryłaś już jakieś duchy?

- Jeszcze nie. Ale nikt z tubylców nie wątpi w ich istnienie. - Patrzyła z rozbawieniem na Shane'a, który siadł koło Savannah i gładził ją po brzuchu. - Prawie nikt - uściśliła.

- Niektórzy pętają skrzydła swej wyobraźni. - Savannah przesunęła dłoń szwagra w lewo, żeby lepiej poczuł kopnięcia. - Są miejsca, w których wspomnienia nie dają o sobie zapomnieć.

- Wspomnienia... - szepnęła Rebeca. Nigdy tak o tym nie myślała. Savannah wzruszyła ramionami.

- Wojna, śmierć, cierpienie, smutek, to wszystko pozostawia głębokie ślady w zbiorowej psychice.

- Każdy z nas ma na koncie jakieś doświadczenie z duchami, z krążącą w powietrzu energią, czy jak to tam nazwać - wtrącił Jared.

- Mów za siebie. - Shane pociągnął łyk piwa. - Ja tam nie gadam z ludźmi, których nie widzę.

Jared wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Nasz braciszek do dziś nie może mi darować, że w dzieciństwie napędziłem mu stracha, kiedy nocowaliśmy w domu Barlowów.

Widząc błysk w oku Shane'a, Devin postanowił interweniować.

- Wszystkim napędziłeś stracha. Łańcuchy brzęczały, podłoga skrzypiała... A ty, Rebeko, czego konkretnie szukasz?

- Konkretnie? Nie wiem. Po prostu szukam.

- Ucieszyła się, kiedy Nate wdrapał się jej na kolana i zaczął bawić jej wisiorkiem.

- Kolacja za pięć minut. - W drzwiach salonu ukazała się zarumieniona od ciepła twarz Regan.

- Wołajcie dzieci. Rafe?

- Jason śpi. Udało mi się go ukołysać.

- Wezmę Laylę. - Shane uśmiechnął się do Savannah. - Postawienie cię na nogi zajmie Jaredowi co najmniej pięć minut.

- Kochanie! - Savannah popatrzyła na męża. - Po kolacji przyłóż swojemu bratu.

- Masz to jak w banku - obiecał Jared, pomagając żonie dźwignąć się z kanapy.

Hałaśliwą gromadą przeszli do dużej, jasnej jadalni. Wszyscy bez trudu zmieścili się przy ogromnym wiśniowym stole.

Regan przygotowała antipasti, chrupiące pieczywo oraz spaghetti z sosem marinara - ilości jak dla wojska. No i wojsko jadło ze smakiem, aż się uszy trzęsły.

Rebeca nie była przyzwyczajona do rodzinnych posiłków, kłótni, przekrzykiwania się, przekomarzania, wesołego rozgardiaszu. Czuła się trochę wyobcowana, jak obserwator, ale się tym nie przejmowała.

Posiłek u MacKade'ów postanowiła potraktować jak kolejne wzbogacające doświadczenie.

Z reguły wszyscy mówili jednocześnie, choć nie zawsze na ten sam temat. Nate z Laylą wysmarowali sosem zarówno swoje buzie, jak i ubrania. Pod stołem krążył pies, licząc na czyjeś dobre serce lub na to, że komuś coś spadnie na podłogę.

Tematy rozmów zmieniały się jak w kalejdoskopie: bejsbol, zbliżające się zniwa, ząbkowanie, najnowsze plotki o tym, co się dzieje w miasteczku, plus dziesiątki innych spraw.

Rebeca słuchała oszołomiona.

U niej w domu obiady odbywały się w spokojny, zorganizowany sposób. Na wstępie podawano temat i przez cały posiłek, który trwał równo godzinę, omawiano zagadnienie. Jak w szkole czy na studiach,

przemknęło jej przez myśl. Po godzinie rodzice pozwalali jej wstać od stołu i wrócić do swoich zajęć.

I kiedy tak przyglądała się hałaśliwym, roześmianym MacKade'om, ogarnął ją smutek. Zazdrościła im tej beztrudnej, swobodnej atmosfery.

- Jedz.

- Słucham? - Obróciła głowę i ujrzała widelec ze spaghetti.

Odruchowo otworzyła usta.

- Bardzo ładnie. - Shane nabrał kolejną porcję spaghetti i ponownie zbliżył do jej ust. - Jeszcze raz.

- Dziękuję, nie musisz mnie karmić. Potrafię sama jeść. - Speszona, wzięła widelec.

- Może potrafisz, ale nie jadłaś - wytknął jej. - Rozglądałaś się wkoło, jakbyś wylądowała na obcej planecie. - Sięgnąwszy po butelkę, dolał jej wina, zanim zdołała zaprotestować. Nigdy nie piła więcej niż dwa kieliszki w ciągu wieczoru. - Czy tak właśnie wyglądamy? Jak kosmici?

- Wyglądacie na bardzo zgraną paczkę - oznajmiła. - Jak to jest być członkiem tak zżytej, ekspansywnej rodziny?

- Nie mam pojęcia. Nie zastanawiałem się.

- Serio?

- Serio. - Ze wspólnej miski Shane dołożył sobie spaghetti.

- Ale jako najmłodszy z braci...

- Psychoanaliza trwa... ile? Pięćdziesiąt minut? No i pacjent chyba leży na kanapce?

- Psychoanaliza? Po prostu rozmawiamy. - Postanowiła jednak zmienić temat. - To kiedy bierzesz się za koszenie? - Wypiła łyk wina.

- Jutro - odparł, mrużąc oczy. - Jak chcesz, możesz przyjść i popatrzeć. A może nawet i pomóc. Zawsze się przyda dodatkowa para rąk, nawet tak chudych jak twoje.

- Niestety jutro nie mogę, będę zajęta. - Nawinęła spaghetti na widelec. - Właśnie dojechał mój sprzęt... Ale później, jak się zainstaluję u ciebie na farmie, to w wolnych chwilach bardzo chętnie pomogę. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć cię w twoim naturalnym środowisku.

- Tak?

Kładąc rękę na oparciu krzesła, niechcący musnął jej ramię. Podskoczyła. Jej reakcja niezmiernie go ucieszyła i podbudowała jego ego. Przysunął się bliżej.

- Jeśli nie możesz się doczekać, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ze mną dziś pojechała. Będziemy mogli...

- Shane, przestań flirtować z Rebeką. - Regan pogroziła mu palcem. - Peszysz ją.

- Wcale nie flirtowałem. Rozmawialiśmy. - Uśmiechnął się, demonstrując dołeczek w policzku. -Prawda, Rebeko?

- Poniekąd.

- Shane nie potrafi utrzymać rąk przy sobie. - Savannah odepchnęła prawie pełny talerz. Nie miała siły dokończyć posiłku. - Na szczęście inteligentne kobiety nie traktują serio jego zalotów.

- A Rebeca zdecydowanie się do nich zalicza - wtrącił Devin. - Swoją drogą aż przykro patrzeć, jak dziewczyny się do niego łąszą.

- Nawet nie wiesz, jak przykro. - Shane wyszczerzył usta w łobuzerskim uśmiechu. - Wyobraź sobie, że zeszłym tygodniu Louisa Tully przywiozła mi placek brzoskwiniowy. To demoralizujące.

Rafe prychnął pogardliwie.

- Biedaczki jeszcze nie odkryły, że droga do twojego serca wiedzie nie przez żołądek, lecz... Au! - jęknął, kiedy żona kopnęła go pod stołem. - Zamierzałem powiedzieć: przez umysł.

- W takim razie najmocniej cię przepraszam - rzuciła Regan.

- Shane ciągle kogoś całuje - oznajmił Bryan. Wsunął do ust ostatni kęs trzeciej dokładki i wytarł serwetką usta. Serwetką, a nie wierzchem dłoni, bo zobaczył ostrzegawcze spojrzenie mamy.

Rebeca, która coraz lepiej się bawiła, uśmiechnęła się do chłopca.

- Naprawdę? Ciągle kogoś całuje?

- No. U siebie na farmie, w parku, gdzie gramy w bejsbola, nawet w miasteczku. - Przewrócił oczami. - Con i ja uważamy, że to okropne.

Shane, wyznawca zasady „oko za oko, ząb za ząb”, obrócił się w stronę bratanka.

- Słyszałem, że Jenny Metz się w tobie zabujała. Bryan zarumienił się od czubka umazanej sosem brody po czubki włosów.

- Wcale nie! - zaprotestował.

Jared posłał pasierbowi współczujące spojrzenie i skierował rozmowę na inne tory.

Kątem oka Rebeca zauważyła, jak Shane pochyła się nad chłopcem i szepcze mu coś do ucha; po chwili na twarzy Bryana zakwitł uśmiech.

Posiłek dobiegał końca, kiedy z pokoju dziecięcego dobiegł płacz. Rebeca zaczęła sprzątać ze stołu, przekonując Regan, że lepiej sobie

poradzi ze stosem brudnych naczyń niż z opieką nad maluchami. Zresztą jest przyjaciółką, nie gościem. Ten ostatni argument przeważył szalę.

Zmywając talerze, słyszała głosy dochodzące z różnych części domu. Kobiece i męskie, ciche i głębokie. Kojące. Rafe opowiadał Nate'owi bajkę na dobranoc, a Regan kołysała niemowlę do snu, przemawiając do niego szeptem.

Ktoś, chyba Devin, spokojnie tłumaczył dzieciom, że powinny zebrać z podłogi porzucane zabawki. Jared wsunął głowę do kuchni, przepaszając Rebece, że jej nie pomaga, ale Savannah czuje się zmęczona, więc...

Rebeca odesłała go do żony.

Po jakimś czasie do kuchni zajrzał Shane.

- Pomogę ci.

- Nie trzeba - odparła. Stała przed zmywarką, zastanawiając się, jak najlepiej ułożyć w niej opłukane naczynia. - Świetnie sobie radzę.

- Wszyscy są zajęci dziećmi albo żonami. Tylko ty mi zostałeś. - Podwinął rękawy koszuli. - Zamierzasz tam coś wstawić czy będziesz dumać nad pustą zmywarką?

- Opracowuję system... - Po chwili, zadowolona z rozwiązania, zaczęła układać naczynia. - A ty co zamierzasz?

- Wyszorować patelnie.

Rebeca schyliła się i niechcący otarła się o udo Shane'a. Poderwała się jak oparzona.

- Ciasnawo tu, prawda? - Uśmiechnął się.

Bez słowa przeszła na drugą stronę zmywarki. Było mniej wygodnie, za to nie musiała obawiać się kontaktu fizycznego.

- Przyznaj się: uwodzenie to twoje powołanie czy hobby?
- Ani powołanie, ani hobby. Po prostu przyjemność.
- W takim małym miasteczku wypada żonglować kobietami?
- Żonglować? Nikim nie żongluję.

- No dobrze, inaczej sformułuję pytanie. Czy mieszkając w małym miasteczku, w którym każdy o każdym wszystko wie, nie czujesz się dziwnie, kiedy zaczynasz lub kończysz romans?

- Dziwnie? Nie. Wszystko zależy od stylu, w jakim to robisz. Znow mnie traktujesz jak obiekt badań?

Zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Mam już taki zwyczaj, że wszystko rozbieram na czynniki pierwsze. Ale wystarczy powiedzieć: „Odwal się, Rebeko”.

- Odwal się, Rebeko.

Ponieważ powiedział to bez złości, roześmiała się i wróciła do pracy.

- Masz cudowną rodzinę. Cieszę się, że was poznałam.

- Ja też was lubię.

Przyjrzała mu się z błyskiem w oku.

- Jesteś nie tylko podrywaczem, ale i fajnym bratem, fajnym wujkiem. Z przyjemnością obserwowałam wasze relacje. Mam wrażenie, że rozumiecie się z braćmi w pół słowa; jeden zaczyna zdanie, drugi kończy.

Odstawił patelnię na ociekacz.

- To robiłaś, kiedy siedziałaś taka zamyślona? Obserwowałaś MacKade'ów w ich naturalnym środowisku?

Uśmiech znikł z jej twarzy, spojrzenie sposepniało.

- Nie. Myślałam o czymś innym. - Chwyła wilgotną ściereczkę i zaczęła przemywać kuchenkę. - Chciałabym z tobą ustalić, kiedy mogę wprowadzić się na farmę. Wiem, że masz mnóstwo pracy, a poza pracą masz też życie osobiste. Ale przysięgam, nie będę ci przeszkadzać.

Oj, będziesz, będziesz, pomyślał. Pociągały go kobiety o wielkich smutnych oczach, w których kryła się tajemnica.

- Obiecałem Regan, że przyjmę cię pod swój dach. Możesz zacząć mi przeszkadzać, kiedy chcesz.

Zmierzyła go wzrokiem; miejsce smutku w jej oczach znów zajął wyraz lekkiej ironii.

- Większość czasu będziesz spędzał na polu, prawda? Przy snopowiązałce czy czymś takim?

Coraz bardziej go fascynowała. Sam nie wiedział dlaczego. Choć nie skończył szorować drugiej patelni, wytarł dłonie o ręcznik. Może tak działa na niego ta szczupła, długa szyja? Może bursztynowe oczy, z których jednocześnie biła pewność siebie i lęk? A może chodzi o jego własne urażone ego, z którym rano tak obcesowo się obeszła?

Tak czy inaczej postanowił poddać ją-jak również siebie - jeszcze jednej próbie.

Podszedł bliżej, bezszelestnie, i kierując się impulsem, delikatnie musnął wargami jej kark. Rebeca podskoczyła; zadrżała na całym ciele. Zdumiony, a zarazem usatysfakcjonowany jej reakcją, zacisnął ręce na jej ramionach i obrócił ją do siebie.

- To mi się bardziej podoba - szepnął, miażdżąc jej usta w pocałunku.

Nie miała czasu na myślenie, na sprzeciw, na obronę. Wszystko wirowało jej przed oczami, krew dudniła w skroniach, kolana się ugiwały. Nigdy w życiu nie czuła tylu emocji naraz. Całowały ją gorące, natarczywe wargi, twarde ręce gładziły ją po plecach, w nozdrza wdzierał się zapach cytryny, mydła i... tak, zapach mężczyzny.

Poddała się; umysł nawet nie próbował nic analizować, liczyły się tylko fizyczne doznania. Z jej gardła dobył się cichy pomruk. Nie mogła go powstrzymać. Nie mogła też powstrzymać dreszczy ani chęci wtopienia się w Shane'a.

Ogarnęła go dzika radość. To była zupełnie inna Rebeca niż ta, którą całował rano. Poranna Rebeca udawała chłodną i obojętną. Wieczorna płonęła. Drżała. Mruczała z rozkoszy. Poranna patrzyła na niego ironicznie. Wieczorna...

Zapomniał o całym świecie. Całował tę cudowną istotę, która reagowała na każdą jego pieszczotę. Ośmielony, wsunął ręce pod jej sweter. Gładził gorące, nagie ciało, a ona oddychała coraz szybciej. Jęknęła, kiedy odnalazł jej piersi. Jęknęła ponownie, kiedy zacisnął na nich palce.

Po chwili opuścił ręce i cofnąwszy się, utkwiał w niej wzrok. Policzki miała zarumienione, oczy zamknięte, usta rozchylone, nabrzmiące, oddech urywany.

Wyobraził ją sobie na podłodze. Leży, dysząc ciężko, a on... Z całej siły zacisnął ręce na blacie. Weź się w garść, człowieku!

Kiedy otworzyła oczy, spojrzenie miała zamglone i nieco wylękłe.

- No, no, no... - powiedział triumfalnie. - Tym razem osiągnęliśmy trochę inny rezultat. Prawda?

Nie była w stanie złapać tchu, a co dopiero mówić. W milczeniu pokręciła głową; jej ciałem wciąż wstrząsały dreszcze.

- Nie wygłosisz żadnych mądrych teorii? - spytał Shane, czując, jak z każdą sekundą narasta w nim gniew. - Może powinniśmy przeprowadzić jeszcze jeden eksperyment?

- Nie - wydusiła z siebie. - Nie - powtórzyła nieco bardziej stanowczym tonem, jakby od tego jednego słowa zależało jej życie. - Udowodniłeś swoją tezę.

Nie wiedział, jaką tezę. Może rano chciał coś udowodnić, ale nie teraz. To już nie miało najmniejszego znaczenia. Teraz po prostu jej pragnął, tak jak jeszcze nigdy żadnej kobiety. Pragnął do bólu.

- Chcę... Przepuść mnie - poprosiła.

- Ciekawe, jak zareagujesz, kiedy cię znów pocałuję. I z kim wyląduję w łóżku, z chłodną analityczką czy z namiętą kochanką?

Spuściła oczy. Od odpowiedzi uratował ją Rafe, który pchnął drzwi do kuchni i przystanąwszy w progu, rzucił bratu gniewne spojrzenie.

- Na miłość boską, Shane.

- Wynoś się stąd.

- To mój dom.

- W takim razie my się wyniesiemy.

Shane chwycił Rebekeę za łokieć i pociągnął za sobą. Po chwili, zreflektowawszy się, co się dzieje, wyszarpnęła rękę.

- Nic z tego! - Minęła obu mężczyzn i wyszła z kuchni.

- Cholera jasna, co cię napadło? - zawołał Rafe. - Przypierałeś ją do kuchenki. Biedaczka była biała jak kreda. Od kiedy to czerpiesz podniechę ze straszenia kobiet?

- Nie wystraszyłem jej - warknął Shane.

Nagle uświadomił sobie, że to nieprawda: wystraszył i w dodatku wcale się tym nie przejął. Przeciwnie, ucieszył się, że potrafi doprowadzić ją do drżenia. Zrobiło mu się wstyd.

- Nie chciałem jej wystraszyć. Sytuacja trochę wymknęła się spod kontroli. - Nerwowym ruchem przeczesał włosy.

- Może powinieneś trzymać się od niej z daleka, skoro nie umiesz nad sobą panować.

- Może powinienem.

Rafe ściągnął brwi. Spodziewał się, że brat będzie się kłócił i pieklił; nie sądził, że przyzna mu rację. Zmrużywszy oczy, zobaczył, że Shane jest równie blady jak Rebeca.

- Hej, nic ci nie jest? - spytał.

- Sam nie wiem. - Shane potrząsnął głową. - To niesamowita babka - mruknął. - Naprawdę niesamowita.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zawsze wszystko robiła niezwykle starannie, więc ustawienie czujników, kamer, przyrządów rejestrujących, komputerów i monitorów zajęło jej ładnych kilka godzin. Na dwa-trzy dni miała do dyspozycji jeden z największych apartamentów w pensjonacie MacKade[^]. Była wdzięczna Cassie, że go udostępniła, żałowała tylko, że nie może rozstawić sprzętu również w innych pokojach.

Cóż, goście nie byliby zachwyceni, gdyby nad ich łóżkiem zawisła kamera.

Rozejrzała się po pokoju, który dawniej należał do Charlesa Barlowa. Wyobraziła sobie, jak Barlow stoi w oknie i spogląda na trawniki i kwiaty, na biegnącą u stóp wzgórza drogę, na widoczne w oddali dachy miasteczka.

Wszystko, co wyczytała na jego temat, świadczyło, że był człowiekiem nieprzyjemnym, zarozumiałym, pogardliwie traktującym ludzi mniej majątnych lub gorzej urodzonych od siebie.

Wiele by dała, żeby poczuć jego obecność, jego butę i władzę, nawet jego okrucieństwo. Ale nie czuła nic. Otaczały ją piękne stylowe meble i rozstawiona aparatura.

Było to frustrujące. Każdy z MacKade'ów przeżył coś w tym domu, coś widział, słyszał lub czuł. Dlaczego ją to omija?

Miała nadzieję, że nowoczesna technika ją wspomůže. Kupiła najlepszy sprzęt do tego typu operacji. Cena nie grała roli. Jedne kobiety przeznaczają pieniądze na buty lub biżuterię, ona wolała elektronikę.

No dobrze, może ostatnio kupowała więcej butów i świecidełek niż kiedyś, ale nigdy nie narzekała na brak pieniędzy. W końcu wolno mi mieć hobby, pomyślała. Mieć hobby, wieść ciekawe życie, zmienić się z szarej myszki w atrakcyjną kobietę.

Kiedy koledzy z uczelni usłyszeli o jej planach, wielu uznało, że postradała zmysły. Rodzicom wołała się nie zwierzać.

Chciała zgłębiać nowe zjawiska. To ją frapowało. Wzdrygała się na samą myśl, że znów miałyby być nudną jak flaki z olejem, przewidywalną doktor Knight.

Wczorajszego wieczoru odkryła coś ważnego: że nie we wszystkich aspektach swojego nowego życia potrafi sobie radzić. Pozowała na osobę silną, chłodną, zarozumiałą, ale Shane przejrzał ją na wylot; jednym krótkim pocałunkiem zburzył jej pewność siebie. Chryste, przecież w sprawach męsko-damskich nie miała żadnego doświadczenia! Co jej strześliło do głowy, żeby udawać kogoś, kim nie jest?

Wystarczyło, że na mgnienie straciła czujność, a Shane sprytnie wykorzystał okazję. Przestała być silna, chłodna, zarozumiała, zaczęła drżeć z podniecenia.

Najpierw się przestraszyła, potem ogarnęła ją wściekłość. Jakim prawem doprowadził ją do takiego stanu? Ale tylko przez chwilę winiła Shane'a. Przecież włożyła maskę zalotnicy, próbowała flirtować. Czy mogła mieć mu za złe, że uwierzył w to, co zobaczył, i odpowiednio zareagował?

W przyszłości powinna bardziej uważać. I ponownie rozważyć pomysł zamieszkania na farmie. Shane był zbyt męski, zbyt przystojny.

Zbyt niebezpieczny, zwłaszcza dla kobiety, która dopiero zaczynała poznawać własną seksualność.

Będzie bardzo ostrożna. Postara się zapomnieć o pragnieniach, jakie w niej obudził; zapomnieć o ustach zaciskających się na jej wargach, rękach błądzących po jej ciele; zapomnieć o tym, jak to jest być dotykana przez mężczyznę. Przez tego konkretnego mężczyznę.

Westchnęła głęboko i zamknęła oczy.

Nie będzie o tym myślała. Zajmie się pracą. Może usiądzie do artykułu o Antietam albo zacznie układać plan książki, którą zamierzała napisać. I jeżeli jej szczęście dopisze, może spotka ze dwa lub trzy duchy.

Podeszła do stolika i włączyła komputer.

„Zamieszkałam w pensjonacie MacKade'a, a dokładnie w tej jego części, którą w okresie wojny secesyjnej zajmował Charles Barlow. Nie jestem jedynym gościem; większość pokoi jest wynajęta. Ciekawe, czy tej nocy ktoś coś słyszał albo widział. Podobno często można usłyszeć trzaśnięcie drzwi, szloch, a nawet huk wystrzału. Zwykle te dźwięki rozlegają się w nocy, ale czasem również w ciągu dnia. Niekiedy w powietrzu unosi się zapach róż. To zjawisko powtarza się najczęściej. Nie powinno to dziwić, w końcu zmysł węchu jest najsilniejszy.

Regan i Rafe przywykli do swoich duchów. Zdaje się, że Savannah też wyczuwa obecność niewidzialnych istot zarówno tu, w pensjonacie, jak i w pobliskim lesie. Wspomniała mi, że regularnie spacerują z Jaredem ścieżką, na której kiedyś walczyli dwaj młodzi kaprale.

To fascynujące, jak ludzie się odnajdują i dobierają w pary.

Cassie i Devin MacKade to kolejny przykład. Znali się od dziecka; całe życie mieszkali w Antietam. Cassie wyszła za Joego Dolina, urodziła

mu dwoje dzieci. Dolin zgotował jej piekło. Po rozwodzie Cassie zakochała się w Devinie; sprawiają wrażenie bardzo szczęśliwych.

Opowiedzieli mi sporo anegdot związanych z pensjonatem i zamieszkujących go duchach. Opiszę je szczegółowo w mojej pracy.

Jedyną osobą, która nic nie wie na temat duchów - lub nie chce o nich dyskutować - jest Shane MacKade. Zwykle polegam na sprawdzonych informacjach, nie na intuicji, ale ta wyraźnie mi podpowiada, że Shane coś ukrywa. Dziwne, bo wydaje się ekstrawertykiem, który mówi i robi wszystko, na co ma ochotę.

Bardziej otwartego, wylewnego człowieka od Shane^ chyba nie spotkałam. Ciągłe kogoś dotyka, ściska, poklepuje. Podobnie jak jego bracia, uwielbia towarzystwo kobiet. Uwielbia też pracę na farmie. Jest pragmatykiem i realistą, może dlatego z niechęcią traktuje zjawiska paranormalne.

Lubię go; przyznaję się bez bicia. Podoba mi się jego poczucie humoru, przywiązanie do rodziny, nieskrywana miłość do ziemi. Z pozoru jest prostym farmerem, wyczuwam jednak, że ma niezwykle złożony, skomplikowany charakter.

Byłby bardzo interesującym obiektem badawczym. Ale... "

- Ona tu nie przychodzi.

Z palcami nad klawiaturą Rebeca podniosła głowę. Na progu dostrzegła Emmę.

- Cześć, słoneczko. Już wróciłaś ze szkoły?

- Tak. Mamusia zaprasza cię na kawę i ciasto. Jeśli chcesz. -

Dziewczynka, która w pensjonacie czuła się jak ryba w wodzie, weszła do

pokoju i z zaciekawieniem popatrzyła na rozstawiony sprzęt. - Ale masz dużo rzeczy.

- Wiem. Można powiedzieć, że to takie moje zabawki. Kto tu nie przychodzi, Emmo?

- Ta pani, która tu kiedyś mieszkała. Ona często pochlipuje, tak jak dawniej moja mamusia. Nie słyszałaś jej płaczu?

- Nie. Kiedy?

- Przed chwilą. - Dziewczynka uśmiechnęła się. - Płakała, kiedy pisałaś. Ale do tego pokoju ona nigdy nie wchodzi.

Rebecce przebiegł po plecach dreszcz.

- Przed chwilą słyszałaś płacz?

- Ona często pochlipuje - powtórzyła dziewczynka. Podeszła do komputera i zerknęła na ekran. - Czasem zaglądam do jej pokoju i wtedy przestaje płakać. Mamusia mówi, że pani Abigail lubi towarzystwo.

- Aha. Powiedz, kochanie: co czujesz, słysząc jej płacz?

- Dawniej robiło mi się smutno. Ale teraz wiem, że czasem płacz pomaga.

Rebeca uśmiechnęła się.

- To prawda.

- Zamierzasz sfotografować panią Abigail?

- Chciałabym. Widziałaś ją?

- Nie. Ale chyba jest ładna, bo ładnie pachnie - oznajmiła dziewczynka. - Ty też ładnie pachniesz.

- Dziękuję. Lubisz mieszkać w tym domu, Emmo?

- No pewnie. Ale niedługo zbudujemy własny, niedaleko farmy, bo teraz jesteśmy dużą rodziną. Mamusia będzie dalej prowadziła pensjonat,

więc będę mogła przychodzić tu, kiedy zechcę. - Dziewczynka zerknęła na ekran. - Piszesz opowiadanie?

- Dziennik. Takie luźne notatki o rzeczach, które chcę zapamiętać.

Ale o Antietam napiszę kiedyś opowiadanie.

- Ja też tam będę?

- Jasne. - Rebeca pogłaskała Emmę po złocistych lokach.

- Ale jako Emma MacKade, dobrze? Sędzia powiedział, że już nie muszę być Emmą Dolin, mogę być Emmą MacKade.

- Dobrze, w moim opowiadaniu będziesz się nazywała Emma MacKade - obiecała Rebeca i wyłączyła komputer. - A teraz chodźmy na ciasto.

Nie wybierała się na farmę, chciała tylko pospacerować po lesie. Rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem, oderwać się od pracy. Ale zanim się spostrzegła, drzewa zostały daleko w tyle, a ona wędrowała przez pole. Na widok domu uśmiechnęła się szeroko. Było późne popołudnie. Miała nadzieję, że Shane jest w miasteczku albo na randce. Praca na farmie zaczynała się o świcie; o tej porze już nikt nie harował.

Widziała, że siano jest skoszone, lecz w zasięgu wzroku nie stał żaden traktor czy kosiarka. Szkoda. Chętnie by popatrzyła, jak Shane MaKade jeździ po polu na wielkiej, warczącej maszynie.

Ale tak naprawdę to marzyła o chwili spokoju i samotności. Chciała odpocząć i nabrać sił, zanim wróci do pensjonatu i ponownie zabierze się do pracy.

Dlatego skręciła w bok i zaczęła oddalać się od domu.

Podobały się jej tutejsze zapachy; były dziwnie znajome. Może w dzieciństwie spędzała wakacje na wsi? Nie pamiętała. Lub w poprzednim życiu? Reinkarnacja... Zamierzała kiedyś zbadać ten fascynujący temat.

Ponieważ знаła opowieść o dwóch kapralach, skierowała się w stronę pomieszczeń gospodarczych. Nie była pewna, jak wygląda wędzarnia, przy której przodek Shane'a znalazł rannego żołnierza, ale Regan mówiła jej, że kamienny budynek nadal stoi.

Dookoła rosły kwiaty: niebieskie chabry, żółte jaskry i podbiał, biały rumianek, goździki. Zapomniała o wędzarni i z zachwytem zaczęła je zrywać. Dalej ciągnęła się zielona łąka, również upstrzona kolorowymi punkcikami, nad którymi krążyły motyle o barwnych skrzydłach.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek biegała po łące. Chyba nie. Przez semestr studiowała botanikę, ale zajęcia polegały głównie na wkuwaniu łacińskich nazw, nie na podziwianiu roślin.

Teraz sobie na nie popatrzy, powącha je. Beztroskim krokiem ruszyła na łąkę. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca kwiaty kołysały się - nie, tańczyły na wietrze.

Kiedy tak wędrowała po wysokiej trawie, nagle serce zabiło jej mocniej. Ogarnął ją dziwny smutek, poczucie bezbrzeżnej samotności. Zachwiała się i z całej siły ścisnęła w dłoni zerwane przed chwilą goździki.

Smutek przepelniał ją na wskroś. Przystanęła; przez moment słuchała śpiewu ptaków, spoglądała na trzepoczące motyle. Słońce wciąż mocno grzało, ale w środku czuła przenikliwy chłód.

Co innego mogliśmy zrobić? - spytała samą siebie, dygocząc z zimna. Jak inaczej mogliśmy postąpić?

Rozprostowała palce, kwiaty upadły na ziemię. Łzy piekły ją pod powiekami. Ostrożnie, niczym żołnierz na polu minowym, zaczęła się cofać.

O co chodzi, skąd te pytania? - zastanawiała się nerwowo. Obróciwszy się, wzięła kilka głębokich oddechów i pośpiesznie opuściła łąkę.

Smutek znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dziwne, pomyślała. Czyżby tylko go sobie wymyśliła? A może tam, na łące, próbowała być kimś, kim nie jest?

Najlepiej czuła się w salach wykładowych i bibliotekach, pośród cyfr, faktów i teorii, a nie kwiatków i motyli. Taka się urodziła, tak ją wychowano. Była genialnym dzieckiem genialnych rodziców, którzy tak logicznie i dobitnie jej wszystko tłumaczyli, że nigdy się nie buntowała, nigdy nie kwestionowała ich opinii. W żadnej sprawie.

Bała się życia pozbawionego sztywnych ram i rygorów. Może dlatego korciło ją, żeby jak najszybciej wrócić do pensjonatu i zabrać się do pracy. Wprawdzie parapsychologii nie można zaliczyć do nauki sensu stricte, ale...

Nie, do jasnej cholery! Wsunąwszy ręce do kieszeni, ruszyła w drugą stronę. Najpierw pójdzie na spacer. Może znów nazrywa kwiatów. A następnym razem może zdejmie buty i pobiega bosą po łące.

Rozmawiała tak sama z sobą, kiedy nagle zobaczyła stado krów; stłoczone na niedużym ogrodzonym terenie przylegającym do dojrni, jadły siano czy lucernę. Co one tu robią? - przemknęło jej przez myśl. Czy nie powinny być na pastwisku?

Wyglądały niegroźnie, ale na wszelki wypadek wołała nie podchodzić za blisko. Nie zwracały na nią uwagi, więc postąpiła kilka kroków w ich stronę.

I wtedy z dojrni doleciał ją śpiew.

Zaintrygowana, zajrzała do środka. Nie wiedziała, co zastanie wewnątrz, ale widok ją zaskoczył. Nowoczesny sprzęt, duże lśniące rury, wielkie kadzie, rytmiczny szum maszyn. Z tuzin krów stało przy bramkach, każda podłączona do urządzenia, które pompowało z nich mleko.

Pomiędzy zwierzętami krążył Shane w seksownym podkoszulku i czapce z daszkiem, spod której wystawały kosmyki długich, gęstych włosów. Krążył i sprawdzał, czy krowy mają paszę, śpiewał, czasem pogwizdywał.

- No dobra, maleńka, koniec.

Rebeca zbliżyła się na palcach.

- Jak to działa?

Przeklinając siarczyście, wpadł na krowę, która zamuczała gniewnie. Spojrzał na Rebece niechętnym wzrokiem.

- Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć. - Uśmiechnęła się niepewnie. Najchętniej rzuciłaby się do ucieczki. - Wyszłam na spacer, zobaczyłam krowy i byłam ciekawa, co się tu dzieje.

- To, co zawsze się dzieje rano i wieczorem - odparł Shane, usiłując wziąć się w garść. Zamierzał przez kilka dni unikać Rebeki, a tu nic z tego. Bo oto stała przed nim, śliczna, lekko zmieszana, tymi swoimi wielkimi oczami rozglądając się wkoło.

- Z tym wszystkim radzisz sobie sam? Tych krów jest tyle.

- Czasem mam pomocników. Zresztą dojenie jest automatyczne.

- Mleko... płynię tymi rurkami, tak?

- Tak - przyznał z westchnieniem. Nie miał ochoty wygłaszać wykładu na temat dojenia. Wolałby porwać Rebeke w ramiona. - Rurkami do zbiorników, w których utrzymywana jest odpowiednia temperatura. No dobra, muszę zaprowadzić te panienki do poczekalni.

- Poczekalni? Uśmiechnął się.

- Czekają tam przed dojeniem i po.

Rebeca odsunęła się na bok, robiąc przejście. Zastanawiała się, jak mu się nie mylą te wydojone i te czekające na dojenie, po czym je rozpoznaje. Kiedy wprowadził do pomieszczenia kolejne, miała odpowiedź - po pełnych wymionach.

Obserwowała jego sprawne ruchy. Ustawił zwierzęta w bramkach, pociągnął dźwignię zwalniającą paszę.

- Czyli jednocześnie odbywa się karmienie i dojenie...

- Zgadza się - odparł, nie przerywając zajęć. Podłączył nową grupę do urządzenia. - Wszystko odbywa się automatycznie. To duża oszczędność czasu. Gdybym miał siedzieć na stołeczku i ręcznie ściągać mleko do wiaderka...

- Takie dojenie jest na pewno bardziej higieniczne. Zauważyłam, że najpierw odkażasz ich... ich...

- Wymiona, kotku. Wymiona. - Pokiwał głową. - Żeby mieć mleko najwyższej klasy, trzeba przestrzegać higieny.

- A w jaki sposób mleko się klasyfikuje? Czy... - urwała. - Przepraszam. Zadaję zbyt wiele pytań.

- Owszem. - Shane podszedł kilka kroków w jej stronę. - Co tu robisz, Rebeko?

- Mówiłam ci, wyszłam się przejść.

- I postanowiłaś odwiedzić krowy?

- Wyszłam bez planu.

- Sprawiasz wrażenie osoby, która zawsze wie, co zamierza.

- Masz rację - przyznała. Oszukiwała samą siebie, udając, że wędruje lasem bez celu. - Nie lubię sytuacji niejasnych. Skoro będziemy się spotykać, to w przyszłości wolałabym unikać napięć i nieporozumień.

- Rozumiem. Byłem zbyt nachalny, zbyt natarczywy. Nie zachowałem się jak dżentelmen. Oczekujesz przeprosin?

- Skądże!

Uśmiechnął się. Spodobał mu się jej oburzony ton.

- Chcesz podjąć kolejną próbę? Mam ochotę znów cię pocałować.

- Podejrzewam, że zawsze masz ochotę kogoś pocałować, niekoniecznie mnie.

Wyszczrzył zęby w beczelnym uśmiechu.

- Wiesz co? Dam ci znać, kiedy ja będę miała ochotę. - Żeby nie ulec pokusie, odeszła parę kroków. - Między nami jest...

- Chemia? Pociąg fizyczny?

- Napięcie - warknęła. - Dlatego nie zainstaluję się na farmie.

Chciałabym rozstawić tu sprzęt, porobić notatki, ale... Ale wolę to sobie odpuścić, niż opędzać się od nieproszonych zalotów.

- Nieproszonych zalotów? - Zamiast się oburzyć, Shane wybuchnął głośnym śmiechem. - Uwielbiam, jak zadzieraszą nosa. Powiedz coś jeszcze.

- Przywykłeś do kobiet czołgających się u twych stóp - rzekła chłodno. - Lub przynoszących ci placki z brzoskwiniami. Chcę się upewnić, czy rozumiesz znaczenie słowa „nie”.

Śmiech zamarł mu na wargach.

- Wczoraj powiedziałaś „nie”. No i?

- Chodzi mi o to...

- Mogłem cię mieć tam, u mojego brata w kuchni.

- Przeceniasz swój urok, farmerze - oznajmiła, z trudem zachowując spokój.

- Uważaj, Becky - ostrzegł ją. - Twierdzisz, że nie lubisz nieodmówień? W porządku. Ja też. Więc bądźmy z sobą szczerzy. Wczoraj pragnęłaś mnie równie mocno, jak ja ciebie. Myślę, że żadne z nas się tego nie spodziewało.

Otworzyła usta, zamierzając zaprotestować, ale nie zdołała.

- Dobrze. Nie przeczę. Przez moment byłam tobą zainteresowana.

- Kochana, to było coś więcej niż zwykłe zainteresowanie.

- Chyba wiem, co czułam. W każdym razie jeśli myślisz, że będę twoim kolejnym podbojem, to się mylisz.

- W porządku. - Wzruszywszy ramionami, podszedł skontrolować dojenie. - Nie mam problemów ze zrozumieniem słowa „nie”. Wystarczy je głośno wypowiedzieć.

Odetchnęła głęboko.

- Wobec tego może...

- Ale miej się na baczności. - Popatrzył na nią tak, że ponownie przeszył ją dreszcz. - Bo uwielbiam wyzwania. Chcesz zamieszkać na

farmie i zapolować na duchy? Proszę bardzo. Ale pamiętaj, że cię ostrzegłem.

- Nie boję się ciebie. Uśmiechnął się niespiesznie.

- Nie kłam. Stoisz i nerwowo się zastanawiasz, jaką podjąć decyzję.

- Zastanawiam się, jakim cudem chodzisz wyprostowany, nie uginając się pod ciężarem swojego ego.

- Kwestia wprawy. Tak jak tobie głowa się nie chwieje pod ciężarem tych wszystkich mądrych myśli. - Na moment zamilkł. - Muszę odłączyć krowy i wyprowadzić je. Może pójdziesz do domu i zaparzysz nam kawy? Usiądziemy w kuchni i dokończymy rozmowę.

- Rozmowę dokończyliśmy. - Skierowała się ku drzwiom. - A kawy nie parzę.

Odprowadził ją wzrokiem. Jak na tak szczupłą osobę całkiem ponętnie kręciła biodrami.

- Nie pocałujesz mnie na do widzenia? Obejrzała się przez ramię.

- Krówkę pocałuj, farmerze.

Nie zdołał oprzeć się pokusie. W dwóch susach pokonał dzielącą ich odległość, pochwycił Rebeke w ramiona i zaczął wirować z nią w przejściu.

- Nawet nie wiesz, jak mi się podobasz!

Serce waliło jej młotem, z trudem oddychała. Ale w jego twardych, umięśnionych ramionach czuła się jak w raj.

- Powiedziałeś, że rozumiesz sens słowa „nie”.

- A czy ja cię całuję? - spytał z niewinną miną.

- Oczywiście mogę, jeśli sobie życzysz... - Uśmiechnął się szeroko. - Słowo honoru, ważysz mniej niż worek zboża.

- Cóż za romantyczne porównanie. Puść mnie, Shane.

- Naprawdę powinnaś więcej jeść. Może zostaniesz na kolację?

Chętnie coś przyrządzę.

- Nie - odparła. - Nie, nie, nie.

- Wystarczy jedno „nie”. - Przechylił głowę. Widział, jak tętnica na szyi Rebeki gwałtownie pulsuje.

- Dlaczego drżysz?

- Bo jestem zła.

- Nieprawda. - Przyjrzał się jej zaintrygowany, po czym spytał łagodnie: - Czy ktoś cię skrzywdził?

- Oczywiście, że nie. Prosiłam, żebyś mnie puścił.

- Za chwilę. Gdybym zrobił to, na co mam ochotę, a nie to, co nakazuje rozum, złamałbym dane ci przyrzeczenie. A tego nie chcę. - Postawił ją na ziemi, ale wciąż trzymał ręce na jej ramionach. - Między nami jest chemia.

- Mów za siebie.

- Dobrze. - Pogładził ją po włosach, pociągnął lekko za krótki kosmyk. - A więc wydaje mi się, że między nami iskrzy. Pragnę cię, Rebeko. Nie jestem psychiatrą ani wielkim myślicielem. Nie muszę analizować własnych słów ani doszukiwać się w nich ukrytych znaczeń czy podtekstów. Tak czuję i już.

Wbił w nią zielone oczy. Rozmarzone.

- Chcę iść z tobą do łóżka, chcę się z tobą kochać. Ilekroć cię widzę, chcę coraz bardziej. Ale decyzja należy do ciebie.

- Świetnie. - Nie mogła się skupić, kiedy jego dłonie przesuwały się po jej ramionach. - Sprawa byłaby prosta, gdyby tylko o to chodziło. Przyjechałam tu jednak w konkretnym celu...

- O wiele mniej przyjemnym niż to, co proponuję. Rzeczywiście o wiele mniej, przyznała mu w duchu rację. Uśmiechnęła się lekko. Przez moment kusila ją jego propozycja.

Ponownie zgarnął ją w objęcia.

- Moja śliczna - szepnął. - Pozwól, że ci pokażę... Kiedy rozległ się ostry dźwięk klaksonu, Shane miał ochotę wybiec na zewnątrz i zamordować intruza.

Rebeca zeszytniała i cofnęła się krok. Oboje popatrzyli na zakurzone auto, które podjechało pod dom. Z okna wychyliła się piękna brunetka o lekko nadaśanej minie.

- Shane, złotko, obiecałam ci, że postaram się wpaść. Shane skinął na powitanie ręką; mimo upału czuł, jak temperatura dookoła niego spada poniżej zera.

- To Daria - rzekł do Rebeki. - Moja znajoma.

- Jasne. - Rebeca posłała mu ironiczny uśmiech. - To ja już pójde, złotko. Nie chcę wam przeszkadzać. Na pewno ty i twoja... znajoma macie mnóstwo spraw do omówienia.

- Psiakrew, poczekaj...

Daria ponownie zawołała; w jej głosie pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia. Z przerażeniem patrzył, jak wysiada z samochodu. Gdyby chodziło o kogo innego, a nie Rebeke, nie denerwowałby się. Takie spotkanie mogłoby być całkiem zabawne.

- Posłuchaj...

- Nie mam czasu czekać ani słuchać - przerwała mu gniewnie. Chciała uciec, zanim zrobi z siebie idiotkę. W porównaniu z piękną kobietą w szpilkach czuła się jak kocmołuch. - Muszę wracać do pracy. Tobie i Darli życzę miłego wieczoru.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę lasu.

Shane westchnął cicho. Ta, której pragnął, oddalała się. Zbliżała się ta, której nie pragnął, lecz która pragnęła jego.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mieszkając w pensjonacie, wstawała wcześniej rano i schodziła na śniadanie. Nie z powodu jedzenia, choć posiłki przygotowane przez Cassie były wyśmienite; zależało jej na rozmowach z gośćmi, wypyтaniu ich, czy w nocy nie słyszeli podejrzanych hałasów.

Starła się zachowywać naturalnie, nie odpytywać ludzi jak naukowiec zbierający dane. Dzisiejszego ranka miała okazję poznać parę młodych małżonków. Oboje czuli w nocy jakieś wibracje czy też dziwny ruch powietrza; gotowi byli przysiąc, że w ich pokoju ktoś był.

Wieczorem, kiedy w pensjonacie zapadła cisza, Rebeca zaczęła przeglądać notatki, które sporządziła po porannej rozmowie.

„Identyczne doznania; wersje się potwierdzają. Nagły chłód, silny zapach róż, płacz niewiasty. Zjawisko odbierane trzema zmysłami. Rozmówcy bardziej podnieceni niż wystraszeni. Relacje jasne, przejrzyste. Po spadku temperatury kobieta poczuła głęboki smutek, który minął, gdy znikł zapach róż”.

Ciekawe, pomyślała, przepisując notatki do komputera. Uzupełniła je o imiona i nazwiska małżonków, datę i godzinę. Sama spała krótko, lecz kamiennym snem. Rzadko sypiała więcej niż pięć godzin, ale tu spała jeszcze krócej, bo miała nadzieję, że uda jej się coś zaobserwować i nagrać.

Jednak przez całą noc w jej pokoju nic się nie działo.

Uporządkowawszy notatki, zamknęła dziennik i przeszła do powieści, którą zamierzała napisać. Roboczy tytuł brzmiał: „Antietam - miasto nawiedzone”.

Pokręciła z uśmiechem głową. Tytuł się jej podobał, choć pewnie wielu jej znakomitych kolegów będzie sarkało i wybrzydzało. A niech wybrzydzą, pomyślała. Do tej pory robiła tylko to, co wypada. Nigdy z niczym się nie wychylała. Czas najwyższy zaszaleć.

Napisanie książki zawierającej opisy i emocje, a nie tylko suche fakty, traktowała jak wyzwanie. Chciała urzeczywistnić swoją wizję i pomysły, przedstawić swoje impresje; pokazać urocze miasteczko leżące pośród wzgórz, otoczone żyznymi polami, z widokiem na majaczące w oddali wysokie góry.

Żeby spełnić swoje marzenie, musi spędzić trochę czasu na polu słynnej bitwy, poczuć jego atmosferę. Na razie skoncentruje się na starym, dziś pięknie odrestaurowanym domu Barlowów i jego ówczesnych mieszkańcach.

Przez dwie godziny w skupieniu zapisywała historię Barlowów: nieszczęśliwej Abigail i jej męża, dzieci, które za młodu straciły matkę. Dzięki Cassie miała jeszcze jedną ciekawą postać, którą mogła umieścić w książce: mężczyznę, którego kochała Abigail. Przypuszczalnie ów mężczyzna był znaczącą postacią w dziewiętnastowiecznym Antietam. Kimś dzierżącym władzę. Na przykład szeryfem. Czy możliwy był taki zbieg okoliczności? Zamierzała to gruntownie zbadać; może zdoła coś odkryć?

Była tak pogrążona w pracy, że dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że jeden z czujników szumi. Poderwała głowę i zerknęła na monitor.

Czyżby przeciąg? - zdumiała się, czując dotkliwy chłód. Podeszła do przyrządu mierzącego temperaturę; było to niezwykle precyzyjne urządzenie. Z niedowierzaniem zobaczyła gwałtownie malejące cyfry - z dwudziestu dwóch do zera - i własny parujący oddech.

Serce zadudniło jej w piersi. Stała bez ruchu. Nie czuła jednak nic poza zimnem. Nie słyszała płaczu. W pokoju nie unosił się zapach róż.

„Ona tu nie przychodzi” powiedziała Emma. Czyli to nie Abigail. A zatem Charles. Tyle się o nim naczytała, że sama myśl o nim przejęła ją gniewem i strachem.

Nie tracąc czasu, sprawdziła aparaturę nagrywającą i kamery. Cichy dźwięk świadczył, że urządzenie zarejestrowało jej obecność... a po chwili czyjaś jeszcze.

Raptem wszystko znikło. W pokoju znów zrobiło się ciepło.

Rebeca, podekscytowana, chwyciła magnetofon.

- Początek: druga zero osiem i piętnaście sekund. Gwałtowny dwudziestodwustopniowy spadek temperatury. Chwilowa, ledwo wyczuwalna zmiana energii, po niej natychmiastowe ocieplenie. Koniec: druga zero dziewięć i dwadzieścia sekund. Czas trwania: sześćdziesiąt pięć sekund.

Przez moment tkwiła bez ruchu, z magnetofonem w ręku, siłą woli próbując nakłonić Charlesa, aby znów się pojawił. Nie miała wątpliwości, że to był on. Po prostu czuła to. Serce wciąż jej łomotało. Ciekawe, przemknęło jej przez myśl, co by pokazał ciśnieniomierz.

- Wracaj, nędzny tchórze! Ty łobuzie! No, pokaż mi się!

Słyszając własny głos, zmusiła się, aby wziąć kilka głębokich oddechów. Uspokój się, powiedziała sama do siebie. Tracisz obiektywizm. A brak obiektywizmu zniekształca wynik badania.

Usiadła. Przez pół godziny uważnie obserwowwała sprzęt. Dokładnie opisała całe zdarzenie, w końcu zamknęła komputer.

Wyszła z pokoju; była zbyt podminowana, żeby zasnąć. Przez moment stała w holu, czekając w napięciu, jednak nic się nie wydarzyło. Panowała ciemność, cisza dzwoniła w uszach. Rebeca ruszyła schodami na dół. Zwolniła w połowie, usiłując wyobrazić sobie zastrzelonego żołnierza, zszokowaną Abigail, przerażoną służbę i bezdusznego Barlowa.

Widziała ich jedynie we własnej wyobraźni.

Krażyła po parterze, zaglądając do wszystkich pomieszczeń: do salonu, w którym czasem unosił się zapach dymu, choć w kominku nie palił się ogień; do biblioteki, którą Regan i Cassie omijały z daleka, bo czuły się w niej nieswojo; do oranżerii oświetlonej blaskiem księżyca, w której pośród bujnych roślin stały wygodne ogrodowe fotele.

Coraz bardziej zniechęcona skierowała się do kuchni. Pocieszała się, że przynajmniej przez kilkadziesiąt sekund czuła dziwny chłód. Lepsze to niż nic. Kiedy się prowadzi badania, ważna jest nie tylko dociekliwość i otwartość umysłu, ale przede wszystkim cierpliwość.

Podeszła do okna, za którym rozciągał się ogród. Za nim zaczynał się las, za lasem znajdowało się pole, a za polem dom, w którym Shane teraz smacznie spał.

Pokusa była tak silna, że aż ją to przeraziło. Pokusa, żeby przejść przez ten ogród, przez las i pole. I zakraść się do sypialni Shane'a. Idiotka,

skarciła się w duchu. Przypuszczalnie nie jest sam. Wyobraziła sobie Shane'a, jak trzyma w objęciach piękną brunetkę. Lub inną zmysłową kobietę.

Od tych myśli ścisnęło ją w dołku. Co ją tak ciągnie na farmę? Dom? Czy jego właściciel?

Powinna zdobyć się na odwagę i odpowiedzieć na to pytanie. Koniec z chowaniem głowy w piasek. Nie jest już dawną Rebeką, szarą myszką ukrywającą się za biurkiem i książkami. Przyjechała po nowe doświadczenia. Jeśli Shane chce jej ich dostarczyć, powinna skorzystać z okazji.

Gdy będzie gotowa. Do niczego nie da się zmusić.

Shane widział w niej kobietę silną, która potrafi bronić własnych racji. Bardzo dobrze.

Chciał iść z nią do łóżka.

Pani reakcja, doktor Knight?

Strach, podniecenie, ciekawość.

Strach? Przed czym? Przed seksem?

Seks to podstawowa funkcja biologiczna, doświadczenie znane każdemu człowiekowi. Dlaczego miałabym się go bać?

Bo dla ciebie seks to terra incognita, odpowiedziała sama sobie. Dlatego budzi w tobie strach, podniecenie, ciekawość.

Kiedy zapanuję nad sytuacją...

Czyli to kwestia kontroli? Boi się pani ją stracić, doktor Knight?

Nie boję się. Jednak wolałabym panować nad sytuacją-

Odetchnęła głęboko. Koniec pytań, postanowiła. Niestety pokusy nie potrafiła się tak łatwo pozbyć. Starając się o niczym nie myśleć, odwróciła się od okna i poszła na górę. Do łóżka.

Miała mnóstwo snów, wesołych, pogodnych, rozbrzmiewających śmiechem.

Z mężczyzną, który trzyma ją w ramionach, przetaczają się po miękkim materacu. Usta przywierają do ust, tłumiąc chichot. Palce mężczyzny zanurzają się w jej długie, splątane włosy.

Cicho, John, obudzisz maleństwo.

To ty hałasujesz.

Ręce wsuwają się pod koszulę, błądzą po skórze.

Za dużo masz na sobie, Sarah. Wolę cię nagą.

Drobna szamotanina, śmiech.

Jeszcze nie schudłam po ciąży.

Jesteś idealna. I maleństwo jest idealne. Boże, jak ja cię pragnę.

Kocham cię, Sarah. Pozwól się kochać.

Śmiech ucichł, lecz radość nie minęła. Materac unosił się i opadał pod ciężarem pary splecionej w miłosnym uścisku.

Cały dzień chodziła lekko oszołomiona. Z powodu snu, od którego nie potrafiła się uwolnić. Większość popołudnia spędziła w swoim pokoju, szukając w sieci informacji o ludziach mieszkających w Antietam na początku lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Drukarka wyrzucała z siebie spis nazwisk, daty narodzin i śmierci, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Cassie wsunęła głowę do pokoju.

- Nie szkodzi. Właśnie usiłuję odnaleźć kochanka Abigail. O ile naprawdę go miała.

- A jakim cudem... To znaczy, w jaki sposób...

- Metodą eliminacji. Sprawdzam wiek, stan cywilny. - Rebeca zdjęła z nosa okulary. - Mówiłaś, że facet nie miał żony.

- Jestem tego pewna.

- I nie był w wojsku. A przed opuszczeniem miasteczka złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska.

- To takie dziwne. Mówisz o nich tak, jakby żyli. Jakby nadal tu przebywali.

Rebeca uśmiechnęła się.

- A nie przebywają?

- No tak, na swój sposób nadal tu mieszkają.

- Cassie potrząsnęła głową. - Oj, bo się za bardzo wciągnę. Wpadłam ci powiedzieć, że jadę do szpitala.

- Do szpitala? - Rebeca poderwała się na nogi.

- Coś z dziećmi? Któreś zachorowało?

- Nie. Tylko Shane...

- Miał wypadek? - Krew odpłynęła Rebecie z twarzy. - Gdzie on jest?

Co mu się stało?

- Uspokój się. Chodzi o Savannah. Zaczęła rodzić.

- Cassie patrzyła z zaciekawieniem, jak Rebeca osuwa się na fotel. - Boże, nie chciałam cię wystraszyć.

- Wiem. Powinnam cię wysłuchać, zamiast pochopnie wyciągać wnioski.

- Shane zadzwonił po telefonie od Jareda. Od razu ruszyłabym do szpitala, ale musiałam załatwić opiekunkę do dzieci. Connora i Emmę zawożę do Ed, która prowadzi kawiarnię w mieście. Chyba nie miałaś okazji jej poznać, to wspaniała kobieta. Ally zabieram z sobą; w szpitalu jest żłobek...

- Aha. - Rebeca jeszcze nie doszła do siebie.

- Jeśli będziesz głodna, w lodówce są wędliny i świeżo upieczony placek. Biorę samochód, ale Shane kazał ci powiedzieć, że gdybyś chciała się gdzieś ruszyć, to śmiało możesz wziąć auto Jareda. Lub to, które stoi nieużywane na farmie.

- Dzięki, nie zamierzam się nigdzie ruszać. - Odzyskawszy spokój, Rebeca uśmiechnęła się. - No proszę, Savannah rodzi... Ale wszystko w porządku, prawda? Nie ma komplikacji?

- Nie, żadnych. Tylko chcemy być przy niej, wspierać ją.

- Słusznie. Uściskaj ode mnie szczęśliwych rodziców. Ally ja się mogę zaopiekować.

- Kochana jesteś, ale karmię ją piersią i nie wiem, ile to wszystko potrwa. W szpitalu będzie nam lepiej. - Cassie zmarszczyła czoło, intensywnie się nad czymś zastanawiając. - Nowych gości się dziś nie spodziewam. Tym, którzy wyszli na zwiedzanie, zostawiłam kartkę w salonie. Mniej więcej za godzinę jest pora podwieczorku...

- Nie martw się. Damy sobie radę. Jedź już. Widzę, że nie możesz się już doczekać.

- Bo dzieci... to największy skarb na świecie.

- Nie wątpię. Zmykaj.

Próbowała się skupić na pracy, ale nie mogła. Oczami wyobraźni widziała MacKade'ów nerwowo krążących po poczekalni, pytaniami doprowadzających personel do białej gorączki. Pewnie co i raz ktoś kontrolnie wsuwa głowę do sali porodowej, a potem wraca i zdaje relację reszcie rodziny.

Przejęci, podnieceni, uradowani. Cieszą się, że ich rodzina się powiększa. Czy zdają sobie sprawę, jacy z nich szczęściarze?

Kolejne dwie godziny spędziła przy komputerze i z listy wyeliminowała połowę nazwisk. Głód zmusił ją do przerwania pracy. Zeszła do kuchni.

Placek już był napoczęty. Ktoś z gości zaparzył dzbanek kawy. Rebeca naląła sobie kubek; przez moment zastanawiała się nad kanapką, jednak skusiła się na kruche ciasto z jagodami.

Kiedy zadzwonił telefon, odruchowo chwyciła słuchawkę.

- Pensjonat MacKade'a. Słucham?

- Przez telefon masz bardzo seksowny głos.

- Shane?

- Zgadłaś. Pewnie zainteresuje cię wiadomość, że rodzina

MacKade'ów powiększyła się o jedną osobę.

- Jak Savannah się czuje? Co urodziła?

- Śliczną, zdrową dziewczynkę. Mama i córka czują się znakomicie.

Miranda MacKade waży cztery kilo i ma pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu.

- Miranda... - Rebeca westchnęła. - Ładne imię.

- Cassie już wyjechała ze szpitala, ale chwilę potrwa, zanim odbierze dzieci i zda relację Ed. – Na moment Shane zamilkł. - Pomyślałem sobie, że może będziesz ciekawa.

- Dziękuję.

- Słuchaj, mam ochotę uczcić to wydarzenie. Co ty na to?

- Ale...

- Nawet nie miałem okazji się przebrać. Wpadłbym po ciebie i zabrał gdzieś na piwo.

- Propozycja nie do odrzucenia.

- Świetnie. Będę za pół godziny.

- Ale nie powiedziałam, że...

W słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

Schlebiając kobiecej próżności, zerknęła do lustra i poprawiła makijaż. Nic więcej. Nie zamierzała się stroić. Przez cały wieczór pracowała w wygodnych spodniach i beżowym sweterku. Tak ubrana mogła śmiało wyskoczyć na piwo; po co się miała przebierać?

Założyła duże miedziane kolczyki, ale zrobiła to dla siebie, nie dla Shane'a. Parę miesięcy temu zaczęła nosić biżuterię i sprawiało jej to przyjemność.

Zostawiła wiadomość dla Cassie i zeszła na dół. Na Shane'a poczeka na zewnątrz.

W powietrzu czuło się zapowiedź jesieni. Dni nadal były ciepłe, ale wieczory już znacznie chłodniejsze. Dookoła panowały egipskie ciemności, jak to na wsi.

Czasem drogą w dole przejeżdżał samochód, światłami reflektorów przebijając mrok, potem znów zapadała cisza i świat pogrążał się w ciemności.

Sądziła, że będzie jej brakowało zgiełku miasta, energii i buty jego mieszkańców, nieustannego ruchu i hałasu. Pokochała Nowy Jork, nauczyła się jego zwyczajów, włączania się po sklepach i muzeach, wpadania na ludzi, zamiast omijania ich szerokim łukiem. Był to rodzaj terapii, jaką sama sobie zaordynowała.

Terapia poskutkowała. Rebeca już nie chodziła ze wzrokiem wbitym w ziemię i przestała śpieszyć się do domu, by znaleźć się w bezpiecznym otoczeniu książek.

Nie tęskniła jednak za wieżowcami i piskiem klaksonów. Podobał się jej tutejszy spokój, powolne tempo życia, brak anonimowości. W dodatku dziś szła na piwo z wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Całkiem sympatyczne zakończenie pracowitego dnia, pomyślała.

Światła reflektorów skręciły na podjazd. Poprawiwszy torebkę, Rebeca skierowała się w stronę pikapa.

- Miło, jak kobieta na mnie czeka.

- Niestety muszę cię rozczarować. Wyszłam pooddychać świeżym powietrzem. Już czuć zbliżającą się jesień.

- Ładnie wyglądasz. - Trąciwszy palcem jej kolczyk, wprowadził go w lekki ruch.

- Ty też - powiedziała, spoglądając na włosy zaczesane w kucyk, spraną dzinsową koszulę i beztroski, przyjazny uśmiech na twarzy. - Dokąd jedziemy?

- Niedaleko. Do baru Duffa. - Wrzucił wsteczny bieg. - To skromny lokal, ale bardzo swojski.

Rzeczywiście do ekskluzywnych trudno go zaliczyć, stwierdziła Rebeca, kiedy weszli do środka. Nad stołami bilardowymi paliły się gołe żarówki, których jaskrawy blask łagodziła unosząca się w powietrzu chmura dymu; reszta lokalu pogrążona była w półmroku. Z szafy grającej dobywała się smętna muzyka country. Na ladzie poniewierały się łupiny po fistaszkach, ścianę zdobiły reklamy piwa i urocza grafika przedstawiająca psa grającego w pokera. Panował zaduch i atmosfera jak z filmów gangsterskich.

Rebecę natychmiast się tu spodobało.

Po drodze do obdrapanego baru, którego niczym cerber strzegł cherlawy człowiek z grymasem na twarzy, Shane przedstawił ją paru osobom. Przyglądali się jej tak, jak tubylcy przyglądają się obcym: z zaciekawieniem i nieufnością. Ktoś zaprosił Shane'a na partyjkę, lecz on potrząsnął przecząco głową i unosząc dwa palce, zamówił piwo.

- Jak leci, Duff?

- Normalnie - mruknął chudzielec, zrywając kapsle z butelek.

- To Rebeca, przyjaciółka Regan z Nowego Jorku.

- Paskudne miejsce. Istne piekło.

- Znasz Nowy Jork? - spytała uprzejmie Rebeca.

- Za skarby świata bym tam nie pojechał. - Duff postawił przed nimi piwo i powiódł po sali skrzywionym spojrzeniem.

- Duff to straszna gaduła - rzekł Shane, prowadząc Reбекę do wolnego stolika. - I najradośniejszy człowiek w mieście.

- To widać. - Rebeca usiadła. - Nie trzeba być do tego wykwalifikowanym psychiatrą.

Shane stuknął się z nią butelką.

- Zdrowie Mirandy Catherine MacKade. Rebeca pociągnęła łyk.

- Jak było? Mów, ze szczegółami.

- Kilka razy udało mi się zajrzeć do sali. Savannah była trochę rozdrażniona. Krzyczała, że wszystkich MacKade'ów powinno się zamknąć w szpitalu wariatów, a najlepiej to wykastrować.

- Nie dziwię się. Poród nie należy do najprzyjemniejszych doświadczeń.

- Może, ale Regan i Cassie nam nie wygrażały. W każdym razie przez pewien czas dosłownie ziała furia, a potem, kiedy już było po wszystkim, znów stała się słodka jak cukiereczek.

- A Jared?

- Na zmianę pocił się jak ruda mysz i szczyrzył zęby, jakby miał nie po kolei w głowie. Zawsze tak jest, kiedy rodzi się nam dziecko.

- Nam?

- To wydarzenie rodzinne; wszyscy zbieramy się w szpitalu. Mogłaś przyjechać z Cassie.

- Nie żartuj. Savannah nie potrzebowała więcej gości. - Rebeca przekrzywiła głowę. - Ciebie nie kusi?

- Co? A, o to ci chodzi. - Uśmiechnął się. - Wystarczy, że moi bracia tak ładnie się starają. A ciebie? Nie myślisz o tym, żeby założyć rodzinę i zacząć wysiadywać pisklęta?

- Wysiadywać pisklęta? - Roześmiała się wesoło. - Nie, nie myślę.

Shane sięgnął po orzeszka.

- Powiedz, co robisz, kiedy nie bawisz się w psychiatrę, nie uganiaś się za duchami i nie wygłaszasz odczytów?

- Mieszkam w piekle, zapomniałeś? A piekło to napady, morderstwa, orgie. Nie mam czasu na nudę.

Musnął ręką jej dłoń.

- Czy jest ktoś, kto ci ten czas umila?

- Nie, nikogo takiego nie ma. - Uśmiechnęła się słodko. - Co słyszeć u Darli?

Chrząknął. By zyskać parę sekund, uniósł butelkę do ust.

- Wszystko w porządku. - Zmilczał, że odesłał Darię do domu, mimo jej kuszącej oferty, że przygotowuje pyszną kolację, a na deser poda samą siebie. - Jak twoje badania? Jest przełom?

- Próbujesz zmienić temat.

- Owszem. - Ujął ją za rękę i przytrzymał, żeby jej nie wyszarpnęła. - I co? Udało ci się namierzyć ducha?

- Udało - odparła, patrząc, jak twarz Shane'a posepnieje.

- Bzdury.

- Żadne bzdury. Instrumenty wszystko zarejestrowały.

Dwudziestodwustopniowy spadek temperatury w niecałe dwie minuty.

Wypił kolejny haust.

- Powinnaś oddać swój supernowoczesny sprzęt do przeglądu.

Rozbawiła i zaintrygowała ją jego reakcja.

- Strasznie się przed tym bronisz. Czujesz się zagrożony?

- Czemu miałbym się czuć zagrożony przez coś, co nie istnieje?

- No właśnie, dlaczego?

- Ponieważ... - urwał i zmrużył oczy. Rebeca uśmiechała się niewinnie. - W ten sposób analizujesz zachowanie pacjentów?

- Czujesz się jak pacjent?

- Przestań.

- Przepraszam. - Odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. - Pokusa była zbyt wielka. Nie prowadzę indywidualnej terapii, ale podejrzewam, że byłbyś wspaniałym obiektem badań. Może zabawimy się w skojarzenia?

- Nie.

- Wypowiadam słowo, a ty szybko mówisz, z czym ci się ono kojarzy. Chyba się nie boisz?

- Po prostu nie lubię głupich gier salonowych.

- Westchnął lekko zirytowany. - No dobra. Strzelaj.

- Dom.

- Rodzina.

- Ptak.

- Piórko.

- Samochód.

- Pikap.

- Miasto.

- Zgiełk.

- Wieś.

- Ziemia.

- Seks.

- Kobiety. - Podniósł ich złączone ręce do ust.

- Zwłaszcza jedna. Rebeca. Zignorowała łomot serca.

- Liczy się pierwsza odpowiedź. Jesteś prawym, szlachetnym człowiekiem przestrzegającym ustalonych reguł i nie lubiącym zmian. Oto zwięzła i, siłą rzeczy, pobieżna analiza twojego charakteru.

- Może teraz ja bym spróbował? - Skubał ustami jej palce.

- Najpierw zdobądź dyplom z psychiatrii, a potem... - Odczekała chwilę. - Jeśli doskwiera ci głód, lepsze są orzeszki.

- Wolę twoje paluszki. Choć są trochę kościste... Przysunęła się bliżej i pochyliła głowę.

- Naprawdę sądzisz, że zdołasz mnie uwieść przy kuflu piwa w miejscowym barze? - spytała cicho.

- Przekonajmy się. - Przytknął usta do jej nadgarstka. - Ależ pani skoczyło ciśnienie, doktor Knight!

- Normalna reakcja na stymulujące bodźce. Z tobą ma to niewiele wspólnego.

- A gdybym się bardziej postarał... ? - Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył wolny stół bilardowy. - Lubisz zakłady?

- Zależy jakie.

- Moglibyśmy zagrać w bilard.

- W bilard? - Zmarszczyła czoło. - Nawet nie znam zasad.

Tym lepiej, ucieszył się Shane.

- Wszystko ci wyjaśnię. Podobno jesteś geniuszem. Zresztą ktoś, kto ma tyle doktoratów, nie powinien mieć trudności z przyswojeniem reguł gry.

- Dobrze. O co się zakładamy?

- Jeśli wygram, pójdziemy poprzytulać się w pikapie. Mam ochotę cię pocałować.

Starając się nie okazywać emocji, wzięła głęboki oddech.

- A jeśli przegrasz?

- Wówczas spełnię każde twoje życzenie.

Po chwili namysłu uśmiechnęła się.

- Dobrze. Kiedy przeniosę się ze sprzętem na farmę, pomożesz mi w badaniach.

- Nie ma sprawy. - Poderwał się na nogi i podprowadził ją do stołu bilardowego. - To twój pierwszy raz, więc dam ci przewagę dwóch bil.

- Łaskawca - mruknęła.

Będąc człowiekiem uczciwym, który w dodatku rzadko przegrywa w bilard, starannie wyjaśnił Rebecce zasady gry. Oczywiście nie zmarnował okazji, aby demonstrując prawidłowy sposób trzymania kija, otrzeć się o nią parę razy.

- Ważna jest kontrola - rzekł, wciągając w nozdrza zapach jej włosów. - Ale nie za wszelką cenę. Uderzenia muszą być lekkie, swobodne.

Stał tuż za nią. Uderzyła kijem w białą bilę.

- Brawo. Doskonale - pochwalił Shane. Kiedy obróciła się przodem, nie cofnął się, lecz zacisnął ręce na jej talii. - Udajmy, że rozegraliśmy partię i chodźmy do pikapa, co?

- Przecież się założyliśmy. Odsuń się, farmerze. Potrzebuję nieco więcej przestrzeni.

- W porządku. Co się odwlecze, to nie uciecze. - Wyobraził sobie zaporowane szyby w pikapie.

- Chcesz zacząć?

- Nie, ty zacznij. - Posmarowała kredą czubek kija. Shane pochylił się nad stołem. Skupiona na jego długich nogach i umięśnionych ramionach, nie widziała, jak rozbija trójkąt, ale trzy bile wpadły do luz.

Zmarszczywszy czoło, uważnie obserwowała ruchy Shane'a, analizowała prędkość i kierunek bil toczących się po zielonym suknie. Wcześniej widywała, jak ludzie grają w bilard. W klubie golfowym, do którego należeli rodzice, były ze dwa stoły. Ale nigdy dotąd tak bacznie nie przyglądała się grze.

Geometria i fizyka stosowana, stwierdziła. Żeby wygrać, trzeba szybko liczyć, mieć dobre oko i stabilną rękę.

Shane wbił kolejne dwie bile, zerknął na Rebeke. Stała z przechyloną głową, maksymalnie skupiona. Nie mógł się doczekać, kiedy weźmie ją w ramiona.

Chcąc wyrównać szanse, zaryzykował uderzenie, które nie miało prawa się udać. Niewiele brakowało, ale zamiast wpaść do otworu, bila otarła się o krawędź przy samej luzie, a potem zmieniła kierunek.

- Twoja kolej, pani profesor.

Obszedł stół, zamierzając pomóc Rebecce z prawidłowym ustawieniem ciała, ale pokręciła głową.

- Dzięki, sama sobie poradzę.

- W porządku. - Uśmiechnął się przyjaźnie. Z wyższością. - Spróbuj wbić tę z żółtym pierścieniem. Jak dobrze uderzysz, wpadnie do bocznej luzy.

- Masz rację. - Pochyliwszy się nad stołem, lekko zmrużyła oczy, po czym posłała bilę do celu.

- Brawo. - Autentycznie ucieszony, Shane cofnął się do stolika po piwo. - W dodatku biała zatrzymała się w idealnym miejscu do uderzenia. Musisz tylko...

Rebeca posłała mu przeszywające spojrzenie.

- Wiem, co mam zrobić.

- Jasne. - Rozłożył ręce. - Chciałem tylko pomóc. Ale proszę bardzo: graj.

Pokręcił głową, widząc, do czego Rebeca się przymierza. Cholera, nie tak! Powinna celować w trójkę. Podniósł do ust piwo, kryjąc za butelką uśmiech. Jak tak dalej pójdzie, za pięć minut będzie ją obściskiwał.

I nagle szczeka mu opadła. Bila uderzyła o krawędź stołu i potoczyła się do narożnej łuzi. Rebeca nie wydała okrzyku radości, nawet nie zerknęła za siebie; przeszła z drugiej strony i ponownie pochyliła się nad stołem.

Paru klientów podeszło bliżej, żeby pokibicować. Nie zwracała na nich uwagi.

Skupiona, w milczeniu okrążała stół i wbijała kulę za kulą. Jak zawodowiec. Jakby nic innego nie robiła w życiu. Shane bez słowa śledził jej poczynania. Nie słyszał komentarzy kibiców.

Skończyła. Do wbicia ostatniej czarnej ósemki posłużyła się jego bilą, tą, której jemu nie udało się wbić.

Zmarszczywszy czoło, wyprostowała się.

- Już? - Rozejrzała się po stole, jakby sprawdzała, czy żadnej nie pominęła.

Rozległy się śmiechy. Kilku facetów poklepało ją po ramieniu, proponując piwo. Shane odstawił swój kij.

- W ten sposób zarabiałaś na studia? Grając w bilard?

Zadowolona z sukcesu, nawet się nie oburzyła.

- Nie. Miałam stypendia. I bogatych rodziców. Dziś pierwszy raz w życiu trzymałam w ręku kij.

- A niech mnie... - Zmierzył ją uważnie wzrokiem.

- Miałaś pełną kontrolę nad tym, co robisz. To nie było szczęście początkującego gracza.

- Zdecydowanie nie - przyznała. - Ta gra oparta jest na obliczaniu kątów, siły uderzenia, prędkości, z jaką toczy się bila. To nauka, Shane, a nie szczęście. - Uradowana ze zdobycia nowej wiedzy, przeczesła ręką włosy. - Zagramy jeszcze raz? Dam ci przewagę dwóch bil.

Otworzył usta, żeby zakląć, ale nie wytrzymał i roześmiał się wesoło.

- A co tam! Gramy, pani profesor. Do pięciu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- No i cały wieczór graliśmy w bilard - rzekła Rebeca, ustawiając kamerę w kuchni Shane'a. - On naprawdę jest dobry.

Regan nie wierzyła własnym uszom.

- Graliście w bilard? U Duffa?

- Tak. Zamierzaliśmy rozegrać jedną partię, a potem się rozkręciliśmy. To świetna zabawa. Choć nie mogłam się zgodzić, aby ci wszyscy faceci, którzy stali wkoło, kibicując, fundowali mi piwo. Nie doczołgała-bym się do domu.

- Faceci fundowali ci piwo?

- Nie fundowali. Chcieli. Ale nie przepadam za procentami, więc... - Cofnęła się, sprawdzając sprzęt. - Na szczęście Shane potrafi przegrywać z klasą.

- Zaraz, zaraz. - Regan uniosła rękę. - Pokonałaś Shane'a?

- Przegrał siedem do dziesięciu. Chyba. Umiesz obsługiwać ten ekspres do kawy?

No proszę, pomyślała Regan; wystarczy na parę dni spuścić dziewczynę z oczu!

- Niesamowicie. Nie umiesz zaparzyć kawy, ale potrafisz pokonać Shane'a w bilard. Jediną znaną mi osobą, której to się udaje, jest Rafe, a Rafe'a jeszcze nikt nie pokonał.

- Niech zagra ze mną. Podobno mam wrodzony talent. Tak twierdzi Charlie Dodd.

- Bilard... Charlie Dodd... - Regan wybuchnęła śmiechem. - Na miłość boską, co ci strzeliło do głowy?

- Świątowaliśmy narodziny Mirandy. Potem się założyliśmy. Ponieważ wygrałam, Shane musi mi pomóc w badaniach. Oczywiście nie jest tym zachwycony. Ma jakąś blokadę psychiczną, jeśli chodzi o sprawy nadprzyrodzone.

Przyjaciółka nie potrafiła poskromić ciekawości.

- Mam pytanie...

- Wal.

- A gdyby Shane wygrał?

- Byłyby przytulanki w pikapie.

- Boże, Rebeko, nie poznaję cię!

- Wiesz co? - Rebecce zadrżały kąciki warg. - Podejrzewam, że przegrana sprawiłaby mi dużą frajdę.

- Nie wątpię. Słuchaj, nie chcę się wtrącać do twojego życia, ale Shane... Uwielbia kobiety, lecz żadnej nie traktuje poważnie.

Rebeca wróciła na ziemię.

- Nie martw się. Zbyt długo żyłam pod kloszem, ale nie jestem głupia. - Pochyliła się nad niemowlęciem śpiącym w wózek. - Radzę sobie. Kto wie, może zdecyduję się na romans?

- Może zdecydujesz się na romans? - powtórzyła Regan. - Czy ja mam jakieś omamy słuchowe?

- Jeśli masz, to koniecznie mi o nich opowiedz. Regan potarła twarz. Musi zachować spokój i zdrowy rozsądek. Ale to przecież Rebeca zawsze była tą rozsądną i trzeźwo myślącą.

- Rozważasz romans. Z moim szwagrem.

- Tak. - Nie mogąc oprzeć się pokusie, Rebeca pogładziła policzek śpiącego Jasona. - Jeszcze nie podjęłam decyzji. Shane to bardzo atrakcyjny facet i na pewno bardzo doświadczony. - Pochyliła się i musnęła ustami policzek bobaska. - Jeśli mam przeżyć romans, to z kimś, kogo szanuję i darzę sympatią. Nie sądzisz?

- Ogólnie rzecz biorąc, masz rację, ale... Rebeca wyprostowała się i uśmiechnęła szeroko. - Shane'a darzę sympatią, a fakt, iż jest przystojny i doświadczony, stanowi zaletę, nie wadę. Oczywiście ładna buzia i cudowne ciało nie są najważniejsze, ale w niczym nie przeszkadzają. Śmiem nawet twierdzić, że im większy ludzie czują do siebie pociąg, tym lepiej im razem w łóżku.

Kawa zaczęła bulgotać, zanim Regan otrząsnęła się z szoku.

- Kochanie, seks nie jest zadaniem ani doświadczeniem naukowym.

- W pewnym sensie jest. - Roześmiawszy się, Rebeca podeszła do przyjaciółki i położyła jej ręce na ramionach. Po raz pierwszy w życiu czuła się wolna, silna, atrakcyjna. - Przestań się o mnie martwić. Jestem dużą dziewczynką.

- Najwyraźniej.

- Chcę lepiej poznać samą siebie. Latami robiłam to, co inni mi kazali, czego ode mnie wymagali. Teraz wreszcie sama chcę decydować o sobie, być kowalem swojego losu. - Wzdychając cicho, rozejrzała się po kuchni. - Wiesz, dlaczego zainteresowałam się zjawiskami paranormalnymi? Student pierwszego roku psychologii bez trudu by to odgadł. Bo moje dotychczasowe życie było z jednej strony przerażająco nudne i normalne, a z drugiej chore, zwichnięte.

- Nieprawda! - oburzyła się Regan.

- Zawsze brałaś moją stronę. - Rebeca uśmiechnęła się. - Nigdy się na tobie nie zawiodłam. Ale mylisz się. To nie jest normalne, żeby siedmioletnia dziewczynka rozwiązywała trudne zadania matematyczne, żeby po francusku dyskutowała z historykami na temat wojny krymskiej. Nawet nie bardzo się orientuję, jakie zachowanie jest normalne dla typowej siedmiolatki, bo nigdy taką nie byłam.

Zanim Regan zdołała zareagować, przyjaciółka wzięła głęboki oddech i ciągnęła:

- Od najmłodszych lat zmuszano mnie do nauki. Nie wyobrażasz sobie, jak to jest chodzić do szkoły przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, rok w rok. Bo ja i wieczorami, i w wakacje miałam lekcje, korepetycje, książki do przeczytania, zadania do zrobienia. Całe moje życie to były ćwiczenia, wykłady, badania, prezentacje. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Jeden dyplom, drugi dyplom. I potworna samotność.

- Nie wiedziałam, że cierpisz. Że nie jesteś szczęśliwa - szepnęła Regan.

- Cierpiałam. Odkąd tylko pamiętam. - Rebeca zacisnęła powieki. - Brzmi to strasznie patetycznie, prawda? Pewnie nie jestem sprawiedliwa. Zdobyłam wykształcenie, pieniądze, szacunek, świat stoi przede mną otworem. Aż nie wypada narzekać, ale... W każdym razie postanowiłam się wreszcie zbuntować; zrobić coś, czego nikt się po mnie nie spodziewa, coś, co sprawi, że moi nudni, konserwatywni koledzy wytrzeszczą gały, coś, co mnie fascynuje.

- Brawo, popieram - rzekła Regan, wyjmując kubki z szafki, widać jednak było, że martwi się o przyjaciółkę. - To wspaniale, że wystąpiłaś o roczny urlop i że masz tak niecodzienne zainteresowania.

- Ale?

- Ale Shane nie podpada pod kategorię „hobby”. To cudowny człowiek, lecz może ci złamać serce.

- Możliwe. - Rebeca zadumała się. - Byłoby to ciekawym przeżyciem. Nigdy nie byłam na tyle blisko z mężczyzną, aby przez niego cierpieć.

Z kubkiem w ręku podeszła do okna. Widziała, jak Shane jeździ traktorem po polu. Nie, nie traktorem. Przypomniała sobie, że taki pojazd nazywa się snopowiązałką.

- Lubię na niego patrzeć.

- Nie dziwię się. Wśród MacKade'ów nie ma nieciekawych typów. - Regan objęła przyjaciółkę. - I żaden nie pozostawia kobiety obojętną. Tylko bądź ostrożna.

Lecz Rebeca, które całe życie była roztropna i ostrożna, ostrożność się znudziła.

Nawet nie potrafiła gotować. Nie spotkał dotąd kobiety, której zdolności kulinarne ograniczały się do podgrzania puszki zupy. A to był szczyt możliwości doktor Rebeki Knight.

Nie przeszkadzała mu jej obecność. Zresztą sam był sobie winien; nie musiał się zakładać. Mniejsza o to. Autentycznie lubił jej towarzystwo i wierzył, że prędzej czy później zaciągnie ją do łóżka. Gdyby tylko zrezygnowała z tych swoich kretyńskich badań.

Sprzęt stał dosłownie wszędzie: w kuchni, w salonie, w pokoju gościnnym. Nie mógł przejść po domu bez natykania się na kamerę czy czujnik.

Zdumiewało go, że inteligentna kobieta wierzy, iż zdoła sfilmować duchy.

Jej obecność na farmie miała kilka plusów. Na przykład, kiedy gotował, ona z zapalem zmywała naczynia. No i miło było po powrocie z pola czy stodoły zastać ją w kuchni piszącą na laptopie.

Chociaż nie potrafiła odróżnić patelni od rondla, to w kuchni czuła się najlepiej i w niej najchętniej przesiadywała.

Pierwszej nocy źle spał; wiercił się z boku na bok, rozmyślając o tym, że od Rebeki dzieli go jedynie cienka ściana. Rano obudził się niewyspany, w ponurym nastroju. Ale nim skończył doić krowy i wrócił, żeby przyrządzić śniadanie, zły humor był już odległym wspomnieniem.

Rebeca zeszła na dół. Zjadła niewiele; jego zdaniem stanowczo za mało. Wypili razem kawę, podzielili się poranną gazetą, pogadali. A właściwie nie tyle rozmawiali, co Rebeca zasypywała go pytaniami.

Podobało mu się, że pierwszy posiłek w ciągu dnia spożywa w towarzystwie atrakcyjnej, cudownie pachnącej kobiety, która w dodatku

nie ma pusto w głowie. Problem w tym, że później nie mógł się skupić na pracy; myślał o Rebecce, o tym, jak wygląda, jak pachnie i co mówiła.

Nie pamiętał, aby jakaś kobieta wywarła na nim tak silne wrażenie. Trochę go to niepokoiło.

A należał do ludzi, którzy nie lubią się martwić czy niepokoić. To po pierwsze. Po drugie, przeszkadzało mu, że stale krąży myślami wokół kobiety, która traktuje go wyłącznie jak kumpla.

Była jego gościem, więc nie mógł rzucić się na nią. Dlatego chciał, by ta gościna trwała jak najkrócej.

Oddychał lżej, kiedy cudem udawało mu się skupić myśli na czymś innym.

Ale jak, do diabła, miał o niej nie myśleć?

Kiedy po raz trzeci uderzył łyżką o patelnię, popatrzyła na niego znad okularów.

- Shane, nie musisz dla mnie gotować.

- Przecież sama nic sobie nie przyrządzisz.

- Fakt, ale mogę zamówić coś przez telefon. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Skarbie, Antietam to nie Nowy Jork. Na wsi nie ma takich udogodnień.

Westchnąwszy cicho, zdjęła okulary. Czowała bijące od Shane'a napięcie. Zawsze czymś emanował: energią, siłą, seksapilem. Teraz jednak wydawał się potwornie spięty. Może krowa się rozchorowała?

Wstała, podeszła do Shane'a i zaczęła masować mu kark.

- Miałeś ciężki dzień, prawda? Tyle godzin na polu, a potem jeszcze dojenie...

- Łatwiej jest, jak się człowiek porządnie wyśpi - mruknął przez zaciśnięte zęby. Masaż sprawiał, że jeszcze mocniej napinał mięśnie.

- Strasznie jesteś spięty. Usiądź, zrobię ci kanapkę.

- Nie chcę kanapki.

- Nic więcej nie potrafię... Obróciwszy się, chwycił ją w objęcia.

- Chcę ciebie.

Serce zabiło jej mocno. Policzyła w myślach do trzech, żeby się uspokoić.

- Wiem - oznajmiła, z trudem tłumiąc emocje.

- Obiecałeś jednak, że zapewnisz mi warunki do pracy.

- Obiecałem. - Tymi zielonymi oczami niemal przewiercał ją na wylot. - Ale nie muszę być z tego powodu szczęśliwy.

- To prawda. Wiesz, skąd się bierze twoja złość? Bo przywykłeś, że kobiety inaczej reagują na twoje wdzięki...

- Nie mówimy o innych kobietach. Mówimy o tobie, o nas, o tym, co się dzieje tu i teraz.

- Mówimy o seksie. - Cofnęła się krok. - Rozważam taką możliwość.

- Rozważasz? - Miał ochotę ją udusić. - Tak jak inni rozważają, co by tu zjeść na obiad? Żartujesz, prawda?

- Bynajmniej. Nie rzucam się w nic bezmyślnie.

- Wzruszywszy ramionami, zasiadła z powrotem przy stole.

- Rozumiem. Najpierw wolisz rozważyć wszystkie za i przeciw. - Kipiał z wściekłości - Czyli powiadomisz mnie, kiedy dojdiesz do konkretnych wniosków?

- Z całą pewnością. - Nasunęła okulary na nos. Starał się powściągnąć temperament. Nie było to łatwe dla kogoś o tak

wybuchowym charakterze. Ale w porządku: lubi chłodny rozsądek? Niech się nim udławi!

- Wiesz co? Jak na mój gust jesteś trochę za zimna i trochę za chuda. Wolę kobiety cieplejsze, bardziej krągłe.

Zacisnęła zęby, po chwili odprężyła się.

- Niezłe zagranie, farmerze. Obojętność, obraza, wyzwanie.

Podejrzewam, że na ogół metoda się sprawdza. - Uśmiechnęła się. - Ale ze mną musisz się bardziej postarać.

Świadom, że tej wojny nie wygra, Shane zamaszystym krokiem skierował się do drzwi. Wiedział, co zrobić: iść do którego z braci i wszcząć bójkę.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem, Rebeca zdjęła okulary i potarła twarz. O mały włos, pomyślała. Skąd mogła wiedzieć, że ta ledwo kontrolowana furia, to wyzierające z oczu pożądanie i ta niesamowita buta podziałają na nią tak podniecająco?

Prawie uległa. Kiedy obrócił się i chwycił ją w ramiona, miała ochotę zamknąć oczy, zapomnieć o rozsądku. Ale...

Ale bała się. Nie zapanowałyby nad nim, nad jego gniewem. Być całkowicie uległą, w czyimś władaniu... w teorii brzmiało to niezłe, lecz w praktyce... Tak, w praktyce czuła strach.

Oboje muszą poczekać na właściwy moment. Nerwowość i gniew nie sprzyjają intymności. Pogodny, rozluźniony Shane będzie wspaniałym kochankiem. Spięty i zagniewany będzie kochankiem niecierpliwym.

Zamknęła oczy. Powoli odzyskiwała spokój. Dobrze się czuła w tym domu. Jego atmosfera działała na nią kojąco. Podobało się jej nawet skrzypienie drewnianych podłóg w nocy.

A także zapach drewna palącego się w piecu, aromat pieczeni i posypanej cynamonem szarlotki. Właśnie takie rzeczy sprawiały...

Zastygła bez ruchu. Skąd wzięły się te zapachy? W piecu nie pali się ogień, więc dlaczego słyszała cichy trzask płomieni?

Powoli otworzyła oczy. Miała wrażenie, że świat zachybotał i wszystko pociemniało. Ujrzała stary żeliwny piec, buzujące płomienie. Na szerokim parapecie stygły wypieki. Jaskrawe promienie słońca padały na drewnianą podłogę.

Zamrugła. Obraz znikł. Powróciła terakota, lodówka, ekspres do kawy.

Ale zapachy utrzymywały się w powietrzu. Gdzieś w oddali usłyszała płacz dziecka.

- No dobra, Rebeko - szepnęła przejęta. - Chyba wreszcie się doczekałaś.

Poderwawszy się od stołu, ile sił w nogach pognała do salonu. Pomiedzy kanapą, fotelem na biegunach, regałami pełnymi książek stał jej specjalistyczny sprzęt. Czujnik temperatury nie zarejestrował chłodu, ale powietrze było naładowane elektrycznością; czuła to całą sobą. Nie musiała patrzeć na urządzenia pomiarowe.

Wiedziała, że nie jest sama.

Znów doleciał ją płacz dziecka. Przyciskając rękę do ust, zerknęła na magnetofon. Czy usłyszy go, kiedy będzie odsłuchiwała taśmę? Na górze ktoś zamknął drzwi do sypialni, potem usiadł na bujanym fotelu. Podłoga zaskrzypiała. Po chwili płacz ucichł.

Matka kołysze w ramionach niemowlę. Pociesza je, tuli do piersi, może czule do niego przemawia. Dom żyje, pomyślała z zachwytem.

Mieszkają w nim ludzie, którzy się kochają. Stąd ta energia w powietrzu, to nagromadzenie emocji.

Łzy pociekły jej po policzkach.

Kiedy ponownie nastał spokój, zanotowała dokładny czas, wróciła do kuchni i spisała swoje wrażenia, odczucia, każdy najdrobniejszy szczegół. Przegrała informacje na dyskietkę, następnie wyjęła z lodówki butelkę wina i przystąpiła do oblewania sukcesu.

Shane wrócił do domu o północy i zdziwił się, bo Rebeca siedziała tam, gdzie ją zostawił. Zły humor mu dawno minął. Wychodząc, miał nadzieję znaleźć chętnego do bójki. Chętnych nie było, ale Devin skutecznie zdołał go rozweselić.

Na widok siedzącej przy stole Rebeki, radosnej, potarganej, w zsuwających się z nosa okularach, przestraszył się, czy podły nastrój mu nie wróci.

- Nigdy nie odpoczywasz?

- Ależ odpoczywam - odparła, starannie wymawiając każdą sylabę. -
Cześć.

- Cześć. - Zauważył zarumienione policzki, roztargnione spojrzenie.

- Co robisz?

- Nic. Ale wcześniej zaznajamiałam się z duchami. To miłe duchy, o wiele sympatyczniejsze niż duchy Barlowów.

Podszedł bliżej. Obok komputera stała butelka wina, niemal całkiem opróżniona. I napelniony do połowy kieliszek. Shane przyjrzał się uważnie swemu gościowi i parsknął śmiechem.

- Jesteś ubzdryngolona, pani profesor.

- Jeśli to znaczy pijana, to muszę przyznać ci rację. Jestem bardzo, bardzo ubzdryn... pijana. - Podniosła do ust kieliszek i pociągnęła łyk, nie rozlewając nawet kropli. - Nie wiem, jak to się stało. Pewnie ciut za dużo wypiałam.

Wyglądała uroczo, kiedy patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczami i uśmiechała się... Hm, uśmiechała się głupkowato. Ucieszył się, że doktor Rebeca Knight potrafi być normalnym człowiekiem, który miewa chwile słabości.

- Wystarczy. - Delikatnie ujął ją za brodę. - Jadłaś coś?

- Nie. Nie umiem gotować. - Tak ją to rozbawiło, że wybuchnęła śmiechem. - Cześć.

- Cześć. Już się witaliśmy. - Jak mógł się na nią gniewać, kiedy była tak rozkosznie ululana? Zdjął jej z nosa okulary i położył na stole. - Chodź, pójdziemy na górę.

- Nie chcesz mnie pocałować? - spytała, wdzięcznie zsuwając się z krzesła na podłogę.

Prychnąwszy śmiechem, podciągnął Reбекę na nogi. Może była pijana, ale całować umiała świetnie. Jej usta przywarły do jego ust w długim, namiętym pocałunku.

- Mm, smaczny jesteś. - Oblizwała się, a ponieważ zakreśliło się jej w głowie, szybko zarzuciła mu ręce na szyję. - No, pochyl się. I daj mi jeszcze buzi. Wiesz, jak mi od tego wali serce? Poczekaj, pokażę ci. - Chwyła jego dłoń i przycisnęła do lewej piersi. - Czujesz?

O tak, czuł bardzo dobrze.

- Chodź grzecznie na górę. - Toczył z sobą zaciętą walkę. - Położymy cię spać...

- Ale ja wcale nie jestem śpiąca - sprzeciwiła się. - Nie chcesz mnie dotknąć?

Zaklął pod nosem, po czym wziął ją na ręce, by zanieść na górę. Zaczęła obsypywać pocałunkami jego twarz i szyję.

- Przestań, Rebeko - poprosił lekko zdesperowany. - Zachowuj się.

- Nie chcę. Znudziło mi się. Daj, pomogę ci to zdjąć - rzekła i entuzjastycznie przystąpiła go rozpinania guzików jego koszuli. - Podobasz mi się w samym podkoszulku. Wtedy widać twoje wspaniałe mięśnie. No, zademonstruj je.

Mruczając przekleństwa, wyniósł Reбекę z kuchni.

- Nie ujdzie ci to bezkarnie. Jak Boga kocham. I nie mówię wyłącznie o kacu.

Chichotała, wymachiwała nogami, wsuwała palce w jego długie, gęste włosy. Ważyła tyle co piórko, ale mięśnie ramion zaczęły mu drzeć. A kolana miał jak z waty.

Niemal jęknął z rozkoszy, kiedy ugryzła go leciutko w ucho.

- Kocham ten dom. Kocham ciebie. Kocham świat. Możemy w łóżku napić się wina?

- Nie. I lepiej, żebyś...

Spojrzał na nią. To był błąd. Jej usta natychmiast przywarły do jego ust. Był tylko człowiekiem. Przeszył go ostry, płomienny żar. Jego opór prysł jak bańka mydlana. Shane zachwiał się i po chwili zatracił w namiętym pocałunku.

- Rebeko... - jęknął. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- No widzisz? Zawsze o tym marzyłam. Żeby ktoś dla mnie oszalał. Wtedy mogłabym go wyleczyć, bo może nie wiesz, ale jestem psychiatrą. -

Wybuchnęła głośnym śmiechem, jakby ją to strasznie rozbawiło, po czym wsunęła ręce pod ubranie Shane'a i zaczęła gładzić ciało, które powoli okrywało się warstewką potu. - Pocałuj mnie jeszcze. Tak mocno, tak naprawdę, tak...

- O, Chryste, Chryste... - Powtarzał niczym mantrę, niosąc Rebeke do pokoju gościnnego. Zamierzał rzucić ją na łóżko i ignorując klucze w trzewiach, czym prędzej wymknąć się na korytarz.

Ale ona z całej siły trzymała go za szyję. Nie chciała go puścić. Razem z nią wylądował na miękkim materacu.

- Mmm, jak dobrze, jak miło - westchnęła. - Zostań...

Dziwny jęk dobył się z jego piersi. Shane zamknął oczy. Nie potrafił myśleć logicznie.

- Nie. Nie chcę. Nie możemy - oznajmił, najwyższym wysiłkiem woli powstrzymując się, aby nie zedrzeć z niej ubrania.

- Możemy. Jak tylko pozbędę się twoich spodni.

Zacisnął rękę na palcach, które szarpały za suwak, i wbił wzrok w jej bursztynowe oczy.

- Przestań, Rebeko. W tej chwili przestań. Oczywiście nie zamierzała go słuchać. Wierciła się ponętnie, pocierała biodrami o jego biodra.

- Przestań, do jasnej cholery!

Uśmiechnęła się niezrażona. Mimo stanu upojenia czuła, że ilekroć wykonuje określone ruchy, ma nad nim władzę.

- Och, przecież nie wyrządę ci krzywdy. Obiecuję. - Zachichotała. - Boże, jaką masz groźną minę. Zamiast się krzywić, pocałuj mnie.

- Powinienem cię udusić - mruknął, całując. Kiedy oderwał usta od jej ust, popatrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem.

- Jeszcze...

Serce mu waliło, krew dudniła w skroniach.

- Nie, Rebeko - powiedział z napięciem w głosie. - Chcę, żebyś była trzeźwa, kiedy będziemy się kochać. Chcę, żebyś wszystko pamiętała, każdy szczegół. A teraz pewnie nawet nie pamiętasz, jak masz na imię.

- Dobrze - zgodziła się sennie. Powieki coraz bardziej jej ciążyły. - Dobrze - powtórzyła, ziewając. Po chwili zasnęła.

Przez kilka minut leżał na łóżku, próbując spowolnić oddech i zebrać siły, by wstać. Czuł, jak piersi Rebeki, które przygniatał własnym ciałem, wznoszą się i opadają.

- Przynajmniej rano nie będziesz mnie nienawidzić - rzekł, podnosząc się. - Ale nie wiem, czy ja ciebie wciąż będę lubił.

Okrył Rebeke kołdrą i zostawił ją, w ubraniu i w butach, żeby się porządnie wyspała.

Sam nie zmrużył oka. Jak zwykle zerwał się z łóżka przed świtem, ale dzisiejszego ranka nie pogwizdywał wesoło. Opuściwszy sypialnię, spojrział w stronę pokoju gościnnego, po czym zbiegł na dół i przystąpił do porannych obowiązków.

Dwaj studenci, którzy w tygodniu pomagali mu w pracy, zachowali się dyskretnie. Nie komentowali jego chmurnej miny.

Krowy wydojono i wyprowadzono na pastwisko, świnie nakarmiono, jajka zebrano. Psy pokręciły się radośnie pod nogami pana, lecz szybko wyczuły, że Shane nie ma nastroju do zabawy. Odeszły więc i ułożyły się pod werandą na tyłach domu.

Słońce już wzeszło, kiedy Shane wrócił do domu, żeby umyć się i przygotować śniadanie. Wysilek fizyczny pomógł mu rozładować napięcie i pozbyć się złego humoru.

Znalazłszy się w kuchni, ze śmiechem pokręcił głową. Uchodził za podrywacza, któremu żadna kobieta się nie oprze. A przy Rebecce zachowywał się jak sfrustrowany młokos, który dopiero stawia pierwsze kroki na polu spraw męsko-damskich.

Swoją drogą widok chłodnej, sarkastycznej doktor Knight, która ledwo trzyma się na nogach, był przekomiczny.

Rozmyślał o tym, smażąc na patelni paski bekonu. Rebeca wyglądała rozkosznie, kiedy siedziała wczoraj przy stole z głupim uśmiechem na twarzy i z okularami zsuwającymi się z nosa. Zresztą czy jakikolwiek mężczyzna z krwi i kości może narzekać, kiedy piękna kobieta obsypuje go pocałunkami? Nawet wtedy, gdy sam czuje się jak sfrustrowany sztubak?

Kto inny zapewne wykorzystałby sytuację. Nie broniłby się, kiedy kobieta próbowała zedrzeć z niego ubranie. Przeciwnie, odwdziczyłby się tym samym i pozbawił ją fatalaszków. Kto inny nie przejąłby się jej stanem upojenia, lecz...

Przestań, nakazał sobie, biorąc kilka głębokich oddechów. Rebeca miała duże szczęście, że nie był kimś innym. Właściwie to powinna być mu wdzięczna.

Doszedłszy do takiego wniosku, pociągnął łyk kawy.

Po kuchni rozchodził się smakowity zapach bekonu i kawy, za oknem świeciło słońce...

Biedna Rebeca. Będzie dziś cierpiała, oj, będzie. Obudzi się z potężnym kacem i lukami w pamięci. A on, patrząc, jak ona skręca się ze wstydu, z przyjemnością te luki wypełni. Opowie jej, co wczoraj mówiła i robiła, a potem ze współczującą miną poda jej tabletkę aspiryny.

Trochę zabawi się jej kosztem, ale chyba mu wolno?

Bidulka, rozmyślał, roztrzepując jajka. Będzie spała do południa, a kiedy się obudzi z bólem głowy, naciągnie na siebie kołdrę i zacznie się modlić o szybką śmierć.

Będą kwita. On spędził bezsenność noc, ona wstanie z kacem gigantem.

Obrócił się po talerz i w drzwiach kuchni ujrzał Rebece.

Przez moment przyglądał się jej bez słowa. Błada, w szlafroku, powieki miała lekko spuchnięte, włosy wilgotne. Pewnie próbowała utopić się pod prysznicem.

Uśmiechnął się, nieco złośliwie.

- Jak leci, pani profesor? Chrzaknęła.

- Dobrze. - Zerknęła na stół. Dowody przestępstwa nie znikły. Pusta butelka i kieliszek z odrobiną wina, którego nie zdołała dopić, wciąż stały na widoku. - Hm, chyba wczoraj troszkę przesadziłam.

- Można tak powiedzieć. - Ciekaw, co przyniosą najbliższe minuty, Shane zamknął drzwi szafki ciut głośniejsze, niż to było konieczne. - Ale my, MacKade'owie, nie lubimy owijać w bawełnę. Byłaś pijana w trzy d.

Skrzywiła się.

— Zwykle niewiele piję. A już nigdy na pusty żołądek. Chciałam cię przeprosić za moje wczorajsze zachowanie i podziękować, że doniosłeś mnie do łóżka.

Jego uśmiech zgasł. Rebeca była zbyt spokojna, zbyt opanowana.

— Jak twoja głowa?

— Głowa? - Rozpromieniła się, jakby ucieszona, że o to pyta. -

Świetnie. Nie miewam kaca. Pewnie mam dobrą przemianę materii.

Westchnął ciężko. Gdzie tu sprawiedliwość?

— Naprawdę nie miewasz kaca?

— Nie. Ale chętnie napiłabym się kawy.

Przyglądał się jej z coraz większą niechęcią. Energicznym krokiem podeszła do dzbanka. Ani razu nie jęknęła. Nie przeszkadzał jej jaskrawy blask słońca.

— Wytrąbiłaś całą butelkę wina i dobrze się czujesz?

— Tak. Tylko jestem głodna. - Nalewając sobie kawy, posłała mu promienny uśmiech. - Zachowałam się jak idiotka, a ty okazałeś mi tyle wyrozumiałości...

— Tak, fajny ze mnie gość. - Odechciało mu się jeść.

Istotnie fajny, pomyślała. Dlatego powinna się wytłumaczyć.

— Widzisz, wczoraj nastąpił punkt zwrotny i... -Wyraz jego twarzy sprawił, że urwała. - Jesteś na mnie zły. Nie dziwię się. Zachowałam się okropnie. - Poglądziła go po ramieniu. - Straciłam nad sobą kontrolę, a ty byłeś taki słodki i wstrzemięźliwy.

— Słodki i wstrzemięźliwy? Pamiętasz, co się wydarzyło?

- Oczywiście - odparła zdumiona sugestią, że mogłaby zapomnieć.

Oparta o szafki, popijała kawę. - Próbowałam... dobrać się do ciebie.

Trochę to nie w moim stylu. W każdym razie jestem ci wdzięczna za wyrozumiałość. Wcale bym ci nie miała za złe, gdybyś zostawił mnie na podłodze. - Sprawiała wrażenie bardziej rozbawionej niż zniesmaczonej. -

To musiało być straszne. Nie wyobrażam sobie, aby kogokolwiek mogła pociągać pijana kobieta, jednak ty okazałeś się prawdziwym dżentelmenem. Dziękuję.

Psiakrew, co za tupet! - pomyślał zirytowany. Nawet nie ma na tyle przyzwoitości, aby czuć się zawstydzona! Co gorsza, z niego robi jakiegoś bohatera!

- Byłaś żałosna - mruknął.

- Wiem. - Jej wesoły śmiech zburzył resztki jego samokontroli. - To dla mnie nowe doświadczenie. Nigdy w życiu się tak nie upiłam i wątpię, bym chciała to powtórzyć. Miałam szczęście, że byłam sama w domu i że to ty się mną zaopiekowałeś. Mogę poczęstować się bekonem?

Opanuj się, nakazał sobie Shane, wsłuchując się w głośnie, choć miarowe uderzenia swojego serca.

- Jesteś trzeźwa, Rebeko? - spytał ze spokojem.

- Stuprocentowo. - Wsadziła do ust kawałek bekonu i oblizwała się ze smakiem. -I długo zamierzam taka pozostać.

Nie spuszczał z niej wzroku, pokiwał wolno głową.

- Nic ci nie dolega?

Zamierzała potwierdzić, kiedy nagle w jej głowie rozległ się dzwonek ostrzegawczy. Zerknęła podejrzliwie na Shane'a. Widząc groźny błysk w jego oczach, cofnęła się krok.

- Shane...

Przyciągnął ją do siebie. Kubek wypadł jej z ręki, kawa rozlała się po podłodze.

- Uważasz, że ubzdryngolona nie mogłaś się nikomu podobać? -
Pocałował ją, po czym przyparł plecami do lodówki. - A ja byłem... Jaki? -
Ponownie ją pocałował. - Wyrozumiały, słodki, wstrzemięzliwy?

- Tak... Nie... - Oszołomiona, nie była w stanie się skupić.

- Powstrzymałem się... - Ujął ją za brodę. Jego oczy ciskały
gromy. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię pragnąłem!

Powoli zaczęła to sobie uzmysławiać. Spragnione usta, natarczywe
dłonie, przylegające ciała. Była jak воск, miękki, cudownie pachnący
wosk. Wtapiała się w Shane'a, wydając ciche, zmysłowe pomruki.

- Dłużej tego nie zniosę. - Chwycił ją na rękę.

- Poczekaj. - Wystraszona, próbowała się uwolnić.

- Nie! - Jego oczy niemal przewiercały ją na wylot. - Jeśli chcesz
zaprotestować, zaprotestuj. Szybko i zdecydowanie. Powiedz, że mnie nie
chcesz. Żebym cię zostawił.

Przycisnęła dłoń do jego serca; biło jak oszalałe. Ręka jej zadrżała.
Ale nie ze strachu. Nie, to nie był strach, to było pożądanie.

- Nie mogę - szepnęła. - Bo bym skłamała. Uśmiechnął się
triumfalnie.

- Wiedziałem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chciała zapamiętać wszystko, zachować w sercu i w pamięci każdy ruch, każdy dźwięk, każdy dotyk. Chciała móc odtworzyć we wspomnieniach to uczucie szczęścia i bezsilności, kiedy Shane niósł ją na górę, przystając co kilka kroków, by ponownie zgnieść jej usta w pocałunku. Jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie pragnął.

Nie myślała o przyszłości lub przeszłości; liczyła się tylko teraźniejszość.

Zadrzała, przerażona siłą własnego pragnienia. A to był dopiero początek.

Walczyła z guzikami koszuli Shane'a. Chciała go czuć. Bez bariery w postaci ubrania.

Dyszac ciężko, dotarł do sypialni.

- Trochę to przypomina wczorajszy wieczór - powiedział, opadając na łóżko. I na Rebeke. - Ale zdecydowanie wolę dzisiejszy poranek.

- Kurczę, nie mogę się tego pozbyć! - Roześmiała się wesoło. Nie przypuszczała, że można się śmiać, kiedy całe ciało drży z podniecenia.

- Twoje łatwiej się zsuwa. - Jednym płynnym ruchem pociągnął za pasek szlafroka, obnażając jej drobne jędrne piersi i smukłą kibić. Z cichym jękiem zachwytu przypadł do niej ustami.

Zalała ją fala nieznanych wrażeń. Nie miała siły dłużej walczyć z koszulą; odruchowo zwinęła dłonie w pięści. Każda nowa pieszczota, każdy ruch warg sprawiał, że przenikały ją setki rozgrzanych do czerwoności igiełek.

Jak to możliwe, żeby czuć tak wielką rozkosz i nie zwariować? - zastanawiała się. I jak to możliwe, żeby żyć latami bez takich doznań?

Leżała naga, a on napawał się jej widokiem. Skórę miała wilgotną, gorącą. Drżała, ilekroć przesuwał po niej dużymi, silnymi rękami.

Nie mógł się nią nacieszyć. Jedwabista skóra, długie nogi, wąska talia, małe twarde piersi. Miał ochotę ją zjeść, kawałek po kawałeczku. Wiła się zmysłowo. Reagowała tak, jakby wszystko było dla niej nowością. Wyginała plecy, mruzczała, jęczała.

Z żadną kobietą nie czuł się tak wolny, tak silny, tak pożądany.

Kiedy usiadł na brzegu łóżka, żeby zdjąć buty, owinęła się wokół niego. Naga, rozpalona, obejmowała go w pasie, obsypywała pocałunkami jego ramiona i kark.

- Szybciej. - Szarpnęła mu podkoszulek i wtuliła się w jego plecy. - Boże, jakie masz wspaniałe ciało...

Obrócił się do niej i przywarł do jej ust, przesuwając dłońmi po jej ciele. Z głośnym sykiem wciągnęła powietrze i na moment znieruchomiała. Raptem, wbijając mu paznokcie w plecy, zaczęła kołysać biodrami.

- Nie mogę dłużej - wychrypiał. Odepchnął ją i przez chwilę walczył z zamkiem, co mu się nigdy wcześniej nie zdarzało. Wreszcie pozbył się dzinsów.

- Chcę ciebie. Chcę cię poczuć.

- Tak! Szybciej! - Zacisnęła ręce na jego biodrach. Nie mogła się doczekać.

Zamarł z przerażenia, kiedy Rebeca krzyknęła. Nie, to niemożliwe. Nie wierzył. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- O Boże, Rebeko. Nie ruszaj się.

- Co? - Była daleko, w innym świecie, półprzytomna ze szczęścia. - Co mówisz?

- Na miłość boską, nie ruszaj się - powtórzył przez zaciśnięte zęby, usiłując odzyskać nad sobą kontrolę. Był na krawędzi, jeszcze moment i...

- Już więcej nie sprawię ci bólu. - Sapał ciężko. Nie mógł złapać tchu.

- Muszę tylko...

- O czym ty mówisz? - spytała zdumiona i objęła go nogami w pasie.

- Błagam, nie...

Nie dokończył. Dziki, pierwotny instynkt był silniejszy. Już nie było rozumu, istniała tylko potrzeba, pragnienie, żądza. Nie mógł się temu oprzeć. Ogarnęło ich szaleństwo; świat skurczył się do dwóch ciał złączonych w miłosnym uścisku. Zatracali się w uniesieniu, odurzeni, bez tchu.

Wreszcie Shane opadł na jej omdlałe ciało.

- Przepraszam - wysapał. Wiedział, że ją gniecie, że powinien się przesunąć, ale nie był w stanie ruszyć palcem. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak wyczerpany z energii.

To chyba wyrzuty sumienia pozbawiły go siły.

Rebeca leżała pod nim wstrząsana gwałtownymi dreszczami.

Psiakrew! Był pewien, że płacze.

- Powinnaś była mnie uprzedzić... - Nerwowo zastanawiał się, jak ją pocieszyć, ale nie miał w tej materii doświadczenia; nigdy nie kochał się z dziewczyną.

- Uprzedzić? - spytała tak cicho, że ledwo ją słyszał.

- Wtedy bym na ciebie nie napierał. Nie próbowałbym... Do diabła, kogo ja oszukuję? Niczego by to nie zmieniło. - Nadludzkiem wysiłkiem podniósł głowę i popatrzył jej w twarz. Oczy miała zamknięte, wargi rozchylone. - Sprawilem ci ból.

Otworzyła oczy. Wciąż przeklinał się w duchu. Nagle skonfundowany zobaczył, jak jej nabrzmiałe usta wyginają się w uśmiechu.

- Nie sprawileś. Czuję się wspaniale.

- Ale...

- Czy zawsze tak jest? - Westchnęła błogo. - Że człowiek traci głowę? Że się przenosi w inny świat, taki... prymitywny, niemal zwierzęcy?

- Tak. Nie. Tak. - Chryste, co ma jej powiedzieć? - Przepraszam, jeszcze jestem zbyt skołowany.

Uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Nie byłam pewna, czy się sprawdzę... Czy będę wiedziała, co robić.
Ale udało się, prawda?

Nic z tego nie rozumiał. Rebeca nie płakała, nie była smutna.
Wyglądała jak kocica, która schrupała parę kanarków.

- Rebeko, ty dotąd nie byłaś z mężczyzną - oznajmił wolno.

- Jakoś wcześniej te sprawy mnie nie interesowały. - Objęła Shane'a
za szyję i nagle uśmiech w jej oczach zgasł. - Byłam kiepska, tak?
Rozczarowałam cię? Nie czujesz tej cudownej błogości, co ja?

- Jestem ledwo żywy. Wykończony. - Stoczył się na materac i potarł
dłońmi twarz. - Straciłem kontrolę...

- Nie spisałam się? Przepraszam. - Zawstydzona swoim brakiem
doświadczenia, usiadła. - To był mój pierwszy raz. Powinieneś być
bardziej wyrozumiały...

Zaklął pod nosem i przytrzymał ją za łokieć, by nie wstała.

- Spójrz na mnie - poprosił. - Nie zamierzam wystawiać żadnych
ocen, ale jedno ci powiem: pragnę cię. Tak, teraz. Znów. Tak bardzo cię
pragnę, że mógłbym cię zjeść. - Na moment zamilkł. - Żałuję tylko, że
mnie nie uprzedziłaś. Gdybym wiedział, byłbym ostrożniejszy. Delikatniej
bym się z tobą obchodził.

- Nie wyrządziłeś mi krzywdy. - Pogładziła go po policzku. - A ja
specjalnie nic nie mówiłam. Bałam się, że to cię zniechęci. Że wolisz
bardziej wyrafinowane partnerki.

- Kim jesteś, Rebeko? - spytał ochryple. - Dlaczego nie umiem cię
rozgryźć?

- Ja też nie umiem - przyznała. Zbliżyła usta do jego ust i westchnęła, kiedy wziął ją w ramiona. - To był najbardziej fantastyczny pierwszy raz, jaki można sobie wyobrazić. Jesteś niesamowitym kochankiem.

- Tak myślisz? - Wtulił nos w jej szyję. - Rebeko... ?

- Mmm?

- Czy wszyscy faceci na uczelni to ślepcy? Naprawdę żaden nie próbował cię uwieść?

Pocałowała go w ramię.

- Nie dziwiłbyś się, gdybyś mnie widział rok temu. Przedstawiłam straszny widok. - Teraz, gdy leżała w jego ramionach, mogła się przyznać.

- Połączenie kujona z szarą myszką.

- Maleńka, żaden kujon nie ma tak pięknych oczu. Od patrzenia w nie człowiek dostaje zawrotu głowy.

- Serio? - zdumiała się.

Przytulił ją mocno do piersi.

- Musimy się kochać jak najczęściej. Seks ma tę zaletę, że wyostrza zmysły, a przytępia rozum. - Ujął ją za brodę i pocałował lekko w usta. - Gdyby nie czekała na mnie praca, mogliśmy od razu przystąpić do dzieła.

- Postarasz się szybko wrócić? - spytała, gładząc go po brzuchu.

Serce waliło mu jak szalone. Powstrzymał ręce Rebeki, zanim zsunęły się niżej.

- Uwinę się migiem.

Została w łóżku, kiedy Shane zszedł na dół. Biedak, pomyślała. Był na nogach już tyle godzin, a dopiero teraz zasiądzie do śniadania. Ale to miło, że miał większy apetyt na nią niż na jedzenie.

Nigdy nie uważała się za ponętą kusicielkę. A jednak Shane nie potrafił się jej oprzeć. Był ledwo żywy, wykończony. Tak powiedział. Cudownie jest być kobietą i mieć tak wielką władzę.

Chętnie spędziłaby cały ranek w ramionach Shane[^], ale cieszyła się, że może pobyć sama, wspominać każdy dotyk, każdą sekundę rozkoszy.

Nie do wiary. Doktor Rebeca Knight, cudowne dziecko, młodociany geniusz, wybitny naukowiec, intelektualistka, która w świecie książek czuje się jak w domu, a wśród ludzi uchodzi za dziwaczkę, ma kochanka, którego inne kobiety mogą jej tylko pozazdrościć.

Wzdychając błogo, ułożyła się wygodniej na zmiętych poduszkach.

Shane... ciemnowłosa mężczyzna o twarzy anioła, o dłoniach spracowanego farmera, o boskim ciele. Taki był na zewnątrz. Z wyglądu. A z charakteru... był słodki, szlachetny, czarujący. Nieco wybuchowy, ale to mu tylko dodawało uroku. Twardo stapał po ziemi: ciężko pracował, sumiennie wykonywał obowiązki, kochał rodzinę, szanował swoje korzenie, potrafił śmiać się z samego siebie.

W dodatku świetnie radził sobie w kuchni.

Po prostu ideał. Była bliska zakochania się w ideale.

Nagle poderwała się na łóżku i przełknęła nerwowo ślinę. Psiakrew, przecież to typowa reakcja. Autorzy podręczników zgodnie twierdzą, że kobiety nie potrafią oddzielić przeżyć fizycznych od emocjonalnych. Dla kobiet seks równa się miłość.

Kto jak kto, ale ona powinna mieć tego świadomość. W końcu była psychiatrą.

Opadła na poduszki. Inteligencja, wykształcenie, rozsądek niewiele tu mogły pomóc. Przyłożyła rękę do serca.

Jest zakochana. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Starła się to zignorować, wmawiała sobie, że tak nie jest, ale jak długo można się oszukiwać?

Co teraz? Jeszcze niedawno rzuciłaby się do ucieczki. Bała się, że jeśli wyzna Shane'owi miłość, wystraszy go. Spokojnie. Przecież szukała nowych wrażeń, nowych doświadczeń. Może tak to powinna potraktować? Jako eksperyment. Nie walczyć z uczuciem, zaakceptować je i czekać, co się wydarzy.

Spędzić w Antietam kilka tygodni, ciesząc się życiem, a potem... Cóż, jeśli będzie musiała się obyć bez Shane'a, to trudno. Nie zawsze można mieć wszystko. Może będzie cierpiała, może rozstanie sprawi jej ból, ale jakoś sobie poradzi.

Dobrze wiedziała, że gorsza od bólu jest pustka.

Mimo że nastał wrzesień, z nieba wciąż lał się żar. Dochodziło południe. Shane, mokry od potu, z zakrwawioną ręką, którą rozharatał o wystającą śrubę, ruszył do domu. Był brudny i śmierdzał nawozem, ale narobił się i należał mu się odpoczynek. Każdą minutę tych dwóch godzin zamierzał spędzić z Rebeką. Pragnął się z nią kochać, trzymać ją w ramionach.

Seks zawsze był dla niego przyjemnością. Jednakże seks z Rebeką był czymś więcej: upojeniem, rozkoszą, delirium. Nie mógł się doczekać, żeby go znów zakosztować. Znów wyruszyć w tę cudowną podróż.

Jak zwykle siedziała przy kuchennym stole, w okularach na nosie, z palcami na klawiaturze. Słyszając jego kroki, uniosła wzrok; uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Boże, jaka jesteś piękna - rzeki, czując klucie w sercu. Ze zdumieniem odkrył, że zaciska rękę na klamce, żeby nie stracić równowagi.

Przyglądała mu się w milczeniu. Nikt dotąd nie nazwał jej piękną. Shane wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Gdybyś jeszcze umiała gotować - westchnął teatralnie.

- Przygotowałam dzbanek mrożonej herbaty.

- Dobrze i to - ucieszył się, bo w gardle całkiem mu zaschło. Nalał sobie herbaty, wypił haust i zakrztusił się. - Rany boskie, ile użyłaś torebek?

Miał nadzieję, że oczy mu nie wyskoczą z orbit. Czuł się, jakby dostał potężny cios prosto w splot słoneczny.

- Z tuzin.

- Nawet umarłego ten napój postawiłby na nogi.

- Ojej, przepraszam. Pewnie torebki nie powinny też naciągać przez trzy godziny?

- Nie, nie powinny. - Ostrożnie odstawił szklanekę. - Możemy ją rozcieńczyć. Mam pięćdziesięciogalonowy pojemnik...

- Zrobię ci kanapkę - zaproponowała, odsuwając krzesło.

- Nie trzeba - powstrzymał ją. - Sam zrobię. Lepiej się do mnie nie zbliżaj. Cuchnę.

Czując narastające podniecenie, Rebeca oblizwała wargi.

- Jesteś strasznie brudny. I spocony. Zdejmij koszulę.

Po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Uwielbiam, jak kobieta wie, czego chce - szepnął, cofając się krok.
- Ale lepiej nie podchodź. Wolałbym cię nie dotykać, dopóki porządnie nie wyszoruję rąk.

Spojrząwszy na nie, wydała okrzyk zaniepokojenia.

- Są zakrwawione!

- Otarłem skórę. Nic groźnego.

- Daj...

Ujęła go za rękę, odkręciła kran i delikatnie zaczęła omywać ranę. Stał obok, fantazjując o wspólnym prysznicu. Ciepły strumień wody, śliskie ciała, kłęby pary...

- No dobrze, nie umrzesz. Ale musisz bardziej na siebie uważać. -
Wciągnęła w nozdrza powietrze.

- Faktycznie nie za ładnie pachniesz. Co robiłeś?

- Rozrzuciłem nawóz.

Wytrzeszczyła oczy.

- Rękami?

Ze śmiechu aż go rozboleły zębra.

- Nie, kotku. Nawet mieszkańcy zapadłych dziur miewają nowoczesny sprzęt.

- Cieszę się. - Odwróciła się i wpadła na lodówkę.

- Psiakość. Dawno mi się to nie zdarzyło. - Ściągnęła z nosa okulary.

- Kiedyś ciągle zapominałam je zdjąć i bez przerwy na coś wpadałam.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Pani profesor bywa zapominalska?

- Raczej roztargniona. Ale tylko w życiu prywatnym. Spytaj mnie o cokolwiek z dowolnej dziedziny wiedzy, a podam ci wszystkie informacje, z numerem rozdziału i strony włącznie.

- Wełna.

Trzymając w ręce talerzyk z wędlinami, zamknęła lodówkę.

- Słucham?

- Zastanawiam się nad kupnem owiec. Powiedz mi coś na temat wełny.

- Nie bądź śmieszny.

Wzruszywszy ramionami, sięgnął po bułkę.

- Odkryłem dziedzinę, o której nic nie wiesz.

Zmrużyła oczy i zaczęła wywód.

- Wełna... włókno uzyskiwane z okrywy włosowej żywych zwierząt, ssaków typu owca, koza, wielbłąd. Wełna owiec, zwana runem lub strzyżką, stanowi cenny surowiec do wyrobu wysokiej jakości tkanin. A także lanoliny, którą wytwarza się z usuniętego z wełny tłuszczu. Mam kontynuować?

Przyglądał się jej z rozbawieniem w oczach.

- Nieźle. Jestem pod wrażeniem. Powiedz, co robiłaś, kiedy ja chodziłem do szkoły średniej?

- Przypuszczalnie uczęszczałam do ekskluzywnej szkoły z internatem w Szwajcarii.

Coś w jej tonie sprawiło, że zastrzygł uszami. Kiedyś wróci do tego tematu. Słowo „internat” wypowiedziała z takim obrzydzeniem, z jakim on wypowiadał słowo „wątróbka”.

- Hm, co cię skłoniło do takiego wyboru studiów?

Poczuła się spięta. Nie chciała rozmawiać o przeszłości. Może feministki by ją zganiły za takie podejście, ale wołała, żeby Shane bardziej pasjonował się jej ciałem niż umysłem.

- Wyboru dokonali rodzice. Wszystko mieli dokładnie zaplanowane. Ja dopiero później mogłam skupić się na tym, co mnie interesowało. -
Widać było, że chce zakończyć temat.

Wyjął z szafki musztardę.

- Musiałaś zrobić wrażenie na nauczycielach.

- To byli nauczyciele nawykli do pracy z utalentowanymi dziećmi.

- Moi starzy cieszyli się, jak przez tydzień nie byłem wzywany do dyrektora. A twoi... wyobrażam sobie, jacy byli z ciebie dumni.

- Bo ja wiem? Oboje mają na koncie mnóstwo sukcesów - oznajmiła sucho. - Ojciec jest jednym z najlepszych chirurgów naczyniowych w kraju, a matka cenionym chemikiem przemysłowym. Nie mieściło im się w głowie, że ich dziecko mogłoby wyrosnąć na przeciętnego człowieka. Masz jeszcze jakieś pytania?

Słyszając chłód w głosie Rebeki, zrozumiał, że znów wszedł na śliski grunt. A przecież nie chciał sprawić jej przykrości. Obróciwszy się, zobaczył również chłód w jej oczach. Postanowił jak najszybciej naprawić swój błąd.

- Tylko jedno - odparł. - Co masz pod bluzką? Odprężyła się.

- To, co zwykle.

Uśmiechając się pod nosem, postawiła talerzyk na stole.

- Chcesz się przekonać?

- Bardzo.

Cofnęła się za krzesło.

- Po lunchu.

Kąciaki ust mu zadrżały, oczy rozbłysły. Wyglądał groźnie.

- Nie jestem głodny. Zaczęli okrażać stół.

- Musisz mieć siłę. Żeby rozrzucać nawóz.

- Zjadłem duże śniadanie. Pyszne, sycące śniadanie. - Podbiegł dwa kroki, ale zdołała mu się wymknąć. - Jesteś szybka.

- Wiem.

Wreszcie chwycił ją wpół i wziął na ręce. Roześmiała się.

- Ale ja jestem szybszy.

- E tam. Pozwoliłam się złapać.

- Akurat! - Pocałował ją mocno, a potem zaczął obracać się wokół własnej osi.

- Zakręci mi się w głowie! - krzyknęła, wbijając paznokcie w jego ramiona.

Obracał się coraz szybciej, a ona piszczała zachwycona. Uwielbiał jej dźwięczny śmiech. Uwielbiał jej bliskość, jej dotyk. Nagle zrozumiał, że nie wyobraża sobie życia bez niej...

- John! Puść mnie, głuptasie. - Odchyliła głowę. Wszystko wirowało jej przed oczami. - Kolacja się spali!

Czuła lekki swąd; spód garnka na pewno będzie czarny. Czuła też zapach męża: zapach potu, dymu, zwierząt. Pod fartuszkim, którym była przepasana, poczuła kopnięcie dziecka.

Strach i panika podeszły Shane'owi do gardła. Postawił Rebekeę na podłodze i obejmując ją w pasie, żeby nie upadła, lekko potrząsnął za ramię.

- Hej, co ci jest?

- To znów... Tak jak wczoraj. - Była biała jak kreda, spojrzenie miała mętne, głos rozmarzony. - W garnku przypala się gulasz. Przyniosłeś więcej szczapek? Bo ogień wygasa... - Przytknęła rękę do brzucha. - Tym razem urodzi się nam córeczka. Johnnie będzie miał siostrę...

Wtem, jak za naciśnięciem magicznego guzika, mgła znikła jej sprzed oczu.

- Szybko! - Oswobodziwszy się z objęć Shane'a, pobiegła do salonu. - Popatrz! Sensory coś rejestrują, w dodatku silniej niż wczoraj. Czujesz energię? Powietrze jest naładowane elektrycznością.

Shane stał bez słowa, patrząc, jak Rebeca sprawdza pokręta, monitory, czujniki. Skupiona na pracy, zdawała się nie pamiętać o bożym świecie.

- Początek: godzina trzynasta dwadzieścia zero pięć - powiedziała do magnetofonu. - Silne bodźce sensoryczne, wizualne i węchowe.

Zamyśliwszy się, przeczesła ręką włosy, po czym dokładnie opisała całe zdarzenie.

- Podsumowując: atmosfera zadowolenia, miłości, poczucie bezpieczeństwa. Możliwe, że podniecenie erotyczne wywołała wcześniejsza stymulacja, a nie obecny incydent. - Zmarszczyła w zadumie czoło. - Koniec: trzynasta dwadzieścia cztery pięćdziesiąt osiem. Czas: cztery minuty i pięćdziesiąt trzy sekundy. Jak dotąd najdłużej trwający incydent.

Odetchnąwszy głęboko, położyła magnetofon na stoliku.

- I najsilniej odczuwalny - dodała szeptem.

- Wcześniejsza stymulacja?

Głos Shane'a wyrwał ją z zamyślenia.

- Przepraszam, co mówiłeś?

- Tak to nazywałaś? Wcześniejszą stymulacją?

- Tak. - Ponownie przeczesła ręką włosy. - To było niesamowite.

Wczoraj wieczorem siedziałam w kuchni i nagle zobaczyłam, jak wszystko się zmienia. Pomieszczenie trochę się skurczyło, w piecu płonął ogień, na parapecie stały ciasta. Gdzieś w głębi domu płakało niemowlę. Och, Shane... - Błysk w jej oczach zdawał się rozświetlać cały salon. - Nagrałam ten płacz. Mam go na taśmie!

Przycisnęła ręce do rozgrzanych policzków i roześmiała się.

- Sama nie mogłam w to uwierzyć. Puszczalam taśmę z pięć razy.

Dlatego wyciągnęłam wino. Chciałam oblać sukces, tyle że wypłam za dużo. Zamierzałam ci o tym rano powiedzieć, ale mnie zdekoncentrowałeś.

- Zdekoncentrowałem... ?

Dopiero po dłuższej chwili usłyszała irytację w jego głosie.

Podniosła wzrok. Był blady, spięty, zły.

- Dlaczego jesteś zły? - spytała. Czowała się jak balon, z którego uszło powietrze.

- To wszystko jakieś bzdury - warknął. Wolał okazać gniew niż strach. - Poza tym nie życzę sobie być źródłem twojej dekoncentracji ani sprawcą stymulacji.

- Nic nie rozumiesz...

- Nie szkodzi. Z łaski swojej, nie poddawaj mnie psychoanalizie.

- Ciebie nie dławi złość - szepnęła. - Ciebie dławi strach.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałaby trupem.

- Przepraszam, praca na mnie czeka.

Rebeca złapała go za rękaw.

- Powiedziałeś, że mi pomożesz. Obiecałeś.

- Daj mi spokój. - Stracił jej rękę. - Zostaw mnie.

Zagroziła mu przejście. Wiedziała, że inny mężczyzna by ją odepchnął. Shane był silny, miał wybuchowy temperament, lecz nigdy nie skrzywdziłby kobiety.

- Też to czułeś. Dokładnie to samo, co ja. Widzę to po twoich oczach.

- Powiedziałem: daj mi spokój. - Skierował się do wyjścia.

- Kim byli John i Sarah?

Przystanął. Rebeca wstrzymała oddech.

- Ona miała na imię Sarah. Kim oni byli, Shane? Kim myśmy byli parę minut temu?

- Jestem tym samym człowiekiem, co przed chwilą. Ty również. Jeżeli chcesz kontynuować tę dziwną grę, proszę bardzo, ale beze mnie.

- Czy John i Sarah to twoi przodkowie? - Rebeca nie dawała za wygraną.

Obrócił się na pięcie i podszedł do lodówki. Wyjął piwo i jednym haustem opróżnił pół butelki.

- To moi prapradziadkowie.

- Aha. - Pokiwała głową. - Mieszkali w tym domu, w czasie bitwy nad Antietam. Próbowali uratować młodego żołnierza Unii...

- Według legendy.

- To, co było przed chwilą... to nie pierwszy raz, prawda?

Spostrzegłszy, jak Rebeca zerka na komputer, zacisnął zęby.

- Nic z tego. Nie mam ochoty być królikiem doświadczalnym.

- Przepraszam - szepnęła. Zbliżywszy się, położyła rękę na jego ramieniu. - Od paru lat miewam dziwne sny. Teraz wiem, że dotyczą one tego domu i jego dawnych mieszkańców.

Shane odjął od ust butelkę, ale nie odezwał się. Rebeca odczekała chwilę, zastanawiając się, czy słusznie robi, zdradzając mu swoją tajemnicę. Postanowiła jednak kontynuować.

- To z ich powodu postanowiłam zająć się sprawami nadprzyrodzonymi. Te sny są takie... wyraziste. Wielokrotnie widziałam tutejszy salon i kuchnię, nie w dzisiejszej postaci, ale tak, jak wyglądały kiedyś. Widziałam Johna i Sarah. Mogę ci ich dokładnie opisać, jako młodych małżonków i jako starszych ludzi. Nie wiem, czy masz jakieś zdjęcia, żeby porównać... Mogę powiedzieć ci, o czym Sarah myślała, co czuła, czego pragnęła. Podejrzewam, że ty z kolei znasz myśli i pragnienia Johna.

- Nie - oznajmił zdecydowanym tonem. - To absurd.

W geście bezsilności rozłożyła ręce.

- Uważasz, że wszystko zmyślam?

- Uważam, że zbyt wiele informacji kotłuje się w twojej uczonej głowie. - Upił łyk piwa. - Ja wolę zwykłą codzienność.

Mogła mu powiedzieć, że w psychologii to się nazywa syndromem wyparcia, ale nie chciała go drażnić. Uznała, że cierpliwością i zrozumieniem osiągnie znacznie więcej.

- Dobrze. Zostawmy to. Ale pamiętaj: gdybyś czuł potrzebę, zawsze możesz ze mną na ten temat porozmawiać.

- Nie jesteś moją terapeutką.

- Nie, nie jestem - przyznała. Odstawił z hukiem butelkę.

- Chcę się z tobą kochać. Niczego więcej nie pragnę. Tylko tego, żeby cię trzymać w ramionach.

- Chwyciwszy ją za rękę, skierował się ku drzwiom.

- Sny są iluzją, duchy niech straszą w filmach. Źródło dekoncentracji, psiakrew!

Kiedy tak ciągnął ją po schodach na górę, Rebekeę ogarnął strach, a zarazem podniecenie.

- Nie chciałam cię urazić.

- Za dużo myślisz, analizujesz. Ja lubię proste fakty. - Usiadł na łóżku i zrzucił buty.

- Proste fakty... ?

Zdjął koszulę, rozpiął pasek.

- Pragnę cię. Na samą myśl o tobie zalewam się potem. To są proste fakty. To jest życie.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Kochaj mnie. - Uniosła głowę, nadstawiając usta do pocałunku.

Ukoił go. Odpędziła jego lęki i troski.

Miał wrażenie, że odnalazł swoją drugą połówkę; czuł, że nigdy nikogo wcześniej nie kochał i nikogo innego nie pokocha. Ta myśl sprawiła mu przyjemność, a jednocześnie przeraziła.

Umierając z rozkoszy, resztkami sił bronił się przed miłością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Przeżyłam już trzy incydenty na farmie. Ostatni miał miejsce dzisiejszej nocy. Czułam wprost rozdzierający smutek. Przy łóżku paliła się świeca. Przez moment wydawało mi się, że ktoś stoi przy oknie. Stoi i patrzy na czarne niebo. Smutek, który czułam, bił również od postaci przy oknie. Pomyślałam, że to Shane. Odrzuciłam kołdrę, by wstać, ale nagle zobaczyłam, że Shane śpi obok mnie. Kiedy spojrzałam na okno, nikogo nie było.

Shane poruszył się niespokojnie we śnie. Też miewa sny i czuje obecność Sarah i Johna, lecz nie chce o nich mówić. Choć z ludźmi, którzy tu mieszkali i w pewnym sensie nadal mieszkają, jest spokrewniony. Najdziwniejsze jest to, że ja chyba też jestem z nimi spokrewniona.

Ponieważ ten temat go drażni, nie wspomniałam mu o mojej nocnej wizji. Może zachowuję się nieprofesjonalnie, ale uważam, że miłość rządzi się własnymi prawami. Tak bardzo kocham Shane'a, że chcę go chronić i dostarczać radości, a nie nowych zmartwień.

Co on do mnie czuje? Na wszelki wypadek nie pytam. Rozmawiamy o wszystkim, ale nie o sprawach sercowych. Teraz wyszedł; pracuje na polu. Pracy na farmie jest mnóstwo, lecz on nigdy nie narzeka. Mogłabym spędzać z nim każdą sekundę i wciąż byłoby mi mało. Miłość... to cudowne uczucie: uczy pokory, a zarazem wyzwala w człowieku wszystko, co najlepsze. Cieszę się, że mogłam jej doświadczyć.

Gdyby to było możliwe, chętnie zamroziłabym - lub jakoś uwieczniła - dowolny fragment mojego obecnego życia. Później, na starość, mogłabym je oglądać, wspominać, przeżywać na nowo.

Dziwne fantazje miewają zakochane kobiety".

Usłyszała szczekanie psów i jakieś głosy. Pośpiesznie zapisała dokument i zmieniła obraz na ekranie. Po chwili Devin otworzył drzwi; za nim do środka wpadli chłopcy i psy.

- Przepraszam. Nie chcieliśmy ci przeszkadzać.

- Nic nie szkodzi. - Odruchowo pogładziła Freda i Ethel. - Właśnie skończyłam.

- Cassie kazała mi przynieść placek z jabłkami, bo Shane pewnie chodzi głodny. Jak wszystkie lituje się nad biedakiem. - Devin postawił talerz na blacie.

- Jest pyszny - poinformował Reбекę Bryan. Czując się jak u siebie w domu, zajrzał do lodówki.

- Pisziesz książkę? - spytał Connor, zazdrośnie wpatrując się w laptopa.

- Na razie tylko notuję spostrzeżenia - odparła Rebeca. - Powiedz, Con, pracujesz na komputerze?

- Czasem. W szkole. Ale tam mamy inne, duże.

- Chcesz spróbować popisać na moim?

- Mógłbym? - Spojrzał na ojczyma. - Ale... ale ja się nie znam na takich.

- Niczym się nie różnią od dużych. - Widząc zapał w oczach chłopca, wyciągnęła rękę. - Nie bój się, nic nie zniszczysz.

- Cóżes ty, kobieto, uczyniła? - mruknął Devin. - Teraz nie da mi spokoju, dopóki nie kupię mu laptopa.

- Używane można dostać za grosze. - Wstała, odstepując Connorowi miejsce. - Siadaj. Podstawowe funkcje znasz, prawda?

- Pewnie. - Wystukał swoje imię i nazwisko: Connor MacKade.

- A gry też masz? - spytał Bryan.

- Nie. To jest wyłącznie narzędzie pracy.

Straciwszy zainteresowanie komputerem, Bryan zerknął na placek z jabłkami.

- Nic z tego, kolego - powiedział Devin, po czym zwrócił się do Rebeki. - Przyszliśmy pomóc Shane'owi. Wkrótce pojawi się reszta bandy.

- Skierował się ku drzwiom. - Chłopaki, nie przeszkadzajcie Rebecce.

Najdalej za kwadrans macie dołączyć do nas na polu.

Rebeca wyszła za nim na ganek.

- Devin, znasz ten dom...

- Jak własną kieszeń - rzekł, przystając.

- Czy mieszkając tu, kiedykolwiek miałeś jakieś... omamy? Zwidy?

Doznania natury paranormalnej?

- Jeśli pytasz, czy miejsce jest nawiedzone, to owszem.

- Mówisz to tak zwyczajnie.

- Bo przywykłem do naszych duchów. Zresztą trudno nie przywyknąć, jak się z nimi stale obcuje.

- Niektórzy twierdzą, że tu wcale nie straszy. - Popatrzyła na pracującego w polu Shane'a.

Devin powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Shane to uparciuch.

- Wiem.

- Ale i wrażliwiec. Oczywiście rozkwasiłby mi nos, gdyby słyszał, co mówię. - Na moment zamilkł. - W tym domu krąży wiele wspomnień, wiele emocji. On je wszystkie odbiera. I cierpi.

- Ale nie chce się wyprowadzić.

- Bo kocha to miejsce. Każdy kamień, każdą piędź ziemi.

Wyobrażasz go sobie gdzieś indziej?

Ponownie zerknęła na pole i uśmiechnęła się.

- Nie, nie wyobrażam... Mogłabym mu pomóc. Gdyby mi pozwolił.

- Pewnie byś mogła. - Devin westchnął cicho. Wiedział, że kobiety tracą dla Shane'a głowę, ale Rebeca była inna. Bał się, że brat złamie jej serce. - No, stary - mruknął. - Do roboty...

Idąc przez pole, powtarzał w myślach, że nie powinien się wtrącać do cudzych spraw. Przez kilka minut bracia pracowali w milczeniu.

Wreszcie Shane zgasił silnik.

- Rafe z Jaredem wpadną?

- Pewnie są już w drodze.

Shane zmrużył oczy i popatrzył na niebo.

- Zbiera się na deszcz. Mamy godzinę, góra dwie, żeby się z tym uporać. - Przeniósł spojrzenie na dom.

- Do jasnej cholery! - Devin wyciągnął chustkę i otarł z czoła pot. - Spałeś z nią.

- Z kim?

- Dobrze wiesz, o kim mówię! Musiałeś uwieść przyjaciółkę Regan? Nie dość się wokół ciebie kręci innych kobiet? Rebeca nawet nie jest w twoim stylu.

- Zawsze twierdziłeś, że nie mam stylu.

- Dobra, dobra. Słuchaj, to mądra, inteligentna dziewczyna, która poważnie podchodzi do życia. I nie igra z uczuciami. Tylko patrzeć, jak się w tobie zakocha. Co wtedy?

- To moja sprawa. Moja i Rebeki. Do niczego jej nie zmuszam.

Włączył ciągnik. Nie zamierzał dyskutować z nikim o swoim życiu. I nie zamierzał niczego w nim zmieniać.

Ucieszył się, kiedy zjawiła się reszta rodziny. Każda para rąk była na wagę złota. Poza tym zaabsorbowani pracą bracia nie mieli czasu dopytywać o jego prywatne sprawy.

Po godzinie odprężył się. Chyba uporają się ze wszystkim, zanim zacznie się burza. Widok dzieci bawiących się w ogrodzie, psów ganiających po podwórzu, kobiet kręcących się wokół domu też działał na niego kojąco. Podobnie jak cichy warkot ciągnika, głosy braci, słodki zapach siana. Od zachodu nadciągały ciemne chmury. To dobrze, ziemia potrzebuje deszczu.

Obejrzał się przez ramię, sprawdzając, gdzie stoi wóz z sianem. W domu ktoś gotuje obiad, przemknęło mu przez myśl. Na pewno nie Rebeca. Ona bawi się z dziećmi. Kiedy wejdzie do kuchni, spojrzy na niego i pośle mu uśmiech.

Najpiękniejszy uśmiech na świecie.

- Nawet nie zdążyłem zamienić słowa z Rebeką - oznajmił Rafe, nalewając sobie wody. - Jak jej idzie tropienie duchów?

- Idzie, idzie - mruknął Shane. - Niestety strasznie poważnie traktuje to swoje hobby.

- Co chcesz, jedni polują na duchy, inni grają w golfa - stwierdził Jared, ściągając z wozu kolejną belę siana.

- W golfie o coś chodzi. Można przegrać, wygrać.

- Dla niej badania, które prowadzi, są jak układanka. A sprawia wrażenie osoby, która lubi rozwiązywać problemy, szukać brakujących części.

- Może kupię jej puzzle - warknął Shane.

- Denerwują cię duchy? - Rafe odstawił szklanekę i wrócił do pracy. - Czyżbyś znów słyszał krzyki, jęki, brzęk łańcuchów?

- Odwał się.

- Swoją drogą, jak ci się mieszka z kobietą pod jednym dachem? - spytał Jared, chcąc zapobiec kłótni. Pojedyncze krople deszczu padały na ziemię, a oni jeszcze nie skończyli pracy. - Nie brakuje ci swobody?

Shane'owi zadrgały kąciki ust.

- Nie.

- A niech mnie kule biją! - Zauważywszy uśmiech brata, Rafe rzucił belę na ziemię. - Sypiasz z nią!

- Cholera jasna, mam to wypisane na czole, czy co?

- Psiakrew, mógłbyś choć raz nie wyskakiwać z portek! - Rafe splunął zde gustowany. - To kumpela Regan. Regan czuje się za nią odpowiedzialna.

- Niepotrzebnie! Rebeca jest dorosłą kobietą.

- Hej, chłopaki! - zawołał Devin. - Przestańcie gadać i bierzcie się do roboty.

- Zamknij się! - ryknął Shane, po czym zwrócił się do Rafe'a: - Zresztą to nie twój zakichany interes.

- Wszystko, co dotyczy Regan, to mój interes. Co ty o niej wiesz? Czy wiesz, jak ją wychowywano? Że całe życie spędzała w szkołach, w internatach, na lekcjach i kursach? Że...

- Co za różnica? - spytał Shane, zirytowany, bo faktycznie prawie nic o niej nie wiedział. - Ma rozum i potrafi go używać.

- Owszem, ma rozum. Ale poza tym jest niewinna jak dziecko.

- Przestańcie się kłócić - łagodził Devin. - Chcecie, żeby wszystko zmokło?

- Zajmij się sobą! - warknął Shane do Rafe'a. - Nie wtrącaj się do mojego życia.

Jared westchnął.

- Zdaje się, że zmoknie.

- Chodzi o Rebekę? - upewnił się Devin. - Mogliśmy się domyślić, że zacznie ją podrywać.

- Nie podrywałem.

- Akurat. Ledwo zdążyła rozpakować bagaże, a już ją obłapywałeś w mojej kuchni. Od razu powinienem był ci przywalić.

Shane zmrużył oczy.

- Jesteście tacy mądrzy, prawda? Wszyscy trzej. Macie żony, dzieci...

- Nawet nie zdawał sobie sprawy, ile w nim było złości. - A ja żyję po swojemu, więc odczepcie się ode mnie.

Przez okno w kuchni Rebeca obserwowała czterech mężczyzn. Z początku wyglądało, że coś omawiają, rozwiązują jakiś problem. Jednak ich rozmowa coraz bardziej przypominała kłótnię.

- Coś niedobrego się tam dzieje...

Tuląc do piersi niemowlę, Savannah zbliżyła się do okna.

- Zaraz się rzucą - stwierdziła obojętnym tonem.

- Rzucają? Na co?

- Na siebie. Dziewczyny! - zawołała do Regan i Cassie, które krzątały się przy kuchence. - Zaraz się zaczną zadymiać.

- Będą się bić? - Rebeca wytrzeszczyła oczy. - Dlaczego?

Regan otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

- Bo to lubią. I czasem się tłuką.

- Myślisz, że zdążymy ich powstrzymać? - spytała Cassie.

- Możemy spróbować... Nie. Za późno.

Rebeca z przerażeniem patrzyła, jak pięść Shane'a trafia w szczękę Rafe'a. Chwilę później obaj tarzali się po mokrej ziemi.

- Przygotuję lód. - Cassie podeszła do lodówki.

- Dlaczego Jared z Devinem ich nie powstrzymają? Stoją, gapią się i nic nie robią...

- Zaraz się przyłączą - stwierdziła Savannah.

I tak się stało. Devin pochylił się nad walczącymi. Jeśli zamierzał ich rozdzielić, poniósł sromotną klęskę. Teraz trzech facetów tarzało się w błocie.

- Powariowali?

Zanim Rebeca przeszła od okna do drzwi, do walki włączył się Jared. Zobaczyła kłębowisko ciał. W powietrzu latały przekleństwa.

Dotychczas bójkę widywała jedynie na filmach. Prawdziwa walka wydawała się groźniejsza, bardziej krwawa i bolesna.

- Będziecie beczynnymi patrzeć? Przecież to wasi mężowie.

- Hm... - Savannah pogładziła córeczkę po plecach. - Może się założymy, który wygra? Jako lojalna żona stawiam pięć dolców na Jareda.

- Dobra, ja pięć na Rafe'a - oznajmiła Regan.

- Cassie?

- Ja... Ale Devin nie spał pół nocy. Ally ząbkuje i...

- Forów nie dajemy - przerwała jej Savannah.

- A ty, Rebeko? Postawisz na Shane'a? Żeby nie był pokrzywdzony.

Rebeca pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Boże, nie jesteście lepsze niż oni! Zaraz zrobię porządek! -

Dziarskim krokiem ruszyła w stronę walczących.

Savannah rzuciła Regan porozumiewawcze spojrzenie.

- Jak mawia mój syn, zadurzyła się.

- Chyba tak. Trochę mnie to martwi.

- A ja uważam, że oboje na tym skorzystają - stwierdziła Cassie. -

Potrzebują siebie nawzajem, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą.

Dorośli faceci, a zachowują się jak dzieci! - powtarzała w myślach Rebeca. Zanim doszła na pole bitwy, była przemoczona do nitki. Przez

moment stała z włosami lepiącymi się do twarzy, bez słowa spoglądając na cztery ubłocone postacie. Do walczących przyłączyły się psy. Szczekając radośnie, raz po raz wskakiwały na skłębione ciała.

- Dość tego! - krzyknęła, ale posłuchały jej tylko zwierzęta. Usiadły z wywieszonymi jęzorami, podczas gdy mężczyźni nadal się grzmocili. - Powiedziałam: dość tego!

Jared popełnił błąd, bo podniósł głowę i spojrzał w kierunku głosu. Wtedy czyjś łokieć trafił go w szczękę. Jared nie pozostał dłużny: odwdzieczył się ciosem w najbliższy brzuch.

Kipiąc z oburzenia, Rebeca oparła ręce biodrach. Oprócz jęków i przekleństw całkiem wyraźnie słyszała śmiech. Idioci, uznała. Grzmocą się, a jednocześnie rechoczą.

Miała silny głos, który w czasie wykładów docierał do najdalszych rzędów. Postanowiła go użyć.

- Proszę natychmiast przerwać bójkę. W domu są małe dzieci. Zabłocona ręka Devina zawisała nieruchomo nad twarzą Rafe'a.

- Co?

- Powinniście się wstydzić. - Powiodła gniewnym wzrokiem po braciach. - Na co czekacie? No, wstawać! Ty! - Wskazała palcem na pierwszego z brzegu, czyli Devina. - Na miłość boską, jesteś szeryfem. Szeryf dba o porządek, o przestrzeganie prawa, a ty? Tarzasz się po błocie i wymierzasz ciosy jak najgorszy łobuz.

Dławiąc się ze śmiechu, Devin uwolnił się z kłębówiska rąk i nóg.

- Masz rację, Rebeko - mruknął. - Nie wiem, co mi odbiło.

- A ty! - Wskazała Jareda. - Prawnik, psiakrew! Co ci strzeliło do głowy?

- Nie wiem. - Pocierając obolałą brodę, Jared dźwignął się na nogi. - Nie mam pojęcia.

- Rafe MacKade. - Rebeca wbiła wzrok w męża przyjaciółki. - Biznesmen, filar miejscowej społeczności. Ojciec i mąż. Jaki przykład dajesz swoim dzieciom?

- Oj, kiepski. - Rafe wstał, starając się zachować powagę. Podejrzewał, że gdyby wybuchnął śmiechem, Rebeca szybko by go usadziła.

- A ty... - W jej głosie zabrzmiała taka pogarda, że Shane bał się drgnąć. - Miałam o tobie lepsze mniemanie.

- Chryste, jakbym słyszał mamę - mruknął Shane, a jego bracia pokiwali zgodnie głowami. - Nie ja zacząłem.

- Typowa reakcja. W ten sposób rozwiązujecie problemy?

Shane starł nieco brudu z obolałego policzka.

- Tak.

- To żalosne. Wszyscy czterej jesteście żałośni.

Karcący ton Rebeki sprawił, że trzej stojący mężczyźni zaczęli przestępować z nogi na nogę, a Shane spuścił głowę i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Przemocą niczego się nie osiągnie - kontynuowała Rebeca. - Nie ma problemu, którego nie można rozwiązać rozmową.

- Myśmy rozmawiali, tyle że za pomocą pięści - rzekł Shane.

- Mam nadzieję, że rozwiążecie konflikt jak dorośli, kulturalni ludzie. Jeżeli nie potraficie trzymać nerwów na wodzy, przynajmniej trzymajcie ręce przy sobie.

- Prawda, że jest cudna? - Shane zwrócił się do braci. - Cudna i jedyna w swoim rodzaju. Skarbie, chodź, daj mi całusa.

- Jeśli myślisz, że... - urwała, kiedy Shane zniechęca chwycił ją za rękę. Po chwili leżała na nim. -Kretyn. Idiota. Durny...

Przewrócił ją na wznak i przygniótł do ziemi. Rechocząc ze śmiechu, przycisnął usta do jej ust.

- Och, ty moja śliczna...

- Złaż ze mnie, idioto! - W bezsilnej złości pacnęła go w plecy.

- Hej, widzieliście? - zawołał do braci. - Uderzyła mnie. Innym każe kulturalnie rozwiązywać problemy, a sama wali gdzie popadnie...

Huknęła go pięścią w ucho, zanim ponownie zmiażdżył jej usta pocałunkiem.

Poddała się. Deszcz lał jak z cebra, była mokra i utyłana w błocie, dookoła stali, jak chór grecki, zafascynowani spektaklem widzowie. A ona się niczym nie przejmowała.

- Kurczę blade - szepnął Rafe, uśmiechając się od ucha do ucha. - Zakochał się.

- Masz rację. - Devin otarł zakrwawiony policzek o ubłocone ramię. - Na żadną kobietę tak nie patrzył. Myślicie, że wie?

- Podejrzewam, że oboje nie są tego świadomi - stwierdził uradowany Jared, odgarniając mokre włosy z oczu.

- Super. - Kołysząc się na piętach, Rafe zahaczył kciuki o kieszenie spodni. - Miło będzie zobaczyć, jak Shane MacKade staje na ślubnym kobiercu.

- Co robimy? Idziemy do domu, a parę gołębiczeków zostawiamy w błocie? - Devin przekrzywił głowę, jakby nad tym dumał. - Czy rozdzielamy ich i rozkwaszamy Shane'owi nos?

Rafe przyłożył palce do łuku brwiowego, gdzie trafił go pierwszy cios Shane'a. Nie obejdzie się bez zimnego kompresu, który Regan na pewno już szykuje.

- Ja bym mu chętnie przywalił, ale ona znów zrobi nam wykład.

- Nie powinniśmy ich zostawiać na deszczu - uznał Jared. - Jeszcze się nabawią zapalenia płuc.

- E tam. Są rozgrzani - mruknął Devin.

Bracia podeszli do Shane'a, każdy chwycił za rękę lub nogę i ściągnęli go z Rebeki.

- Puście, do cholery. Macie własne baby. Ta jest moja! - Po chwili spojrzał na leżącą na ziemi kobietę i uśmiechnął się szeroko. - Cześć, brudasku. Wskoczmy razem pod prysznic?

Zmrużywszy oczy, Rebeca podniosła się z ziemi. Cała była w błocie. Dystyngowanym ruchem otarła ręce o spodnie, przegarnęła włosy.

- Trzymacie go? - spytała MacKade'ów. Widząc jej spojrzenie, Devin uśmiechnął się pod nosem.

- Trzymamy.

Shane zaczął się wyrywać, bo on również dostrzegł wzrok Rebeki.

- Kwiatuszku, pamiętaj, co mówiłaś. Że o konfliktach trzeba dyskutować, że przemocą niczego się nie rozwiąże. Jesteś taka śliczna. Mam ochotę cię schrupać. Może byśmy...

Stracił dech, gdy zwinięta w pięść ręka wbiła mu się w brzuch.

- Nieźle - powiedział po chwili, z trudem nabierając powietrza. -

Widzę w tobie ogromny potencjał.

- Idiota. - Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę domu.

- Niesamowita! - Shane odprowadził ją wzrokiem.

- Prawda, jaka niesamowita?

Ostatnim ratunkiem były kwiaty. Kiedy obiad został zjedzony, talerze umyte, kuchnia sprzątnięta, a bracia z żonami i dziećmi udali się do swoich domów, Shane stwierdził, że musi ponownie wkraść się w łaski Rebeki. Dlatego wyszedł po ciemku na deszcz i oświetlając sobie drogę latarką, zerwał bukiet kwiatów.

Kiedy wrócił, Rebeca siedziała przy komputerze. Na dźwięk otwieranych drzwi podniosła głowę i przeszła go hardym, drapieżnym spojrzeniem.

Położył mokre kwiaty na blacie i kucnął przy niej.

- Bardzo jesteś na mnie zła?

- Nie jestem zła - odparła zgodnie z prawdą. Nie czuła złości, czuła wstyd z powodu swojego zachowania.

- Chcesz mnie znów uderzyć?

- Absolutnie nie.

- To było tylko błoto. - Podniósł jej rękę do ust.

- Ładnie wyglądałaś taka upačkana.

- Usiłuję pracować.

- Szaleję za tobą. - Podsunął jej kwiaty bliżej. Westchnęła. Kogo chcę ukarać? - przemknęło jej przez myśl.

- Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby w deszczu po nocy zrywać kwiaty na polu.

- Mojej mamie zawsze wtedy miękło serce. Przypomniała mi się dzisiaj, kiedy nas łajałaś. Mama najpierw by nas wytargała za uszy, a potem wygłosiła kazanie. No, ale w owym czasie byliśmy sporo młodszy.

Nie mogła się oprzeć. Powąchała mokry bukiet.

- Wasza mama musiała być wspaniałą kobietą.

- Była. Wspaniałą kobietą i wspaniałą matką. Oboje z ojcem bardzo się o nas troszczyli. - Delikatnie pogładził Rebekeę po policzku. - Pewnie dlatego, że byliśmy dużą rodziną, nigdy nie czułem się samotny, zdany wyłącznie na siebie.

- W dużej rodzinie też można być samotnym. To zależy od wzajemnych relacji. - Odsunęła krzesło. - Wstawię kwiaty.

Broniła się. Uciekała. Uświadomił sobie, że jeśli chce ją lepiej poznać, dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości, musi temat podrażnić.

- Rebeko...

- Dlaczego się bilesz z braćmi? - spytała szybko, jakby przeczuwając, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

- Bez powodu. - Zreflektował się szybko: jeśli chce, żeby była z nim szczerą, sam nie powinien kłamać. - O ciebie.

Obejrzała się przez ramię.

- O mnie? Żartujesz.

- Rafe rzucił uwagę, która mnie zirytowała. Zwykle tak się zaczyna. Uważają, że cię wykorzystuję.

- Rozumiem. - Ale nie rozumiała. Wstawiła bukiet do wazonu. - Powiedziałeś im, że spaliśmy ze sobą?

- Nie pisałem słowa. - Pewnie przypomniała sobie sceny z filmów, jak faceci chwalać się kumplom swoimi podbojami. - Przysięgam.

Nagle uzmysłowił sobie, że gdyby chodziło o inną kobietę, nie byłby taki dyskretny. Kręcąc głową, nalał sobie kawy.

Nie należał do facetów, którzy opowiadają wszem i wobec o swoich związkach. Braciom jednak by coś napomknął. Ale o Rebecce milczał jak zakłęty.

Nigdy nie przejmował się ironicznymi uwagami i docinkami. Ale ponieważ chodziło o Rebekeę, wpadł w szal.

- Chryste, co to jest?

- Wydawało mi się, że kawa.

Spojrzał do kubka.

- Nie, ja nie o tym. Przepraszam. Gadam sam do siebie. A tą naszą bójką się nie przejmuj. Tacy jesteśmy. Czasem lubimy sobie spuścić łomot. - Uśmiechnął się. - Dawniej biliśmy się częściej. Złagodnieliśmy z wiekiem.

- Hm... - Postawiła wazon na środku stołu. - Jeszcze nikt się z mojego powodu nie bił, a tu nagle czterech roślących, przystojnych facetów... Powinno mi to pochlebiać.

- Darzę cię głębokim uczuciem - oznajmił znienacka Shane i podniósłszy kubek, opróżnił go do dna. - Dlatego nie spodobały mi insynuacje, że podstępnie zaciągnąłem cię do łóżka.

Zalała ją cudowna fala ciepła.

- Oboje wiemy, że tak nie było.

- Nie należysz do osób bardzo doświadczonych. A ja cię pragnąłem. I dopiąłem celu.

- Chyba nie powiesz, że się broniłam rękami i nogami? - spytała z uśmiechem.

- Nie - przyznał. - Ale w przeciwieństwie do ciebie, mam spore doświadczenie.

- Chwalisz się?

- Nie. Tylko... - urwał, widząc wesołość w jej oczach. Wesołość oraz dziwny wyraz, którego nie potrafił odgadnąć. - Tylko próbuję powiedzieć, że jeśli się rozmyśliłaś albo uważasz, że to za szybkie tempo, zrozumiem.

Ogarnął ją strach. Zawsze kiedy się bała, drżał jej głos. Starając się nad nim zapanować, spytała:

- A ty? Tego chcesz? Żebyśmy zwolnili? Nie odrywając od niej oczu, pokręcił głową.

- Nie. Chcę tylko ciebie. O niczym innym nie jestem w stanie myśleć. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a ślinka mi cieknie.

Strach znikł; po jej ciele znów rozszedł się żar. Zarzuciła Shane'owi rękę na szyję.

- Więc zamiast stać beczynn timer, może byś mnie pocałował?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W wielu miejscach można komunikować się z duchami. Wystarczy mieć otwarty umysł; ciemności, przewalające się kłęby mgły czy zawodzący wiatr wcale nie są konieczne.

Dzień był piękny, słoneczny. Na tle błękitnego nieba odcinała się złocista czerwień jesiennych liści. W powietrzu pachnącym świeżo skoszoną trawą rozbrzmiewał śpiew ptaków. Na polu kukurydzy, tuż przy granicy z lasem, znieruchomiała samotna sarna.

Na pole dawnej bitwy Rebeca przysła o świcie. Zamyślona szła Ścieżką Krwi. Bardzo dokładnie знаła przebieg bitwy, liczbę zabitych i rannych...

Na końcu ścieżki wznosiła się wieża, zbudowana wiele lat po wojnie. Rebeca już raz wspięła się schodami na górę, skąd rozciągał się przepiękny widok na całą okolicę. Widać było stamtąd pensjonat, las, farmę.

Dziś wolą pozostać na dole. To tu, ponad sto lat temu, leżały ciała poległych.

Usiadła na trawie. Czowała emocjonalną więź z przeszłością, z tą ziemią.

Duchów nie widziała. Ukazywały się jej na farmie, zarówno w nocy, we śnie, jak i w dzień, na jawie. Przestało ją to dziwić. Jednak głęboka więź, która łączyła ją z tym miejscem, wciąż była dla niej niepojęta.

Cisza dzwoniła w uszach. Rebeca wystawiła twarz do słońca i wiatru, którego ciepły powiew delikatnie poruszał jej włosami. Była zakochana. Szczęśliwa. A zarazem czowała wewnętrzny niepokój. Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Czy zawsze tak jest, kiedy człowiek kocha?

Shane'owi na niej zależało. Powiedział to wprost. Pragnął jej. Była mu za to wdzięczna, ale nie zamierzała się z tym zdradzać. Tak jak nie zamierzała wyznać mu miłości.

Od lat tłamsiła w sobie różne emocje. Miała wprawę.

Pragnęła pocałunków Shane'a, jego namiętności, siły i spokoju. Zazdrościła mu domu, korzeni, stabilizacji życiowej.

Ona, jak zwykle, była przejazdem. Na prawach gościa.

Jednak tym razem do Nowego Jorku nie wróci z pustymi rękami. Wróci bogatsza o wiedzę i o miłość.

Już choćby z tego powodu powinna się cieszyć. Siedząc na trawie w ten jesienny poranek, spoglądała na piękny, idylliczny krajobraz. Tu przed laty toczyła się okrutna, krwawa wojna.

Piękno i okrucieństwo. Muzyka, odgłos wrebli, łopot flag, błysk bagnatów, chwała, nadzieja i szaleństwo.

Oczami wyobraźni widziała atak, kłęby dymu w powietrzu, biegnących żołnierzy. Promienie słońca odbijają się od stali. Młodzi chłopcy z Północy i Południa idą na śmierć. Generałowie na koniach igrają z ludzkim życiem. Co czuli, patrząc na rzeź? Na stosy zakrwawionych martwych ciał w błękitnych i szarych mundurach? Co czuli, słysząc jęki rannych i krzyk umierających?

Rebeca pokręciła głową. Wojna to okrucieństwo i śmierć, każde zwycięstwo okupione bólem i cierpieniem.

Rozpacz po utracie najbliższych, rany, które nigdy się nie zagoją. Ludzie pogrążeni w żałobie, jak John i Sarah.

My, żywi, wznosimy pomniki. Zapewniamy, że nigdy nie zapomnimy. Sarah z Johnem nie zapomnieli. Ich miłość przetrwała.

Rebeca podniosła się z ziemi. Tu trawa była zieleńsza, dookoła panował spokój. Tak, świat potrzebuje takich miejsc, by pamięć nie umarła.

Wróciwszy do domu, natychmiast zasiadła do pracy.

Czas na wieczorne dojenie, pomyślała i roześmiała się w głos. Dziwne, jak szybko przyzwyczała się do życia na farmie. Znów zabębniła w klawiaturę.

Dlaczego całe życie pisała artykuły naukowe? Teraz, zamiast suchych faktów, opisywała swoje myśli, emocje, przypuszczenia.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Wciąż myśląc o tym, co przed chwilą napisała, jedną ręką sięgnęła po dzbanek z kawą, a drugą po słuchawkę.

- Halo?

- Chciałam mówić z doktor Rebecką Knight.

Rebeca zeszytniała. Policzyła w myślach do trzech, po czym wolno wypuściła z płuc powietrze. Czy warto się irytować tym, że matka nie rozpoznaje jej głosu?

- Dobry wieczór, mamó. To ja, Rebeca.

- Kochanie, z trudem zdobyłam twój numer. Sądziłam, że jesteś w Nowym Jorku.

- Nie, nie jestem. - Usłyszawszy skrzypienie drzwi, Rebeca obróciła się i uśmiechnęła do Shane'a. - Spędzam trochę czasu w Marylandzie.

- Pojechałaś z odczytami? Nic mi o tym nie wspominałaś.

- Nie, nie z odczytami. Zbieram... materiały.

- Materiały? W Marylandzie? Na jaki temat?

- Bitwy nad Antietam.

- Nie sądzisz, że została wyczerpująco zbadana i opisana?

- Ja badam ją pod innym kątem. - Unikając wzroku Shane'a, odsunęła się, robiąc mu przejście do dzbanka z kawą. - Dlaczego dzwonisz, mamó? Coś się stało?

- Nie, skąd. Gdzie się zatrzymałaś? Chcę ci coś przefaksować.

- Mieszkam u przyjaciół. Nie mają faksu.

- Ale chyba masz dostęp do faksu? Nie żyjemy w średniowieczu.

Rebeca popatrzyła na umorusanego Shane'a. Pachniał ziemią.

- Sprawdzę, mamó, i dam ci znać. Jesteś w Connecticut?

- Nie, prowadzę seminarium w Atlancie. W razie czego zostaw dla mnie wiadomość w hotelu Ritz-Carlton.

- Dobrze. Możesz mi powiedzieć, czego sprawa dotyczy?

- Z końcem semestru szef wydziału historii na mojej uczelni przechodzi na emeryturę. Z twoim dorobkiem naukowym i moimi

znajomościami myślę, że bez trudu mogłabyś dostać to stanowisko. W wieku dwudziestu czterech lat byłabyś najmłodszym dziekanem wydziału.

- W marcu skończyłam dwadzieścia pięć lat, mamó.

- Nieważne. Tak młody dziekan, w dodatku kobieta, to byłby ewenement.

- Z pewnością, ale nie jestem zainteresowana.

- Nie żartuj.

Rebeca na moment przymknęła powieki. Ten chłodny, lekceważący ton towarzyszył jej przez całe życie. Sprzeciwienie się matce wymagało sporej odwagi.

- Przykro mi, mamó. Nie pociąga mnie nauczanie studentów.

- Akurat to jest najmniej ważne. Liczy się stanowisko...

- Nie chcę być dziekanem wydziału historii ani żadnego innego wydziału - przerwała jej. Czowała znajomy, nieprzyjemny ucisk w brzuchu. - Ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

- Nie podoba mi się twoja postawa, Rebeko. Nie wolno ci zaniedbywać swoich zdolności. Masz obowiązek pielegnować je i rozwijać. Funkcja dziekana w istotny sposób wpłynie na twoją karierę.

- Na moją?

Na drugim końcu linii rozległo się westchnienie.

- Widzę, że nie jesteś w najlepszym nastroju i nie doczekam się wdzięczności. Liczę jednak na twój rozsądek. Przyślij mi numer faksu, jak najszybciej. Do widzenia, Rebeko.

- Do widzenia, mamó.

Odłożywszy słuchawkę, posłała Shane'owi promienny uśmiech; w środku dygotała ze zdenerwowania.

- Krówki już śpią? - spytała.

- Usiądź.

- Jestem potwornie głodna. - Jeśli Shane ją przytuli, to zaraz się rozklei. Odsunęła się. - Chyba zostało się trochę ciasta od jednej z twoich licznych wielbicielek.

- Rebeko... - Przyglądał się jej z z troskaniem. Trzymała się za brzuch, jakby coś ją bolało. - Usiądź.

- Zaparzę kawy. Wreszcie nauczyłam się obsługiwać ekspres. - Zanim zdążyła sięgnąć po dzbanek, Shane ścisnął ją za ramię. - No co? - warknęła.

Lepiej uważaj, pomyślał, widząc jej gniewne spojrzenie.

- A więc pochodzisz z Connecticut?

Zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

- Moi rodzice tam mieszkają.

- Tam dorastałaś.

- Nie całkiem. Spędzałam tam ferie.

- Czym mama cię zdenerwowała?

- Niczym. To nic ważnego - odparła, ale Shane nie dawał za wygraną. Był cierpliwy i pełen troski. - Chodzi o różnicę zdań. Mama chce, żebym starała się o prestiżowe stanowisko na uczelni, lecz mnie to nie interesuje. Ona zaś nie jest przyzwyczajona, bym się sprzeciwiała.

Sytuacja, wydawałoby się, jasna i prosta. Tym bardziej dziwiła go reakcja Rebeki.

- Powiedziałaś jej, że nie jesteś zainteresowana.

- Tak, ale to nie ma znaczenia. Zdarzało się, choć rzadko, że zdobywałam się na sprzeciw, ale rodzice nic sobie z niego nie robili. Jak

znam życie, zaraz zadzwoni ojciec, żeby przypomnieć mi o moich zobowiązaniach.

- Wobec kogo?

- Wobec nich. Wobec nauki. Wobec przyszłych pokoleń. Powinnam jak najlepiej wykorzystywać swoje umiejętności. Nie mówmy już o tym.

Puścił ją. Czuł, że Rebeca potrzebuje chwili oddechu; że nie chce być dotykana. Nasypała kawy do filtra, nalała wody. Twarz miała bez wyrazu, ręce się jej nie trzęsły.

- Psiakrew. - Nagle odstawiła wszystko na bok. - Nie wierzę, że znów to robię! Właśnie tak się nabawiłam wrzodów.

- Wrzodów?

- Wrzodów, migreny, bezsenności. Tylko krok dzielił mnie od załamania nerwowego. Czy nie dlatego poszłam na psychiatrię?

Shane milczał. Uświadomił sobie, że Rebeca nie mówi do niego. Powoli zaczynało się w nim gotować.

- Tłumienie emocji nie jest rozwiązaniem. Ciało cierpi za to, co masz w głowie. Zawsze łatwiej analizować innych niż siebie. Trudniej dostrzec problem, gdy dotyczy nas samych.

Przeczesała rękami włosy.

- Tym razem nie dam sobą sterować. Nie ugnę się pod presją. Do diabła z nimi. Wychowali mnie na zakompleksioną, nieszczęśliwą neurotyczkę.

Obróciła się do Shane'a. Jej twarz już nie była pusta, bez wyrazu. Oczy płonęły gniewem.

- Wiesz, jak się czuje czteroletnie dziecko, kiedy rodzice nalegają, żeby czytało Dantego w oryginale i dyskutowało na temat jego

twórczości? Albo żeby podczas kolacji odpowiadało na pytania z fizyki lub prowadziło dyskurs o sztuce i literaturze renesansu, w dodatku po francusku?

- Nie, nie wiem. Powiedz. Jak czuje się takie dziecko?

- Strasznie. Okropnie. Miałam wrażenie, że rodzice traktują mnie jak rzecz, jak wynik udanego eksperymentu genetycznego. Nienawidziłam świata, ale co mogłam zrobić? Małe dziecko nie buntuje się; posłusznie wykonuje to, co mu starsi każą. Potem to wchodzi w nawyk. Już nie jesteś dzieckiem, ale nadal wykonujesz polecenia. Któregoś dnia widzisz w lustrze tak żalosne stworzenie, że na sam ten widok serce ci się kraje. I myślisz sobie: czy nie lepiej z tym skończyć?

- Rebeko... - Shane był zszokowany.

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Fantazjujesz o śmierci. Powoli śmierć się staje twoją obsesją. A ponieważ jesteś człowiekiem inteligentnym, wymyślasz skuteczny, bezbolesny i oczywiście schludny sposób odebrania sobie życia.

Milczał wystraszony. Ta kobieta, ta piękna, cudowna, mądra istota, rozważała popełnienie samobójstwa. Rebeca znużonym gestem potarła czoło.

- Niestety inteligencja nie pozwala ci zaakceptować takiego marnotrawstwa. Przeraza cię też myśl, że naprawdę mógłbyś ze sobą skończyć. Dlatego jako człowiek rozsądny i praktyczny postanawiasz studiować psychiatrię.

- Ile miałaś lat? - Musiał wziąć głęboki oddech, zanim był w stanie kontynuować. - Ile miałaś lat, kiedy...

- Rozwazałam pożegnanie z tym światem? Dwanaście.

Niebezpieczny wiek, hormony zaczynają buzować... W każdym razie wytłumaczyłam sobie, że życie, nawet smutne i zwichnięte, to wszystko, co mam. Że łatwiej się żyje, kiedy człowiek ukryje głęboko emocje, otoczy się murem książek, wiedzy, artykułów, stopni naukowych. Aż pewnego dnia zrozumiałam, że taka egzystencja to po prostu inna forma samobójstwa... Jestem zmęczona. - Ponownie potarła dłońmi twarz. - Rozmowa z rodzicami zawsze mnie męczy.

Wrzody, załamanie nerwowe, samobójstwo. Rany boskie, co oni jej zrobili? Miał ochotę rozerwać Knightów na strzępy. Nie tylko ich. Wszystkich, dla których liczył się wyłącznie umysł Rebeki. Ileż by dał, żeby móc cofnąć czas, odnaleźć małą smutną dziewczynkę, ofiarować jej śmiech, radość, zabawę. To, czego dzieci potrzebują.

Skoro jednak nie mógł pomóc dziecku, chciał chociaż pomóc kobiecie.

- Przytul się do mnie. - Powściągając złość, zgarnął Rebeke w ramiona. Potrzebowała jego spokoju, a nie furii. - Poczujesz się lepiej.

- Nic mi nie jest.

- Kłamczuszek. Obejmij mnie za szyję. Objęła.

- Nie widziałam się z mamą ponad rok. Wątpię, czy ona i ojciec rozpoznałyby mnie na ulicy. Zmiana by ich zaskoczyła.

Przycisnął policzek do jej włosów. Była taka krucha. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył?

- Nie przejmuj się nimi. To twoje życie. I to się liczy.

- Nie zawsze można mieć to, czego się pragnie. Dawniej chciałam, żeby rodzice mnie kochali. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko usłyszeć od

nich ciepłe słowa. Wiesz, na czym polega mój problem? Mam fenomenalną pamięć. Niczego nie zapominam, nie potrafię zapomnieć. Kiedy wysłali mnie do szkoły z internatem, byłam wystraszona i bardzo nieszczęśliwa. Czułam się potwornie samotna... Odwieźli mnie na lotnisko, wsadzili do samolotu... Miałam sześć lat.

- Och, maleńka, tak mi przykro.

- Widząc umysł dorosłego człowieka, nie pomyśleli, że mam wrażliwość dziecka. Kurczę, powinnam lepiej sobie radzić z dawnymi problemami.

- Radzisz sobie świetnie.

- Świetnie to przesada, ale bywało gorzej. - Popatrzyła mu w oczy. - Przepraszam. Gdybyś zjawił się godzinę później, minąłby mi zły nastrój.

- Chcę wiedzieć, co czujesz. - Pochylił głowę i pocałował ją lekko w usta. - Chcę cię lepiej poznać, Rebeko. Twoją przeszłość i teraźniejszość. Nie potrafiłem cię rozgryźć. Miałem wrażenie, że części łamigłówek nie pasują do siebie. Teraz powoli zaczynają układać się w całość... Mam prośbę.

- Jaka?

- Nie oddzwaniaj do niej. Niech się pozłości.

- To trochę niegrzecznie. - Uśmiechnęła się.

- Co z tego?

- Sama zaraz zadzwoni. Albo ojciec. Oni... - Jak na komendę, zabrzączał telefon. - O, proszę.

Zanim zdążyła podnieść słuchawkę, Shane przytrzymał ją mocniej. Nikomu nie pozwoli jej skrzywdzić.

- Nic nie słyszę.

- Telefon dzwoni.

- Jaki telefon? Tu nie ma żadnego telefonu. - Ponownie ją pocałował.

- Zresztą nas też tutaj nie ma.

- A gdzie jesteśmy?

- Jeszcze nigdzie. Ale wkrótce dotrzemy na miejsce. - Wziął ją na rękę i nie zważając na głośny terkot, wyszedł z kuchni.

W sypialni postawił Rebekeę na podłodze. Kiedy telefon przestał dzwonić, zdjął słuchawkę z widełek, a aparat schował do szuflady.

- Nawet nie masz automatycznej sekretarki. Rodzice wpadną w szal.

- No i dobrze. - Nie przejmował się nimi. W tym momencie ważniejsze były inne rzeczy, choćby poprawienie Rebecy humoru. - To gdzie chcesz być?

Zmarszczyła czoło.

- Myślałam, że już...

- Tu jest dopiero linia startu. - Poglądził ją po policzku. - Co cię kusi? Tropikalna wyspa? Zasypana śniegiem chatka w górach? Może średniowieczny zamek? - Musnął wargami jej czoło. - Puśćmy wodze fantazji.

- Ale fantazjowanie... Przytknął palec do jej ust.

- Wyobraź sobie: długa, pusta plaża, biały piasek, palmy. Czujesz zapach kwiatów? - Pocałunkiem zamknął Rebecę oczy. - Fale zalewają brzeg... Jest pięknie. W blasku księżycy twoja skóra przybiera mleczny odcień... - Powoli zaczął rozpinąć jej bluzkę.

- Srebrzyste promienie padają na wodę, na ciebie.

- Dotknął jej obnażonych piersi. - Chodź ze mną.

- Idę - szepnęła, pozwalając, by zabrał ją w wyimaginowaną podróż.

- Jesteśmy sami. - Nie odrywając ust od jej twarzy, pozbył się swojej koszuli. - Nikt nam nie przeszkadza. Możemy się kochać długo i leniwie. Chcę się z tobą kochać, maleńka. Dniami i nocami.

Uwodził ją głosem, słowami, które szeptał. Czuła bicie jego serca. Słyszała delikatny szum fal bijących o piaszczysty brzeg.

- Tak, kochajmy się. W wodzie... Fala nas zalewa, potem się cofa...

- Ciało masz mokre, śliskie... I słone. - Przeniósł Rebekeę na łóżko. - A w twoich oczach odbijają się gwiazdy.

Westchnęła błogo. Była chętna, uległa. Pieścił ją delikatnie, całował czule. Nie spieszył się. Zwalniał, ilekroć słyszał jej przyśpieszony oddech, szybsze bicie serca.

Miała wrażenie, że unosi się na wodzie. Że woda obmywa jej ciało. Czasem czuła pod sobą miękki piasek. Fale szumiały, na niebie świecił wielki srebrzysty księżyc. Egzotyczna woń tropikalnych kwiatów, czarne bezkresne morze, romantyczny śpiew ptaków. I oni, spleceni w miłosnym uścisku.

- Gdzie jesteś, maleńka?

- Z tobą.

- Zostań.

Objęła go z całej siły. Pieścił ją powoli, niespiesznie, w rytm fal bijących o brzeg. Kiedy się potykała, podtrzymywał ją. Kiedy upadała, podnosił. Podróż trwała bez końca, wciąż od nowa. Każde błogie westchnienie Rebeki sprawiało mu radość.

Odnalazł ustami jej piersi, a ona wygięła plecy i głośno zawołała jego imię.

Pocałunkami, pieszczotami udowodnił, że darzy ją uczuciem. Teraz udowadniał, że wzbudza w nim żar.

Nadchodziła burza. Zerwał się wiatr, grzywy fal unosiły się groźnie, woda wsysała ciała w wirujący mrok. Rebeca nie odczuwała strachu, gotowa była poddać się jej sile, ale nie sama. Więc przywierała do niego mocno, całym ciałem.

Toneła i czerpała z tego dziką, niewysłowioną rozkosz. Jak z oddali słyszała własny głos błagający o więcej.

Księżyc zgasł. Niebo rozświeślały węże błyskawic. Powietrzem wstrząsał huk grzmotów.

- Spójrz na mnie. - Pałce Shane'a wbijały się w jej biodra. - Otwórz oczy. Chcę je widzieć.

Otworzyła. Przed sobą zobaczyła lekko zamazany obraz jego twarzy.

- Shane, już! Proszę.

- Czyja jesteś?

- Twoja.

Krzyknęła, zatracając się w rozkoszy. Przez moment nie była w stanie oddychać; miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Oszołomiona przesunęła dłońmi po swoim drżącym ciele, od bioder, po tali, piersiach, szyi, włosach.

Wpatrywał się w nią z zachwytem. Nigdy nie widział równie pięknego i podniecającego widoku. Chciał, by nic jej nie umknęło, ani jedna sekunda cudownego doznania.

Po chwili zaczęła kołysać zmysłowo biodrami, coraz mocniej, coraz szybciej. Dogonił ją, a nawet przegonił. Nie mógł dłużej czekać. Porwał ich potężny, skłębiony wir.

Kiedy Shane powrócił na powierzchnię, słońce za oknem już zaszło. W sypialni panował półmrok. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy.

Wsluchał się w równy oddech Rebeki.

- Dokąd teraz? - spytał.

Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Może dla odmiany spróbujemy zasypaną śniegiem chatkę w górach?

- Świetnie. Po kolacji możemy...

- Po jakiej kolacji? - Z figlarnym błyskiem w oku zaczęła całować go po szyi.

- Maleńka, ja... O Jezu... - Na moment wstrzymał oddech. - Daj mi kilka minut na... - urwał nagle.

- Powinieneś dbać o swoją reputację - szepnęła, z upodobaniem wczuwając się w rolę uwodzicielki dręczącej wyczerpanego mężczyznę. - Słyszałam w miasteczku, że masz nieposkromiony apetyt.

- E tam, przesada. - Dziesięć minut, pomyślał. Nie, pięć wystarczy, uznał, patrząc na jej zgrabne, giętkie ciało. Potrzebował pięciu minut, by odzyskać siły. - Może byśmy... O Chryste, jesteś coraz lepsza.

Roześmiała się, ucieszona komplementem.

- Mam fotograficzną pamięć, no i bardzo bystry umysł.

- Oj, wiem, wiem. Słuchaj... Może weźmiemy prysznic? Albo zdrzemniemy się chwilkę? Bo teraz niewielki ze mnie pożytek. - Znów wciągnął z sykiem powietrze, rozkoszując się jej pieszczotami. - Chociaż może...

Wzięli prysznic, ale dopiero godzinę później. Shane wszedł pod ciepły strumień i westchnął z zadowoleniem. Rebeca wsunęła się za nim, objęła go w pasie, przytknęła usta do mokrych pleców.

- Chryste, kobieto, czy ja wyglądam jak królik, który ciągle może? - spytał, ale obrócił się, gotów spróbować każdej nowości.

- Nie - odparła ze śmiechem, zanurzając dłonie w jego ociekających wodą włosach. - Chciałam ci tylko podziękować.

- W porządku. - Nalał jej na głowę odrobinę szamponu i zaczął go wcierać. - Za co?

Zacisnęła powieki. Piana szczypała ją w oczy.

- Wróciłeś do domu głodny i zmęczony. Ale zobaczyłeś, że jestem spięta, więc postanowiłeś się mną zająć.

- To było wielkie poświęcenie z mojej strony. - Rozbawiony, dał jej kuksańca w bok.

- Mówię serio. - Usiłowała pozbyć się piany z oczu. - Byłeś wspaniały. Nigdy tego nie zapomnę.

- Wszystkie tak mówicie... - Uśmiechnął się bezczelnie. - Przecież żartuję - dodał szybko, widząc jej groźne spojrzenie.

- Wiesz, że większość wypadków domowych zdarza się w łazience?

- Podobno. Uważaj, bo tu ślisko.

- Ty uważaj.

Uwięził Reбекę między sobą a wyłożoną kafelkami ścianą.

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz się tu kochaliśmy? Zresztą co za pytanie, ty wszystko pamiętasz.

Zmarszczyła czoło.

- Próbujesz odwrócić moją uwagę? Nie uda ci się.

- Udałoby się, gdybym nie był tak wściekle głodny. - Pocałował ją lekko w usta. - Jak czegoś szybko nie zjem, to umrę z głodu.

- Może ugotuję ci zupę?

- Lepiej nie! - zawołał przerażony. Odsunęła go i wyszła spod prysznicza.

- Bez łaski. Sam sobie gotuj. Zakręcił wodę, sięgnął po ręcznik.

- To niesamowite. Chwytasz wszystko w lot. Zadajesz miliony pytań, przetwarzasz informacje i zapisujesz je w głowie. Założę się, że bez trudu potrafiłabyś wydoić krowy.

- Ani mi się śni - rzekła. Wytarłszy się, włożyła szlafrok.

- Krzyżówkę rozwiązujesz w dwie minuty. A gdy poszliśmy na zakupy, obliczyłaś sumę co do grosza, zanim kasjerka zbliżyła czytnik do pierwszego produktu.

Rebeca wzruszyła lekceważąco ramionami i przeczesła włosy.

- Pewnie umiałabyś zbudować reaktor jądrowy, a nie umiesz usmażyć jajecznicy. - Owinął się ręcznikiem. - A raczej nie interesuje cię smażenie jajecznicy, więc nie próbujesz się tego nauczyć.

- Przejrzałeś mnie na wylot. Wniosek?

- Oto on: ja będę smażył i gotował, a ty buduj reaktory.

Uśmiechnęła się, ale spojrzenie miała lekko zachmurzone.

- Rebeko. - Ujął ją za brodę. - Twój umysł jest jedną z rzeczy, które mnie w tobie pociągają. Uwielbiam patrzeć, jak siedzisz skupiona i myślisz. Ale uwielbiam również patrzeć, jak reagujesz na moje pieśczoły. To, że jesteś geniuszem, w niczym nie przeszkadza, nie ujmuje ci uroku.

Westchnęła ciężko.

- Chciałabym być normalna.

- Jesteś normalna. Ale jesteś również wyjątkowa. To takie proste, pomyślała. Proste i logiczne.

Wspiąwszy się na palce, pocałowała Shane'a w usta.

- Dziękuję.

- Drobiazg.

- Chodźmy na dół. Dasz mi pierwszą lekcję gotowania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Dzięki, że znalazłaś dla mnie czas.

- Nie żartuj. - Savannah wyciągnęła wygodnie nogi i zerknęła na magnetofon. - Czasu mam mnóstwo.

Rebeca powiodła wzrokiem po słonecznym, zagraconym salonie. Layla siedziała na dywaniku, bawiąc się plastikową ciężarówką.

- Ty? Kobieta z nastoletnim synem i dwójką maluchów?

- Czasem rzeczywiście jest tu dom wariatów. - Savannah popatrzyła na córeczkę, która wydawała dźwięki naśladujące warkot ciężarówki. - Ale teraz panuje cudowny spokój.

- Jak sobie radzisz? Praca, sprzątanie, gotowanie, do tego trójka dzieci, w tym niemowlę...

- Lubię swoje życie. Zresztą moi panowie bardzo mi pomagają.

- Masz fantastyczną rodzinę. - Słyszając nutę tęsknoty w swoim głosie, Rebeca czym prędzej zmieniła temat. - No dobra, wyjaśnię ci, o co mi chodzi. Książka, którą piszę, dotyczy Antietam, ale bardziej od słynnej bitwy interesują mnie legendy, anegdoty, osobiste doświadczenia mieszkańców.

- Opowieści o duchach...

- Też. - Na moment Rebeca zamilkła. - Regan i Rafe'a połączył dom Barlowów pamiętający czasy wojny secesyjnej. Coś ich do niego ciągnęło. To z powodu tego domu na wzgórzu Rafe tu powrócił. Regan zakochała się nie tylko w nim, również w tej ruinie. Która odegrała znaczącą rolę także w życiu Cassie i Devina. Z każdym z nich rozmawiałam oddzielnie. Wszyscy coś czuli, coś widzieli, coś przeżyli. Czasem ich doznania się pokrywały, czasem nie. Jednak zawsze miały związek z opowieścią o dwóch kapralach.

- Teraz chcesz usłyszeć o moich wizjach?

- Tak. Rano rozmawiałam z Jaredem. W jego biurze. Widziałam twoje obrazy. Są fantastyczne, zwłaszcza ten z lasem.

- Dziękuję. Tak jak Rafe'a i Regan połączył dom Barlowów, tak mnie z Jaredem połączył las. - Zmrużywszy oczy, Savannah cofnęła się pamięcią w przeszłość. - Ten dom na wzgórzu... Dopóki Rafe i Regan go nie odnowili, panował w nim niewyobrażalny smutek. Jakaś ponura, mroczna atmosfera. Potem wprowadziła się Cassie z dziećmi, później dołączył do nich Devin i teraz jest tam zupełnie inaczej... Regan wspomniała, że znalazłaś informacje na temat jednego z kaprali? Tego z armii konfederackiej?

- Tak, nazywał się Franklin Gray.

- Abigail sprawdziła jego kieszenie, dowiedziała się, skąd pochodził, i odesłała ciało rodzinie? - Savannah pokiwała głową. - Postąpiła szlachetnie. I bardzo odważnie.

- Sama była matką. Pewnie wyobraziła sobie, co by czuła na miejscu matki tego żołnierza. Rodzina drugiego kaprała, Jankesa, nigdy nie dowiedziała się, co stało się z ich synem. - Rebeca westchnęła. - Żadnych informacji o nim nie odnalazłam. Wiem tyle, co ówczesni MacKade'owie.

- Którzy także postąpili szlachetnie i odważnie -stwierdziła Savannah.

- Ci chłopcy zginęli tak dawno temu. Można powiedzieć, że pozabijali się nawzajem. Byli młodzi, niewiele przeżyli, lecz ich śmierć odcisnęła piętno na ogromnej liczbie osób. I nadal tak jest. To ich obecność czuć w lesie, prawda?

- Jakie uczucie uważasz za najsilniejsze?

- Miłość i nienawiść - odparła Rebeca. - Wszystkie inne to ich pochodne.

- Nieźle, zwłaszcza jak na intelektualistkę - pochwaliła ją Savannah.

- Właśnie to poczułam w lesie. Miłość do Jareda. I nienawiść, a raczej zrodzone z nienawiści strach i przemoc. Nie umiem wyjaśnić, co nas ciągnęło do lasu, do miejsca, w którym dwaj młodzi żołnierze walczyli ponad sto lat temu. Może chęć zrozumienia przeszłości?

- I co? Zrozumieliście? Savannah uniosła brwi.

- Czy Jared ci powiedział, że pierwszy raz kochaliśmy się właśnie tam?

- Nie.

- Pewnie nie chciał cię gorszyć. - Na jej wargach pojawił się ciepły uśmiech. - W domku, w którym teraz mieszkamy, było wygodne duże łóżko, ale wybraliśmy las. Tam nas ciągnęło. Czuliśmy jedność ze sobą, z przyrodą, z przeszłością. Miłość potrafi ukoić ból.

Rebeca przypomniała sobie Shane'a i dar, który jej ofiarował.

- To prawda - przyznała.

- Siedząc w lesie na głazie, słyszałam szelest liści pod wojskowymi butami, przyśpieszone oddechy dwóch wystraszonych chłopców, okrzyki bojowe, szczęk bagnatów. Zanim jeszcze poznałam opowieść o dwóch kapralach.

Rebeca zmrużyła oczy.

- Kiedy zamieszkałaś w Antietam, nie znałaś tej historii?

- Nie. Dopiero Jared mi ją opowiedział. Ale przeczuwałam, że coś takiego musiało się wydarzyć.

- Masz zdolności parapsychiczne? Savannah roześmiała się wesoło.

- Nie większe niż inni. - Słyszac żalosne zawodzenie, popatrzyła na schody. - Pora karmienia. Niedługo wrócę.

- Dzidzia - powiedziała Layla, kiedy jej mama ruszyła na górę.

Przydreptała do Rebeki i podała jej lalkę. - Dzidzia.

- Tak, bardzo ładna dzidzia. - Rebeca pocałowała lalkę, potem dziewczynkę. - Prawie tak ładna, jak ty.

Layla rozpromieniła się w uśmiechu i przytuliła lalkę. Zapiszczała z radości, kiedy Savannah zeszła z Mirandą na rękach.

- Dzidzia! Moja dzidzia!

- Chodź, przywitaj się z siostrzyczką. - Savannah pogładziła ciemną główkę starszej pociechy.

- Dzidzia, dzidzia - powtarzała z zachwytem Layla, obsypując mokrymi całusami czerwoną ze złości buzię Mirandy.

- Dzidzia jest głodna - wyjaśniła Savannah, wznosząc oczy do góry. - I potrafi domagać się jedzenia.

Rozpięła bluzkę i niemowlę przyssało się do piersi.

Rebekę zdumiała fala zazdrości, jaka ją przeszyła. Przypuszczalnie dlatego nie zadała pytań, które cisnęły się jej na język. Co czuje kobieta, gdy karmi piersią niemowlę? Co sprawia, że jej wzrok zachodzi mgłą?

- Wolisz dokończyć wywiad kiedy indziej?

- Nie, możemy dalej rozmawiać.

- Regan z dzieckiem u piersi wygląda jak Madonna. Ty nie. Och, nie zrozum mnie źle - zawołała Rebeca, widząc zdziwienie w oczach Savannah. - Przed przyjazdem kupiłam karty tarota. Uznałam, że przydadzą mi się do badań. Karta Cesarzowej symbolizuje płodność, zmysłowość, kobiecą siłę. Właśnie tak mi się kojarzysz.

- Całkiem mi to odpowiada.

Wziąwszy głęboki oddech, Rebeca wróciła do pracy. Zadawała dziesiątki pytań, najpierw ogólnych, potem coraz bardziej szczegółowych, wreszcie na pograniczu wiedzy ezoterycznej. Kiedy skończyły, niemowlę smacznie spało.

- Teraz ja cię o coś zapytam. - Savannah wstała z fotela, żeby ułożyć córeczkę w kołysce.

- Śmiało.

- Co zamierzasz zrobić z tym materiałem? Wiem, że planujesz książkę, ale jak chcesz wykorzystać informacje, które uzyskałaś ode mnie, od nas wszystkich.

- Chciałbym się skupić na przeżyciach trzech par: ciebie i Jareda, Regan i Rafe'a, Cassie i Devina. Na waszym przykładzie pokazać, jak przeszłość wpływa na terażniejszość i przyszłość. Sześć osób, trzy rodziny. - Mówiąc, Rebeca żywo gestykulowała. - Trzy rodziny, a w zasadzie jedna. Połączone wydarzeniami, które miały miejsce ponad sto lat temu. W jaki sposób przeszłość na nas oddziałuje? Czy miejsce może wytwarzać własną energię, która jest odczuwalna po dziesiątkach lat? Odczuwalna przez tych, którzy potrafią się na nią otworzyć...

- Do jednego kociołka wrzucisz nasze relacje ze spotkań z „duchami”, fakty, dowody, własne teorie...

- Tak.

- A twoja reputacja? Jak na okultystyczne zainteresowania doktor Rebeki Knight zareagują wybitni specjaliści z instytutów naukowych i uczelni?

- Jedni będą kręcić głowami ze współczuciem, że młoda geniuszka postradała zmysły, a inni... W wielu instytutach organizuje się poważne seminaria poświęcone zjawiskom paranormalnym, więc... - Rebeca uśmiechnęła się. - Zresztą mało mnie obchodzi, co kto pomyśli.

Savannah usiadła, a Layla natychmiast wgramoliła się matce na kolana.

- A Shane? Dlaczego go pominęłaś?

- Te tematy go irytują. - Rebeca schowała magnetofon do torby. - Oczywiście niczego mi nie zabrania, ale nie bardzo mu się podoba moje hobby. Zresztą Shane nie pasuje do formatu, jaki sobie wymyśliłam: sześć osób, trzy pary, spoiwo, które ich połączyło.

Savannah zmrużyła z namysłem oczy.

- Zawsze byłam kiepska z matematyki, ale format osiem osób, cztery pary, chyba też nie byłby zły.

- Poklepała córkę czule po pupie, kiedy dziewczynka zsunęła się z matczynych kolan - Ty, Shane, farma jako spoiwo...

- Nie, to bez sensu.

- Dlaczego? Przecież go kochasz.

- Wydaje ci się - oznajmiła Rebeca, siląc się na spokojny ton. - Mylisz sympatię i... Rety, chyba nie jesteś jasnowidzem?

Oj, biedna ty, biedna! - pomyślała Savannah, która doskonale wiedziała, jak łatwo można stracić głowę dla MacKade'a.

- Jesteś skryta, Rebeko. Nie obnosisz się ze swoimi uczuciami. Ale mnie trudno oszukać. - Wzruszyła ramionami. - Po pierwsze, jestem artystką, a po drugie, wśród moich przodków byli szamani. Może dzięki temu widzę, co dzieje się w twojej duszy? A może jedna zakochana kobieta potrafi rozpoznać drugą?

Rebeca popatrzyła na swoje ręce.

- Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić, że odkryłaś moją tajemnicę.

- Lubię cię, a jestem wybredna i nie wszystkim darzę sympatią. Z początku miałam pewne wahania.

- Savannah ponownie wyciągnęła przed siebie nogi.

- Intelktualistka, naukowiec z licznymi tytułami. Ja zdobyłam dyplom ukończenia szkoły średniej, gdy byłam w ciąży z Laylą. Kiedy Regan o tobie opowiadała, stawał mi przed oczami obraz wielkiego mózgu w grubych, niemodnych okularach.

Rebeca wybuchnęła śmiechem. Kiedyś taki opis sprawiłby jej przykrość, teraz wywołał wesołość.

Uświadomiła sobie, jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatniego roku.

- Jeśli kiedyś namalujesz taki portret, powieszę go sobie w salonie.

- W porządku. W każdym razie poczułam do ciebie sympatię. Choć przyznam, że gdybym próbowała wyobrazić sobie kobietę pasującą do Shane'a, byłaby twoim przeciwieństwem. To tylko świadczy, jak kiepsko się znam na ludziach. Farmer i intelektualistka. - Savannah uśmiechnęła się pod nosem. - W tym wypadku przeciwieństwa idealnie z sobą współgrają. Powiedz: coś planujesz? Myślisz o przyszłości... ?

- Planuję cieszyć się tym, co jest. Póki trwa.

- To wszystko?

- To bardzo dużo - szepnęła Rebeca. Wiedziała, że za szczęście trzeba płacić. Gotowa była ponieść konsekwencje. - Stąпам twardo po ziemi, Savannah.

- Zastanów się jednak. Chcesz napisać książkę, poświęcisz jej mnóstwo czasu i wysiłku, ale czy bez waszej historii, twojej i Shane'a, nie będzie to dzieło niekompletne? Wybrakowane?

Może będzie, pomyślała Rebeca, wracając przez las na farmę. Trudno. Shane nie chce patrzeć w przeszłość, analizować jej, a ona nie chce go zmuszać. Ani narzucać mu się z uczuciem.

Wyjedzie. Rozstanie będzie bolesne, lecz jakoś wytrzyma. Nikt nie umiera z powodu złamanego serca. A że się cierpi...

Pocieszała się, że łatwiej się żyje, kiedy pozna się smak miłości. Osoba, która nie wie, co to miłość, ma znacznie gorzej.

Pamiętała greckie tragedie. Najpierw była radość i szczęście, potem nadchodził czas zapłaty.

Jej rachunek też wkrótce nadejdzie. Skoro Savannah się domyśliła, innym to też nie sprawi trudności. Jeżeli Shane odkryje prawdę, wówczas rachunek może okazać się zbyt wysoki i bolesny.

Za bardzo kochała Shane'a, żeby stawiać go w niezręcznej sytuacji. Tak, powinna zacząć pakować ma-natki.

Jutro przypadała rocznica bitwy. Intuicyjnie czuła, że ten dzień musi spędzić na farmie, może również kolejny dzień. Potem przeniesie się do Regan. Na kilka dni, przed powrotem do Nowego Jorku.

Wyszła spomiędzy drzew. Najwyraźniej Shane rozpałił ogień w kominku, bo z komina unosił się dym. Przystanąwszy, Rebeca rozejrzała się wkoło. Popatrzyła na dom i zabudowania.

Będzie jej trudno opuścić Shane'a i to miejsce. Spędziła tu najszcześniejsze chwile swojego życia. Tu odnalazła miłość.

Odejdź, usłyszała głos z tyłu głowy. Odejdź, nie ryzykuj.

Nagle przeniknął ją chłód. Potarłszy ramiona, ruszyła w poprzek leżącego ugiorem pola.

Kątem oka zobaczyła podjeżdżający pod dom samochód. Za kierownicą siedziała rudowłosa kobieta. Na dźwięk klaksonu zza rogu wypadły psy; zaczęły witać gościa.

Kobieta otworzyła drzwi i wysiadła. Jej wesoły śmiech niósł się w powietrzu.

Na widok Shane'a, który uściskał rudą na powitanie, Rebeca poczuła, jak zalewa ją fala zazdrości.

W dodatku ruda nie opuściła rąk, którymi obejmowała go za szyję, a on ich nie stracił.

Ty paskudo! - zirytowała się Rebeca. On jeszcze jest mój. Póki tu mieszkam, jest mój.

Przez chwilę rozmawiali, stojąc blisko siebie. Ruda znów zaśmiała się perliście, cmoknęła Shane'a w policzek i wsiadła do samochodu.

Shane pogłaskał psy, wyprostował się, pomachał. Spostrzegłszy Rebeke idącą przez pole, ruszył w jej kierunku. Samochód wykreślił na podjeździe i znikł za zakrętem.

- Hej. Co tam u Savannah? - spytał, zahaczywszy kciuki o kieszenie spodni.

- W porządku. Widziałam jej obrazy. Są wspaniałe.

- To prawda. - Przyjrzał się twarzy Rebeki, usiłując coś z niej wyczytać. - To była Frannie Spader. Poznałaś ją...

- Wydawało mi się, że już ją kiedyś widziałam. - Chcąc się czymś zająć, kucnęła potarrosić psy.

- Wpadła na moment.

- Wiem. Muszę spisać wywiad.

- Rebeko... - Ujął ją za łokieć. - Nic mnie z nią nie łączy. To zwykła znajoma.

- Dlaczego to tak podkreślasz?

- Bo... Kiedyś byliśmy ze sobą - dokończył, zły na siebie. - Ale nie jesteśmy, odkąd... odkąd przyjechałaś do Antietam. Teraz się kumplujemy.

- Uważasz, że należy mi się wyjaśnienie?

- Nie. Tak. - Psiakrew. Wyobraził sobie, że dostrzega Rebeke w objęciach jakiegoś mężczyzny. Co by zrobił? Pewnie zmasakrowałby faceta. - Po prostu nie chcę, żebyś wyciągnęła pochopne wnioski.

- Myślisz, że wyciągam?

- Boże, przestań! - Odszedł parę kroków i po chwili wrócił. - Nienawidzę, jak to robisz. Naprawdę tego nienawidzę.

- Kiedy co robię?

- Zadajesz pytanie za pytaniem. Co czujesz? Co myślisz? - Jego oczy ciskały gromy. - Jeśli już koniecznie musisz zadać pytanie, to spytaj, dlaczego, do diabła, całuję inną kobietę?

- Twoim zdaniem wybuch zazdrości byłby bardziej na miejscu? - Widząc jego naburmuszoną minę, wzruszyła ramionami. - Przykro mi, że cię rozczarowałam. Miałaś przygody erotyczne, zanim ja się pojawiłam na horyzoncie, i będziesz miał, kiedy zniknę.

- Najłatwiej czynić komuś wyrzuty.

- Uważasz, że to robię?

- Cholera jasna! - warknął. - Nie umiesz się kłócić jak normalny człowiek?

- Owszem, kiedy mam powód. Ale twoje przyjaciółki to nie moja sprawa. A ponieważ w miasteczku ciągle mogę się na nie natykać... - zawiesiła głos.

Rozum mówił mu, żeby zakończyć tę rozmowę, ale nie mógł się powstrzymać.

- Posłuchaj. Gdybym spał z tyloma kobietami, jak niektórzy twierdzą, to nigdy nie wstawałbym z łóżka. Poza tym nie z każdą, z którą

się umawiałem, łączył mnie seks. Nie jestem... Chryste, dlaczego ci to mówię?

- Właśnie zamierzałam cię o to spytać. Myślę, że przenosisz na mnie własne emocje: zazdrość, lęk, frustrację, a także wyrzuty sumienia i wywołany przez nie gniew. Dokonując projekcji swojego gniewu na mnie, chcesz...

- Zamknij się. - Zacisnął ręce na jej twarzy. Jego oczy wyglądały jak ciemne fale podczas sztormu. - Frannie przyjechała spytać, czy nie spotkałbym się z nią wieczorem. Odparłem, że nie. Zapytała, czy coś poważnego łączy mnie z tobą. Odparłem, że tak, coś bardzo poważnego. Pogadaliśmy jeszcze minutę, potem się pożegnaliśmy. To wszystko. Zadowolona?

Rebecce zrobiło się lekko na sercu, ale głos miała chłodny.

- A sprawiałam wrażenie niezadowolonej? Oczy mu się zaiskrzyły. Po chwili, ciskając pod nosem przekleństwa, obrócił się na pięcie i odszedł.

Rebeca pogratulowała sobie w duchu: dobra robota, doktor Knight. Odechce mu się całować dawne znajome! Podśpiewując cicho, skierowała się do domu.

Przechodząc koło rozstawionego na stole sprzętu, pogładziła ręką monitor. Czekало ją mnóstwo pracy, ale przez moment chciała się cieszyć swoim zwycięstwem.

Reakcja Shane'a była przewidywalna. Wręcz klasyczna. Obawa, że niewinna rozmowa może zostać źle przez nią zinterpretowana. W miasteczku cieszył się opinią uwodziciela. Oczywiście istniała różnica

między mężczyzną, który kocha kobiety i je docenia, a takim, który je bezczelnie wykorzystuje.

Do tego dochodzi zmieszanie, niepewność i złość wywołana jej reakcją. Męskie ego zdecydowanie nie lubi przegrywać.

O ileż ciekawiej obserwuje się grę, jaką toczą mężczyźni i kobiety, będąc na środku boiska, a nie patrząc z odległych trybun.

Może warto na ten temat napisać artykuł. Nie teraz, kiedy jest emocjonalnie zaangażowana, ale później, kiedy nabierze odpowiedniego dystansu. Wtedy z autopsji będzie wiedziała, co to znaczy zdobyć miłość, kochać, a na końcu przegrać.

Może kiedyś, w przyszłości, odważy się spytać Shane'a, co do niej czuł i czy ich krótki związek wywarł wpływ na jego życie. Może za dziesięć lub dwadzieścia lat zbierze się na odwagę...

Ale dziś najważniejsza była terażniejszość. Zastanawiając się, czy po dzisiejszym incydencie Shane przyniesie jej kolejny bukiet, podeszła do lodówki. Hm, może spróbuje coś upichcić?

Przecież to nic trudnego, wystarczy zastosować się do instrukcji. Nie, nie do instrukcji. Do przepisu. Miała przepis od Regan na pieczonego kurczaka. Przebiegła go wzrokiem, zapamiętała wszystkie punkty. Przytąpiła do eksperymentu.

Panierując kurczaka, stwierdziła, że kucharzenie może być zajęciem niesłychanie kojącym. Pod warunkiem, że nie robi się tego codziennie. Bo jeśli człowiek musi planować posiłki, gotować, zmywać i sprzątać dzień w dzień, to można zwariować.

Ale gotowanie jako hobby... tak, to mogło być całkiem przyjemne. Musi tylko uważać, żeby hobby nie przeszło w nawyk.

Kiedy kurczak smażył się na żeliwnej patelni, pogratulowała sobie w duchu. Pachniał aromatycznie, skwierczał melodyjnie, wyglądał fantastycznie. Czyli powinien też znakomicie smakować.

Ależ Shane będzie zdumiony, kiedy wróci do domu i zobaczy, że przygotowała kolację!

Zbliżała się pora wieczornego dojenia. Słońce zachodziło coraz wcześniej, dni stawały się krótsze, szybciej zapadał zmrok...

Czy przez okno widać ogniska? Obóz żołnierzy był niedaleko. Czekali na świt i wznowienie walki.

Chciała, żeby John już wrócił. Kiedy nakarmi zwierzęta, zamkną drzwi na zasuwę. W domu będą bezpieczni. Nie mogą stracić kolejnego dziecka. Nie przeżyłaby tego. John też nie. Przyłożyła rękę do brzucha, jakby chciała ochronić maleństwo przed wszelkim złem. Modliła się, żeby urodzić syna. Wiedziała, że to dziecko nie zastąpi Johnniego. Nikt nigdy go nie zastąpi. Ale jeśli urodzi się syn, może John przestanie tak strasznie cierpieć.

Cierpiał, a ona nie umiała go pocieszyć. Kochała męża, troszczyła się o niego, dzieliła z nim ból, ale nie potrafiła go złagodzić. Dziewczynki też nie, a przecież John uwielbiał córki. Nie mógł się pogodzić ze śmiercią Johnniego. Każdy kolejny dzień wojny przypominał mu o jego własnej stracie.

Może walki nie przeniosą się dalej? Obróciła na patelni kurczaka. Może tu, gdzie urodził się Johnnie, działania wojenne się zakończą?

Może żołnierz, który zabił jej syna, siedzi teraz w obozie i wraz z innymi czeka na wschód słońca? Kogo jutro postrzeli? A może to jego krew użyźni tutejszą ziemię?

Dlaczego stąd nie odejdą? Dlaczego nie wstaną i nie zostawią żywych w spokoju?

Kropla rozgrzanego tłuszczu kapnęła jej na rękę. Rebeca ledwo to poczuła. Chwiejnym krokiem cofnęła się od kuchenki. W głowie wirowały jej myśli, emocje, słowa, dźwięki.

Opętanie. Jestem opętana, stwierdziła. Po raz pierwszy w życiu straciła przytomność.

Shane wpadł do domu. Wciąż się w nim gotowało.

- Swoją drogą... - zaczął i nagle z przerażeniem ujrzał Rebeke leżącą na podłodze. Dobiegł do niej w dwóch susach. - Rebeko... - Pogładził ją po twarzy, sprawdził puls. - Obudź się! Rebeko, otwórz oczy.

Obejmował ją, całował, błagał, żeby się ocknęła. Wreszcie zatrzepotała rzęsami.

- Shane...

- Tak, to ja. - Odetchnął z ulgą. - Nie ruszaj się, maleńka. Poczekaj chwilę, dopóki nie poczujesz się lepiej.

- Byłam nią - rzekła, walcząc z oparami mgły, która zachodziła jej na oczy. - Przez chwilę nią byłam. Muszę sprawdzić sprzęt.

- Do diabła ze sprzętem. - Wyrywała się, ale z łatwością ją przytrzymał. - Nie ruszaj się. Uderzyłaś się w głowę?

- Nie. Chyba nie. Co się stało?

- Ty mi to powiedz. Wszedłem, a ty leżałaś na podłodze.

- Boże. - Wzięła głęboki oddech. - Zemdlałam. Wyobrażasz to sobie?

- Nie muszę sobie nic wyobrażać. Przecież cię znalazłem nieprzytomną. - Teraz, gdy strach minął, poczuł gniew. - Dlaczego zemdlałaś? Pewnie od rana nic nie jadłaś? Prawie nic nie jesz. I za mało

sypiasz. Cztery, góra pięć godzin. Potem wstajesz i znów siadasz do pisania.

Na moment urwał. Nie potrafił jednak zamilknąć. Coraz bardziej się nakręcał.

- To się zmieni. Od dziś zaczniesz dbać o siebie. Czy w tych ekskluzywnych szkołach, do których chodziłaś, nie uczyli cię, że organizm potrzebuje paliwa, żeby normalnie funkcjonować? A może sądzisz, że twojemu wystarczy powietrze?

Nie przerywała mu. Czekwała, aż ujdzie z niego napięcie. A on perorował; mówił, że zabierze ją do lekarza, umieści w szpitalu, naszpikuje witaminami. Dopiero gdy przestało się jej kręcić w głowie, podniosła rękę i zatkała mu usta.

- Zemdlałam pierwszy raz w życiu. I nie zamierzam tego powtarzać. Teraz bądź tak dobry i pomóż mi wstać, bo kurczak się przypala.

Burknął coś niecenzuralnego i podciągnął ją w górę. Posadził ją na krześle, sam zaś zgasił ogień.

- Wzięłaś się za gotowanie?

- Owszem. I myślę, że gdybym nie zemdlała, danie byłoby całkiem udane. Może można je uratować?

Nalał wody do szklanki.

- Wypij - mruknął.

Zamierzała powiedzieć, że jemu bardziej się przyda łyk wody niż jej, ale ugryzła się w język i posłusznie wypila.

- Wiesz - rzekła po chwili - to było dziwne. Kurczak smażył się na patelni, a ja stałam obok i rozmyślałam o różnych rzeczach. Nagle zreflek-

towałam się, że to już nie są moje myśli, lecz myśli Sarah. Po prostu stałam się nią.

Shane'owi dreszcz przebiegł po plecach.

- Za bardzo się w to angażujesz.

- Jestem rozsądna. Twardo stąпам po ziemi. - Rebeca odstawiła szklanę na stół. - Swoją drogą, czy to nie dziwne, że postanowiłam wypróbować przepis Regan akurat dzisiaj, szesnastego września? W wieczór poprzedzający bitwę Sarah MacKade smażyła kurczaka.

- Wiesz, co jedli na kolację?

- Tak, wiem. - Świadomie zignorowała sarkazm w jego głosie. - Sarah smażyła kurczaka, rozmyślała o swojej rodzinie, o synu, który zginął, i o dziecku, które nosiła w łonie. Zastanawiała się, kto zginie nazajutrz. Niedaleko stąd żołnierze rozbili obóz, czekali świtu. Jej mąż był na zewnątrz, karmił zwierzęta. Chciała, żeby już wrócił do domu. Martwiła się o niego. Ale nie wiedziała, jak ulżyć jego cierpieniom.

- Uważam, że za ciężko pracujesz - oznajmił Shane. - I że zbyt intensywnie myślisz o jutrzejszej rocznicy.

Rebeca wstała od stołu.

- Dobrze wiesz, że w tym domu żyją duchy przeszłości. To z ich powodu dręczą cię w nocy sny. Mogłabym ci pomóc, ale skoro nie chcesz, to nie będę się narzucać.

- Te sny to mój problem.

- Wiem. Dlatego nie proszę, byś mi o nich opowiedział.

- Ty nigdy o nic nie prosisz. Ty żądasz i oczekujesz. - Wsadził ręce do kieszeni. - Przestało mnie to bawić.

- Mam się wynieść? Nie odpowiedział.

- Chciałabym spędzić tu jutrzejszy dzień - oznajmiła, siląc się na spokój. - To dla mnie bardzo ważne, chociaż nie umiem wytłumaczyć dlaczego. Byłabym wdzięczna, gdybyś pozwolił mi zostać.

- Nikt ci nie każe się wynosić! - warknął, wściekły na siebie. Nie rozumiał, dlaczego panikuje na samą myśl o tym, że Rebeki mogłoby nie być. - Chcesz zostać, to zostań. Ale nie wciągaj mnie w swoje sprawy. Idę skończyć robotę, a potem wychodzę.

- Świetnie.

Marzył, żeby spytała, dokąd idzie, a wtedy burknąłby, że to nie jej interes. Nie spytała, więc zwiesiwszy głowę, wyszedł z kuchni, choć z całego serca pragnął zostać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozważał pomysł upicia się. Wiedział, że alkoholem nie rozwiąże żadnych problemów, ale przynajmniej mógłby o nich na chwilę zapomnieć. Niestety nie był w nastroju do pijaństwa. Już wolał się z kimś pokłócić. Skoro kłótnia z Rebeką nie wchodziła w grę, pojechał do miasteczka. Do Devina.

Ucieszył się, bo w gabinecie szeryfa zastał również Rafe'a. Rafe poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Właśnie umawiamy się na partyjkę pokera. Masz forszę?

- A wy browar?

- Browar? W tym przybytku prawa i porządku? - spytał z groźną miną Devin, po czym skinął w stronę pokoiku na zapleczu. - Zajrzyj do lodówki. To co z pokerem?

- Jasne. - Shane zniknął na zapleczu. - Mogę robić, co chcę i kiedy chcę. W przeciwieństwie do was żadnej baby nie muszę pytać o zgodę.

Rafe z Devinem wymienili spojrzenia.

- Zadzwoń do Jareda. - Rafe sięgnął po telefon.

Kiedy brat wykręcał numer, Devin usiadł wygodnie i oparł nogi na biurku.

- Co słyhać u Rebeki? - spytał.

- Nie wiem. Ona też nie musi mi się spowiadać.

- Aha, posprzeczaście się? - Devin uśmiechnął się pod nosem. - Wyrzuciła cię z domu?

- To mój dom! - zirytował się Shane. - Poza tym Rebeca nie sprzecza się. Ona się przeobraża. Na twoich oczach. Jest twarda, dowcipna, bezczelna, a za minutę wrażliwa, zagubiona i tak słodka, że mam ochotę rozszarpać na strzępy każdego, kto na nią krzywo spojrzy. Potem nagle staje się chłodna... - pociągnął łyk piwa. - Chłodna, opanowana, metodyczna. Jak, do cholery, człowiek ma za nią nadażyć?

- Czyli nuda ci nie grozi.

- To prawda... Cholera, nie umiem jej rozgryźć. Na przykład dziś. Wraca do domu i widzi, jak Frannie mnie całuje. Czy wścieka się? Czy robi mi wyrzuty? Nie. Oczywiście pocałunek był niewinny, ale nie w tym rzecz. Po prostu jak człowiek z kimś sypia, to powinien się zdenerwować, kiedy zobaczy kochanka w objęciach innej. Dobrze mówię?

Rafe skończył rozmowę przez telefon.

- Dobrze - poparł Shane'a. - Prawda, Dev?

- Pewnie.

Ucieszony jednomyślnością braci, Shane ponownie wypił łyk piwa.

- No właśnie. Ale doktor Rebeca Knight nie złości się. Przygląda mi się, jakbym był plamką na szkiełku laboratoryjnym. Nienawidzę, kiedy tak robi.

- Nic dziwnego - rzekł Rafe. Rechocząc w duchu, usiadł.

Zadowolony, że bracia go rozumieją i przyznają mu rację, Shane opróżnił pierwszą butelkę i otworzył drugą.

- Jeszcze jedno: dlaczego nie pyta o przyszłość? O to, dokąd zmierzamy? Wtedy facet wytycza granice i wszystko jest jasne.

- Wszystko? - Devin uśmiechnął się błogo.

- No tak. Ale ona nie pyta. - Shane wypił haust piwa. - I wiecie co? Myślałem, że będzie mi przeszkadzała, kręcąc się po domu. A wcale nie przeszkadza. Nawet całkiem mi z nią dobrze.

- Tak? - Devin mrugnął porozumiewawczo do Rafe'a.

- Tak. Schodzę rano, a ona siedzi w kuchni. Zawsze mamy o czym pogadać. Spędza w kuchni większość czasu. Już się do tego przyzwyczailem.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wkroczył Jared z dużą torbą w ręku. Postawiwszy ją na biurku, wyjął z niej sześciopak.

- Tu gramy? - spytał.

- Siadaj. - Devin wskazał Jaredowi krzesło. - Na razie Shane nawija.

- Tak? - Jared zerknął na najmłodszego z MacKade'ów. - A o czym?

- O Rebecie - wyjaśnił Rafe. - Więc mówisz, że przyzwyczaileś się do jej obecności?

- W sypialni czuję jej zapach - ciągnął Shane. - Niczego nie zostawia na wierzchu, a mimo to w powietrzu unosi się lawendowy zapach mydła i balsamu, którym nawilża sobie skórę.

- Oho... - szepnął Jared i zerwał kapsel z piwa.

- Wiecie, że rodzice wysłali ją do szkoły z internatem, kiedy miała sześć lat? Okradli ją z dzieciństwa. Czasem, kiedy wybucha śmiechem, sprawia wrażenie zdziwionej, jakby nie poznawała własnego głosu. - Na moment Shane się zadumał. - Ma cudowny śmiech.

- Wyrzuciła go z domu? - Jared spytał Rafe'a.

- On twierdzi, że nie.

- Bo to mój dom - powtórzył Shane. - Mój dom i moja ziemia. Ja tam rządę. Jeśli nie podoba mi się ten jej idiotyczny sprzęt porozstawiany po kątach, to powinna go zdemontować. Nie chcę, żeby babrała się w przeszłości. Nie chcę, żeby zapominała o jedzeniu. Nie chcę jej znów znaleźć nieprzytomnej na podłodze w kuchni.

- Nieprzytomnej? - Devin spuścił nogi z biurka i wyprostował się na krześle. - Co się stało?

- Zemdlała. Twierdzi, że widziała naszą praprababkę. - Ponownie zbliżył butelkę do ust, jakby usiłował wypłukać z siebie wszystkie troski i niepokój. - Obie smażyły kurczaka, a jutro przypada rocznica bitwy...

- Ale nic jej nie jest? - spytał Rafe.

- Gdyby się źle czuła, to mnie by tu nie było - mruknął Shane.

Przejechał ręką włosy. Próbował wyrzucić z pamięci obraz drobnej postaci leżącej bez ruchu na podłodze. Nie potrafił.

- Nawet nie wiecie, jak się przestraszyłem. - Zaciśnął powieki. - Psiakrew, nie pozwolę, żeby ktokolwiek ją skrzywdził. Nie pozwolę. -

Pociągnął kolejny łyk piwa. - Ale nie dam się wciągnąć w te idiotyczne badania, nie dam zawrócić sobie w głowie.

- Oj, braciszku... - Jared wręczył Shane'owi nową butelkę. - Już ci zawróciła.

- Bzdury.

- No dobra, ile razy dziennie o niej myślisz?

- Nie wiem - burknął Shane. Uznał, że pomysł upicia się wcale nie jest taki zły. - Nie liczę.

- A o kimś innym myślisz równie często? - Jego brat prawnik postanowił wziąć go w krzyżowy ogień pytań.

- Nie, ale z nikim innym nie mieszkam. Chyba nic dziwnego, że człowiek myśli o osobie, z którą przebywa dzień i noc.

- To tylko seks - stwierdził Rafe, oglądając swoje paznokcie.

- Tylko? - Shane poderwał się z pięściami uniesionymi do walki. Nagle zreflektował się i usiadł z powrotem. - Nie jestem zwierzęciem. A Rebeca nie jest wyłącznie ciepłym ciałem.

- W porządku. - Rafe z niewzruszoną miną również pociągnął łyk piwa. - A powiedz: od przyjazdu Rebeki ile razy spojrzalesz na inną kobietę?

Shane struchlał. Zero razy.

- Ja... ja...

- Wpadł jak śliwka w kompot - skwitował Devin.

- Tylko jeszcze o tym nie wie - dorzucił Jared. - Problem w tym, że tak rozsądna kobieta jak Rebeca wcale nie musi stracić dla niego głowy.

- Niby dlaczego nie? Coś ze mną jest nie tak?

- W Nowym Jorku ma swoje życie, pracę, karierę. Trudno ci będzie ją zatrzymać, namówić do małżeństwa...

Shane aż się zakrztusił.

- Oszalałeś? Nie zamierzam się żenić!

- Chcesz się założyć? - spytał z uśmiechem Rafe.

- Golnij sobie jeszcze jedno piwko. - Devin zlitował się nad najmłodszym bratem, który zrobił się blady jak ściana. - A potem prześpij się w pokoju na zapleczu.

Pomysł wydał się Shane'owi doskonały.

Nie mogła zasnąć. Po pierwsze, Shane'a nie było w domu, a po drugie, dom jakby ożył. Najgorsze jednak było czekanie na świt. Miała wrażenie, że to najdłuższa noc w jej życiu.

Pracowała. Praca zwykle pomagała jej przetrwać wszelkie kryzysy, duże i małe. Spakowała swoje rzeczy do walizki. Pakowanie się zawsze oznaczało kres: zamknięcie jednego rozdziału, otwarcie nowego.

Bała się, że rozstanie może przebiec w przykłej atmosferze. Chciała tego uniknąć. Kiedy Shane wróci do domu, postara się załagodzić sytuację i jakoś naprawić ich wzajemne relacje.

Ale Shane nie wracał, a powoli nastawał świt.

Kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo na wschodzie i nad polem zawisła nieruchomo szara mgła, Rebeca wyszła na zewnątrz. Poczowała to, co musieli czuć okoliczni mieszkańcy we wrześniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku: strach, oczekiwanie, wściekłość, smutek.

Oczami wyobraźni zobaczyła piechotę wyłaniającą się zza kurtyny mgły. Słyszała tupot butów, widziała błysk stali.

Pierwsze wystrzały z moździerzy, pierwsze krzyki rannych. A potem piekło.

- Co, do diabła, tu robisz?

Podskoczyła nerwowo. Spomiędzy oparów mgły wyszedł Shane, blady, z chmurną miną.

- Nie słyszałam cię...

- Dopiero przyszedłem. - Widząc podkrążone oczy Rebeki, domyślił się, że nie spała. Nienawidził wyrzutów sumienia, jakie go ogarnęły. - Cała dygoczesz. W dodatku jesteś boso. Na miłość boską, wracaj do środka.

- Wyglądasz na zmęczonego...

- Raczej skacowanego - burknął. - Zwykłym śmiertelnikom za duże dawki alkoholu nie uchodzą na sucho. Nie spytasz, gdzie byłem i z kim?

Odruchowo przycisnęła rękę do serca.

- Próbujesz mnie zranić?

- Próbuję sprawdzić, czy mogę.

- Możesz - rzekła, kierując się do domu.

- Rebeko...

Zamknęła drzwi. Poczul się jak ohydny, oślizgły robak, który wypełził spod kamienia. Wściekły na siebie, ruszył do dojarni, przeklinając pod nosem.

Przez cały ranek omijali się szerokim łukiem. Zamiast jak zwykle pracować w kuchni, Rebeca schowała się w pokoju gościnnym. No dobra, pomyślała, rozstaniemy się w niezgodzie. Może i lepiej. Może łatwiej znieść żal i złość niż smutek i cierpienie.

Czasem z okna swojego pokoju widziała, jak Shane krąży po obejściu. Markował robotę i czekał, aż zostanie sam. No to sobie poczekasz! - pomyślała. Bo przed wieczorem nigdzie nie zamierzała wyjeżdżać.

- Gdzie jesteś, Sarah? - szepnęła, krążąc po pokoju. - Chciałaś, żebym tu przyjechała. Wiem o tym. Ale dlaczego?

Przystając przy oknie, ponownie wyjrzała na zewnątrz. Shane wyłonił się zza szopy, minął ogródek warzywny z tyłu domu. Pochylił się, obejrzał kilka roślin.

Czuła ból, kiedy na niego patrzyła. Ale myśl o tym, by odwrócić wzrok, też była bolesna. Czy naprawdę sądziła, że można zakosztować miłości i tak łatwo pogodzić się z jej utratą? Że stan zakochania można potraktować jak eksperyment? Coś, co się bada, analizuje, ewentualnie opisuje?

Nie zapomni Shane'a, nie przeboleje rozstania.

Kiedy ponownie skrył się w stodole, Rebeca odeszła od okna. Nie, nie będzie czekała do wieczora. To zbyt bolesne. Porozmawia z nim po raz ostatni, a potem zniknie z jego życia.

Ruszyła w dół. Opuści farmę, po sprzęt kogoś przyśle. Na kilka dni wprowadzi się do Regan. Natychmiastowy powrót do Nowego Jorku wyglądałby na ucieczkę, a ona nie była tchórzem. I nie chciała, by Shane wiedział, że złamał jej serce, i miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Niech dobrze wspomina ich związek.

Nie zamierzała tu wrócić. Do tego miasteczka, do tego domu, do miejsca sławnej bitwy.

Nie przystanąła, żeby spojrzeć na monitory i czujniki. Na progu kuchni znieruchomiała. Czuła się, jakby dostała obuchem po głowie.

Na ogniu bulgotał gulasz. Nieopodal słychać było huk wystrzałów.

Nogi się pod nią ugięły, oparła się o ścianę. Nagle drzwi się otworzyły. Rozpoznała sylwetkę Shane'a, jego ruchy, a nawet zapach. Jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w drzwiach stoi obcy mężczyzna z krwawiącym chłopcem na rękach...

Boże, John! Co z nim? Jeszcze żyje.

Położ go na stole. Podaj ręczniki, szybko! Boże, ile krwi. Jest taki młody... Jak nasz Johnnie.

Jak Johnnie. Młody, śmiertelnie ranny. Mundur lepki od krwi. Na ramieniu połyskiwała nowa belka, przypuszczalnie parę dni temu awansował na kaprała.

Rozpięła mundur, żeby obejrzyć rany. Coś zaszeleściło, jakaś pomięta kartka w kieszeni na piersi.

Był jeszcze chłopcem. Na wojnie ginęło tylu chłopców...

Rebeca dokładnie widziała wszystko, co działo się w kuchni. Krew, rannego żołnierza, ludzi, którzy próbowali mu pomóc. I list, który Sarah trzymała w ręku, pomięty, czytany dziesiątki razy. Nagle dojrzała słowa:

Najdroższy Cameronie...

- Nie zdołali go uratować - powiedział cicho Shane. - Chociaż próbowali.

- Wiem. - Wypuściła z płuc powietrze. - Robili, co mogli.

- Kiedy John go znalazł, najpierw zobaczył mundur. Mundur wroga. Ucieszył się, że zginął Jankes. Ale potem ujrzał jego twarz i zobaczył w

niej twarz swojego syna. Więc wziął żołnierza na ręce i przyniósł do domu.

- Dobrze postąpił. Szlachetnie.
- Chcieli, żeby ten chłopiec żył.
- Wiem. - Rebeca oddychała ciężko. - Walczyli o jego życie.

Siedzieli przy nim cały wieczór i noc. Modlili się. Słuchali, kiedy próbował coś mówić... Shane, w domu, w którym jest tak dużo miłości, nie zostawia się ludzi bez pomocy, aby wykrwawili się na śmierć.

- Ale żołnierz zmarł - oznajmił posępnie Shane.
- A oni poczuli się tak, jakby znów stracili syna.
- Nie umarł w samotności. I pamięć o nim żyje.
- Pochowali go w nieoznakowanym grobie.
- Sarah się bała. - Łzy popłynęły z oczu Rebeki.

- O swojego męża. O rodzinę. Gdyby ktoś odkrył, że żołnierz Unii zmarł w domu ludzi sympatyzujących z Południem, których syn zginął od kuli Jankesa... Ublagała męża, żeby pochować go pod osłoną nocy. Było jej żal żołnierza, a jeszcze bardziej żal jego matki, która się nigdy nie dowie, gdzie i kiedy zginął jej syn.

- List od matki zakopali razem z ciałem.

- Nie było koperty, Shane. Nie było adresu. Był tylko list, dwie kartki pokryte drobnym pismem, jakby nadawczym chciała zawrzeć w liście wszystkie swoje myśli i uczucia. - Rebeca wzdrygnęła się. - Widziałam go, Shane. Czytałam. „Najdroższy Cameronie”...

Oczy Shane'a pociemniały; poczuł ucisk w sercu.

- To moje drugie imię. Dostałem je po pradziadku, Cameronie Jamesie MacKade, drugim synu Sarah i Johna, który urodził się sześć

miesiący po bitwie nad Antietam. Od tamtej pory w każdym pokoleniu ktoś nosi imię Cameron.

- Nazwali syna na cześć chłopca, którego nie zdołali ocalić. -

Wierzchem dłoni Rebeca przetarła łzy. - Nie zapomnieli o zmarłym żołnierzu, Shane. Starali się uczcić jego pamięć.

- I pochowali go w nieoznakowanym grobie...

- Nie miej im tego za złe. Sarah bała się o męża.

- Nie mam za złe. - Przeczesał ręką włosy. - Ale teraz ja tu żyję. Nie mogę zmienić tego, co się stało, i nie chcę, żeby prześladowała mnie przeszłość.

Ścisnęła jego dłoń.

- Wiesz, gdzie znajduje się grób?

- Nie. Staram się o tym nie myśleć, odseparować od tamtych wydarzeń.

- Dlaczego teraz o tym rozmawiamy?

- Nie wiem. - Shane westchnął zrezygnowany. - Widziałem go, przy wędzarni. Strasznie krwawił. Prosił, żebym mu pomógł. Zresztą nie po raz pierwszy. Nie mogłem ci tego nie powiedzieć. Jesteś częścią przeszłości. Masz tego świadomość, prawda?

- Został pochowany na łące - szepnęła. - Wśród kwiatów. Chodź ze mną. - Pociągnęła Shane'a za sobą.

Szli w jasnych promieniach słońca. Odległe góry mieniły się jesiennymi barwami, pod nogami szeleściły uschnięte kwiaty. W powietrzu niósł się zapach trawy.

Przystanęli. Po twarzy Rebeki płynęły łzy. Przez moment nie odzywała się. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Sarah z Johnem przynajmniej się starali - szepnęła w końcu. -
Niedaleko stąd inny żołnierz zginął tylko z powodu munduru, jaki nosił.
Nie widzisz różnicy? Twojej rodzinie zależało na tym, by ocalić chłopca.

- Zależało. Wciąż nie potrafią się od niego uwolnić.

- W miejscach bitew stawiamy pomniki, wokół sadzimy drzewa i
kwiaty. Żeby pamiętać, zachować pamięć o zmarłych. - Rebeca przytuliła
się do Shane'a. - On potrzebuje nagrobka, wystarczy skromna tablica.
Sarah z Johnem by to zrobili, gdyby mogli.

Czyżby to było tak proste? Czy naprawdę tylko o to chodziło? Skinął
głową.

- Dobrze. Postawimy tablicę. Może wtedy i my zaznamy spokoju.

- Shane, tu wszędzie wyczuwa się dobrą energię. Nie żal, nie smutek,
lecz miłość. Powinieneś być dumny z tego, co masz, kim jesteś, kim byli
twoi przodkowie.

- Zawsze miałem wrażenie, że na mnie naciskają. Czegoś się
domagają. Przeszkadzało mi to. - Teraz, kiedy stał z Rebeką na łące, nie
czuł tej presji. - Nie rozumiałem, dlaczego to mnie obciążają swoimi prob-
lemami. - Powiódł wzrokiem po polach i odległych wzgórzach. Ogarnął go
błogi spokój. - Dziś chyba otworzyły mi się w głowie klapki. Ta farma
zawsze była bardziej moja niż moich braci. Bardziej moja niż moich
rodziców. Wszyscy kochali tę ziemię, wszyscy ją uprawiali, ale...

- Ale ty na niej zostałeś. - Rebeca wspięła się na palce i pocałowała
go lekko w usta. - Bo jesteś najbardziej z nią związany. Porządny z ciebie
facet, Shane. I doskonały farmer. Nigdy cię nie zapomnę.

Zanim się zreflektował, odwróciła się na pięcie.

- O czym mówisz? Dokąd idziesz?

- Pomyślałam sobie, że może chcesz tu chwilę zostać sam. -

Uśmiechnęła się, ponownie wycierając łzy. - Skończę się pakować.

- Pakować?

- Przenoszę się na kilka dni do Regan, a potem wracam do Nowego Jorku. Spędziłam z Regan znacznie mniej czasu, niż zamierzałam.

Poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch. Spokój, który go ogarnął, przysł.

- Wracasz? Wyjeżdżasz? Tak po prostu? Skończyłam badania, cześć, pa?

- Strasznie długo siedziałam ci na głowie. Pora, byś odzyskał własny dom. Jestem ci ogromnie wdzięczna. Za wszystko.

- Wdzięczna? - powtórzył. - Za wszystko?

- Tak. - Muszę stąd uciec, pomyślała, bojąc się, że za moment się rozplacze. - Mam nadzieję, że czasem się do mnie odezwiesz?

- Na przykład na Boże Narodzenie?

- Liczę na częstszy kontakt. - Nawet się nie orientowałam, ile wysiłku kosztuje ją utrzymanie na twarzy uśmiechu. - No, farmerze, miło mi się u ciebie mieszkało, a teraz spływam.

Zszokowany patrzył, jak Rebeca odchodzi. Rzuciła go. Najpierw go w sobie rozkochała, pozwoliła mu przeżyć najbardziej emocjonujące chwile w życiu, a teraz odchodzi.

W porządku, pomyślał, nie odrywając oczu od jej pleców. Tak jest lepiej. Nienawidził dramatów, łez, hysterii.

Rebeca pchnęła kuchenne drzwi, minęła próg... Wtedy ją dopadł, chwycił za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Seks i zjawiska paranormalne, tak? O to ci chodziło? Byłem częścią eksperymentu? Mam nadzieję, że się chociaż sprawdziłem?

- Shane, dlaczego...

- Nie chcesz ostatni raz? Przed wyruszeniem w drogę?

Zmiażdżył jej wargi w brutalnym pocałunku. Po raz pierwszy w życiu wystraszyła się jego siły.

- Shane... - zdołała oswobodzić usta. - Sprawiasz mi ból!

- To dobrze! - Cofnął się tak gwałtownie, że niemal straciła równowagę. - Zasłużyłaś na to, ty... - Na szczęście w porę ugryzł się w język. - Jak możesz dzielić ze mną łóżce, stół, myśli, emocje, a potem nagle wstać, otrzepać ręce i ruszyć do wyjścia, jakby to wszystko nic nie znaczyło?

- Sądziłam... Myślałam, że tak to się robi. Podobno utrzymujesz przyjazne stosunki z kobietami, z którymi...

- Co to ma do rzeczy! - zdenerwował się. - Chryste, wywróciłaś moje życie do góry nogami. Wprowadziłaś do niego zamęt... Psiakrew, dłużej tego nie zniosę.

- W porządku. - Cofnęła się jeden krok, drugi, wreszcie położyła rękę na klamce.

- Na miłość boską, Rebeko, nie zostawiaj mnie. Oszołomiona, obróciła się.

- Nie rozumiem...

- Chcesz, żebym błagał? - spytał z furją. - Dobrze, mogę błagać. Nie odchodź, maleńka. Nie porzucaj mnie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Przycisnęła rękę do skroni. Nie potrafiła odczytać tych wszystkich emocji malujących się na jego twarzy.

- Chcesz, żebym została? Ale...

- Co cię tak ciągnie do Nowego Jorku? Wiem, mają muzea i restauracje. Chcesz iść do restauracji? Zabiorę cię do restauracji. Weź płaszcz.

- Nie jestem głodna.

- Widzisz, wcale nie potrzebujesz żadnych ekskluzywnych lokali. - Wiedział, że nawija jak wariat. O Chryste, był wariatem! - Masz komputer, modem i resztę sprzętu. Możesz pracować gdziekolwiek. Również tutaj.

Zwykle potrafiła myśleć jasno i logicznie, teraz miała mętlik w głowie.

- Chcesz, żebym tu pracowała?

- Co się dziwisz? Przecież całkiem dobrze ci szło.

- Tak, ale...

- Możesz rozstawić sprzęt, gdzie ci wygodnie. Nie wadzi mi ta elektronika. - Doskoczywszy do Rebeki, odsunął ją od drzwi. - Możesz zamontować nadajnik w stodole, talerz satelitarny na dachu, wszystko mi jedno. Tylko nie wyjeżdżaj.

Uśmiech zadrżał na jej ustach. Może sprawy męsko-damskie nie były jej najmocniejszą stroną, ale chyba wreszcie coś zaczęło do niej docierać.

- Naprawdę chcesz, żebym została?

- Znasz tyle języków, a nie rozumiesz, co mówię? - Sfrustrowany potrząsnął Rebeke za ramiona, zaczął krążyć po kuchni. - Tak, chcę, żebys została. Nie chcę cię stracić. Jeszcze nigdy się tak nie czułem. Zmieniłaś

moje życie, moje nastawienie do świata. Na samą myśl, że mogłoby cię tu nie być, odechciewa mi się żyć. Słyszysz? - Utkwił w niej gniewne spojrzenie. - Nie masz prawa doprowadzić mnie do takiego stanu, a potem wyjechać jakby nigdy nic!

Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale wyraz twarzy Shane'a sprawił, że szybko je zamknęła.

- Kocham cię, Rebeko. Boże, tak strasznie cię kocham. Muszę usiąść.

Kolana miał jak z waty. Był pewien, że zaraz się pod nim ugną i osunie się na podłogę. Potarł ręką oczy. Płakała. Serce zamarło mu w piersi.

- Przepraszam. Rebeko, przepraszam cię. Nie płacz, proszę.

Z trudem wciągnęła powietrze.

- Nigdy w życiu nie słyszałam tych słów. Nikt mi ich nie powiedział. Nawet nie wiesz, co znaczy usłyszeć je z twoich ust.

- Błagam, nie mów, że jest za późno. Tak bardzo cię kocham, wszystko ci wynagrodzę...

- Shane, ja... Bałam się powiedzieć, że cię kocham. Bałam się, że nie będziesz chciał tego słyszeć.

Przez moment milczał, jakby czekał, aż jej słowa dotrą do wszystkich zakamarków jego ciała, uleczą zranione serce.

- Chcę, Rebeko. Chcę. Nigdzie cię nie puszcze.

- Zgarnął ją w ramiona. - Kochasz mnie... - szepnął z niedowierzaniem.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Dzięki Bogu. - Przepęłniło go uczucie szczęścia.

- Bo ja... Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Na lotnisku. Tak uroczo zadzierałaś nosa.

- Nagle coś sobie przypomniał. - Słuchaj, wczorajszego wieczoru...

- To nie ma znaczenia.

- Ma. Byłem z moimi braćmi, u Devina w biurze. Upiłem się i przespałem noc w pokoiku na zapleczu.

Boże, ale ze mnie głupiec! - Pocałował ją w usta.

- Wiesz, że twój przyjazd tu to nie przypadek? Że to spotkanie było nam pisane?

- Wiem. - Zacisnęła dłonie na jego policzkach.

- Jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Po prostu się kochamy.

- Tak, kochamy się. - Przytuliła się mocno. - Wiesz co? Nie będę rozstawiać sprzętu po całym domu. Skoro będziemy razem mieszkać, to wymyślimy coś sensownego.

- Razem mieszkać? - powtórzył, całując kolejno jej powieki, czoło, nos, usta. - Już razem mieszkamy. Teraz zostaniemy mężem i żoną.

- Żoną? - Zakręciło się jej w głowie. - Muszę usiąść...

- Nie musisz, ja cię trzymam. - Uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał, kiedy w tym supermózgu coś się zacinało. Była wtedy taka rozkosznie bezradna.

- Wyjdź za mnie, Rebeko. Zgódź się. Proszę. Małżeństwo. Rodzina. Dzieci. Shane. Dlaczego ją prosi? Przecież sama niczego bardziej nie pragnie.

- Poczekaj, mam mętlik...

- Kocham cię, moja śliczna. A teraz ty powiedz: kocham cię, Shane.

- Kocham cię, Shane.

- Wyjdź za mnie. - Obsypał jej twarz pocałunkami.

- Zostań moją żoną, matką moich dzieci. Powiedz: dobrze, Shane, wyjdę za ciebie.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dobrze, Shane, wyjdę za ciebie.

- A teraz - szepnął jej do ucha - powiedz: będę ci codziennie gotować obiady.

- Będę ci... - Wytrzeszczyła oczy. Najbardziej wzniosła chwila w jej życiu zakończyła się głośnym wybuchem śmiechu. - Och, ty podstępny farmerze!

- Musiałem spróbować. - Chwyciwszy ją w ramiona, zaczął tańczyć po kuchni.

EPILOG

Łąka pokryta białym puchem iskrzyła się w słońcu. Świat wydawał się czysty i niewinny. Wkrótce wszyscy się zejda, pomyślała Rebeca. Wszyscy MacKade'owie. Na łąkę, gdzie z przysłoniętej śniegiem ziemi wystawał prosty kamienny nagrobek.

Na razie byli sami. Ona i jej mąż. Mimo że od ślubu minęły trzy miesiące, na dźwięk tego słowa serce biło jej szybciej. Shane Cameron MacKade. Dziś, w pierwszy dzień nowego roku, miała wszystko, o czym marzyła: miłość, rodzinę. I cudowną przyszłość.

- Tego pragnęli - rzekł Shane. - Spokoju.

- Ten spokój czuć dookoła. - Rebeca dotknęła złotej obrączki na palcu męża. - Kiedyś odnajdę potomków jego rodziny - przysięgła. - Prędzej czy później ich odnajdę.

- Pomogę ci. To zadanie dla nas wszystkich. A na razie skup się na „Legendach Antietam”. Nie mogę się doczekać twojej książki.

- Niedługo będzie gotowa. - Schyliwszy się, pogładziła zimny kamień znaczący miejsce spoczynku młodego żołnierza. - Resztę dokończymy razem. Spełnimy wolę Johna i Sarah.

- Wciąż czuję ich obecność.

- Zawsze będziemy ją czuć. - Wtuliła się w ramiona męża.

Oparł brodę na jej głowie.

- Kocham cię, maleńka.

- Ja ciebie też.

To było idealne miejsce. I idealna pora. Podniosła wzrok i popatrzyła mężowi w oczy. Chciała widzieć jego spojrzenie, kiedy przekaże mu nowinę. Wzięła głęboki oddech.

- Shane, będziemy mieli dziecko.

- Co? - spytał, jakby wiadomość do niego nie dotarła.

Uśmiechnęła się, szczęśliwa, że może powtórzyć nowinę.

- Zostaniemy rodzicami. Za mniej więcej osiem miesięcy. - Ujawszy dłoń Shane'a, przycisnęła ją sobie do brzucha. - Będziemy mieli dziecko - powiedziała po raz trzeci.

- Jesteś w ciąży? - upewnił się i nagle w jego oczach pojawiły się te wszystkie emocje, na które czekała: radość, zdumienie, zachwyt. - Jesteśmy w ciąży?

Chwycił żonę na ręce i śmiejąc się radośnie, zaczął obracać się wkoło, wzbijając chmurę śniegu. Raptem przystanął, a na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania oraz lęku.

- Dobrze się czujesz? Nie masz mdłości? Musisz o siebie bardziej dbać, zacząć więcej jeść. Na pewno dobrze się czujesz?

- Mogłabym góry przenosić. Bo czuję się kochana. Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jesteś kochana - rzeki głosem drżącym ze wzruszenia. Miał żonę. Będzie miał dziecko. Popatrzył na kamienny nagrobek. - Życie zatoczyło krąg.

- Jeśli urodzi się chłopiec, chciałabym, żeby nosił imię Cameron.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

- W oddali usłyszał radosne szczekanie psów. - Już są.

- Obróciwszy się, z Rebeką na rękach ruszył w stronę domu. Śnieg chrząścił mu pod nogami. - Muszę im powiedzieć, że klan MacKade'ów wkrótce znów się powiększy. Ciekawe, czy mamy w lodówce szampana? Ale ty nie możesz pić alkoholu. Coś dla ciebie znajdziemy. - Szczercząc zęby od ucha do ucha, zerknął na brzuch żony. - To dlatego wczoraj na sylwestra nic nie piłaś!

- Dlatego - przyznała ze śmiechem, słuchając trajkotu męża. - Kochanie, możesz mnie już puścić.

Przytulił ją mocniej.

- Nie mogę.

- Nie musisz mnie nieść do samego domu.

- Muszę. - Roześmiał się wesoło. - Jesteś moja, Rebeko MacKade.

Nigdy cię nie puszcę.